WACŁAW GĄSIOROWSKI

HURAGAN

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

WYDANIE DRUGIE

TOM I.

LWÓW
NAKŁADEM „SŁOWA POLSKIEGO"
1903.

J. Borkowski
4a.

98.

HURAGAN

WACŁAW GĄSIOROWSKI

HURAGAN

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

WYDANIE DRUGIE

TOM I.

LWÓW
NAKŁADEM SŁOWA POLSKIEGO
1903.

113565

Z DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO“ WE LWOWIE
pod zarządem J. Ziembińskiego.

„Dziś już to snem jest
Oto szafirowe niebo i gwiazdy
białe patrzą. Sąż to gwiazdy
te same?" SŁOWACKI.

I.

Dziwną była jesień roku 1806. Już w sierpniu zapowiadana przez srogie wichry, a zimne dżdże, rozpłynęła się nagle w lazurach pogodnego nieba. Łagodnem tchnieniem zefirów otuliła lasy i równiny, skrzydlatych gości odlot opóźniając, łatwowierne drzewa do młodych zachęcając pędów, w starcach budząc wspomnienia.

Nieufny kmieć podejrzliwem spoglądał okiem na ruń zieloną ozimych zbóż, która zdążyła już pokryć ledwie obsianą rolę, wróżby szukał w rozkwitłej nagle czereśni; klekot wieczorny bociana niecił w nim lęk zabobonny. A w przeźroczach łagodnych promieni październikowego słońca snuły się tymczasem nieprzerwanem pasmem pajęcze nici babiego lata, jedną niezmierzoną przędzą ogarniając sioła i miasta, góry i doliny, stepy a puszcze, bory i pola, skały a piaski lotne, szlacheckie zaścianki i pańskie sadyby.

Niby kądziel jedwabista, potężną rzucona ręką hen, u porohów dnieprowskich, rozpostarła swe sploty aż po stopy Giewontu, aż po koryto wartkiej Łaby.

Naraz cisza zaległa. Cisza bezbrzeżna, głucha. Niebo jasne, ciepło ożywcze, odradzająca się zieleń przestały wabić; odciągnęły żórawie, znikły tłumy śpiewaków różnobarwnych, płaz skrył się pod ziemię, wpółsenny niedźwiedź szedł do legowiska. Na ustach pastuszych skonała piosnka żałosna. Zdumieli się lu-

dzie i poglądali na się w milczeniu. Wśród długich wieczorów szeptano niekiedy do późna po chatach i dworach, urywając ciche gawędy i jakby nadsłuchując, ażali od dalekich borów a tajemniczych mgieł horyzontu nie dojdzie ich jaki dźwięk.

Wieczór zapadał. Na drodze, ciągnącej się od Brzezin ku Rawie, wlókł się mały, węgierski wózek, zaprzężony w parę gniadych mierzynków. Droga była ciężka, miejscami wąska, wypukła, zawalona kamieniami, to znów rozlewająca się w szeroki piaszczysty gościniec. Wózek co chwila to zapadał w głęboko żłobione koleje, brzuchem swym muskając ziemię, to wspinał się z grudy na grudę, z kamienia na kamień. Konie ustawały. Stary, skulony furman zachęcał je głosem, szarpał z lekka lejcami, lub smagał batem. Lecz i to przestało skutkować. Gniadosze rozwarły chrapy szeroko, najeżyły krótko strzyżone grzywy i zatrzymały się nagle, dysząc ciężko.

Furman zeskoczył z wózka, a za nim, siedząca obok niego, baba. Z tylnego siedzenia zerwał się młody człowiek, zbudzony widocznie i chwycił machinalnie za ukrytą w zanadrzu krucicę.

— Maciej! — zakrzyknął. — A tam co?!...

— Ustały, panie poruczniku!

— Bo tyś zdarzony akurat do powożenia! — odezwała się baba. — Gnałeś... gnałeś... to i masz... niezdaro...

— Jasia, nie gadaj — upomniał babę furman.

— Nie gadaj i nie gadaj! — przedrzeźniała dalej baba. — A teraz to konie wyłóż i ciągnij...

— Nie poradzi! — odparł flegmatycznie furman, rozwiązując postronki uprzęży.

— A też to skaranie boskie z tym chłopem.

Młody człowiek nie zważał na dogadywanie baby, rękę do kaszkietu przyłożył i rozglądał się po okolicy.

Wreszcie rzekł półgłosem jakby do siebie:

— Nie widać! Może lepiej wózek porzucić! Na przełaj mila mniej...

Baba rozpostarła ręce szeroko i podchwyciła żywo:

— Na przełaj?! A toż byłoby dopiero! Ani myśli!

Szkapiny się wydychają krzynkę!... O... jak to parska! Zdrów! I dowleczem się. Gdzieżbym ja to panicza mego puściła na piechtę! Jużci, nie jeden kraj się przemaszerowało, ale gdzie tu... samotrzeć!... Włóczy się różnego zbójectwa pełno! A nie uszliśmy to już z dziesięć razy rozmaitym?... Ja tam siadam na wózek i czekam! No stary, czegoś gębę rozdziawił, dajże im obroku! Taki to, panie poruczniku, ciemięga, a do strzelców konnych iść się napierał!...

Porucznik, zasypany potokiem wyrazów, uśmiechnął się smutnie.

— Dobrze mówicie Żubrowa. Tylko czy poczciwe koniska wytrzymają, czy nie omdleją? Nie jestem tu obcy, papierów nie ma co okazywać... Sześć mil jednym tchem prawie przebiegły, a... ile jeszcze?

— Do Rawy, wedle rozkazu, będzie jedna, a potem w bok z półtorej.

— Wedle rozkazu! Wedle rozkazu! — powtórzyła z przekąsem baba. — Niby to pan porucznik kazał, żeby tyla jeszcze było!

— Jasia, nie gadaj — mruknął po swojemu furman.

— I to... to zrobili podoficerem jeszcze! — gderała dalej baba.

— A no trudno — przerwał porucznik. — Wysyp im resztę obroku. Niech wypoczną!... Noc zapada. Podjedziemy do miasta... Żubrowa skoczy potem cichaczem na rogatki! A nie macie tam czego w torbach?...

— Et! Nie ma strachu! Markietanka głowę na karku może ma lepszą, niż niejeden podoficer pierwszej legii, pierwszego batalionu drugiej kompanii!...

Na potwierdzenie tych słów baba skoczyła do wózka i jęła wydobywać zeń prowianty i gąsiorek z wódką. Porucznik przysiadł nad rowem i zabrał się ochoczo do jadła, przepijając ze smakiem.

— Gdańska! — zauważył z ukontentowaniem. — Pijcie i wy.

Baba chwyciła za flaszkę i pociągnęła mocno raz i drugi.

— Co nasze, to nasze! — Aż gorącość w człeka wstępuje a żywość. Lepsze niż te italskie napoje, co

choć gębę ze słodyczy sklejają, a jeno ckliwość po nich ostaje i zgaga! — Stary, masz i ty, a folguj, bo mi się spijesz!... Już to głowę masz na nic! Widzisz, stary, nawet kule cię mijały, słusznie mądrzejszych łepetyn szukając... Pod tym Holindem...

— Hohenlinden! — poprawił porucznik.

— Ktoby tam spamiętał! pod Holindem już-już leciała na niego jedna, ale jak ci nie zobaczy z bliska tej kapuścianej głowy, tak dalej w bok, ledwie mu pogardliwie koło ucha gwizdnęła i przebiła porucznikowi Dziurbasowi kaszkiet!...

— Jasia! nie gadaj! — odezwał się tonem błagalnej prośby furman. — Baba atoli, widząc żartobliwy uśmiech na twarzy porucznika, ciągnęła swoje:

— Albo choćby w bitwie nad Adygą!... Stoję sobie przy ambulansie, a tu nieprzyjaciel plunął na przywitanie rotowym ogniem; patrzę, w drugiej kompanii, na lewo, kiwnęła się czapka — myślę, nareszcie mój dryblas się doczekał! Jesteś wdową, madam Żubrowa... Chwytam za manierkę, aby mu się dać napić na drogę żywota wiecznego i wciskam się między szeregi... Aż tu mój stary gryzie sobie najspokojniej ładunek! A kapral Michał Żadera leży jak długi i ani zipnie! Poczciwe było człeczysko. Nieraz bywało jeść nie ma co, aż zatyka. A tu Żadera naraz się zjawia. — Pani Żubrowa — powiada — bydlaka sobie zjemy!... Co?! — Ja mu na to, zła: Juści, bydlaka się zachciewa — a pomidorów z oliwą nie łaska?... A ten, aby białkami łypnie i patrzę, a już z kieszeni ciągnie przepiórkę niby psa za ogon!! Dobre chłopisko było!...

Baba urwała, rękawem oczy przetarła i nagle zamyśliła się. Porucznik odwrócił głowę i zapatrzył się w zapadające mroki nocy. Żubr jął opatrywać konie, które ostygły i potrząsały już ochoczo uzdami.

Nagle stary podoficer drgnął i zaczął nadsłuchiwać. Na drodze od strony Brzezin rozległ się miarowy tentent. Żubr poskoczył ku porucznikowi.

— Melduję pokornie, iż ktoś za nami nadjeżdża!

Porucznik porwał się z miejsca i skoczył do wózka.

— Siadać żywo i ruszajmy.

Żubrowi nie trzeba było rozkazu powtarzać. Nakarmione mierzynki pomknęły żwawo.

Podróżni jechali przez chwilę w milczeniu. Turkot wózka śród nocnej głuszy rozlegał się dokoła. A oto czujne ucho furmana pochwyciło nowy odgłos, bo zaciął silnie mierzynki i szepnął, nachylając się w pół ku porucznikowi:

— Melduję pokornie, że nas gonią!

Jakby na potwierdzenie tych słów, gdy wózek wjechał w piasczystą kolej, a turkot jego ucichł, równocześnie — na drodze, w oddali rozległ się przyśpieszony tentent kopyt końskich.

— Ilu może być?

— Czterech.... pięciu!

— Mądrala — mruknęła baba.

— Zwolnić — zakomenderował porucznik. — Żubrowa na moje miejsce! Nie ujdziemy! Broń opatrzyć! Uważać! Jakby więcej... to pójdziem w pole!

Rozkaz wykonano natychmiast. Mierzynki przeszły na spokojnego truchta. Baba rozsiadła się wygodnie w tyle. Porucznik nasunął kaszkiet na oczy i zajął miejsce obok furmana.

Tymczasem pogoń zbliżała się coraz szybciej, wreszcie gdy przysunęła się na odległość strzału, dał się słyszeć donośny głos:

— Hej tam! stać w miejscu!

Wózek zatrzymał się.

— Prusacy! — szepnął porucznik, pochwyciwszy w lot znany mu dobrze akcent.

Baba nie straciła rezonu, wykręciła się na siedzeniu ku nadjeżdżającym i zakrzyknęła tonem sprawiedliwego zniecierpliwienia:

— No więc stoję! i cóż!?... Czego to waćpanom potrzeba?!...

Jezdni otoczyli wózek. Jeden z nich wysunął się naprzód i łamaną polszczyzną zaczął:

— Dokąd? I skąd?!

— A to pan nie widzi, że na drodze do Rawy! Olaboga, cóż to?! do domu wracać nie wolno!?...

— Ci ludzie z wami?

— Ci ludzie? Znać, że waćpan nie tutejszy, adyć to ten pijak, mój furman, niedołęga, a ten drugi... pociotek...

Jeździec, snać nie mogąc rozeznać podróżnych w ciemności, zakomenderował sucho:

— Wózek w środek i marsz!

— Niby jakto?! — ozwała się Żubrowa.

— Papiery macie?

— A czy to bez papierów kto jeździ!?

— Tem lepiej dla was. Zobaczy się w Rawie!

— Niech będzie w Rawie! Albo to pana starosty nie znam! Oho!

— Starosty! — zaśmiał się ironicznie jezdny. — Zobaczysz ty starostę, że aż landrata popamiętasz! Hans naprzód!

Wóz otoczony jezdnymi, ruszył powoli z miejsca.

Milczenie zaległo wózek. Żołnierze konwoju przyciszoną jęli prowadzić rozmowę.

Baba nie mogła wytrzymać długo i szturchnęła w plecy furmana — szepcąc przez zęby:

— Słyszysz stary, jak szwargoczą? Tyle drogi i u brzegu przyjdzie ugrząść.

— Nie gadaj! — wycedził dobitnie Żubr.

Porucznik tymczasem rozglądał się dokoła, próżno usiłując przeniknąć ciemności. Żubr ze swej strony, jakby odgadując myśli porucznika, wzrok wytężał, a wykręcał się nieznacznie. W końcu nachylił się i wyrzekł uroczyście:

— Pokornie melduję, że sześciu!

Potężny kułak w plecy był mu odpowiedzią.

— Widzisz — ozwała się Żubrowa, korzystając z tego, że wózek wjechał na wyboisty kawałek drogi i jął dzwonić łańcuchami i trzaskać — widzisz niedołęgo, a mówiłeś, że czterech! Kapuściana głowa! Skaranie z tym chłopem!...

Żubr ani drgnął, oczy wytrzeszczył i głowę ku jadącemu obok wózka nachylił. Badanie było długie.

— Melduję pokornie — żółte huzary!

Porucznik poruszył się niespokojnie.

W tejże chwili z poza chmury wysunął się rąbek księżyca. Światło jego padło na twarz jadącego tuż obok wózka huzara. Stary Żubr zadrżał i chwycił machinalnie porucznika za ramię, tłumiąc dobywający się z piersi okrzyk:

— Schmidt!!... — rzucił przez gardło.

Huzar poruszył się na siodle i zawołał groźnie:

— Hej! Co tam za szepty! Cicho być!... Mieć ich na oku!...

Porucznika zimny dreszcz przeszedł. Tak, to był głos Schmidta! I w jednej chwili cała przeszłość stanęła mu przed oczyma. Było to dwanaście lat temu, gdy służył w kawaleryi pod Madalińskim, brygadyerem. Nakazano zmniejszać regimenty, kasować pułki. Madaliński, a z nim jemu oddana drużyna nie chciała się rozstać z mundurem. Brygadyer poprowadził. Rozpoczęto walkę na swoją rękę. I tu, w Rawie, napadnięto dwudziestu piechoty i piętnastu huzarów. Jednemu z nich, właśnie porucznikowi Schmidtowi, on sam głowę rozpłatał pałaszem. Ktoś usłużny z Rawian wskazał jego nazwisko. Zrobił się gwałt za napaść. Na usługach pruskich będące sądy, odsądziły go od czci i wiary, na wyrok śmierci skazując. Po Maciejowicach, gdy chciał wracać do stron rodzinnych — tu, pod Rawę... nie mógł. I powlókł się oto na tułaczkę w świat... Dziś sądził, że niepoznany przez obcych, prześlizgnie się do domu i dalej, do Warszawy spokojnie dotrze... gdy oto spotyka znów tego samego Schmidta! A może go nie pozna?! Ryzyko zbyt wielkie. Boć nie o jego życie tu szło tylko, lecz o papiery, o ekspedycyę do księcia! Dotychczas porucznik szczęśliwie unikał bliższych indagacyj, paszporty, legalizowane w Berlinie, otwierały mu wszędzie szlabany od Poznania aż do Konina i Kutna, tu jednak sprawa mogła być cięższą! Najmniejsze podejrzenie wtrąciłoby go do więzienia, a cóż dopiero oskarżenie Schmidta!

Porucznik sięgnął w zanadrze i trącił z lekka Żubra. Stary podoficer zrozumiał znak, bo przerzuciwszy lejce do lewej ręki, prawą opatrywał pistolet

— Żubrowa!? — szepnął porucznik, zwracając się ku babie. — W łeb!

— Tego z tyłu!? Już go ściągnę!

Nastąpiła krótka pauza, a po niej ostry głos porucznika:

— Pal!

Trzy strzały padły równocześnie i trzech jadących najbliżej wózka huzarów potoczyło się z koni na ziemię. Pozostali osłupieli na razie, lecz nie tracąc przytomności, podskoczyli do wózka z podniesionymi w górę pałaszami. Baba i furman zdążyli umknąć na ziemię, nad głową porucznika zawisło ostrze pałasza. Lecz szybkim ruchem zdołał uchylić się na bok i uniknął cięcia. Rozwścieczony huzar zamierzył się po raz wtóry, lecz równocześnie znalazł się w żelaznym uścisku starego Żubra. Drugi huzar nawrócił konia i usuwającego się porucznika zawadził po ramieniu końcem szabli, lecz w tejże chwili padł nowy strzał i kula przeszyła plecy huzara. Piąty chciał natrzeć z drugiej strony na porucznika, lecz widząc czterech towarzyszów rozciągniętych na ziemi, spiął konia ostrogami i pomknął ku Rawie. Żubr tymczasem cisnął coraz gwałtowniej swego przeciwnika. Próżno huzar wił się i starał uchwycić za gardło podoficera. Siły go opuszczały, mdlał prawie w stalowym uścisku, wypuściwszy z rąk cugle i słaniając się bezwładnie z konia. Naraz Żubr jęknął przeciągle. Baba, która właśnie w tej chwili położyła trupem huzara, podbiegła do walczących.

— Jeszcze się z tym robakiem mordujesz?! — zakrzyknęła.

— Gryzie! — jęknął z bolu Żubr.

— Poczekaj! Nakarmię ja go zaraz.

To mówiąc, sięgnęła do olster huzara, wyciągnęła krucicę i strzeliła huzarowi prosto w usta.

Żubr odetchnął swobodniej. Otarł zimnym potem zroszone czoło, sięgnął ramienia i syknął przeciągle.

— Co ci to Macieju!? Skaleczył?... — pytał niespokojnie porucznik, gramoląc się z drugiej strony wózka.

— Głupstwo! — wtrąciła Żubrowa. Że Prusacy na świńskie mięso są łasi, o tem nie powiadam, ale, żeby ich brała chęć, takie obrzydliwe mięsisko kosztować — nadziwić się nie mogę!... No chodź, stary, nie bocz się! Naści tu bandaże i szarpie. Zawiąż, a później zobaczymy! A pan porucznik?

— Draśnięty! No, czasu nie tracić, bo nam tu szwadron cały tych kanarków spaść może na głowę! Zabrać im pistolety i w konie!!...

Porucznik podbiegł do wózka, wydobył zeń małą szkatułkę i ukrył na piersiach. Żubr siadł na huzarskiego konia, który był się w opadłych cuglach spętał, i pokłusował w pole szukać rozbiegłych koni. W kilka chwil wrócił z dwoma. Porucznik wskoczył na siodło, baba wgramoliła się także razem z wielką skórzaną torbą i ruszono z kopyta w bok przez pola, pozostawiając na łasce losu wózek, parę mierzynków i pięciu dogorywających huzarów.

II.

W obszernej jadalni gortatowickiego dworu panowała głęboka cisza. Pani Jadwiga Gotartowska w milczeniu krzątała się około zastawy do wieczerzy, wyręczając się od czasu do czasu dorastającą córką, jasnowłosą panną Urszulą i spoglądając z niepokojem w stronę kominka, przy którym zgarbiony starzec gwarzył półgłosem z ośmnastoletnim wyrostkiem. Rozmowa snać zaciekawiła mocno młodzieńca, bo oczy mu się iskrzyły, a żywe rumieńce paliły twarz delikatną, białą. Starzec niemniej był przejęty, ręce mu drżały nerwowo, głos niekiedy łamał się i ginął w zapadłej piersi.

Panią Jadwigę zniecierpliwiła w końcu ta konferencya, bo ozwała się znienacka:

— Dziaduniu!... Wieczerza na stole! Marcelek wie o tem, słyszał nie raz! A młodemu to się tylko w głowie mroczy i Bóg wie czego zachciewa!...

— A, moja pani synowo! — odparł staruszek urażonym nieco tonem. — Chłopak rośnie, trzeba, żeby o tem i o owem się dowiedział, poznał sprawy publiczne... a suponować śmiem, że niejednego jeszcze od dziada nauczyć się może!

— Nie neguję — rzekła pani Jadwiga. — Jeno uważam, iż Marcelka zbyt wielka ochota do wojaczki ogarnia! I na co?! Gdzie znajdzie upust dla swoich zapałów?... Maż jak Floryan przepadać po świecie i tułać się? Nie dośćże łez wylałam? Józef zmarniał na Wołoszczyźnie z konfederatami. Od lat trzynastu z górą ani słychu o nim! Czterech dochowałam

się synów, i cóż? Mamże pomoc z nich, wyrękę? Florek zaawanturował się z Madalińskim, Staszek aż drży, aby jeno swoje amory zakończyć i przy rodzicach Marysieńki osiąść... Któż zostanie? Marcelkowi do palestry pora, a Fabian w konwikcie...

Staruszek obruszył się i spojrzał ostro na swego słuchacza:

— Tak! Dobrze pani matka mówi! Palestra, mości panie, i basta. Jać też nie powiadam, broń Boże, aby ci jaka myśl niedorzeczna w głowie miała postać! Widzisz, to były czasy inne. Zakonotować sobie niejedno wadzi — ale reszta... Ponoć praca na roli, w urzędzie, dla publicznego dobra owocniejszą bywa od hajdamaczyzny. I gdzie tu jeszcze z motyką na słońce... Phi! Prawią tam ludziska o tym waszym Napoljonie! Koszałki opałki, mości panie. Nie wierzę ja w wasze Hannibale. Nie pora dziś na Cezary i Aleksandry Macedońskie.

— A książę Józef? — podchwycił szybko młodzieniec, rad wielce, że rozmowa znów na ulubione weszła tory.

— Hm! Jak to książę. Wychuchane, wymuskane, wypieszczone. Zabawy w głowie!... Żeby to miał choć inny przykład! Ba! właśnie podsędek Psarski, jak tu wstępował, wracając z Warszawy, powiadał mi o nim! Uciechy jeno, z Prusakami co możniejszymi za pan brat! Mizerne paniątko, zepsute i tyle!

Marcelek się zamyślił. Pani Jadwiga wmieszała się znowu:

— Dosyć! Dosyć! Niech dziaduś jegomość zasiędzie. Urszulo, idź przywołać Staszka. Do obór pewno poszedł na obchód. Może i Lewandowskiego w drodze gdzie napotkasz!

Urszula wysunęła się cicho z jadalni.

Dziaduś powoli zajął miejsce przy synowej. Nadszedł wkrótce i Staszek z Urszulą, a później zjawił się niepostrzeżenie stary ekonom Lewandowski.

Wieczerza się zaczęła, lecz szła niesporo. Misy schodziły prawie nietknięte. Pani Jadwiga zachęcała do jadła, lecz każdy się wymawiał. A i ją samą

odeszła także ochota. Smutne myśli ją napastowały. Los synów trwożył. Jeden już poszedł, drugi. Staszek lada dzień wyrwie się za narzeczoną... a i ten jeszcze!...

Westchnęła głęboko a ciężko.

Stary dziaduś także się zasępił. Słowa synowej obudziły w nim przykre refleksye. Może i racya? Marcelek coś nadto się dopytuje. Gorąca krew, gotów polecieć... Bóg wie gdzie! Chłopak może zmarnieć, jak ojciec, biedak... A i kto wówczas ucieszy starego dziada!?

W tejże chwili Marcelek, widząc zamyślenie starego ozwał się nieśmiało:

— Dziaduś jegomość skończyli na oblężeniu króla Leszczyńskiego w Gdańsku?! Więc... pan Adam Tarło utworzył generalną konfederacyę w Dzikowie?..

— Właśnie — zaczął żywo staruszek, lecz w tejże chwili spostrzegł się, nasunął siwe krzaczaste brwi i żachnął się ostro:

— Dość mospanie! Później się dowiesz!!... Alwar wziąć do ręki, wokabuły przepowiadać, byś wstydu pijarom nie przyniósł. Głupstwa asanowi w głowie i tyle!

Marcelek się zasmucił i nadąsał. Staruszkowi żal się zrobiło chłopca, więc dodał łagodniej:

— Piękna to rzecz rycerstwo, ale przedewszystkiem statek i pomiarkowanie. Z każdej opowieści zdrowe trzeba wyciągać sensum. I nie o junakeryi, awanturach a dziwacznych przygodach myśleć!

Pani Jadwiga na tę naukę skinęła twierdząco głową, Staszek zaś zauważył z przekonaniem:

— Święte słowa! Praca cicha na zagonie, cnoty miłującego pokój obywatela...

— Teretete! — przerwał porywczo staruszek. — I gładkie liczko! No, dokończ!...

Staszek się zmieszał. Urszula strzeliła ku niemu figlarnemi oczkami, myśląc w duchu, że jednakże Wicusiowi Jordanowi bardzo do twarzy w ułańskim mundurze. Dziaduś zirytowany dostrzegł w lot uśmiech na ustach dziewczyny.

— Waćpannie też akselbanty i amaranty chodzą po główce! Skaranie istne z tym, tym drobiazgiem...

Urszula spiekła raczka i spuściła oczy. Pani Jadwiga odezwała się nagle, chcąc odwrócić rozmowę:

— Mości Lewandowski! Ponoć wydano znów nakazy o ściąganiu rekruta?

— Tak jest, proszę waszej miłości! Zrana zajeżdżał urzędnik z Kriegskamery i zapisywał dymy. Jeno patrzeć, a co lepszych parobków nam wybiorą.

— Smutne czasy! — zauważyła pani Jadwiga. — W krakowskiem, pod Austryakiem nie lepiej.

— Czy prawda, że Marcelek do palestry ma pójść? — zapytał Staszek, ochłonąwszy nieco po konfuzyi.

— Trzeba, żeby szedł — odpowiedziała pani Jadwiga. — Niech trochę ludzi pozna, zaprawi się. Na rolę czas mu jeszcze.

— Zapewne, pani matko! Tylko gdzie on tę palestrę znajdzie? Sądy zniesione, inne prawa i język obcy. Nasze volumina legum zamieniono na Landrecht, a trybunały na Justitzkomisye i Kreisgerychty...

— Szelmy, rządzą się jak u siebie — szepnął dziaduś.

— Co robić! — rzekła pani Jadwiga. — Marcelek wzrasta. W domu go trzymać? Niech język łamie, gdy inaczej nie można. Myślałam go do Krakowa, do brata mego, Jacka Mieroszewskiego wyprawić, później chciałam w Warszawie go umieścić przy boku którego z senatorów, za wstawiennictwem do pani Potockiej... Lecz słyszę, na jedno by wyszło. Niemców pełno wszędzie. Wolej z dwojga złego, niech do Piotrkowa idzie, bliżej mu do domu.

— Możeby landrata Sobolewskiego prosić? — zauważył Staszek.

— Właśnie rada! — uciął dziaduś — prosić Sobolewskiego! Et, zważaj acan na słowa, lada czego nie powiadaj, boć czas na stateczność a zastanowienie, kiedy w kim budzi się do sakramentu małżeństwa powołanie! Sobolewski! Przedawczyk taki! Na landrata się wypromował! Taki on i jest. Żeby tu lucy-

ferus sam z kohortami swemi nadszedł, a brzęknął kiesą i zaświecił tytulikiem, zaciągnąłby się niecnota!... I jak to się wysunęło z mizernego pisarzyny! Tfy! Rozumiem jeszcze komu się wysługiwać!!

— Lewandowski mówił, że podobno przyszły słuchy o wielkich bitwach z Francuzami. Tu i owdzie już posterunki ściągają, oddziały gromadzą. Z Nowego-Miasta do siedmdziesięciu rekruta wybrali i uprowadzili...

— Ba-ba! Czego ludziska nie mówili! Że Napoljon wojnę Austryakowi wydał i że się koronować królem naszym zamyśla... Pani synowo, my tam nic podobnego nie doczekamy już!

— Oj, pewno! — przyznała smutnie pani Jadwiga. — Niechby już raz pokój jaki nastał, albo li ład przynajmniej!... Nie wiadomo, co począć, jak się rządzić!? W którą stronę się zwrócić?

— Tu źle mospanie i tam nie dobrze!... Niemców zewsząd niby mrowia naszło! Grünwald im pachnie! Radź tu teraz ze smykiem takim! Ot, za mojej pamięci chłopiec szedł na pański dwór... a nawet i do palestry!... Ale palestra była szkołą, mospanie, największych statystów. Tam człek młody zaprawiał się do pracy publicznej, tam poznawał prawo, tam...

Starowina uciął nagle i pogrążył się w zadumie. Szkliste jego oczy mgłą zaszły. Zebrani nie śmieli przerywać milczenia. Świece łojowe skwierczały tylko hałaśliwie w lichtarzach.

Nagle po za oknami dał się słyszeć stłumiony zgiełk, a potem gwar w sieniach dworu. Zanim ekonom Lewandowski zdołał wybiedz, aby zapytać się o przyczynę hałasu, do jadalni wpadł jak kula stajenny pachołek.

— Panicz przyjechali! — zakrzyknął.

Pani Jądwiga zerwała się z miejsca, za nią ruszyli od stołu wszyscy. Tymczasem w progu ukazał się młody mężczyzna, silnej budowy, ogorzały, w podróżnej, zniszczonej odzieży. Stał tak przez chwilę w niemem wzruszeniu, wreszcie rzucił się naprzód i padł do kolan pani Jadwigi.

— Florek! — zawołała ta ostatnia, chyląc się do głowy syna. — Tyżeś to, mój synu drogi!

W jednej chwili rodzeństwo otoczyło zwartem kołem powracającego brata, padając mu kolejno w ramiona. Dziaduś aż trząsł się cały z radości, śmiał się, dygotał jak w febrze, a łzy jak groch spływały mu z oczu.

Gdy pierwsze powitania przeszły, zasadzono Floryana do posiłku i zarzucono pytaniami, nie bacząc, iż w drzwiach do sieni gromadka ciekawych przypatrywała się tej scenie. Dziaduś dostrzegł ich.

— Dalej! — zawołał. — Powitać mospanie panicza.

Czeladź rzuciła się za nogi go ściskać a po rękach całować. W ciżbie a tłoku powstałym nikt na razie nie zauważył wyprostowanego na uboczu chłopa i przysadzistej obok niego baby. Dopiero gdy pani Jadwiga dała znak czeladzi, aby odeszła, dostrzegła dwie marsowe figury i zapytała niespokojnie:

— A to... kto taki?...

— Maciej Żubr, podoficer pierwszej legii pierwszego batalionu, drugiej kompanii! — odparł chłop, wyciągając się jak struna.

— Joanna Żubrowa, markietanka pierwszej legii, pierwszego batalionu — zawtórowała baba.

— Ha, ha! Zapomniałem mamie dobrodziejce sprezentować moich towarzyszy. Maciej dzielny chłop... przystał był jeszcze do naszego regimentu pod Madalińskim i tak tułaliśmy się razem... a Maciejowa przywędrowała za mężem z pod Zamościa do Lombardyi... Zabraliśmy ją także do legionów. Teraz, gdym do kraju jechać musiał, a jenerał Dąbrowski towarzyszy szukać mi radził, zabrałem ich. Przyjmijcie ich, pani matko, całem sercem. Warci tego oboje. Et, gdyby nie Żubr... nie Żubrowa, nie raz, ale dziesięć razy, jużbym was tu nie oglądał!...

— Siadajcie z nami — zakonkludowała pani Jadwiga, choć marsowa twarz baby dziwną jej się wydała. — I do jadła! Urszulko, każ miodu utoczyć.

Podoficer z markietanką zajęli miejsca i rozmowa poszła gwarna, bezładna, gorączkowa. I opowiadał Floryan, jak po rozbiciu Madalińskiego i osadzeniu go w więzieniu berlińskiem poszedł w świat nieomal o żebraczym chlebie, jak w Heidelbergu natrafił na rodaków, którzy go wspomogli i do Paryża wyprawili, jak w stolicy Francyi, Barsa, dawnego Rzeczypospolitej agenta, poznał i przez niego znalazł zasiłek u pana Józefa Wybickiego i pana de la Roche, jak był świadkiem rządów porewolucyjnego Dyrektoryatu, jak potem wyjechał za generałem Dąbrowskim do Medyolanu. I snuł dalej jeden nieskończony obraz bitew, potyczek, rekonesansów, nocnych wycieczek nędzy, głodu i nieszczęścia. Z ust Floryana wyrywały się niekiedy westchnienia, czasem w oku jego zatliły się iskry, a pięść kurczyła się, zaciskała nerwowo.

Słuchano go z zapartym oddechem.

Chwilami głos porucznika drżał i łamał się ze wzruszenia, zwłaszcza wspominając męstwo Kniaziewicza: a gdy wymówił po raz pierwszy imię „Bonaparte“, słowa uwięzły mu w gardle i umilkł.

Dziadkowi na pergaminowej twarzy wystąpiły ceglaste wypieki. Starego konfederata paliła ciekawość. Chwycił wnuka za ramię i cisnąc je z wysiłkiem, szeptał z przejęciem:

— Florku! Powiadaj mi o nim!...

— Napoleon! — zaczął wolno Floryan.

Żubr i Żubrowa powstali z miejsc.

— Było to pod Marengo — mówił cicho porucznik — druga kompania pierwszego batalionu została odkomenderowaną dla uzupełnienia gwardyi grenadyerów konsularnych. Zajmowaliśmy stanowisko pomiędzy rzeką Bormidą i wsią Marengo. O świcie Austryacy zaczęli kanonadę, było ich czterdzieści tysięcy, nas zaledwie dwadzieścia. Pierwszy natarł generał Victor, lecz go rozbito, Lannes za nim musiał się cofnąć. Nas ustawiono na prawem skrzydle. Austryacki generał Zach rusza w pięć tysięcy starych grenadyerów. Zdaleka już widzimy białe mundury... jeszcze chwila, a spadnie na nas grad kul i las naje-

żonych bagnetów. Wtem, jak grom, przed czołem naszej kolumny staje on... Bonaparte! Koń pianą okryty. W zielonym, zwyczajnym surducie, w otoczeniu sztabu i Mameluków.

Spojrzał wzrokiem sokolim, ręką nam skinął przyjaźnie i zawołał:

— Żołnierze! Nie zapominajcie, że mamy zwyczaj noc na polu bitwy przepędzać!

Odpowiedzieliśmy okrzykiem pełnym zapału. Skinął. Gwardya poszła... Dwie godziny stawialiśmy opór czterykroć liczniejszemu nieprzyjacielowi. Sześć natarć wytrwaliśmy z bronią w ręku, sześć razy Austryacy musieli się cofać. Gwardziści walczyli jak lwy, umierając z imieniem Bonapartego na ustach. Nastąpił atak siódmy, straszny, zażarty. Kolumna się zachwiała. Generał Desaix pada rażony kulą. Dobywamy resztek sił, gdy naraz młody Kellerman uderza kawaleryą z boku na lewe skrzydło, łamie je, rozprasza i wrzyna się w środek kolumny Zacha. Austryacy się mięszają i rzucają się do ucieczki, nasi za nimi!... Pięć tysięcy poległych i dziesięć rannych i tyleż niewolnika. Zmierzchało się. Bonaparte objeżdżał plac boju... Ja byłem ranny lekko, opatrywał mnie medyk... Wtem... nadjechał na to miejsce właśnie z adjutantem... Spojrzał na pobojowisko, gdzie ziemia niebieszczyła się od mundurów gwardyjskich, i rzekł smutnie:

— Tu leżą bohaterowie!

Wpadłem mu w oko. Podjechał, zoczył moje amarantowe wyłogi i rzekł:

— Polak?

— Tak jest, generale — odpowiedziałem.

— Jesteś podporucznikiem legii?! Będziesz porucznikiem gwardyi konsularnej.

— Jenerale — ozwałem się — pozwól mi zostać w legii, między swoimi.

Adjutant zmarszczył się.

Napoleon atoli uśmiechnął się dobrotliwie.

— Zuch! — mówi. — Oni wszyscy tacy! Przypomnij mi o nim.

Odjechał.

— A ty biedaku? — zagadnęła żywo pani Jadwiga.

— Et! Nic. Lekka kontuzya. W tydzień wyszedłem z ambulansu... Potem było Hohenlinden, Salzburg, przejście Salzy. Później nas rozdzielono. Jenerał Jabłonowski wyjechał z częścią do St. Domingo... ja za jenerałem Dąbrowskim wstąpiłem na służbę neapolitańską... Tam przetrwałem lat kilka, obawiając się wracać do kraju... Bonapartego obwołano cesarzem. Wynikł zatarg z Prusakami... Jenerał przywołał mnie i powiada:

— Jedziesz Gotartowski ze mną?...

— Jadę! — odpowiadam.

W przebraniu, udając Włochów, ruszyliśmy do Francyi. Żubr z żoną napierali się. Zabrałem ich także. Armia francuska stała nad Renem. Cesarz wypowiedział wojnę Prusom. Dwanaście dni temu była bitwa pod Jeną... Prusacy rozbici. Napoleon w Berlinie. Mnie jenerał wysłał do Warszawy...

Floryan urwał w tem miejscu znużony. Słuchacze siedzieli w niemem osłupieniu; ten Napoleon druzgoczący królestwa, wywracający trony, znoszący armie, jeszcze niedawno oficer, a dziś cesarz wszechwładny, na skinienie którego drżał Egipt, korzył się Rzym, a huk dział sięgał dalekich mórz a oceanów, wydawał się im mytem jakimś, legendowym bohaterem.

Pierwszy otrząsł się z wrażenia dziaduś.

— Prusakom wytatarował skórę — powiadasz? — A mości panie, to mi się podoba! Bo że tam różne Lombardy, Wenecyany zawojował, że wszelkiej włoszczyzny Austryaka pozbawił, a Anglikowi za pazury zalazł, no toć jego francuska w tem sprawa, lecz kiedy mi mówisz, że aż w Berlinie siedzi... w to mi graj mospanie! Przyszła kreska na Matyska! Dobrze im tak! Uściskałbym go!! Dalipan, po trzykroć uściskał! Niech mają!

Korzystając z przerwy w opowiadaniu, Żubr zbliżył się do Floryana i szepnął mu coś na ucho. Ten ostatni powstał i rzekł poważnie:

— Pani matko! Kilka słów proszę na osobności!

Pani Jadwiga drgnęła, złem przeczuciem wiedziona i wyszła, prowadząc syna do alkierza.

Tymczasem rozochocony dziaduś skinął na Żubrowę i Żubra, posadził ich przy sobie, nalał im po szklanicy miodu i — „mówcie“ — zachęcał.

— Wedle rozkazu! — odrzekł uroczyście Żubr i umilkł.

Żubrowa pośpieszyła mu z pomocą.

— Już to, WMPanie, mój stary do gadania wcale nie jest zdarzony, bo co głowę, to miał zawsze słabą, a od tego zadawania się z rozmaitemi narodami, to mu język do cna skołkowaciał.

— Hic mulier! — zauważył śmiejąc się staruszek. Być Napoljonem nie sztuka, jak ci takie ma Amazonki. Dużo takiego regimentu niewieściego było?...

— Jeden pułkownik w batalionie i jedna markietanka. Trzy bataliony w legii, więc i trzy markietanki! — odparła Żubrowa.

— I cóżeś to waćpani robiła? — zagadnął staruszek, chcąc babę pociągnąć za język. — Gdyż, chociaż sięgam pamięcią w czasy odległe, takowego babskiego urzędu uprzytomnieć sobie non possum?...

— I pewnie. U nas dawniej bo, WMPanie, bywało prawie sama kawalerya, a dopiero gdy nasze wojsko zaczęło na piechtę po różnych krajach wędrować, bez markietanek ani rusz!... Służba ciężka. Markietanka niby ma wiktuałami handlować przy wojsku... ale gdzie tam! Na wymarszu to i owo zakupić można, a potem głodem się handluje a nędzą. A gdy i dźwiga się co w wózku, toć kupić nie mają za co, a dać trzeba. Bitwa, trudno się markietance pod korzec schować, temu i owemu ranę opatrzyć trza, boć i medyk nie nastarczy! Niekiedy umierającego dobrem słowem pożegnać przyjdzie, albo i samej za karabin chwycić.

— A Floryan sprawiał się dobrze? Co?! Hę!?

— Wielmożny panie, co wielki oficer, to wielki, że nie łżę, to niech mnie kula nie minie. Bywało, major Pokrzywnicki przyjedzie przed front do na-

szego kapitana Komorowskiego i powiada: — Florka mi — niby naszego panicza — strzeż, bo to oficer pierwszej wody, takiego porucznika między jenerałami byś nie znalazł!... — Przedni miodek, tylko ty stary nie pij, bo masz głowę na nic. Oddaj mi, niech sobie zwilżę! — Ho! ho! Nasz porucznik srogi we froncie! A sam pierwszy wszędzie. Kompania głodna, toć i on głodny. Piechurowi buty z nóg spadają, i jego nie lepsze. Ma swoje, co mu wydzielą, to temu zaraz furażerkę, innemu mundur albo i płaszcz kupi i daje! Wielmożni państwo spoglądają na te nasze podarte łachmany i dworują sobie... Trudno, mundury trzeba było zrzucić. Między Prusakami niesporo.

— Aśćka też w mundurze chodzisz?...

— To dobre! A jakże! Mundur jak się patrzy z wyłogami, kokarda francuska u czapki, tylko różnica, że bez hajdawerów! A pana porucznika w uniformie... choć malować!.. Włoszki to zębami zgrzytały, jak porucznik szedł ulicą! Jedna to się aż chciała na markietankę godzić, aby jeno się popatrzeć czasem na porucznika. Ale nasz pan ani mru-mru!... Żubrowa, mówi, uczyń-że jej tam wstręt jaki, niechże sobie z głowy wybije... W to mi graj! Przyszła do mnie, ja do niej ostro. Ona mi: „Ke bestia!“ — Bestya! — powiadam. — Będziesz ty mi, dyable wenecki, mnie szlachciance, przytyki robiła... fora ze dwora!... — Stary, nie ciągnij, bo się spijesz!... — Wypędziłam babę! Na drugi dzień chryja cała. Z Włochami przyjaźń była. Poszła ze skargą do swego prefekta, ten do jenerała, że ona takiego jest rodu i że ją tak a tak potraktowano. Generał do majora. — Major mnie wzywa. — Uderzyłaś miotłą senorę Franceskę? — tak się nazywała. — Co miałam uderzyć, przemawiała mi od „kebestjów“, ja jej także i koniec. — Był świadek? — Nikogo nie było, aby mój Żubr! — Major woła mego starego. Pyta. — A ten, jakem Muszyńska z domu, powiada: wedle rozkazu, dała Włoszce kociubą w plecy. — Myślałam, że się ziemia podemną rozstąpi!... Na trzy dni poszłam na odwach!...

— Nie gadaj Jasia, wedle rozkazu — wtrącił nieśmiało Żubr, nabierając po miodzie rezonu.

Baba aż skurczyła się na ławie.

— Macieju! Ty zakuty łbie, śmiesz mi jeszcze dogadywać! Poczekaj! Popamiętasz!... Ale jest jeszcze sprawiedliwość. Ugryzł cię Prusak, poczekaj, ugryzie inny lepiej!..

Dziaduś, a za nim Staszek, Urszula, Marcel i ekonom, aż pokładali się ze śmiechu, słuchając wynurzeń Żubrowej.

Naraz drzwi alkierzyka się otwarły i wyszła pani Jadwiga blada, znękana, z oczyma zaczerwienionemi, za nią szedł Floryan. Zasiedli przy stole. Obecni spojrzeli po sobie, wesołość znikła.

Pani Jadwiga wodziła smutnie oczami po twarzach synów. Jeden w drugiego mężczyźni piękni, o włosach jasnych, oczach dużych niebieskich, rysach twarzy kształtnych. Widziała ich teraz razem, obok siebie siedzących, a jutro? !...

Floryan wstał nagle i jął się rozglądać niepewnie.

— Komu w drogę, temu czas! — rzekł, siląc się na spokój.

Dziaduś spojrzał nań zdziwiony.

— Co pleciesz, mospanie?

Floryan schylił się do ręki starca:

— Służba! Muszę ruszać dalej natychmiast. Chwili jednej stracić mi nie wolno!... Za tydzień, dwa, może da Bóg, zajadę na dłużej...

— Florku! — ozwał się poruszony staruszek. — Dziesięć lat nie byłeś... pacholęciem z domu wyszedłeś i po dziesięciu latach...

Ręce pani Jadwigi drżeć febrycznie zaczęły.

Floryan pasował się sam z sobą.

— Wiem ci ja o tem! Wiem! Ciężko mi, ale trzeba...

— Nie porażby odpocząć po tylu latach!? — upominał staruszek.

— Oj nie pora! — wyrzekł smutnie Floryan. — Kto raz się służbie publicznej poświęci, temu nie

wolno ustawać!... Co tam! — dodał weselej. — Obaczymy się wkrótce. A tymczasem, zostawię wam tu załogę! Żubr i wy Żubrowa zostaniecie tutaj.

— Wedle rozkazu!

— Pana porucznika samego mamy puścić?!...

— Tak trzeba. Dawno marzyliście o tem, żeby gdzie kąt znaleźć spokojny. Więc go macie. W drodze was nie potrzebuję. Pojedzie ze mną chłopak stajenny, zresztą po ostatnim wypadku moglibyśmy łacniej wpaść w ręce Prusaków. Do Warszawy już niedaleko.

Pani Jadwiga przywołała ekonoma i wydała mu jakieś ciche rozkazy.

Florek żegnał się kolejno ze wszystkimi. Dziaduś rozpłakał się jak dziecko i znakiem krzyża błogosławił wnuka. Pani Jadwiga słów znaleźć nie mogła. Tuliła głowę syna do piersi i łkała cicho.

Ekonom dał znać, że konie gotowe. Porucznik wskoczył na najbliżej stojącego.

Pachołek siadł na drugiego, trzy nadto luzem prowadząc na długiej lejcy.

— Bywajcie! — zawołał Floryan i spiął konia.

Głuchy jęk był mu odpowiedzią.

III.

Ledwie na trzeci dzień od wyjazdu z Gortatowic stanął Floryan pod wałami Warszawy, na Woli. Tu uniknął szczęśliwie bliższych indagacyj ze strony pruskiej straży i pomknął ku rogatkom, z góry układając plan tłómaczenia się, gdyby go odeń zażądano, i pouczając w tej mierze towarzyszącego mu chłopca stajennego. Ku wielkiemu zadowoleniu, na rogatce panowało dziwne jakieś zamieszanie czy bezład. Podniesiono przed nim szlaban bez słowa. Floryan odetchnął głęboko. Znalazł się więc u celu! A tego prawie że się nie spodziewał, wątpił o tem sam jenerał.

Czasy to były ciężkie, a misya do spełnienia nie łatwa. Rogatek, szlabanów, mostów, ścieżek nawet straże pruskie strzegły pilnie. A z drugiej strony bandy włóczęgów grasowały po lasach i pustkowiach, gdy równocześnie lęk zamykał przed obcymi gościnnością słynące strzechy a dwory. Obawiano się i amarantowych wypustek dawnych gwardzistów i czarnożółtych mundurów pruskich. Przybycie pierwszych zapowiadało rychłe zjawienie się drugich. Tu obowiązek obywatela niewolił do ofiar, tam „kriegs-kapitan“ nie znał pardonu, skórę darł, uważając się za wspaniałomyślnego, kiedy nie niszczył i nie rabował. Cisza grobowa zalegała kraj cały. Wioski niby wymarłe, dwory opustoszałe, pola leżące odłogiem. Gdzieniegdzie chaty zamienione w obronne strzelnice, ówdzie niegdyś żyzną dolinę zajmowała wielka, wspólna mogiła z krzyżem pochylonym, wyciągającym swe ramiona

nad szczątkami zwycięzców i zwyciężonych, bohaterów i tchórzów, żołnierzy i wodzów, zdrajców i prawych ziemi synów.

Tam dąb, dziejów niemy świadek, dźwigał w rozwartem łonie kulę armatnią, tu znów równa niegdyś miedza, w bezładne zryta doły a garby, wiała grozą, strachem lud okoliczny przejmując.

Nad wszystkiem zaś wszechwładnie panował „landrecht“, kontrybucyami gnębiąc opornych, co chwila zatrzaskując ciemne wrota ciemnic Magdeburga lub Gdańska, wybierając bez rachuby i porządku rekruta, nie wzbraniając się ani od pożogi, ani miecza. „Landrecht“ nadto usiłował spędzić z oblicza Śląska, Wielkopolski i Mazowsza smutek a tęsknotę, gniewał go ponury spokój zaścianków szlacheckich, apatya mieszczan. I naraz sypnął garściami złoto, dozwalając brać każdemu w zamian za ustanowione hypoteki. Brali wszyscy. Ten synowi na Wołoszczyznę zapomogę słał, ów krewniaka tułającego się na paryskim bruku opatrywał, trzeci pieniądze z grodu wywiózł i ginął, czwarty garnek pieniędzy pod drzewem zakopywał. I znów przygnębienie i cisza, i niechęć i nieufność, szepty a westchnienia, milczenie i głucha nienawiść.

Jedna Warszawa nie zawiodła. Uczty i bale, zabawy, uciechy, pijatyka a wesele co dnia wstrząsało jej murami. Nikt tu nie myślał o jutrze, o wojnach, o Napoleonie, o Prusakach. Złoto lało się strugami. Nie pytano, z jakiego płynęło źródła. Dość, że było. Najstarsi ludzie, co saskie pamiętali czasy, nie widzieli ani takiej ochoty, ani zapamiętania. Zdawało się, że Warszawa upiła się własnem nieszczęściem a losem i krom oszołomienia, niczego więcej nie szukała. Stary Köhler, pruski gubernator, pobłażliwie spoglądał na miasto, ramionami wzruszał, a gdy mu dyrektor policyi, de Tilly, codzień „ruhig“ raportował, uśmiechał się dobrodusznie, powtarzając z przekonaniem: „niech się bawią“. Niekiedy i Köhler, pociągnięty wirem, brał udział w piknikach i polowaniach. Przyjmowano go chętnie. Lubiano powszechnie.

W drogę nie wchodził nikomu, w towarzystwie był gładkim, uprzejmym, dobrym kompanem, wyrozumiałym na wybryki młodzieży. Od kielicha nie stronił, śmiać się umiał.

Na karcie Europy leżał trup rozciągnięty, bezwładny, zadławiony zbytkiem własnej pewności, swoich sił, swoich praw, swej historyi, a serce jego dygotało, biło weselem, upojeniem przebrzmiałych świetnych czasów.

Floryan wjeżdżał do Warszawy w pobożnem skupieniu. Tyle lat na tułaczce spędził, tyle razy tracił nadzieję oglądania jej! Tu nareszcie przyjmą go z otwartemi rękoma, sercem. A brakło mu, jak wszystkim zresztą legionistom, bratniego uścisku. W Warszawie nie będą go już pytali, jak tam, u brzegów Adryatyku — dlaczego dobrowolnie skazał się na trudy wojenne, dlaczego w dali od swego kraju przelewał krew dla spraw cudzych, interesów obcych, honoru i sławy nie swojej?!...

Było południe. Mieszkańcy Warszawy, korzystając z pogodnego dnia, tłumnie wylegli na ulice. Floryan z trudem przeciskał się przez ciągnące we wszystkie strony sznury wozów, bryk i kałamarzek szlacheckich. Niekiedy z bocznej ulicy wypadała szeroka karoca poszóstna, w oknie której mignęła twarz posępna, surowa, pańska. Bokami szedł pstry, różnobarwny tłum, przedstawiający dziwną mięszaninę strojów i epok. Kontusze i żupany — ocierały się o francuskie fraki i bufiaste żaboty, wielkie cylindry filcowe i obwisłe surduty dyrektoryatu z olbrzymiemi klapami i halsztukami, bratały się z kaszkietami pruskich żołdaków. Podgolone czupryny, harcapy, białe faliste peruki, czaple pióra, trójgraniaste kapelusze, rogatywki, kubraki, długie czarne opończe, karabele i szpady, krótkie mieczyki a puginały, żółte i czerwone buty, atłasowe pantofle, palone czarne cholewy i hałaśliwe chodaki, wszystko to razem składało się na strój mieszkańców Warszawy.

Floryan skierował konia na Podwale, postanowiwszy zajechać do dalekiej krewnej matki, do pani

Dziewanowskiej, wdowy po Michale Dziewanowskim, pułkowniku gwardyi królewskiej. Pani Dziewanowska zajmowała małe mieszkanko na trzeciem pięterku, utrzymując się wraz z córką ze skromnego kapitaliku, jaki jej z dawnej fortuny pozostał. Przyjazdem Floryana ucieszyła się serdecznie. Porucznik, rozejrzawszy się w ubożuchnych a szczupłych pokoikach, chciał do zajazdu iść pod zamek i noclegu szukać, atoli pani Dziewanowska słyszeć o tem nie chciała.

— Ani mi się waż despektu takiego czynić — mówiła rezolutnie. — Nie salony u mnie, nie pańskie pokoje, ale kąt wolny się znajdzie. Gdzieżbym pozwolić mogła! Jedniście wy dla mnie na świecie prawie, bo prócz was i bratanka po mężu, wszystko wymarło.

Floryan jął się wymawiać. Pani Dziewanowska nie dała mu przyjść do słowa.

— Bez wykrętów. Wiem, żeś zamorskich grzeczności a dworskich ceregieli świadom. Ale ze mną to na nic. Prosta jestem szlachcianka, szczera a otwarta. Zresztą, mój kochany, ze mną mniejsza, lecz co z moją Zosią, to nie poradzę. Onaby mi tego nigdy nie darowała! Wyszła właśnie na targ, przy piątku to i owo zakupić, boć to Wszystkich Świętych mamy w poniedziałek. No, rozgość się, proszę. Patrz, tu jest na lewo jej komnatka. Chłopiec z końmi niech przejdzie na Piekiełko, zaraz kilka kroków stąd, około Piekarskiej, są stajnie, tam pomieszczenie i obrok za kilka dytków znajdzie.

Porucznik chciał dziękować.

— Wiem, wiem, co mi chcesz powiedzieć! Przedewszystkiem zdrożonyś. Masz tu wodę na misie. Ogarnij się, a ja się zakrzątnę około obiadu. A potem pogadamy.

I, nie czekając na odpowiedź Floryana, wyszła z pokoiku, pozostawiając go samego.

Porucznik rozejrzał się po izdebce ciekawie. Przedstawiała ona dziwną mięszaninę zamożności i ubóstwa, skromności i zbytku. Sosnowy, ledwie ogładzony stół był okryty kosztowną tkaniną, na czer-

wono malowanej szafce stał zegar gdańskiej roboty, cyzelowany a błyszczący grubą pozłotą, stołki zwyczajne i ławy dwie nikły pod kilimkami tureckimi. Na ścianach wisiały portrety, a tuż ponad biało zasłanem łóżkiem ołtarzyk srebrny, roztwierany, z Matką Boską. Pod ołtarzykiem palma, a z nią skrzyżowana w jaszczur oprawna karabela i dwie krucice.

Floryan rozwinął zabrane z domu zawiniątko. Doprowadził odzież do porządku i orzeźwił się wodą. Właśnie kończył się wycierać, gdy drzwi z hałasem się otwarły i stanęła w nich wiotka postać młodej dziewczyny. Porucznik rzucił się w tył, okrywając pośpiesznie ręcznikiem, dziewczyna zarumieniła się zlekka, nie wiedząc co począć. Stali tak chwilę naprzeciw siebie, zaambarasowani, onieśmieleni.

Dziewczyna pierwsza zapanowała nad sobą i, cofnąwszy się raptownie, znikła za drzwiami, z poza których doszła uszu Floryana przeciągła kaskada serdecznego śmiechu. Porucznik zarzucił na siebie pospiesznie zwierzchnie ubranie, a spakowawszy zawiniątko i pogładziwszy wąsa, wyszedł do drugiego pokoju.

Dziewczyna stała odwrócona plecami, a oparłszy głowę o szybę okna, dusiła się ze śmiechu.

— Daruje waćpanna, to niefortunne... — zaczął poważnie Floryan, lecz nowy wybuch śmiechu dziewczyny przerwał mu wątek myśli.

Porucznik zagryzł wargi, śmiech ten go drażnił.

— Przepraszam — rzekł chmurnie — iż stałem się mimowolnym dystrakcyi... powodem !... Odchodzę tymczasem, nie chcąc przeszkadzać jej wesołości... Powrócę później, aby czołobitność moją pani Dziewanowskiej złożyć za gościnę.

To mówiąc, chwycił za kaszkiet i szedł ku wyjściu. Dziewczyna nagle skoczyła i zastąpiła mu drogę, mierząc go ostrem, przenikliwem spojrzeniem.

— Hola! Waszmość! — rzuciła gwałtownie. — Nie mam honoru znać waćpana, ale skoro przez matkę moją w dom przyjęty zostałeś, suponuję śmiele, że

mam zacnego przed sobą kawalera, co niewinnego śmiechu za obrazę mi nie poczyta.

Na te słowa Floryan stanął jak wryty. Nie wiedział, czy zgrabność wysłowienia bardziej podziwiać, czy urodę dziewczyny. Teraz dopiero, gdy stanęła przed nim w pełni słonecznego światła, mógł się jej przyjrzeć. Tam wydawała mu się wdzięcznem zjawiskiem, tu dopiero ukazała mu się w całej swej krasie.

Porucznik patrzył na równe, klasyczne rysy, płeć białą, puszystą, ciemne wijące się włosy, spływające jej z ramion w gęstych pierścieniach, i tonął w spojrzeniu wielkich czarnych oczu, osłonionych dwoma rzędami jedwabistych rzęs i zarysowanych silnymi łukami brwi.

Próżno szukał słów na odpowiedź, dawna pewność siebie go odbiegła, stał jak żak, mnąc machinalnie kaszkiet w ręku.

Dziewczynie na widok bezradnej miny Floryana znowu na śmiech się zbierało. W tejże chwili weszła pani Dziewanowska, spojrzała po twarzach młodych ludzi i zagaiła wesoło:

— A cóżto na siebie tak spozieracie?... Zośka, toć przecie krewniak nasz, Florek Gotartowski!!... Dalej, przywitajcież się po Bożemu, boście nie obcy!

Porucznik ruszył żywo ująć za rękę Zośkę, lecz ta ledwie mu różowe końce palców podała i wykręciwszy się, uszła w przeciwległą stronę izdebki. Pani Dziewanowska pokręciła jeno głową:

— No-no! Waćpan nie po wojacku się bierzesz! Siadaj-że za stół, a ty Zośka bierz się do zastawy. Widzisz, że zmęczony. Siła drogi przebiegł... a blade to i znużone, ledwo pewno się trzyma.

Zośka strzeliła oczami na porucznika i w milczeniu jęła stół okrywać serwetą, a naczynia z jadłem znosić. Pani Dziewanowska, pomagając córce, zarzucała Floryana pytaniami o rodzinie, wojnach, a w końcu o przyczynie tak gwałtownej podróży.

Porucznik dawał krótkie odpowiedzi, tając jeno właściwy powód swego przyjazdu, a ustawicznie ścigając wzrokiem smukłą postać Zośki.

Na jednem z takich spojrzeń schwytała go pani Dziewanowska i aż strzepnęła rękoma:

— Takiś to waćpan! Lamparciem okiem już mi na dziewczynę zerkasz! A panna, niby trusia, drepcze sobie nic nie mówiąc...

— Pani dobrodziejko! — sumitował się Floryan.

— Dosyć! Nie wyłgiwać się, bo to nie rycerska rzecz. Zabierz-no się do jedzenia waćpan. Zośka, podaj chleb!... Nie dla waszeci dziewczyna. Biedna. Tobie trza worka brzuchatego!...

— Mamo! — szepnęła z wyrzutem Zośka.

— Albo co? Co na sercu, to na języku!... Wojaczka chleba dziś nie daje... A wasze tam Gortatowice i owa Kuczyzna oskubane należycie! Co?... Jak ja to wiem wszystko! Nie to co dawniej. Nieboszczyk mój Michał miał żołd, miał dożywocie, a i to zawierucha wyrwała wdowie... Chociaż nie widzi mi się tylko, po coś ty do Warszawy zjechał. Może urzędu chcesz, stopnia — wybij sobie to z głowy! Mało to mój bratanek nadreptał, a nakłaniał się Prusakom? Nie wezmą dziś, choćbyś im duszę zaprzedał, aby samych Niemców tysiącami ściągają i starostwa, a po ichniemu *amty* rozdają!... Ehe! przyznaj-no się, może ty o hypotece przemyślasz? Świeży grosz ci pachnie?!...

— Gdzie tam! — potrząsnął przecząco głową porucznik. — Do księcia Józefa chciałem, pokłonić się wypada... służyłem pod nim.

— Toć wiem! Ale co wy tam w nim widzicie takiego, dalipan nie rozumiem!

— Matuchno! Wszak rycerz to a wódz, krew królewska — wtrąciła Zośka.

— Et! Bajesz! Twoja taka sama królewska. Szlachcic i dość.

— Wielkiego serca, żołnierz całą duszą! — ozwał się Floryan.

— Na dwoje babka wróżyła! Czy to ja nie wiem? Nie Mokronowskam z domu? Nie był to świętej pa-

mięci Michał pułkownikiem?... Wszystko mu daruję, jeno nie onej dworszczyzny a rzucania się. Żołnierka to zawód honorowy, jednej zawdy pani swojej służyć należy. A tenci pułkownikował najpierw Austryakom i aż krew w wojnie z Turkiem przelewał za nich, później ucierał się pod Dubienką, to znów wyleciał w obce kraje i licho wie komu przewodził, a potem krewniakowi memu, Mokronowskiemu, był przydany. I cóż teraz? Nie tak dawno z Peterburka wrócił, gdzie generałem-porucznikiem został! No i teraz lata, jak opętany, z Jabłonnej pod Blachę i z powrotem, a z Prusakami się zadaje. Pewnie i im jaki regiment wymusztruje. Może nieprawda?

Floryan pokiwał niedowierzająco głową i rzekł:

— Pani dobrodziejko! Ciężkim zarzutem obrzucacie księcia! Ma on niechętnych sobie wielu, i któż ich nie ma?!... Lecz jam patrzył na niego, jam go widział, gdy na czele oddziału kawaleryi szarżował na góry szwedzkie, obsadzone pod Marymontem przez Prusaków...

— Za co go potem zdrajcą ogłoszono...—przerwała z impetem pani Dziewanowska. — I gdyby nie dzielność Dąbrowskiego, Warszawa już wtedy byłaby zdobytą!

— Być może! Niemniej klęska nie księcia była winą. — Upierał się porucznik.

— Ot ludzkie języki i nic więcej! — zauważyła rezolutnie Zośka.

— A ty znów swoje! Powiadam waćpanu, czasem wytrzymać ciężko z tą dziewczyną. Nie mówię waćpan, małej jesteś jeszcze rangi oficer, ale co o wojskowych rzeczach pojęcie mieć musisz... lecz ona!... Ubrdało się jej widzieć w księciu bohatera i ani wybić tego z głowy!...

Floryan zaczął się zbierać do wyjścia, tłómacząc chęcią udania się na pokoje do księcia. Pani Dziewanowska wstrzymywała go:

— Jakże to waćpan myślisz? Tak w tej odzieży?... Boż cię przyjmie?... A wiesz-że, gdzie go znaleźć?!

— Droga na końcu języka u żołnierza, a strój, bacząc na podróż, jaką odbyłem, książę wybaczy.

— Ja bym mogła wskazać drogę panu porucznikowi — odezwała się niespodzianie Zośka.

— Ty! — podchwyciła pani Dziewanowska. — Co wygadujesz! A znasz-że waćpan miasto?

— Ot... ledwie sobie przypominam cokolwiek — odrzekł Floryan, spoglądając na zarumienioną twarzyczkę pułkownikówny.

— Hm! To nie dobrze! Widzisz waćpan, u nas niebezpiecznie wygadać się, że z legionów wracasz... Łatwoby cię mogła spotkać jaka przygoda. Z Prusakami żartów nie ma. Już będę pewniejszą, jak cię ona przeprowadzi... Tylko mi waćpan dziewki nie bałamuć, proszę!...

— Pani pułkownikowo!...

— Właśnie! Przez respekt dla munduru jej ojca. Idźcie już, idźcie. A panna niech mi żywo wraca. Z podwieczorkiem czekam waćpana!

Zośka wdziała śpiesznie kontusik granatowy i kołpaczek, i wyszli. Porucznik podał z galanteryą ramię pułkownikównie i zawrócił raźno w stronę zamku.

Zośka filuternie się uśmiechnęła.

— Waćpan i bezemnie byś nie zbłądził!...

— Dalipan niechybnie — żartował Floryan, upojony obecnością dziewczyny. — Teraz ot, naprzykład — rzekł zatrzymując się — nie wiem, w którą pójść stronę... myślę na prawo...

— Dworujesz sobie waćpan. A pewno byś się na manowce wyprowadzić nie dał?!...

— Zależy jak komu! — odparł znacząco Floryan.

— Więc możesz waćpan suponować, że pułkownikówna porucznika na manowce wyprowadzi? — przerwała, strojąc obrażoną minkę.

— Różnie się zdarza. Oficer tak zabójczej broni wiele może! — odrzekł Gotartowski, zaglądając w głębię oczu panny Zofii.

— Broń obosieczna! — westchnęła cicho dziewczyna, spuszczając oczy.

Tak drocząc się i żartując, doszli do pałacyku pod Zamkiem.

Zośka chciała wracać do domu, porucznik ją zatrzymał, wnioskując z zapuszczonych firanek a zasłoniętych okiennic, że księcia w domu niema. Jakoż przypuszczenia go nie zawiodły. Pałacyk „pod Blachą“ był zamknięty. Krążąc około zabudowań, po długich rozpytywaniach dowiedział się od książęcego pacholika, że przed trzema dniami dwór wyjechał do Jabłonnej na wielkie polowanie i że przed świętami pewno nie powróci...

Wiadomość ta wielce zaniepokoiła Floryana. Rozkaz był wyraźny. Jechać co koń wyskoczy, byle jak najprędzej księcia dopaść. Tymczasem porucznik, ufając, że u celu podróży stanął, i tak już sporo czasu był zbałamucił. Jasne czoło Floryana zaszło chmurą.

Zośka jęła wnet nalegać o powód nagłego zasępienia. Porucznik wymawiał się, jak mógł, a wykręcał. Dziewczyna atoli tak zręcznie na niego napadła, że Floryan ani się obejrzał, jak wygadał się z całą prawdą. Dopiero, gdy pod wpływem jego słów twarzyczka pułkownikówny spoważniała z kolei — opamiętał się i chwycił ją gorączkowo za rękę.

— Waćpanno — rzekł z mocą. — Posiadłaś mimo mej woli tajemnicę! Zachowajże ją przez miły Bóg, bo nie o mnie tu chodzi, lecz o sprawę narodu całego.

— Mości poruczniku — odparła Zośka, a głos jej lekko drżał. — Choćby mnie krajano, słowa nie pisnę! Ale — dodała po chwili z uśmiechem — waść do trzymania tajemnic nie spory — dobrze, żeś na Prusaczkę jaką nie trafił!...

— Słuszną waćpanna czynisz mi uwagę. Nie żołnierska to rzecz wygadać się tak, jako smyk pierwszy lepszy. Bogiem się świadczę, że nigdy mi się to nie zdarzyło, choć przez... rozmaite osoby nieraz o to i owo byłem nagabywany!... Waćpanny to sprawa, żeś mnie usidliła tak sztucznie... Niech się dzieje co chce! Zdało mi się, że przed tobą zełgać nie godzi mi się!...

Zośka nagle zatrzymała porucznika.

— Gdzież my idziemy? Wszakci to już i brzeg Wisły!

— Idę, gdzie mnie prowadzą! — odrzekł Floryan.

— Wracajmy!

— Wracajmy — powtórzył porucznik. — Mnie czas w drogę! Dziś na noc do Jabłonnej muszę. Trzeba!

— Trzeba! — szepnęła pułkownikówna i zamyśliła się smutnie.

Nagle twarz jej zadrgała życiem:

— Nie! Waćpan zostanie!

— Jakto? — zapytał Floryan z żartobliwem zdziwieniem.

— Posłuchaj waćpan! Drogi nie znasz... szczęśliwieś się prześlizgnął przez straże pruskie... teraz znów chcesz ryzykować? Gdy ryzyko jest tu niepotrzebne zgoła a niebezpieczne...

— Lecz mościa panno... toć są słowa próżne. Każdej chwili, minuty straconej bezczynnie w Warszawie, może skądinąd drogiej, żałować, jako służbista, muszę! Mam czekać dni kilka na księcia, gdy jest tuż, o parę mil zaledwie? Papiery doręczone muszą być dzisiaj...

— Waćpan jechać nie możesz! — upierała się Zośka. — Nocą straże na rogatce zdwojone!... Waćpanu sprawy publicznej lekceważyć nie wolno. I co z tego, że życie swoje narazisz?

— Ot! nie bój się waćpanna. Wyjadę zdrów i zdrów wrócę. Nie taki czart straszny. Zresztą — dorzucił — dwoje nas tylko posiada tajemnicę... więc albo ja, albo waćpanna! Ha! ha!

Pułkownikówna potrząsnęła energicznie główką.

— Jakbyś wiedział waćpan, że pojadę!... W Jabłonnej mieszka moja chrzestna, pani Grodzicka, mąż jej był dawniej murgrabią u księcia, dziś chorobą powalony, jest na łaskawym chlebie!...

— Oj, oj! pali się w główce wąćpanny!...

— Mówię, że pojadę, to pojadę! — powtarzała z uporem Zośka. — I bądź waszmość pewien, że żaden Prusak nawet palca na mnie nie zakrzywi...

— Ba! ba! Pewnie. Gdzieżby śmiał!! — potakiwał porucznik, w żart rozmowę obracając.

Pułkownikówna nie dała się zbić z tropu i napierała na Floryana coraz gwałtowniej.

Po długich certacyach sprawa stanęła na tem, że porucznik dotąd nie ruszy się z Warszawy, dopóki nie zasięgnie wiadomości od Jana Dziewanowskiego, stryjecznego Zośki, znającego Warszawę na wylot, oraz, że przed nocą nie wyjedzie, bo choć straże bywają zdwojone, lecz zawsze łacniej się przemknąć, a bodaj przemocą wyrwać.

Pani Dziewanowska przyjęła młodą parę potokiem wymówek, które na wieść o niefortunnem zakończeniu wyprawy spotęgowały się jeszcze.

— No, no! Tożeście się zasiedzieli! Ja myślałam, żeście chyba już ze dwa podwieczorki u waszego księcia zjedli! Zośka! A gdzieżeś ty porucznika prowadzała?...

— Warszawy nie znał. Chciał to i owo zobaczyć! — tłómaczyła się pułkownikówna.

Pani Dziewanowska zajrzała Floryanowi w oczy i pogroziła mu palcem:

— Ej! Coś mi źle patrzy z oczu waszeci! Adresuję się jednak do waścinego honoru i sądzę, że mi tu krzywdy nie uczynisz.

Floryan z uczuciem ucałował rękę pani Dziewanowskiej i poszedł opatrywać ostrożnie węzełek, a potem zbiegł na dół do chłopca stajennego, nakazując mu, aby konie miał opatrzone i gotowe do drogi. Ruchy te nie uszły bacznego oka Zośki. Lecz słowa nie rzekła. Jęła się tylko naprzykrzać matce, aby po Janka Dziewanowskiego słać i na wieczór go poprosić. Pani Dziewanowska wzruszała ramionami na to natarczywe a niespodziewane napieranie się córki, lecz, przypisując to jej kapryśnemu charakterowi, uległa prośbie. Nim atoli zdążyła wyprawić dziewkę służebną — najniespodziewaniej wszedł Jan Dziewanowski.

— O wilku mowa, a wilk tu! — zakrzyknęła pułkownikowa. — Miałam po ciebie słać. Zośka mi się napierała ciebie zobaczyć. Bacz, że gościa mamy! Florek Gotartowski... spadł dziś niespodziewanie!... wraca z legionów! — dodała ciszej.

— Z legionów! Gdzież on? — przerwał porywczo Jan. — Niech go zobaczę!... Toż gość dopiero!

Wszedł Floryan. Młodzi ludzie podali sobie ręce. Spojrzeli sobie wzajem w oczy i ponowili uścisk dłoni. Za Floryanem wsunęła się po cichu Zośka. Dostrzegł ją wnet Jan:

— Tuś mi siostrzyczko! Jakiejż to łaskawości szczególnej mam przypisać, że o mnie pamiętałaś?...

— Nic ważnego! — rzekła rezolutnie pułkownikówna. — Gościa mamy — ze stron dalekich. Sądziłam, że rad będziesz niejednego się dowiedzieć, a i on ciekaw, co u nas słychać — myśmy go pouczyć nie mogły dokładnie.

— Co u nas słychać? — powtórzył, marszcząc brwi Jan i dźwignął desperacko swe olbrzymie ramiona. — I źle i dobrze. Według „Gazetki“ naszej, ponoć Prusacy klęskę pod Auerstaedt ponieśli nielada.

— Pod Jeną także! — zauważył porucznik.

— Możeż to być?... Nie błędneż to wieści?...

— Jadę stamtąd. Dwie bitwy stoczono równocześnie, ledwie o cztery godziny drogi od siebie... Siedmdziesiąt chorągwi i trzysta armat zdobyli Francuzi, ścieląc trupem pola... Cesarz w Berlinie!...

Dziewanowski aż porwał się z miejsca.

— Pewneż to? W Berlinie jest! Anim śmiał supponować. Dziś właśnie gruchnęła w mieście wiadomość, że wskutek zbliżenia się wojny do brzegów Wisły, kasa wymiany biletów skarbowych przeniesioną zostaje do Królewca!

— W imię Ojca i Syna! Wojna tu, do nas znów! — zawołała pani Dziewanowska.

— Pani stryjenko — upominał Jan — mogłoż się stać inaczej!?...

— Waćpanowi bitewki w głowie, a tu kraj cały znów na nowe zniszczenie skazany.

— Mogłoż się stać inaczej?.. Ho! ho! Prusacy czujduch! Od dziś wojsko skonsygnowane, stoi pod bronią gotowe do wymarszu! Nowe prawo wydane dla tych, którzyby do nieposłuszeństwa pobudzali... sąd wojenny i kulą w łeb w dwadzieścia cztery godzin.

— Wojsko skonsygnowane, powiadasz?! — wmieszała się pułkownikówna, spoglądając znacząco na Floryana.

— Tak, tak. Pono spodziewają się, może nie bez kozery, dezercyi ochotników... Miasto mieli dziś naokół wojskiem obstawić! A waszmość jakżeś zdołał się przedrzeć do nas?!

— Prosto na rogatki pod Wolą! Ani mnie nikt nie zagadnął.

— Dziw-dziw! Szczęśliwie bardzo. Nie dalej, jak wczoraj, dwóch pod Mokotowem schwytali i rozstrzelali na miejscu. Dowiedzieć się nawet nie można, kto byli zacz.

Floryan się zamyślił. Wypieki czerwone wystąpiły na twarz pułkownikówny. Jan Dziewanowski ciągnął dalej:

— W Jabłonnej polowanie miało być wielkie. Köhler się na nie z całym sztabem wybierał — dziś powiadali, że zaniechano wyjazdu! Może im dalej jechać przyjdzie! Ale co tam Köhler i nasza bieda — waść wracasz z szerokiego świata — mówże nam, bośmy tu jak deskami zabici! Co nasi? Co legiony? Co cesarz?...

Floryan jął opowiadać, z początku siląc się na zebranie myśli, lecz powoli zapalił się własnemi słowami i niepytany snuł obraz napoleońskiej epopei. W czasie opowiadania, którego w skupieniu słuchała pani Dziewanowska a z czcią Jan — Zośka podniosła się niepostrzeżenie z za stołu, wyszła na chwilę do swej izdebki, przywdziała kontusik i kołpaczek i zniknęła za drzwiami.

Zmierzchać się na dobre zaczynało. Dziewka służebna wniosła zapalone świece, Floryan urwał nagle opowiadanie.

— Ot! Mówiłoby się tak i dzień i noc!... A komu w drogę, temu czas!...

— Co też ty mówisz? Gdzie tobie?!...

— Służba, pani dobrodziejko!

— Nie lepiej po dniu? — zauważył Jan, który radby rok cały słuchać tych krwawych relacyj.

— Jak wypadnie. Sądziłem był z łaskawej gościny skorzystać... ale nie mogę.

— Ot czasy! — westchnęła pani Dziewanowska. — Zdrożony, wymizerowany, ledwie się na nogach trzyma! Gdzie tu myśleć o podróży, chyba do Morfeuszowa!... Skoro jednak tak się upierasz... Zatrzymywać nie śmiem. Córkam żołnierza i żona... Lecz głodnego cię nie puszczę! Zośka! A gdzież ona?...

Pani Dziewanowska obejrzała się — córki nie było. Młodzi ludzie teraz dopiero wspomnieli, że od dłuższego czasu znikła im z oczu. Pułkownikowa skoczyła do dziewki służebnej i wróciła uspokojona.

— Wyszła niedawno. Pewnie nadejdzie! Już tam coś wymyśliła i trojniaku nam może z gospody przyniesie!

Floryana coś tknęło. Podniósł się i wyszedł do sąsiedniej izdebki, gdzie był zostawił tłómoczek. Po chwili wrócił blady i poprosił pani Dziewanowskiej o światło. Sprawdził po kilkakroć zawartość tłómoczka, oglądał się po izdebce... Szkatułka z papierami zniknęła.

Myśl straszna powstała mu w głowie. Schwycił za kaszkiet i, nic nie mówiąc do poruszonej jego dziwnem zachowaniem się pani Dziewanowskiej, biegł co tchu do zajazdu, kędy chłopca z końmi ulokował, lecz ani koni, ani pacholika nie było.

III.

Floryan był w rozpaczy. Wyrzucał sobie lekkomyślność, z jaką zwierzył dziewczynie tajemnicę swego posłannictwa. Cóż powie teraz generałowi? Czem usprawiedliwi tę nierozwagę? Miał dotąd opinię nieposzlakowaną, ufano mu bezgranicznie... Tymczasem tu, wobec tak ważnej ekspedycyi, dał się podejść dzierlatce... I co jej w głowie? Zgubić może i siebie, i księcia i jego razem!

Gdy porucznik powrócił do mieszkania pani Dziewanowskiej z wyrazem bezsilnego rozdrażnienia na twarzy — obecni osłupieli z podziwienia. Pani Dziewanowska, a za nią Jan, jęli go pytać o przyczynę alteracyi. Floryan, nie widząc powodu ukrywania przed nimi całej sprawy, którą uważał za straconą, opowiedział urywanym głosem wszystko jak było.

Pani Dziewanowska łzami się zalała:

— Co jej w głowie! O ja nieszczęśliwa! Jedną na świecie miałam! Prawda, zawsze to było zawadyackie, dufające sobie! Czym się jednak mogła spodziewać? W nocy z pacholikiem... i dokąd jeszcze! Waćpanom wszak nie tajno, że w owej Jabłonnej rozmaitych nie brak. A i książę sam na cnotę niewieścią łasy. Słynie podobno z tego!... Skąd jej przyszło? Skąd jej się to wzięło?!

Jan Dziewanowski chciał pocieszać strapioną matkę, lecz ta smutnie potrząsnęła głową i rzekła:

— Daj spokój, stało się nieszczęście!... Może Matka Przenajświętsza mnie poratuje, sierotę taką opuszczoną! Kto wie? Zośka przytomna dziewka. Zjeść się w ka-

szy nie da. A co na koniu, to sprawna niby stary dragon.

Porucznik podczas tego ręce łamał a pięści zaciskał, czując się bezwładnym a wykolejonym.

— Panie Floryanie — ozwał się poważnie Dziewanowski. — Sam żołnierzem jestem i rozumiem dobrze waściną desperacyę... chociaż nie wiem, czyja troska większa: czy matki, która życie swej córki widzi na szwank narażonem, czy oficera, co tak niesfornego znalazł ordynansa! Tem się, mości poruczniku, pocieszaj, żeś trafił na lepszego zastępcę, niż ci się zdawać może — bo jeżeli ona nie trafi do księcia — tybyś tam także nie dotarł! Dzielna to dziewczyna i rezolut nielada!

Pani Dziewanowska jęknęła całą piersią i wyszła do drugiej komnatki w łzach a modlitwie szukać pociechy. Mężczyźni zostali sami. Jan Dziewanowski po długiej pauzie pierwszy przerwał milczenie:

— Panie Floryanie! Otrząśnij się waść. Stało się.

— Jadę do Jabłonnej! — wyrzekł z mocą porucznik, wstając z miejsca.

Dziewanowski pokręcił głową z nieukontentowaniem:

— Co z tego? Jej nie pomożesz! Sam wpadniesz w ręce Prusaków, a jeżeli i dostaniesz się szczęśliwie, co mu powiesz?! Panie Floryanie! Rozkazów tajnych jam nie ciekaw, lecz mnie w ciemię nie bito. Cesarz z armią się zbliża... Nie wiem ja, co tam książę myśli, lecz to, co waść wiesz, winieneś natychmiast generałowi Wojczyńskiemu przedstawić... U niego zbiera się codzień wszystko, co w naszej Warszawie godności narodowej nie utraciło. Nie nalegam, lecz pomnij waść, że pewno wiesz o tem; nie o co innego tu idzie, jak o przysposobienie narodu do wielkich wydarzeń... Idziesz waćpan ze mną?!

Porucznik się zawahał:

— Żołnierzem jestem. Mam obowiązek wypełniać rozkazy naczelników, a nie działać na własną rękę!

— Zgoda. Niemniej powinieneś ratować zagrożoną sprawę. Pora właśnie! Otrząśnij się, mości poruczniku.

Mężczyzną jesteś. Ot — dziewki szkoda — zginąć marnie może. Hm! Zadałeś jej czegoś chyba, że na krok taki się ważyła!... Rusz się, wasze. Ja tu nakażę służebnej, niech stryjenkę na oku ma. Powrócim niebawem. Zresztą, trzeba zawczasu pomyśleć o innem dla waści i stryjenki schronieniu... bo niechby ona wpadła im w ręce, trafiliby po nitce do kłębka!... Czasu nie trzeba marnować i co żywo łatać, jak można.

Opierającego się jeszcze Floryana ujął Dziewanowski pod ramię i wyprowadził na ulicę, w drodze mu zalecając, aby o całej owej niefortunnej ekspedycyi nie wspominał przed zgromadzeniem.

U generała Wojczyńskiego zastano izby dworku na Lesznie, w głębi ogrodu położonego, natłoczone. Dziewanowski z Floryanem podszedł wprost do staruszka, gospodarza domu i przedstawił mu porucznika. Wojczyński uradował się wielce Gotartowskim. Ramiona mu roztworzył a uściskał go serdecznie.

— Niebo cię nam zsyła, poruczniku! — zawołał z ukontentowaniem. — Toć my tu siedzim jak tabaka w rogu, nie wiedząc, w którą stronę pójść. Mości panowie! Porucznik legii włoskiej przybył do nas z Berlina! Imć pan Floryan Gotartowski!...

Ruch powstał w izbach. Kto żyw śpieszył do Floryana rękę mu ścisnąć lub przyjrzeć mu się przynajmniej. Starszyzna atoli wzięła go wprędce między siebie i do zacisznego wprowadziła alkierzyka. Tu posypały się pytania bez końca. Panowie: Michał Kochanowski, Joachim Moszyński, marszałek Stanisław Małachowski, Sobolewski, Gutakowski, książę Jabłonowski, pułkownik Siemianowski, Aleksander Potocki — rej tu wodzili, nad relacyami Floryana czyniąc uwagi.

Porucznik był jakby oszołomiony. Całą siłę woli skupiał, byle wyjść cało z krzyżowego ognia zapytań. Wojczyński dopiero ulitował się nad nim.

— Dosyć, panowie — rzekł. — Wiadomości posiedliśmy, a teraz nie pora szczegółowemi opowieściami się bawić, tembardziej, że Imć panu Gotartowskiemu

należy się wypoczynek!... Jutro zapowiadam walne zebranie komisyi i do rady Imć porucznika zapraszam!...

Floryan odetchnął swobodniej i podążył wnet z Dziewanowskim na Podwale. Był zbity, wyczerpany drogą, zgnębiony wypadkami ostatniego dnia. Pani Dziewanowska nie spała, czekając powrotu niefortunnego gościa. Nie czyniąc wyrzutów, wskazała mu posłanie w komorze, a sama pogrążyła się w swojej trosce.

Porucznik jak stał, tak legł na posłaniu. Ciężkie myśli trawiły go długo i sen z ociężałych powiek spędzały. Młodość atoli zwyciężyła w końcu, i porucznik zapadł w sen głęboki, niespokojny.

Słońce było wysoko, gdy Floryan otworzył powieki. Oczy przetarł, myśli zebrał, mary okropne wspominając. Niestety, rzeczywistość przedstawiała mu się niemniej ponuro i smutnie. Podniósł się zwolna z posłania, spojrzał w małe okienko, na jasnem tle którego rysowała się w oddali wysmukła wieżyca kościoła farnego, i zadumał się.

Nagle, z poza niedość szczelnych drzwi sąsiedniej izby, doszedł go gwar przytłumionych głosów, wśród których najwyraźniej rozlegał się srebrny śmiech pułkownikówny. Porucznik drgnął i zaczął nadsłuchiwać. Najwyraźniej ona. Czyżby to snem było?! Nie zwlekając, rzucił się do porządkowania odzieży. Jeden i drugi dzbanek wody chlusnął na twarz i znów nadsłuchiwał, iżali ten odgłos nie był złudzeniem. W końcu poprawił wąsa, pogładził czuprynę i otworzył drzwi.

Cichy śmiech pułkownikówny powitał go w progu. Spojrzał przed się Floryan i oniemiał. Przy stole stał smukły mężczyzna w obcisłym półwojskowym stroju, bawiąc się niedbale srebrną szpicrutą. Rzucił okiem porucznik na twarz nieznajomego, twarz jasną, pogodną, okoloną czarnym, bujnym zarostem, o wysokiem czole, równym, klasycznie zarysowanym nosie, i zdało mu się, że śni.

Nieznajomy podniósł swe głębokie, ciemno-niebieskie oczy na Floryana i ozwał się uprzejmie:

— Witam waćpana, mości poruczniku!

— Mości książę! — bąknął pomieszany porucznik.

— Takiegoś do mnie ordynansa wyprawił, że, jak widzisz, stawiłem się natychmiast! No, no! Winszuję waszmości, już to nielada w pannie pułkownikównie masz rzecznika a obrońcę!... Impet ma... o czem mój pokojowy najdotykalniejsze bodaj ma wyobrażenie! Zwracam ci, poruczniku, wdzięcznego ordynansa, a oszczędzaj go, bo tego warta!...

Porucznik jął się sumitować. Książę przerwał mu dobrotliwie:

— Mości Gotartowski! Wiem o waści, a to, co mi generał wspomina o nim, sambym dla siebie za chlubę uważał. Wieczorem proszę do mnie na pokoje! Pani pułkownikowej raz jeszcze gratuluję córki, a jeżeli okazya się zdarzy, w drużby się zapraszam.

To mówiąc, książę uścisnął rękę pani Dziewanowskiej i wyszedł.

Porucznik nie posiadał się z ukontentowania, skoczył do rąk Zośki i zaczął je pożerać całusami. Dziewczyna się wyrywała niby i płoniła. Pani Dziewanowska aż skoczyła z podziwu.

— A to dopiero niecnota! A zasię mi od córki, lamparcie włoski! A zasię! — wołała rozradowana.

Floryan z kolei przypadł do ręki matki.

— Pani a dobrodziejko — mówił wzruszony. — Darujcie, nie moja wina, alem w jassyr wzięty! Ot, córuś wasza nietylko mi one papiery zabrała, lecz i serce, i myśli, i duszę!...

— Hola! Waszmość! — rzekła z powagą pułkownikowa. — Nie tak gorąco, nie zapalczywie, aby się na słomianym nie skończyło ogniu! Zobaczymy, zobaczymy... poczciwyś widzę, a bo i z dobrego gniazda!... Czas wam — nie dziś przecież i nie jutro!...

— Choćby dzisiaj — pani pułkownikowo! — zawołał ogniście porucznik.

— Wiem ja, wiem! Nic z tego... chciałbyś ją może z nową ekspedycyą do Austryaków na zmianę wyprawić!...

— On nie taki, mateńko! — szepnęła Zośka, tuląc się do pani Dziewanowskiej.

— Skąd wiesz? Oj ty, ty!... Matce narobić takiego utrapienia a zgryzoty i dla kogo? Bałaś się, żeby go gdzie nie zastrzelili?... Małoż to na świecie takich zuchów, a matka zawsze jedna!

Na tę scenę wszedł Jan Dziewanowski. Radość była wielka. Zośka musiała opowiadać szczegóły nocnej wyprawy. Jak na rogatce na wieść, że do Jabłonnej jedzie, żegnano ją drwinami a uśmiechami, jak pod Żeraniem zdało się jej, że ktoś za krzakiem się czai, jak wreszcie po nocy dopadła pałacu, do którego ją wpuścić nie chcieli i jak ją z należnymi względami przyjął książę...

— A o jakim to pokojowcu wspominał książę? — wtrącił znienacka Floryan.

Pułkownikówna zawahała się, pobladła, w końcu odrzekła śmiało:

— Wytrzymać nie mogłam!... Wprowadzili mnie do przedsionka. Tłómaczę się, że przyjeżdżam z ważnem posłaniem z Warszawy... Pachołków było kilku. Ja mówię, oni trącają się i w śmiech!... Ręka mi zadrżała i, nie wiele myśląc, bęc w papę najbliższego! Na to wybiegł książę...

— Palnęłaś go?

— Palnęłam, mateńko!

— To się mój nieboszczyk Michał aż chyba w grobie obrócił ze śmiechu!

— Krew, krew pani dobrodziejko! — powtarzał porucznik, z ukontentowaniem tonąc w spojrzeniu pięknej pułkownikówny.

— A waści gniadosz tęgo niesie! — zauważyła Zośka.

— Zna służbę! Niechby skrewił, zatłukłbym go pewnie. Prusak, jeno szelma... huzarski! W drodze od Rawy dwóch takich mi omdlało i trzeci bułanek matczyny.

— Co tam konie! — przerwał raźno Dziewanowski. — Trzeba się stąd czemprędzej wynosić!... Całe miasto już mówi o waćpana przyjeździe! Ani chybi będą myszkowali. Generał do mnie przysyłał, ofiarując mu u siebie gościnę. Pani stryjenka zaś może na

moją kwaterę pozwoli... uboga, jak u kawalera-samotnika takiego. Kiedy inaczej nie można!

Zasmucił się porucznik. Niesporo mu było się wynosić. Nadąsała się Zośka, zafrasowała pani Dziewanowska. Jan nalegał — trzeba było ustąpić.

Tegoż dnia, wieczorem, Floryan udał się do księcia Józefa Poniatowskiego. Książę przyjął go w pięknym gabinecie, zdobnym w alegoryczne freski, a zastawionym mnóstwem kosztownych cacek. Był zamyślony i posępny. Skinął przyjaźnie porucznikowi i o szczegóły, odnoszące się do armii Napoleona, ostatnich wypadków z włoskiej kampanii, wypytywał... Od czasu do czasu przerywał Floryanowi tok opowiadania i gorączkowo mierzył wielkimi krokami gabinet. Porucznik skończył mówić. Książę zamyślił się, a po długiem milczeniu zaczął nerwowo:

— A nie myliż się twój generał?... Wiem, Dąbrowski, to wielki żołnierz i wódz, cenię go więcej, niż mu się zdaje... pomimo że mi był niechętnym!... Dobry patryota i obywatel kraju, lecz czy politycznych wybiegów nie za dobrą poczytuje monetę! Sława Napoleona go olśniła, ja się jej obawiam. Wahałbym się na niej przyszłość moją opierać, a cóż dopiero losy całego kraju składać!... Zapał go unosi!... Tyle krwi przelanej hen na polach Marengo... co Marengo jedno? Cała Italia nasiąkła krwią legionów i Egipt i S. Domingo!... Jabłonowskiego wyrozumieć nie mogę: przez zgnębienie biednego ludu, spokojnych wyspiarzy, chciał korzyści, chciał wolność własnej ziemi dobywać?! Nie! Nie ufam ja temu nowemu słońcu... Gdzież zresztą są gwarancye!? Pokażcie mi dokument! W Berlinie z Wybickim Józefem rozmawiał!... Zacny to mąż, lecz czy nie porywczy? Cesarz powiedział pono — że „zobaczy, czy godni jesteśmy być narodem?!!“ A myż mamy na tych pustych słowach budować gmach naszych swobód?! Napoleon jest wielkim politykiem, a myśmy nigdy politykami nie byli... Idzie tu, do nas, bo go losy wojny do tego zmuszają... lecz przy zawarciu traktatu wymieni nas

za uchwalenie jednego upokorzenia więcej dla nienawistnej mu Anglii!!... Czyż nie tak?!

Floryan, zachęcony rzuconem pytaniem, a poruszony tak ostrym sądem o ubóstwianym przez niego Napoleonie, wybuchnął nagle:

— Wasza Książęca Mość! Jam nie statysta, nie mąż, który od lat młodzieńczych przywykł losy narodów ważyć a rozpatrywać. Mówię co na sercu, z czem lat tyle tułałem się po krajach... W którąż się stronę mamy zwrócić? Dokąd o pomoc udać? — nie jest-że on ostatnią naszą deską zbawienia i ratunku, co nasze nieprzyjacioły zwalcza?!...

— Zgoda na to — pochwycił żywo-książę. — Lecz miejmyż odeń zapewnienie, poręczenie!... Żąda od nas wojska, krwi naszej, niechże się dowiemy za co? Waszmości wyda się takie żądanie frymarkiem! Niestety, na frymarku takim cała mądrość polityczna polega. Dąbrowski ani Wybicki nie rozumieją, że nie my Napoleona, lecz on nas w tej chwili najmocniej potrzebuje... i miast stawiać żądania, proszą, miast dyktować punkty ugody, traktatu, kontentują się krzywdzącymi naszą godność frazesami dumnego zdobywcy!... Nie, poruczniku, ja do tej sprawy przyłożyć ręki nie mogę. Za złe ci nie biorę zapału, z jakimbyś chciał Bonapartego bronić. Widzisz w nim wodza, prowadzącego armię do zwycięstwa i sławy, a sam żołnierzem jesteś! I ja mam dlań wyrazy uwielbienia, jeno gdy o naszej doli smutnej myśleć przestaję... Zresztą — dodał ze smutkiem — bądź waszmość spokojny... książę Józef Poniatowski nie stanowi narodu... Znajdą się inni, którzy wszelkim jego żądaniom zadość uczynią! Taką odpowiedź zanieś generałowi. Piłatem być nie chcę, lecz sumienie wzbrania mi ważyć sprawę narodową na niepewne. Bacz, że dawnoż z tym samym Prusakiem pacyfikował? Nie dość mu legii włoskich? On od nas jeszcze żąda dowodów!? A wzamian daje nam czcze słowa i to jeszcze mgliste a niejasne!...

— Wasza Książęca Mość daruje śmiałość — ozwał się gorąco porucznik. — Słowo czasem więcej znaczy

od najlepiej ułożonych punktów. Kto nie strzymuje słów, ten i traktaty deptać potrafi. A mocarz taki lada czego nie wymówi, boć każdy wyraz jego historya na szali waży...

— W sednoś trafił, mości poruczniku! — przerwał książę Józef. — Owóż właśnie odpowiedzialność przed historyą, przed potomnością nakazuje krok każdy ważyć... Daj mi pismo Napoleona, jasno wyrażające, czego żąda, a co dla nas uczynić się zobowiązuje, a gotówem dziś na skraj świata iść za nim!... A choćby nie dopełnił przyrzeczeń, choćby smutne z tego wynikły dla nas termina... nikt na nas kamieniem nie rzuci!... Ale... co wam po Poniatowskim!?

— Krew nasza, królewska! Chluba rycerstwa! — odparł z zapałem Floryan.

Poniatowski uśmiechnął się dobrotliwie i rękę położył na ramieniu porucznika.

— Dziękuję waszmości! Teraz sobie dopiero go przypominam! Byłeś pod Marymontem... Jeno nie wszyscy tak myślą! Znać, żeś prosto z legii przybył... Zapytaj się o mnie tu, na miejscu, w Warszawie. Za sługę pruskiego mnie mają, o konszachty z Austryakiem posądzają... Co smutniejsze, stronią od tej mojej Blachy!

Książę uśmiechnął się gorzko.

— Generał się pomylił... moje imię mogłoby może zepsować zamysły... Sąć godniejsi, wierniejsi synowie ojczyzny, co nie kalają obyczajów! Dlaczego pomijacie Naczelnika?

— Wasza Książęca Mość, właśnie Naczelnik wydał proklamacyę...

— Cha! cha!... Mości Gotartowski! Dowiedz się, że ten zniewieściały a rozbawiony „Pepi“, jak mnie tu nazywają, także ma wyobrażenie, co się na świecie dzieje!

To mówiąc, Poniatowski odsunął szufladę sekretarki, wyciągnął zeń papier jakiś i podał Floryanowi.

— Czytaj waść... znasz wszak język francuski!

Porucznik rozwinął papier. Ze środka wypadła drukowana proklamacya.

— Czytaj! Czytaj! — nalegał książę Józef. — Nie ten świstek znany ci, jak mówisz, — jeno pisanie naczelnika.

Gotartowski oczom nie wierzył. Kościuszko ostrzegał księcia, że Lafayette zwiastował mu, jakoby ukazały się jakoweś wezwania z jego — Kościuszki — podpisem. Otóż on żadnych wezwań nie podpisywał. Był to podstęp ministra policyi Fouchego.

Porucznik skończył czytać. Poniatowski zagadnął spokojnie:

— No — zrozumiałeś, mości poruczniku?!

— Niegodny podstęp!

— Pojmujesz teraz, komu na kim zależy?! Dziwisz się, iż nie występuję dotąd?... Ba! Ledwie kilka dni, jak pisanie to przyszło, i jakże zresztą to uczynię? Köhler zezwoli na coś podobnego? Owszem, jeżeli do sojuszu z Prusakami namawiać będę. A czyż mogę na krok taki się ważyć? Ktoby tu uwierzył? Pani Vauban — chyba! Szkoda! Rozprzężeni jesteśmy dzisiaj, każdy na swoją rękę inną politykę prowadzi. Wam, żołnierzom, pilno do rang i zaszczytów... a przecież są inni, którym bezczynność... więcej zdrowia odejmuje niż wam niewywczasy wojenne a kule nieprzyjacielskie!... Długoby o tem można mówić... Wiesz teraz, słyszałeś, oto mój respons! Później... kto wie, jak się wypadki ułożą, teraz jednak ani myśli, niech generał czyni bezemnie. W końcu, mogę się mylić... Więc słuchaj, mości poruczniku, listy generała weź z powrotem, przedstaw je marszałkowi Małachowskiemu, nie tając mej odpowiedzi... Niech je i oni rozważą... Rada u pana Wojczyńskiego może co innego postanowi...

— Mam właśnie kwaterę u generała! — wtrącił porucznik.

— A... tak! Już cię znaleźli! Hm, zacne grono, mężowie zasłużeni! Śpiesz-że, mości poruczniku, czasu nie trać... Miło mi było poznać waszmości! Racz generałowi Dąbrowskiemu pozdrowienia moje wyrazić...

Z głową przepełnioną myślami wyszedł Floryan od księcia Józefa. Takiej odeń odpowiedzi się nie

spodziewał. Racye Poniatowskiego, choć może głębokie, nie wydawały mu się słusznemi. Nie ufać Napoleonowi?... Więc komuż nareszcie wierzyćby należało?... Żołnierz duszą i ciałem, wspaniały, szlachetny, wódz niepokonany... którego sława a potęga rozbrzmiewa na krańcach świata, miałby nie stanowić rękojmi... A może książę inne miał zamysły?!... Kto wie, iżali Poniatowski nie idzie za przykładem „familii“, może na stronę dworu petersburskiego się skłania? Wspominał o Köhlerze i Prusakach! Czyżby go minister Hoym nie pozyskał dla swoich spraw?!

Gdy porucznik zjawił się w kilka chwil później u generała Wojczyńskiego, zastał był już walne zebranie komisyi rozpoczęte. Radzono właśnie nad wysłaniem imieniem Warszawy poselstwa do Napoleona, aby swego zwycięskiego pochodu nie wstrzymywał, lecz szedł dalej podać rękę wiernemu a uciśnionemu narodowi, który na pierwszą wieść o jego zbliżaniu się wita go całem sercem, jako swego zbawcę i oswobodziciela.

Wejście porucznika wywołało małe zamieszanie — ten i ów śpieszył uścisnąć rękę Gotartowskiego. Wszyscy nań spoglądali jako na żołnierza tej wielkiej a zwycięskiej armii. Gdy się uciszyło, Floryan wręczył Stanisławowi Małachowskiemu oddane mu przez księcia listy generała Dąbrowskiego.

Marszałek zaczął je czytać na głos. Cisza zaległa izby dworku.

Dąbrowski przedstawiał księciu, jako cesarz, po długich z nim a posłem Józefem Wybickim debatach, raczył się nakłonić do wkroczenia w granice Polski w trzykroć sto tysięcy wojska. Że zamiarem niewątpliwym jest Napoleona, aby kraj ten wskrzesić i do dawnej świetności powołać, że urzeczywistnienie tego zamiaru spoczywa całkowicie w ręku Polaków, o których wierności a oddaniu chce się cesarz naocznie przekonać, że Wybickiemu oświadczył wręcz, że jeżeli zobaczy, iż Polacy godni są być narodem, będą nim. W końcu Dąbrowski zachęcał do

jak najszybszej agitacyi i rozpoczęcia przygotowań do zbrojnego powstania. — „Niech zobaczy cesarz — pisał Dąbrowski — powstające pułki a dywizye, niechaj ofiarność obywateli w tej stanowczej chwili nie uchyla się przed niczem. Szlachta, mieszczaństwo, lud niechaj stają w szeregach lub niech się sposobią. Lada dzień ruszamy do Poznania. Każda zwłoka, każda minuta na kunktatorstwie strawiona, może srogą krzywdę wyrządzić całej ojczyźnie.“

Małachowski skończył czytać. Przez chwilę panowało uroczyste milczenie, aż naraz z piersi kilkudziesięciu zebranych dobył się jeden wielki okrzyk:

— Niech żyje cesarz! Wiwat konfederacya! Mości panowie, do broni!!

Ściskano się za ręce. Padano sobie w objęcia. Floryan był przedmiotem ogólnych owacyj. Starszyzna tymczasem podawała sobie listy generała Dąbrowskiego, zastanawiając się nad każdem słowem a rozbierając je. Zaczęto się skupiać w gromadki a perorować zapalczywie. Tumult się wzmagał coraz większy. Naraz Małachowski głos podniósł. Powaga starego marszałka sejmu wnet górę wzięła.

— Mości panowie! — rzekł. — Chwila urzeczywistnienia najdroższych nam nadziei a oddawna pieszczonych postanowień się zbliża. Pismo generała Dąbrowskiego jest może ziszczeniem tego, co wczoraj jeszcze snem nam się wydało. Nie pora na próżne rozprawy! Do dzieła, mości panowie! Niech on wielki mocarz zastanie nas przygotowanych... do pójścia za jego przewodem!... Baczność jeno zalecam. Nie zapominajmy o sługach króla Fryderyka... Ergo, mości panowie, poczynajmy sobie rozważnie, abyśmy zbytkiem zapału tak ważnej nie zepsowali sprawy! Proponuję upoważnić starszyznę do przedsięwzięcia rady nieustającej, przed uchwałami której pierwszy uchylam głowę. Każdy z nas tutaj wielką ufność pokłada w osobie generała a gospodarza naszego, co dla dobra publicznego ważyć swej głowy i mienia całego się nie zawahał... niechże on tedy do siebie przybierze tych,

których obecność w radzie za potrzebną uważać będzie! Zgoda, mości panowie!?

— Zgoda! Zgoda! — wykrzyknięto do około.

Zaczem generał Wojczyński wystąpił i, wodząc okiem po zebranych, nazwiska co przedniejszych wymieniał, do ubocznej zapraszając izby. I szli: marszałek Stanisław Małachowski, Michał Kochanowski, minister Tomasz Ostrowski, panowie: Ignacy i Walenty Sobolewscy, graf Joachim Moszyński, pułkownik Siemianowski, Aleksander Potocki, Gutakowski, Giełgud, ksiądz Woronicz, Stanisław Ledóchowski, Świdziński, Grotowski, Szydłowski, książę Ludwik Radziwiłł, Kalinowski i Samuel Bronikowski.

Generał Wojczyński przyzwał był i porucznika Gotartowskiego, lecz ten wyprosił się od uczestnictwa w radzie — służby jeno swoje polecając. Wojczyński sercem przyjął skromne wymówienie się Floryana i nie nalegał.

Kiedy starszyzna ustąpiła — gwar znów powstał w izbach a hałas. Brat generała, pan Ignacy, uwijał się jak mógł a spokojność zalecał; nie na wiele się to zdało. Młodzież szczególniej ochoty wstrzymać nie mogła, a Gotartowskiego zwartem osaczyła kołem, każde jego słowo chciwie chwytając. Nadto Floryan spotkał tu był dwóch Jordanów, co mu dalekimi krewnymi byli, i braci Marskich, kolegów z konwiktu Pijarów w Piotrkowie, z tego zdawna słynących, że bliźniętami będąc, tak nadzwyczajnie do siebie podobnymi byli, że rodzona matka rozróżnić ich nie mogła. Przytem Jan Dziewanowski, który wśród młodzi rej wodził, zapoznał Gotartowskiego z kapitanem Wosińskim, Józefem Stadnickim, Sewerynem Fredrą, Wincentym Tedwenem, Jędrzejem Niegolewskim i Piotrem Wasilewskim.

Pan Ignacy Wojczyński tymczasem, widząc wzrastającą ochotę, cichaczem od strony Leszna rozstawił pachołków, aby dali baczenie na nieproszonych gości, a sam z pacholikiem do piwniczki zeszedł i baryłkę miodu wytoczył. A potem, cicho krążąc między zebranymi, miód w szklanice rozlewał, szepcząc co chwila:

— Już to mnie bura od pana brata nie minie, lecz przecież zdrowie wielkiego Napoljona wznieść się godzi!...

Słowa staruszka przyjęto z ukontentowaniem, przepijając po cichu, aby odbywającej się obok radzie dystrakcyi nie czynić.

Między młodzieżą wszczął się był żwawy spór o Poniatowskiego. Opowieść Floryana o pochodzeniu listów generała Dąbrowskiego sprawiła silne wrażenie. Większość, przyjazna księciu Józefowi, objawiała wielkie zdziwienie, reszta dosyć ostro występowała przeciwko Poniatowskiemu. Zwłaszcza Hermelaus Jordan gromił zawzięcie księcia.

— Florek — mówił gromko, podnosząc wielkie swe pięści w górę. — I tyżeś to strzymał wszystko a wysłuchał? Paniątko takie, od morza do morza, spódniczki mu tylko w głowie dzisiaj i koniec!... Jemu Napoljona sądzić!!...

— Daj pokój! — mitygował Dziewanowski. — Dla słabostki gotów jesteś odsądzić go od wszystkiego!...

— Tak, tak! Żołnierz to nielada! — potwierdzili inni.

Starszy Jordan, któremu szklanica miodu zaszumiała w głowie, upierał się przy swojem.

— Janie, od morza do morza! Więc on, luminarz taki, dzisiaj, kiedy armia idzie i od morza do morza!... Nie!... Sfrancuziały paniczyk, królewiątko rozkapryszone... jać powiadam od morza do morza i koniec!...

— Nie tak gorąco! Nie tak gorąco! — ozwał się surowo Seweryn Fredro. — Czołem przed rzetelną zasługą! Gdyby kraj ten miał więcej takich oficerów, nie potrzebowalibyśmy oglądać waścinego animuszu!

— Ani luterskich wysłuchiwać kazań! — odciął się Jordan.

Fredro porwał się z miejsca.

Kapitan skoczył uspokoić zwaśnionych.

Fredro domagał się zadośćuczynienia. Dziewanowski przekładał zgodę. Pośród zgiełku a hałasu — wskoczył tymczasem jowialista wielki a oficer szanowany, Imć pan Wosiński, i zakrzyknął znienacka:

— Głupstwo panowie szlachta!

A gdy zebrani, zaskoczeni tem zawołaniem, uciszyli się nieco, zwłaszcza, że od Wosińskiego zwykli byli się nielada konceptu spodziewać, kapitan zaczął powoli:

— Horret animus, moć panowie, że kiedy jeszcze na odwachu Prusak sobie chodząc einzzweidreiduje, a Imć Köhler tabakę najspokojniej pociąga, kiedy armia francuska ledwie w Berlinkach rozsmakowała, my tu poczynamy sobie de noviter czteroletnie obrady, huczno, buńczuczno, a jak z groźnie zmarszczonych brwi pana Seweryna Imci wróżyć się ośmielę, z niemałą ku wszelakiej strzelaninie a okaleczeniu sympatyą! Starszyzna radzi, a młodzi w zwadzie szukają dla swej ochoty dywersyi. Pierwsze mi nie po myśli, drugie nie po sercu. Co panowie rada postanowią — to ich rzecz. Mnie ostał stary obyczaj, że gdy gość w dom nadchodzi, ojcowie spotykają go na progu, a młódź to i przede opłotki naprzeciw wybieży. Tandem — moć panowie... miast językami świat krajać, oblicza sobie wzajem szczerbić, a kto większy patryota sobie przymawiać... ruszajmy w drogę! Bez zwłoki, natychmiast, dziś jeszcze do wielkiej armii! Do Francuzów!!!...

— Wiwat Wosiński! do wielkiej armii!! Do Francuzów!! — odpowiedziano chórem.

Wosiński odsapnął nieco i tak rzecz swoją zakończył:

— Moć panowie! Zbierać się, jak kto może! W pojedynkę, dwójkami, trójkami, już pół tuzina unikać, aby zdala ominąć dwunastkę z Judaszem... Żadnych oficerów, żadnych naczelników, pieszo, konno, kołowo, z gwintówką czy szerpentyną, karabinkiem czy krócicą, aby naprzód, aby spotkać! Uchodzić nie hurmem, nie w jednej godzinie, bo snadnie mogliby nam Prusacy uroczyste pożegnanie wyprawić, który to objaw amicycyi nie każdemu byłby na rękę... Ja dziś ruszam, a gdzie?... Pod Berlin!...

— I ja! I ja! — ozwały się zewsząd głosy.

Słowa kapitana Wosińskiego padły niby iskra na mocno nasiarkowane lonty. Głowy młodzieży rozgorzały, zapaliły się serca. Co chwila ochotnika przybywało. Pan Ignacy Wojczyński aż ręce łamał na widok co się dzieje, chciał tłómaczyć, przekładać, aby bez starszyzny na nic się nie ważono. Nie słuchano go nawet.

Zdesperowany poszedł dać znać bratu, co się dzieje. Rada ruszyła do izb. Giełgud jął tłómaczyć, że jeno w karności a jednolitości cała przyszłość, Gutakowski do zaufania w postanowienia starszych skłaniał. Aliści, w gronie samej rady powstało wnet rozdwojenie. Oto ksiądz Woronicz ujął się za młodzieżą.

— Niech idą! — tłómaczył.

Próbowano radzić jeszcze, lecz gdy w końcu Małachowski życzliwym się okazał zamiarom Wosińskiego, nie odwodzono więcej, zalecając jeno ostrożność wielką a rozwagę w przedsięwzięciu.

Starszyzna znów ustąpiła do izby narad. Generał Wojczyński pogroził jeno bratu Ignacemu za... miód, a Floryana na bok odciągnął.

— A Waszmość poruczniku? — zagadnął żywo. — Zostaniesz z nami?!... Czy...

— Wracać muszę generale, sprawę zdać...

— Spodziewałem się takiej odpowiedzi... Jedź! Pisma wnet ci wygotujem! Ostrowski stary, niechętny wielce wszystkiemu, ale mniejsza. Wspominać niema co, sam zmieni zdanie. Resztę widziałeś... Wre tu u nas i kipi oddawna... Wielkich przygotowań nie potrzeba. Plany gotowe. Gwardya, milicye ułożone. Tysiączniki a setniki są. Te zapalone głowy szyki nam trochę pogmatwają swoją wyprawą, lecz dziś jeszcze ich się zastąpi. Mieszczaństwo rwie się. Lada chwila spodziewamy się nadejścia Deckerta. Żal mi Waszmości! No, wypocznij sobie jeszcze. Za godzinę, za dwie, papiery będą... Radzę ci towarzysza jakiego przybrać, bo te zuchy Warszawę znają na wylot. A podobno nie tak łatwo z niej się wydostać.

Gotartowski zwierzył się Dziewanowskiemu z czekającej go podróży. Pan Jan, któremu także uśmiechała się wycieczka naprzeciw Francuzów, ofiarował się mu towarzyszyć. Floryan ucieszył się serdecznie z niespodziewanego kompana. Na to zbliżyli się Jordanowie, a i kapitan Wosiński, który dowiedziawszy się, że porucznik rusza zaraz w drogę, oświadczyli się iść z nim także.

Zaczęto wnet układać plan wyprawy. Ciekawi skupili się dokoła, ten i ów napraszał się iść razem, osobliwie młody a wątły Stanisław Gorajski, spokoju im nie dawał. Wosiński atoli oparł się temu stanowczo.

— Czterech już nadto! Zastanówcie się! Chcecie. by was pierwszy lepszy patrol na bigos posiekał. Ruszajcie swoim dworem, a my swoim!

Zaczem uradzono, że o północy stawią się wszyscy u generała i stąd ruszą bocznemi ulicami ku Raszynowi pieszo, a dalej przedzierać się będą, jak się uda... Każdy miał w broń się opatrzyć co poręczniejszą. bez karabinków i widoczniejszych mantelzaków, aby wyglądu zbrojnego nie przybierać. Teraz zaś każdy miał co duchu śpieszyć i do drogi się gotować.

Floryan odciągnął Dziewanowskiego na stronę. Projekt wyprawy pieszo nie wydawał mu się szczęśliwym. Czasu zmitręży wiele. A tu pacholik konie musiał już pewno z Jabłonnej przyprowadzić. Dziewanowski więc mógłby jechać z nim — stajenny zaś wróciłby do Gortatowic. Pan Jan jął odwodzić Floryana od tego zamiaru. Konno wyjeżdżać z Warszawy, to znaczyło prawie kłaść dobrowolnie głowę pod miecz. W rezultacie niema mowy, aby piechotą wędrować pod Berlin. W drodze sposób się znajdzie.

Gotartowski ustąpił i jeno z pożegnaniem do pani Dziewanowskiej iść się napierał. A ponieważ pan Jan i tak musiał do swoich izdebek wstąpić. przeto poszli razem.

Na pierwsze słowa Floryana o czekającej go znów podróży, pani Dziewanowska aż ręce załamała:

— Co waszeci w głowie!! Chyba licho cię jakieś napadło... Ledwie pół dnia minęło... znów w inną stronę świata! Et! Aż mnie złość ogarnia! Wczoraj spadł jak z nieba, narobił zamieszania, aż człek musiał z rupieciami wszystkiemi się przenosić... i masz ci teraz nowinę!

— Pani pułkownikowo dobrodziejko — odrzekł smutnie porucznik. — Bogiem się świadczę, że z wami wolałbym zostać... a sercem pewnie, że zostanę...

Tu Floryan spojrzał żałośnie na zaczerwienioną twarzyczkę Zośki. Pani Dziewanowska obruszyła się znowu:

— Farmazońskie wykręty! Już to waćpan słowem zawrócić z miejsca potrafisz, nie darmoś pół świata schodził...

— Pani stryjenko — wmieszał się pan Jan — nie winujcie. Służba go do nas przyprowadziła, służba zabiera... Co więcej i ja z imć panem Floryanem muszę.

— Janek? Ty!? A ty gdzieżeś znów potrzebny?!...

— Do Francuzów — pani stryjenko!

Tu Dziewanowski jął tłómaczyć wszystko pułkownikowej, zapewniając ją uroczyście, że tylko patrzeć, a z Napoleonem powróci.

Pani Dziewanowskiej łzy się zakręciły w oczach.

— Oj! Wrócisz ty niebożę! Znam ja te wasze żołnierskie „wrócę"... Długo było cicho a spokojnie! Znów zawierucha... a bodaj ich tam i tego Napoleona!... Już nikogo teraz na świecie nie będziemy miały! Zośka?! Słyszysz? Nikogo!

Zośka nic nie odpowiedziała. Oczy spuściła, zęby zacisnęła kurczowo, a wargi jeno jej drżały. Dziewanowski zaczął uspokajać pułkownikową a tłómaczyć. Floryan zbliżył się tymczasem do Zośki i zagadnął zcicha:

— I za co waćpanna gniewasz się a boczysz na mnie?!... Cóżem zawinił, że już i wejrzenia poczciwego zdajesz się mi skąpić?!.

Z ócz pułkownikówny wytrysły ognie.

— A cóż waćpana to może obchodzić!?... Przyjechałeś... odjeżdżasz!... I dobrze! Czy to Waszeci kto tu... wiąże!?

— Prawda! Supozycye moje były może nazbyt śmiałe! — odrzekł drżącym głosem porucznik. — Ową podróż waćpanny do Jabłonnej nie samej tylko fantazyi śmiałem przypisywać... A na ciężką drogę, choć dobre słowo... spodziewałem się otrzymać...

— Dobre słowo! Dobre słowo! — odparła z przekąsem Zośka, targając rąbek fartuszka. — Pewnie, że to waszmości wystarczy!...

Floryan pokraśniał i do ręki jej przypadł. Pułkownikowa porwała się z miejsca.

— A mości Gotartowski! Tego już nadto! Może to u was, legionistów, rzecz zwykła, ledwie w domu się pokazać, a już obces do panny... a na drugi dzień znów w inną świata stronę pomknąć!

— Pani dobrodziejko...

— Nie tłómacz się Wasze! Zośka! Marsz do drugiej izby...

— O, cóż bo znowu, pani matko! — odrzekła pułkownikówna. — A toż mnie nie uroczy!

— No, i masz ci los! Chowaj tu lata całe, chuchaj, dmuchaj! Taki pędziwiatr się zjawił i łap, już mi i serce dziewczyny gotów zabrać!!...

Floryan chwycił panią Dziewanowską za rękę:

— Pani pułkownikowo dobrodziejko! Córki mi waszej nie odmawiajcie!... Wiekibym się stąd nie ruszył... obowiązek niewoli. Da Bóg, powrócę wkrótce, a już was nie opuszczę. Synem waszym się stanę!...

Pani Dziewanowska potrząsnęła smutnie głową:

— Mój chłopcze! Dobrze ci z oczu patrzy, ale w taki czas niespokojny, kto wie, co się stać może!

— Skądże bo panią stryjenkę ogarniają takie smutne medytacye! — wtrącił pan Jan. — Toż nie rok i nie dwa!... Miesiąc nie minie, a porucznik stawi się, jako należy, w pełnym mundurze!

— Nie! Nie! — upierała się pułkownikowa. — Żadnych przyrzeczeń, żadnych przysiąg! Zośka, słyszysz?! Ani jam waćpanu krzywa, ani zamysłów ża-

dnych nie mam. Nie chcę jeno, abyście się wiązali... Kto wie, co się stać może? Dziewczyna gotowa mi się zmarnować! Tak, tak! Od tego już nie odstąpię ani kroku. Jedź waćpan z Bogiem... wracaj rychło... a jak wrócisz, to i rzecz się ułoży.

Porucznik chciał dziękować. Pani Dziewanowska nie dała mu przyjść do słowa.

— Niema czego, ani za co! Żadnych obietnic! A teraz proszę waszmości, byś wolę krewnej szanował!!... Dosyć tego! Macie jechać, niechże wam posiłek zgotuję jaki. Trudno to będzie, bo w tym kramie i nieładzie nie wiadomo, gdzie czego szukać. Ale na głodnego puścić was nie mogę.

Pułkownikowa zakrzątnęła się żywo. Dziewanowski opatrywał broń a sposobił sobie zawiniątko. Floryan, ścigany co chwila bacznem okiem pani Dziewanowskiej, bał się słowa przemówić do Zośki, która siedziała chmurna i nadąsana.

Przy kolacyi rozmowa się nie wiązała. Pan Jan był czegoś zamyślony, pułkownikowa jakby łzy połykała, Floryan siedział zapatrzony w postać Zośki. Ta ostatnia milczała zawzięcie.

Pan Jan pierwszy ruszył z miejsca i do odejścia się zbierał. Pułkownikowa żegnała się z nim po kilkakroć a serdecznie. Zośka rzuciła mu się na szyję, a szeptała coś długo do ucha. Floryan pamięci pani Dziewanowskiej polecił swego pacholika, ucałował jej ręce, chciał następnie schylić się do ręki Zośki, lecz ta w tył odskoczyła i pożegnała go ledwie spojrzeniem.

Porucznikowi ścisnęło się serce: nie takiego się spodziewał rozstania. Chciał coś rzec jeszcze, lecz pan Jan pociągnął go za sobą... i wyszli, przeprowadzeni do sieni przez pułkownikową.

Dziewanowski szedł naprzód, zalecając Floryanowi, by się go trzymał, bo w długim a ciemnym korytarzu trudno było nieświadomemu trafić.

Porucznik kroczył machinalnie, nie odpowiadając Dziewanowskiemu. Kurcz jakiś dławił go za gar-

dło, trząsł się jak w febrze. Naraz uczuł, że go ktoś chwycił za szyję. Dreszcz przeszedł porucznika. Zanim zdołał się opamiętać, tuż przy swej twarzy posłyszał cichy, ledwie dosłyszalny szept:

— Florek! Wracaj do swej Zośki!! Miłujesz-że ją? Zaprzysięgnij!

Gotartowskiego naraz dziwna ogarnęła błogość. Na ramieniu swem uczuł dotknięcie drżącej, rozpalonej główki. Szyję oplatały mu maleńkie rączki.

— Zaprzysięgam na wieki! — Moja ty, jedyna!!...

— Pamiętaj! Florek... jeżelibyś mi nie wrócił, to ja... cię... pod ziemią odnajdę!... Słyszysz Florek!...

W tejże chwili rozległ się głos Dziewanowskiego.

— Mości poruczniku! Jesteś!?...

Uścisk oplatający Floryana rozwiódł się nagle, fala włosów jedwabistych musnęła jego twarz, na ustach zawisnął pocałunek jak błyskawica szybki, jak rozpalone żelazo gorący...

Floryan, oparty o ścianę korytarza, stał przez chwilę, nie mogąc zebrać myśli, otrząsnąć się z rozkoszy, jaka go nagle przejęła. Dopiero powtórne zawołanie Dziewanowskiego zdołało go oprzytomnieć.

— Gdzie się waszmość podziewasz?! — niecierpliwił się pan Jan. — Ciemnica taka, trzymajże się mnie!...

Gotartowski spełnił machinalnie rozkaz.

Wyszli na ulicę.

U generała Wojczyńskiego w izbach zastano tylko dwóch Jordanów i pana Ignacego Wojczyńskiego. Zebranie już się było rozeszło. Rada tylko nieustająca pracowała jeszcze. Wkrótce wyszedł generał i ucieszył się wielce z wiadomości, że Floryan znalazł towarzyszów.

— Teraz — mówił — pewny jestem, że mi nie przepadniesz, bo jeżeli Dziewanowski cię nie wesprze, to Wosiński sianem wykręci! Masz tu, poruczniku, listy dla generała... a tu weź zasiłek, który w drodze przydać ci się może.

Floryan wymawiał się od przyjęcia, tłómacząc się, że od matki dostał fundusik. Pan Wojczyński zgromił go:

— Ot mi racya dopiero! Małoś się to, poruczniku, nadreptał po Włoszech bez butów!? Ani to żadna darowizna, ani ofiara. Pięćdziesiąt czerwonych złotych wydzieliła ci rada na ekspensa. Bierz, nic nie pytaj, bo każdy grosz ci się przyda! Znam ja to wasze oficerstwo włoskie! Blizn na ciele jak dziur w rzeszocie, ordery, krzyże, sława, rozkazy dzienne, a w kieszeni tynf złamany tygodniami nie postoi!... Ale i na was czas przyjdzie, że nagrodę należną odbierzecie!

Nie było rady. Schował był porucznik zasiłek, a że we drzwiach ukazał się kapitan Wosiński, nie zwlekając, jął żegnać się z generałem, który go uściskał serdecznie a krzyżem pobłogosławił.

Wosiński zlustrował towarzyszów, przestrzegł Jordanów i Dziewanowskiego, aby dragońskich pałaszy z rąk nie wypuszczali dla uniknięcia brząkania, kazał opatrzyć pistolety i dał znak do ruszenia w drogę.

IV.

Bitwy pod Jeną i Auerstädt poruszyły w posadach monarchię Fryderyka Wielkiego. Zaufanie w potęgę czwartej z rzędu koalicyi, złożonej z Prus, Rosyi, Anglii i Szwecyi, ustąpiło nagle panice powszechnej i zabobonnemu lękowi. Fryderyk Wilhelm próżno nazajutrz po bitwach żądał rozejmu, przeklinając chwilę, w której dał posłuch podszeptom swej energicznej małżonki. Napoleon odmówił, nierad wstrzymywać swego zwycięskiego pochodu. Fryderyk Wilhelm, drżąc już nie o całość granic swego państwa, lecz o koronę, słał posłów na dwory sąsiednie, wzywał pomocy w Wiedniu, Londynie a Petersburgu.

Franciszek austryacki po daremnych z Francyą zapasach, gojąc bolesne szczerby pogromu austerlickiego, czekał spokojnie wyniku wypadków, sposobiąc się skrycie do wojny, a dwór pruski tajnemi notami łudząc. Anglia nie otrząsnęła się była jeszcze z idei miłośnika pokoju, ministra Foxa, i choć wylądowanie wojsk swoich w Hamburgu zapowiedziała, nie zdążyła z pomocą. Cesarz zaś Aleksander nie mógł oprzeć się pewnej niechęci ku Fryderykowi za jego niedawną przewrotność, która, gdy go do związku przeciw Francyi przed Austerlitzem namawiano, sprawiła, że Prusy, udając przyjaźń dla Rosyi, nie zrywały z Bonapartem — tu i tam polując na rzucenie im ochłapu ze zdobyczy. Gdy atoli król Fryderyk błagać nie przestawał, cesarz Aleksander, wspaniałomyślnością wiedziony, dał się w końcu nakłonić do próśb Fryderyka i wysłał był korpus pod przewodem

generała Benigsena. Ten choć postępował szybko, nie mógł sprostać błyskawicznym ruchom armii napoleońskiej. A raczej nie przypuszczał, aby ci sami oficerowie pruscy, którzy niedawno jeszcze, zapałem wojennym uniesieni, pod oknami posła francuskiego w Berlinie ostrzyli pałasze — bez wystrzału poddawali fortece, składali broń, lub na widok jednego orła cesarskiego pierzchali w rozsypce.

A przecież Bonaparte nie chciał tej wojny! Listy odręczne do króla pruskiego pisał, powolnym będąc na wszelkie wykręty posła niemieckiego Knobelsdorfa, i dopiero gdy noty Fryderyka stały się coraz natarczywszemi, a żądanie uznania przez Francyę związku północnego państw zagrażało lidze reńskiej, Napoleon skinął i trzykroć stotysięcy wojska ruszyło od brzegów Renu.

Król pruski skwapliwie podjął rzuconą mu rękawicę i zwołał wielką radę wojenną, w której zasiedli starzy a doświadczeni generałowie. Więc siedemdziesięcioletni książę Brunszwicki, sławny marszałek Möllendorf, żołnierz znakomity a towarzysz Fryderyka Wielkiego, książę Hohenlohe, Massenbach generał kwatermistrz, książęta krwi, Ludwik Ferdynand, wódz niespożytej odwagi i rozważny Blücher i Rücher, Kalkreuth i Schmettau, Tauenzien, a w końcu sam książę Wilhelm August pruski — opracowywali plany bitew i ruchów wojska, każdy krok ważąc, każdy rozkaz surowemu sądowi poddając.

Napoleon tymczasem czasu nie tracił, planów nie układał, rzutem orlego wzroku ogarnął Europę, najlepsze kombinacye pruskich wodzów jednym ruchem ręki niwecząc, każdą zajętą pozycyę nieprzyjaciela na swoją obracając korzyść.

Jeszcze nie skrzepły potoki krwi pruskiej pod Jeną i Auerstädtem, gdy generał Kalkreuth poniósł klęskę pod Greussen, a w trzy dni później poddał się wraz z 15.000 armią.

Marszałek Davoust zajął Lipsk, Bernadotte zniósł pod Hallą księcia Wirtemberskiego, załoga Szpandawy złożyła broń przed Lannem, książę Hohenlohe

przed Murątem pod Preslau; Szczecin, Kistrzyń, Lubeka, Magdeburg kapitulowały po kolei, oddając w ręce Francuzów tysiące dobrze wyćwiczonego żołnierza, zapasy amunicyi, setki armat, niezdobyte mury forteczne. Nigdzie żadnego oporu, żadnej obrony dłuższej. Jeden zewłok bohaterskiego księcia Ludwika Ferdynanda pod Salą, a potem już tylko białe chorągwie parlamentarzy, upokarzające traktaty i jeńcy a kontrybucye.

Król Fryderyk ze szczątkami armii schronił się do Królewca i znów rozpoczął układy. Napoleon tymczasem Sasów obdarzył wolnością, garstkę szwedzkiej odsieczy... puścił do domu, szukając, według swego zwyczaju, sprzymierzeńców pośród nieprzyjaciół.

Burza zdawała się cichnąć. Aż naraz, w ślad za tłumami zbiegów pruskich, ciągnących ku Wiśle i Warcie, ruszyły dalej zwycięskie orły pięcioma wielkiemi kolumnami, prowadzonemi przez marszałków Augereau, Davousta, Lanna, Murata i brata cesarskiego, Hieronima. Wejście armii francuskiej do ziemi, Prusami Nowowschodniemi zwanej, poprzedzili liczni wysłańcy generała Dąbrowskiego i Józefa Wybickiego, a przed nimi jeszcze głuche wieści, pełne nadziei, mar słodkich i ułud zwodniczych. I zanim placówki francuskie a rekonesanse zdążyły sięgnąć granic Wielkopolski — już kraj cały przed nimi wrzał a sposobił się do czekających go wypadków. Imię Napoleona rozbrzmiewało coraz silniej, budząc ludność z odrętwienia.

Floryan z towarzyszami swymi zdołał po czterodniowej podróży przedostać się do Poznania, uniknąwszy szczęśliwie pruskich pikiet i spotkania z drobnymi oddziałami wojska, które z pośpiechem ściągało ze wszech stron ku Warszawie. Żałował był z początku Gotartowski, iż nie poszedł za namową Wincentego Jordana i do Gortatowic na nocleg nie zboczył — atoli, przekonawszy się w drodze z poszeptów a gawęd, że Francuzi nie żartem już się zbliżają, rad był, że do bałamuctwa się nie skłonił.

W Poznaniu trafiono właśnie na chwilę wejścia pierwszych dwóch pułków strzelców francuskich. Zamęt i ruch w całem mieście panował z tego powodu nie do opisania. Ludność wyległa na ulice, witając z zapałem przybywających oswobodzicieli. Formalne bitwy staczano o prawo zdobycia na kwaterę jednego żołnierza. Okrzyki gromkie, wiwatowe salwy, uroczyste nabożeństwa dziękczynne, odezwy i proklamacye Wybickiego, wici na pospolite ruszenie sędziwego wojewody Radzimińskiego, krotochwilne wierszyki, żegnające Prusaków, zebrania a uczty, gromadzenie się ochotników, powoływanie deputacyi do Napoleona, rugowanie pozostałych sług króla Fryderyka, wszystko to wzburzyło spokojne jeszcze niedawno umysły, a cichemu Poznaniowi nadało charakter rewolucyjnego grodu.

Uniesienie było powszechne, gorączka opanowała wszystkich. Tu układano projekt konfederacyi pod Napoleonem, ówdzie organizowano kasę centralną ofiar obywatelskich, gdzieindziej z dawnych wojskowych formowano zakłady pułków, rozpisywano listy do przedniejszych ziemian, obmyślano uroczyste przyjęcia dla przyszłego zbawcy narodu. I w jednej chwili rzucono się do pracy gwałtownej, odrywając się chyba dla powitania nowego regimentu francuskiego, lub okazania swej serdecznej gościnności „bratnim zastępom“. Pracowano dzień i noc, bez wytchnienia, z morzem nadziei i bezgranicznej ufności w gwiazdę i potęgę wielkiego zdobywcy. Szyto mundury, czapraki a kaszkiety, porządkowano zapylone kulbaki, polerowano broń, gromadzono zapasy rozmaitych prowiantów. Kuźnie zamieniały się w ludwisarnie, krawieckie warsztaty — w szwalnie pułkowe, opuszczone szopy — w magazyny i składy.

Dwory i dworki, nowomodne pałace a zmurszałe zamczyska, kamienice, czworaki a chaty, lepianki a najuboższe izdebki uczestniczyły w ruchu powszechnym a trosce. Żony sposobiły mężom odzież, matki ekwipowały synów, młode dziewczęta ślęczały nad haftami sztandarów i oficerskich „obszlegów“.

Gromadka pozostałych w Poznaniu Prusaków ponuro spoglądała na te przygotowania a wesele, próżno szukając punktu wyjścia z nieprzyjemnego położenia. Raz w raz ktoś z Prusaków wymykał się cichaczem ku Berlinowi, aby choć między swoimi przetrwać zmienne losu koleje. Lecz byli i tacy, którzy nadrabiali minami i co prędzej zmieniali front, byle utrzymać się na urzędach a posadach. Zdarzało się więc, że najzagorzalszy Prusak deklarował się być najszczerszym przyjacielem Polaków. Niedawny sługa „małego“ Fryca, sam usuwał ślady jego wczorajszego panowania i władzy.

— Unsere polnische komission fojefuzkie! — mówił głośno opasły urzędnik pruskiej „kamery“.

A bakałarz, stary Niemiec, głaskał w szkole chłopców i powtarzał z powagą:

— Sing, du Bube! Marś, marś!!

Porucznik Gotartowski, ulokowawszy się z towarzyszami swymi w gospodzie na Starym Rynku, wyszedł był natychmiast szukać generała Dąbrowskiego, który, według zapewnień właściciela gospody, bawił od dni kilku w Poznaniu. Jakoż, po krótkich dopytywaniach, dowiedział się, iż generał stoi w domu Mielżyńskich. Floryan udał się tam niezwłocznie, lecz tu, dostanie się do Henryka Dąbrowskiego było rzeczą nader trudną. Dziesiątki osób zalegały poczekalnie, najznamienitsi panowie dobijali się o kilka słów rozmowy z generałem. Dawni oficerowie, chcący przyjąć nową służbę, delegaci z okolicznych powiatów, szlachta, mieszczanie, wszystko to cisnęło się, czekając uporczywie swej kolei. Próżno Gotartowski tłómaczył się nieznanemu sobie sekretarzowi generała, próżno nastawał, aby go doń natychmiast wpuszczono. Nikt słuchać go nie chciał. Mijały godziny całe. Przed oczyma porucznika przesuwały się dziesiątki osób, setki wysłańców rozmaitych, półwojskowo odzianych ordynansów i kuryerów, a kolej jego nie przychodziła jakoś. Gotartowski zniecierpliwiony natarł ostro na sekretarza, lecz ten tylko ramionami wzruszył:

— Tu każdemu pilno. Każdy ma sprawę nie cierpiącą zwłoki! Widzisz waszmość, kto tu czeka również?... Patrzże... kasztelan Krzyżanowski, Bieliński, pisarz koronny, Imć Działyński z Konarzewa, Kiełczewski, chorąży kaliski!... Jaraczewski! Chłapowski!

— Za pozwoleniem! — odparł ostro Floryan. — Nie chcę ubliżyć dostojnym osobom, lecz ja wracam z ważnym raportem!...

— Et! — odrzekł obojętnie sekretarz — takich ważnych raportów jest pełna poczekalnia! Trzeba czekać! A dowiedzże się waszmość, iż w tej chwili bawi u generała dowódca przedniej straży, generał Milhaud!

Jakby na potwierdzenie tych słów, we drzwiach, prowadzących do tymczasowego gabinetu Dąbrowskiego, ukazała się wyniosła postać francuskiego generała. Szmer zaciekawienia powstał w poczekalni. Floryanowi błysnęła szczęśliwa myśl. Poszedł szybko do Milhauda i, wyprostowawszy się, odezwał się doń czystą francuszczyzną:

— Generale! Porucznik legii włoskiej ośmiela się prosić o wyświadczenie mu łaski!

— Proszę! — rzekł uprzejmie generał.

— Wysłany przez generała Dąbrowskiego, wracam z papierami z Warszawy, lecz tu, dzięki nieświadomości sekretarza, który raport wojskowy traktuje na równi ze sprawami cywilnemi, czekam od trzech godzin bez nadziei przedostania się do generała!

Milhaud skinął przyjaźnie porucznikowi.

— Chcesz pan, żebym mu drogę utorował? Owszem — pozwól pan ze mną!

I generał zawrócił z powrotem i poprowadził Floryana wprost do Dąbrowskiego.

Dąbrowski aż rękoma strzepnął z ukontentowania na widok porucznika:

— Jesteś nareszcie! Myślałem, żeś przepadł! Jakże? Masz odpowiedź? Papiery?!...

Gotartowski opowiedział pokrótce szczegóły bytności swojej u księcia Józefa i generała Woj-

czyńskiego, a w końcu doręczył Dąbrowskiemu listy rady.

Generał przebiegł szybko podane mu pisma.

— Dobrze! — ozwał się z zadowoleniem. — Bardzoś dobrze zrobił, żeś trafił do Wojczyńskiego. Po Poniatowskim wiele sobie nie obiecywałem! Wyższa polityka świta mu w głowie! Zapomniał widocznie, iż przed ośmiu laty z górą próbowałem już tych dróg! Zarozumialec! W takim Berlinie pół roku blisko kołatałem. Mniejsza o niego. Wojna bez jednego żołnierza się odbędzie. W porę mi przybywasz, bo tu roboty masa, a ludzi brak!

Floryan wspomniał o towarzyszach swoich, nadmieniając, iż o ile mu wiadomo, młodzież ciągnie ze wszystkich stron.

— Wybornie! — podchwycił z ogniem Dąbrowski. Dawaj mi tu tych zuchów! Takich właśnie nam potrzeba! Nie konsyliarzy, nie polityków, nie doradców — lecz żołnierzy! Właśnie oto generał Milhaud potrzebuje na gwałt dobrych dragomanów oficerów... marszałek Davoust prosi o przygotowanie dlań kuryera, znającego język rosyjski... jutro podjazdy pierwsze ruszają w głąb kraju... Setek tysięcy potrzeba!... A im prędzej przedstawimy naszemu cesarzowi nasze pułki a dywizye, tem większego nabierze on mniemania o naszej sprawie!... Słuchaj Gotartowski! Godzina, dwie jeszcze i pozbędę się tego tłumu natrętów, którzy mnie tu opadają, częściej własne korzyści i ambicye niż dobro publiczne mając na celu... Otóż zbierz tych twoich kompanów i przychodź... Twojemu wyborowi ufam!

Milhaud, który zdala przysłuchiwał się tej rozmowie, słowa nie rozumiejąc — odezwał się po francusku:

— Widzę, że wprowadzając tu porucznika, niemałą oddałem panu usługę.

— Ależ tak! — zawołał żywo Dąbrowski. — Pozwól sobie, kolego, przedstawić!... Floryan Gotartowski, oficer legii, weteran z pod Marengo, Adygi, Cortony, Novi!

Milhaud uścisnął serdecznie rękę porucznika.

— Miło mi poznać pana! Walczyliśmy więc przez lat tyle obok siebie!... nie znając się wcale!...

— Ba, ba! Dzielny oficer. Ot... gdyby tak Francuzem był, kto wie czyby szluf generalskich nie miał!... Lecz co teraz ranga go nie minie!... Powiadają, że drugiego „brumaire“ w ósmym roku wojna trzydziestoletnia uratowała mi życie, lecz gdyby Gotartowskiego nie było pod ręką, kto wie, czyby mnie grenadyer austryacki nie dobił!...

— Jakże-to? — zagadnął ciekawie Milhaud.

— Ot! Nic wielkiego! Austryacy pod Novi po raz drugi zabrali do niewoli generała Jabłonowskiego. Chcieliśmy go odbić. Drugi batalion z niedobitkami pierwszego prowadziłem do ataku na bateryę. Gotartowski szedł tuż przy mnie. Wpadamy na armaty. Odcinam kanonierowi pałaszem trzymany lont wraz z palcami... w tej chwili kula rekoszetując, uderza mnie w bok... gdzie akurat miałem w kieszeni historyę wojny trzydziestoletniej... Uderzenie zwaliło mnie z konia. Tymczasem inny kanonier wpada na mnie, lecz tu był Gotartowski!! Słowem skończyło się na tem, że kula austryacka okaleczyła portret Maryi Teresy, który był na pierwszej stronie mojej historyi, poszarpała okładkę, i naraziła mnie na wydatek zakupienia drugiego egzemplarza!!...

— Szczęśliwy zbieg okoliczności!

— Albo pod Ovada!... Hola! Żołnierska natura gawędziarska ciągnie! Daruj kolego!... Nie czas po temu! Więc, kiedy mamy się spodziewać przybycia marszałka?

— Szef szwadronu, Deschamps, zapewnia, że marszałek musiał już opuścić Międzyrzec... Może na jutro zdąży!...

— Hm! Więc mało już czasu pozostaje!... Pan chce ruszać dalej?

— Bezwarunkowo! Przypominam koledze o przyrzeczonych przewodnikach...

— Będą z pewnością! Prusacy podobno obwarowują się w Łęczycy... Pikiety rosyjskie stoją pod Łowiczem.

— Co pan mówi! — wykrzyknął nieco zdetonowany Milhaud. — Więc w kraju tym są jeszcze wojska nieprzyjacielskie?

— Niezawodnie — odrzekł Dąbrowski. — Lecz bądź kolega spokojnym! W dwieście koni możesz już dzisiaj do Warszawy dotrzeć... Ja odpowiadam! Żadnemu z twoich żołnierzy włos z głowy nie spadnie. A teraz daruj, kolego, lecz do pracy muszę, bo Wybicki mi tu spokoju nie da... Wieczorem proszę!!... A i ty, kochany poruczniku, stawże się niechybnie!...

Gotartowski powrócił śpiesznie do gospody zdać sprawę towarzyszom z audyencyi u Dąbrowskiego. Zastał ich gwarzących wesoło wśród ciżby francuskich żołnierzy i tłumu szlachty i mieszczan. Gęsto rozstawione butle a gąsiory świadczyły, że podejmowano tu armię Napoleona suto a gościnnie. Żołnierze zapijali ze smakiem miód, węgrzyna... zmiatali z talerzy, a misek obficie zastawione jadło, wykrzykując co chwila wesoło. Szlachta i mieszczanie, nie rozumiejąc zgoła języka francuskiego, rozprawiali między sobą, spełniając co chwila liczne toasty a zdrowia. W całej gospodzie jeden Dziewanowski znał dobrze język francuski, jego też obydwie strony powołały na tłómacza swych uczuć i wynurzeń. Co chwila ktoś zwracał się do pana Jana z żądaniem przekładu, co go rzetelnego nabawiało nieraz kłopotu.

— Janek od morza do morza — wołał swym grubym głosem Hermelaus Jordan — powiedz-że im, że choć mi dyablo kuso wyglądają, ale sprawne szelmy, kiedy takie jatki Prusakom wyprawili!...

— Czekajcie moćpanowie! — krzyczał Wosiński. — Do porządku dziennego! Imć pana Dziewanowskiego obliguję, aby tym czarnym łbom wytłómaczyć, że który kropelkę miodu zostawi w szklanicy, temu się ją za kołnierz wyleje!...

— Za pozwoleniem — złościł się młodszy Jordan. — Niechże nareszcie dowiemy się, z pod czyjej są komendy!...

— Veto! — ryczał w kącie opasły szlachcic.

— Panie! — napierał się stary kapral francuski. — Więc nie macie czerwonego wina wcale?!... A może sałata jest!!

— Salade! Salade! — podtrzymywali chórem żołnierze.

— Janku, zmiłuj się! — błagał Hermelaus. — Gadajże nam, czego się tak drą!?

— Proszą o sałatę!! — objaśnił Dziewanowski.

— Hej gospodarzu! Sałaty!! Podać sałatę!! — ozwały się do około głosy.

— Veto! — huczał ciągle ten sam bas. — Niema zgody! Niema sałaty!!...

Tumult się wzmagał. Cała izba wołała o sałatę. Sałata stała się nagle najważniejszą kwestyą, najpilniejszą do załatwienia sprawą. Wyciągnięto z kąta właściciela gospody, zaklinając go, aby upragnionej sałaty z pod ziemi bodaj wydostał. Zafrasował się gospodarz, lecz przyrzekł najsolenniej zarządzić poszukiwania w całem mieście...

Zapewnienie to uciszyło na chwilę zebranych. Naraz rozległ się piskliwy głos z pod pieca.

— Mówiłem, panie dziu... także boćwinkarze i nic więcej!

Oczy obecnych Polaków w jednej chwili zwróciły się w stronę, skąd ich był głos doszedł. Pod piecem w ciemnym żupaniku siedział pękaty szlachetka z małym zadartym noskiem, z pod którego dwie olbrzymie miotły wąsów sterczały groźnie, zasłaniając okrągłą, pyzatą twarz.

Hermelaus porwał się z miejsca:

— Cóż to acan od morza do morza?!... Komuż to mówi... od boćwinkarzy!?

Szlachetka poczerwieniał i odparł buńczucznie:

— Komużby!? Nie mówię... jeno powiadam panie dziu... mieliśmy kartoflarzy, teraz przyszli boćwinkarze... i tyle!!...

— Co to? Kto to?!!... — zakrzyknięto w izbie.
— Silentium! — ozwał się ktoś ze szlachty.
— Cofnij acan obelżywe słowa! — wołał Hermelaus.
— Niech cofnie! Musi cofnąć!!...
— Veto!
— Panowie! — upominał Dziewanowski, widząc, że się na awanturę zanosi.
— Boćwinkarze, powiadam, panie dziu!
— Hola! Coś acan za jeden!? Niech wiem, zanim odeń porachunku zażądam od morza do morza...
— A przecież to imć pan Bonawentura Zając-Zajączkowski ze Zbyrek! — ujął się ktoś z tłumu.
— Otóż właśnie w tem sęk! — wmieszał się kapitan Wosiński. — Alteracya Imć pana Zająca nikomu dziwną być nie powinna! Wszak ci franci chcą mu spustoszenie uczynić w ulubionym specyale! Słuszna rzecz, gdy sałata w zającu znajduje obrońcę.

Ogólny wybuch śmiechu rozprószył w jednej chwili nadciągające chmury. Pękaty szlachetka przycupnął znów pod piecem, rad w duszy, że zajścia uniknął. Jeden Hermelaus był chmurny. Nie po myśli mu było wmieszanie się Wosińskiego. Nauczyłby szaraka rozumu!

Francuzi poglądali na tę scenę w niemem osłupieniu, napróżno starając się z ruchów i wyrazów twarzy wyrozumieć, o co rzecz idzie. Zwrócili się do Dziewanowskiego, lecz ten ich zbył wpół żartem i zwrócił się do Gotartowskiego, który zdołał nareszcie docisnąć się do stołu.

— Przez miły Bóg! — zaczął gorączkowo Floryan. — Porzućcie tę całą kompanię. Gotowiście sobie głowy zaprószyć, a tu dziś mamy się stawić u generała!

— Robię co mogę. Widzisz sam, poruczniku, co się dzieje! Obawiam się o starszego Jordana! Wincenty pomiarkowany zawsze, o Wosińskiego mniejsza, ten ma głowę z kamienia... lecz Hermelausowi już zaczmerało.

— Niema co! Wychodźmy stąd zaraz!... Wyciągnij waszmość tylko Hermelausa.

Niełatwa to atoli była rzecz, bo starszy Jordan, gdy mu się sprawa o „boćwinkarzy“ nie powiodła, zawrócił był już z miejsca w przeciwległą stronę izby w kąt, pod oknem, skąd co chwila dobywało się basowe „Veto“. I nim zdołał ruszyć za nim Dziewanowski, Hermelaus mierzył ostro wzrokiem opasłego szlachcica, raczącego się piwem grzanem.

— Jordan jestem! — rzucił groźnie Hermelaus, macając głownię pałasza.

Szlachcic podniósł zwolna głowę, dobył tabakierki, pociągnął jeden i drugi niuch tabaki i odrzekł obojętnie:

— Jordan!?... Hm! Sroga rzeka, sławna, katolicka, a jakże!

— Waść sobie dworujesz! Powtarzam... Hermelaus Jordan jestem do milion dyabłów od morza do morza!...

— Hę! Menelaus!... Piękny ród, starożytny, jeno on Parys niepotrzebnie na przyprzążkę z nim chodzi!

Imć Hermelaus posiniał z gniewu. Oczy mu na wierzch wyszły, olbrzymie kiście rąk zacisnęły się w pięści i spadły z impetem na stół, przy którym siedział flegmatycznie szlachcic.

— Acan mi ważysz się przymawiać?!... Acan z poczciwego imienia Jordanów żarciki sobie stroisz?!...

— Gdzieżbym się ważył!... Nie widzisz waćpan, że jakeś pięścią walnął, to cię nawet mój kufel uszanował!...

— Dosyć! Milcz, capie jeden od morza do morza!

— Aż taki wielki? Hm! Tandem... pistolety, karabele, pałasze... gwintówki?... Wybieraj! Byle nie armaty, bo mi ostatnią wiwatówkę landrat łońskiego roku ze stodoły wyprowadził!

— Bizuna na trefnisiów!

— Chcesz się acan biczować!?

Hermelaus skoczył ku przeciwnikowi, chwycił go za bary, lecz ten nagle poczerwieniał, otrząsnął

się i pchnął Jordana tak silnie, że ten upadł pomiędzy zwarte koło skupiających się widzów.

Hermelaus porwał się do pałasza i jął się przedzierać do szlachcica, lecz w tejże chwili nadbiegli Wosiński z Dziewanowskim i wstrzymali go, gdy Wincenty Jordan, ujmując się za bratem, przypadł do stołu w kącie.

— Mości panie! Co znaczy napaść taka?!... Chcesz, aby cię tu na szablach rozniesiono?!...

— Powoli, powoli, zacny kawalerze! Bacz kto zaczynał! Jam tu waścinego kamrata nie prosił!...

— Puśćcie mnie! — ryczał z głębi izby Hermelaus. Niech mu uszy poobcinam!

Floryan, zoczywszy, że znów z drugim Jordanem zanosi się na awanturę, odciągnął Wincentego za ramię.

— Mnie zostaw.

Zaczem, zwracając się do szlachcica, rzekł:

— Z kimże mam honor przedewszystkiem?

— O to właśnie chciałem zapytać!

Gotartowski zagryzł wargi, lecz odparł, siląc się na spokój:

— Floryan Gotartowski, porucznik legii włoskiej!

— Syn... Józ... Józefa?! — rzucił pośpiesznie szlachcic.

— Tak! Lecz z kimże!!? — tu urwał nagle, bo opasłe ciało nieznajomego zawisło nagle mu na szyi.

— Patrzaj! Florek! A niechże ci się napatrzę!! Żem cię nie poznał! Kubek w kubek do ojca podobny!... Dajże gęby!... A no jeszcze!... Za przepadłego cię mieli!... Siadaj-że no przy mnie! Gospodarzu!... Miodu!... Poczciwy Józef... ot, serce się kraje go wspominać! A i piwa grzanego!

Gotartowski, zaskoczony znienacka, ani się obejrzał, jak szarpnięty przez szlachcica, siedział tuż przy nim na ławie.

— Daruj waszmość, lecz nie wiem dotąd...

— Florek!... Nie wiesz!? Bonawentura Głuski z Jastkowa!...

— Głuski?!... — powtórzył przeciągle porucznik, napróżno siląc się przypomnieć, gdzie to nawisko słyszał.

Szlachcic się skonfundował nagle:

— Cóż to ciągniesz tak moje nazwisko?... Głuski, powiadam — to i dosyć! Z ojcem twoim w konfederacyi byłem!... He-hę! Dawne czasy! Veto — i koniec! Poznałeś-że mnie?... Jeszcze?... Z niebaś spadł?!.. Toć brat twój, Staszek, ma się ku mojej Marysi! No — teraz?!

Tu dopiero wspomniał porucznik, iż matka mu powiadała o mających się odbyć zrękowinach Staszka z panną Maryanną Głuską, córką posła ostrowskiego, dawnego towarzysza broni ojca.

Ale Imć pan Bonawentura nie dał mu przyjść do słowa:

— Owóż właśnie wracam z pod Kruszwicy, gdziem do krewnych Przybyszewskich jeździł windykować jakąś tam sumkę, zawadziłem o Poznań, ot i masz ci paradę... jakiś taki tu do mnie z pięściami..: Jordan — mówi — jestem! Daj go katu! Co mu młokosowi!... Pijże piwo, bo stygnie, a miodu szelma nie przynosi!... Chwyta mnie za bary i trzęsie! Dzięki Bogu, jeszcze na stare lata człek krzepę ma!...

— To dzielny kawaler — głowa tylko słaba! — tłómaczył porucznik.

— Ba! ba!... Dzielność bez głowy licha warta!... Juści nic mi tam do niego!... Mości Jordanie, prosimy, jeśli łaska, na kapeczkę!...

Hermelaus, który był się już z impetu pierwszego otrząsnął, spojrzał groźnie na pana Głuskiego — ten nie dał się zbić z tropu.

— Sierdzisz się waszeć? Veto! Nie odymaj się tak, a chodź. Morowość ci z oczu bije! Kapeczka przednia!

Hermelaus próbował się dąsać, lecz Wosiński z Dziewanowskim umitygowali go do reszty. Podczas Imć pan Bonawentura się rozochocił i, na szklanice zakrzyknąwszy, wszystkich towarzyszów Floryana do kompanii zaprosił.

— Co wam tam — mówił — po Francuzach! Ktoby się z nimi dogadał!... Pali was cała wątroba, proch pachnie... będziecie go mieli!... My sobie w lubelskiem siedzimy cicho, przycupnąwszy pod Austryakiem i tak dychamy. Ba! Nie te czasy, nie dawne! Imć pan Kazimierz Puławski w srogiej Hameryce Kolumbowej wojuje!... Komu to tu świat durzyć!

— Napoleon... — wtrącił Dziewanowski.

— Co Napoleon?! Veto! Rozumiesz waszmość?!... Posłem jestem... a sejm nasz jest jeno limitowanym! Wiem, wiem, pilno wam! Pilno! He-he! To też Głuski żadnego z wasby na zięcia nie wziął.

— Aha! Imć pan córeczki ma na wydaniu! — podchwycił żartobliwie pan Jordan.

— Jakbyś wiedział! Marysię i Jankę!... Wiśnie, maliny, no niech mnie... rzepa! Rozumiecie — rzepa — powtarzam! Co rzepa! Marcepan a orzech!

Młodszy Jordan aż zębami zgrzytnął, a oczy mu się zaśmiały.

Imć pan Głuski wąsa pokręcił a oczy zmrużył.

— Schowaj waść hajdamacki apetyt, bo już po harapie. Janka na Trzy Króle będzie żoną Tadeusza Zabielskiego, sekretarza rządu cyrkularnego lubelskiego. Marysia zmówiona bratu porucznika, Staszkowi! Dobre chłopaki i jeden i drugi! Co ważniejsze, stateczni — jeden osiądzie na roli w Jastkowie, drugi rychło promocyę na burmistrza do Ostrowa otrzyma... no i człek z czystem sumieniem a spokojem o los dziewczyn będzie oczy mógł zamknąć. A to wiele! Oczywiście, cenię ja wielce ducha rycerskiego i żołnierskie rzemiosło, ale co tu, samolubem być wolałem. Licha mi z tego, że będę miał jakiego oficera czy pułkownika za zięcia!! On w takich czasach niespokojnych to w polu, to w lesie, a jeżeli w domu, to pewno z kontuzyą razem albo z postrzałem. Żona tymczasem ni wdowa, ni rozwodnica przymiera z tęsknicy a niepokoju! U mnie mores... niechby mi się który ruszył! Veto panie i basta!...

Imć pan Głuski rozgadał się na dobre. Młodzi słuchali go z zaciekawieniem, popijając miód. Zacią-

gało się na długą gawędę. Gotartowski wspomniał na generała i jął odciągać kompanów, żegnając się z panem Bonawenturą — ten namawiał do pozostania.

— Zostańcie jeszcze! Przecież ten generał wasz nie ucieknie... Cale was nie rozumiem. Ciurami przecież nie jesteście, ani pachołkami... Nieprzyjaciel wam na karku nie siedzi, niema do czego śpieszyć!...

— Subordynacya, karność! — ozwał się Wosiński.

— Chcesz wasze powiedzieć: nowa moda!... Et, dawniej tego nie bywało, a mieliśmy i Kirholmy i Grünwaldy! Cóż, nalegać nie śmiem! Szkoda, bo mi w drogę się wybierać niesporo. Czasy niespokojne, a grosz się wiezie. Wpadnijcież, jeśli łaska, do oberży — bez mała dzień cały kiwam się tu w kącie nad piwem!... Ale! Florek! Toćbym przepomniał, że właśnie do Gortatowic ciągnąć myślę!... Niby to niekoniecznie po drodze, lecz skoro się wybrałem!... Bywajcie mi tedy!...

Floryan z towarzyszami swymi udał się wprost do generała Dąbrowskiego. Generał przyjął młodych ludzi serdecznie, rzucił okiem doświadczonego wodza na muskularne postacie Jordanów, marsową twarz Dziewanowskiego, zamienił słów kilka z kapitanem Wosińskim i jął szeptać ze stojącym zdala Józefem Wybickim.

Narada była krótka. Generał raz jeszcze powiódł okiem po wyprostowanych postaciach towarzyszów Gotartowskiego, w końcu rzekł głosem cichym, urywanym:

— Panowie! Witam was całem sercem i ufam, że na was się nie zawiodę. Pierwsi nieomal stawiacie się... zapomnianem wam to nie będzie.

— Generale... — zaczął Wosiński, lecz Dąbrowski przerwał mu żywo:

— Zaręczenie Gotartowskiego mi wystarcza! Nie czas na wynurzenia! Gotartowski, kto włada francuskim?

— Jan Dziewanowski!

— A rosyjskim?

— Dziewanowski.

— Wybornie! Mości Dziewanowski, czy gotów jesteś ruszyć w drogę do Warszawy?!...

— Najzupełniej.

— Dobrze. A zatem, panowie Jordanowie udadzą się dziś jeszcze na noc do Sieradza w województwie kaliskiem z listami do generałów: Skórzewskiego i Lipskiego, i zostaną przy nich aż do ich dalszych rozkazów! Papiery są wygotowane na dole u sekretarza... za tą kartą Imć pan Wiktor Szółdrski, członek komisyi wojewódzkiej, wyda waćpanom opatrzenie na drogę, konie i paszporty pruskie na wszelki wypadek, radzę ich atoli nie okazywać i okazywania unikać... Sprawa pilna, misya dająca waćpanom okazyę do wyróżnienia się... Tu jeszcze jest dyspozycya dla sekretarza! Panowie! W drogę!...

Jordanowie spojrzeli po sobie nieco zdziwieni, nie spodziewając się tak szybkiego ordynansu! Hermelaus chciał coś odpowiedzieć, lecz wzrok Dąbrowskiego przeszył go na wylot.

— Żegnam panów! — uciął nagle generał.

Dziwną mocą tego głosu obezwładnieni Jordanowie, skłonili się i wyszli.

— Będą ludzie! — mruknął w pół do siebie Dąbrowski i zwrócił się z kolei do Dziewanowskiego:

— Mości Dziewanowski!... Waćpana czeka zadanie nielada. Ruszysz dziś, natychmiast pod Łowicz, do armii generała Benigsena...

— Benigsena! — powtórzył z lekkiem zdziwieniem w głosie pan Jan.

Dąbrowski się uśmiechnął.

— Niejasnem się to wydaje waćpanowi? Zważaj, bo trafi ci się to jeszcze nieraz. Rzecz żołnierza rozkazy wykonywać... Z tą notatką udasz się waćpan na kwaterę do generała Milhaud, który ci bliższych udzieli rozkazów i zaopatrzy należycie... Spraw się dobrze, a szlufy oficerskie cię nie miną. Ufam imieniu waćpana, bo już kilku Dziewanowskich miałem, jako dzielnych żołnierzy. To wszystko! Drogi szczęśliwej życzę... Powtarzam, misya ważna, że się waćpanowi dostała, zawdzięczaj to znajomości języków i temu

mojemu wewnętrznemu przeświadczeniu, że Dziewanowski żaden nie zawodzi!...

— Generale, bodaj mi przyszło...

— Nie kończ! A pamiętaj, że gdybyś miał poledz, spełnisz tylko obowiązek!

Dziewanowski oddalił się. Z twarzy Dąbrowskiego znikła nagle surowość i powaga. Podszedł do Gotartowskiego, ujął go przyjaźnie za ramię:

— No, Florek? Jakże?!... Ruszysz znowu! Aż żal mi na ciebie patrzeć!... Panie Józefie! Znaszże go!... Ledwie z Warszawy wrócił...

— Wiem, wiem — podchwycił Wybicki, podchodząc do porucznika i ściskając go za rękę. — At, pamiętam wybornie porucznika! Przecież to najpilniejszy słuchacz naszych wykładów w legii. Kapitan Paszkowski, wykładający matematykę i naukę języków, odchwalić go się nie mógł.. Ba, przypominam sobie, jak namawiał porucznika Gotartowskiego, aby do artyleryi wszedł!... Cieszę się szczerze, że waćpana widzę przy zdrowiu!

— Mości komisarzu, mnie to raczej radować się należy, iż danem mi jest oglądać męża tyle zasłużonego a wsławionego!

Wybicki uśmiechnął się przyjaźnie:

— Za dobre słowo, Bóg zapłać!... Ale, mości generale, jużbyś mu wypocząć dał... czas jakiś!...

— Otóż właśnie o tem myślę! Ludzi brak!

— Generale! — rzekł ochoczo Floryan. — Jam gotów, choćby zaraz! Co ja tu będę robił?!... W Poznaniu siedział? Wolę w drogę!... Proszę jak o łaskę, aby mi nie danem było wypoczywać teraz, gdy najmniej po temu czasy właściwe!...

— To mi zuch!... No Florek! Przecież ci się kapitańskie szlufy należą, do czarta! Tembardziej, że oto mam zamiar wysłać cię z kapitanem Wosińskim, a choć i jego zasługi w gwardyi narodowej nie były pewno mniejsze — lecz tyś już wiarus prawie! Masz czterdzieści bitew!?...

— Pięćdziesiąt dwie! — odparł Gotartowski, zarumieniony od dobroci a łaskawości generała.

Dąbrowski pokiwał głową:

— Patrzcie, panie Józefie!... Dalipan w obcem wojsku byłby generałem może!!... Nie, nie! Kapitanie Wosiński, nie ubliżam waszej szarży, lecz tego młodego wiarusa pod komendę wam nie oddam!

— Generale! Krótkie jest moje z Imć Gotartowskim przyjacielstwo, lecz bodaj dziś do jego pułku bym się zaciągnął — wtrącił ze szczerem uznaniem Wosiński.

— I słusznie! Pewno go to nie ominie!... Mości poruczniku Gotartowski, imieniem cesarza komenderuję cię na kapitana strzelców francuskich.

— Według rozkazu! — ozwał się Gotartowski, a przez czoło jego przeszła niedostrzegalna chmura.

Dąbrowski ją dostrzegł:

— Rozumiem! Florek, nominacya to chwilowa, bądź przekonany, że nie zezwolę, abyś długo pracował na sławę francuskiego pułku!... Baczność! Panowie kapitanowie, natychmiast udacie się do generała Milhaud, a po przedstawieniu się u niego, pójdziecie na kwaterę do pułkownika Deschamps, który prowadzi przednią straż! Pułkownik Deschamps potrzebuje przewodników, tłómaczów, a zarazem zdolnych oficerów... prawda, niesporo będzie wam, oficerom piechoty, na kawalerzystów się zamieniać. Lecz znieście to i pamiętajcie, że marszałek Davoust będzie o was powiadomionym najdokładniej i pierwszy wakans w mających się formować regimentach was nie minie! To i wszystko! No, Florku daj rękę. Spokojniejszy jestem o rekonesanse i całość podjazdu!... A i panu, kapitanie, polecam...

— Oho! Generale! Zaprowadzimy ich bodaj do Stambułu! — ozwał się raźno Wosiński.

— Dobrze, dobrze... byle nie na manowce! Deschamps wyda panom umundurowanie... Tak, trzeba abyście wśród żołnierzy należyte zachowanie mieli! Ruszajcie — czas w drogę, czas!... Milhaud już się pewno niecierpliwi!... W Imię Boże idźcie... torować drogę!

Dąbrowski i Wybicki czule pożegnali Gotartowskiego. Wosińskiemu skinęli przyjaźnie i dali im znak do odejścia.

Floryan wyszedł z pałacu Mielżyńskich rozgorączkowany nieco a przejęty ważnością nowego zlecenia. Wosiński nabrał większej tylko fantazyi a ochoty. — Przed pałacem spotkali stojących Jordanów. Hermelaus ucieszył się niezmiernie.

— Jesteście przecie! Myślałem, że się z wami nie zobaczymy. Byłem właśnie u sekretarza, dał ci mi pakiet cały... a teraz sam nie wiem co robić!

— Jakto? Przecież rozkaz wyraźny, zgłosić się do pana Szołdrskiego!...

— Ależ Florek, od morza do morza! Tak zaraz w jednej chwili!...

— Gdzie tam! — wtrącił ironicznie Wosiński. — Macie czas do Sylwestra! Zaczekajcie sobie, aż przynajmniej Francuzi będą u Fukiera na Starem-Mieście.

Hermelaus się zawstydził.

— Ot żarty! Idzie się przecież! A wy gdzież macie?...

— Za godzinę ani dymu, ani popiołu z nas nie będzie!!...

— Patrzaj!... Na cztery wiatry wszyscy poszli! — zauważył młodszy Jordan. — Właśnie Dziewanowski wypadł jak strzała, ledwie że się pożegnał i poszedł przed siebie... Was kazał uściskać! Szkoda! Dobrze nam było razem!...

— Świat nie torba! — zakonkludował Wosiński. — Spotkamy się jeszcze. Dajcie pyska!... I do zobaczyska!...

Wincenty Jordan nagle spoważniał, odciągnął na stronę Floryana i zaczął niepewnym głosem:

— Słuchaj Florek, będziesz w Gortatowicach?!...

— Radbym, lecz nie wiem...

— Nie wiesz?!... A może będziesz?!...

— Hm! może będę! — odrzekł machinalnie Gotartowski, zdziwiony nieco pytaniem.

— No słuchaj, Florek... jak będziesz w Gortatowicach, pozdrów odemnie matkę, dziada, rodzeństwo... i... i... pannę Urszulę także pozdrów!!...

Floryan spojrzał na Wincentego, nie pojmując zgoła tej niespodziewanej jego pamięci. Młodszy Jordan tymczasem chwycił silnie dłoń Gotartowskiego i szepnął:

— Pannę Urszulę także pozdrów!!...

— Owszem! Dziękuję ci bardzo za poczciwe intencye! — rzekł Floryan jeszcze więcej zdziwiony i nie zastanawiając się dłużej, jął żegnać Hermelausa, upominając, aby nie zaspał sprawy.

Hermelaus zaklął się parę razy „od morza do morza“, ścisnął ręce kapitanów i pociągnął zamyślonego brata.

Towarzysze się rozstali.

Noc listopadowa otulała zwolna swym mglistym całunem mury Poznania. Miasto układało się do snu niespokojnego, gorączkowego, pełnego oczekiwania, mar słodkich i widzeń promiennych. Światła gasły powoli — cisza głęboka słała się dokoła wśród oddalonego gwaru i coraz rzadszych pokrzyków, dobywających się z oświetlonych jeszcze traktyerni. Naraz w oddali, rozległ się przytłumiony dźwięk trąbki, a w ślad za nim zadudniały kopyta...

Oddział kawaleryi wyciągniętym kłusem przebiegł przez rynek i znikł wśród ulic i domów.

V.

Pułkownik Deschamps pędził jak wicher. Otulony rozłożystym płaszczem, w nasuniętym na oczy kapeluszu, parł konia ostrogami naprzód, spoglądając niekiedy groźnie poza siebie, gdy konie ciągnącego za nim szwadronu zwalniały biegu. Czasem znów, dojrzawszy na skraju drogi chatę wieśniaczą, dworek szlachecki, pałac magnacki lub krzyżyk kościółka, osadzał raptownie konia i cedził przez zęby do jadącego tuż za nim Gotartowskiego:

— Eh bien?!

Wówczas Floryan spinał konia i wraz z Wosińskim i kilku strzelcami wysuwał się naprzód. Rozpatrywał drogę, zaglądał do chat, lub wieśniaka między opłotkami zdybawszy, pytaniami zarzucał. Szwadron tymczasem wlókł się stępa, czekając rychło pułkownik raportu nie wysłucha i pałaszem nie skinie.

Na postojach a wypoczynkach pułkownik na wszystkie strony rozsyłał wywiady, w których Gotartowski z Wosińskim ciągle udział brali. Męczyło to młodych kapitanów, Floryana, bo od konia był odwykł, a Wosińskiego, bo takiej, jak mówił, piekielnej służby nigdy jeszcze nie odprawiał.

Już to Wosińskiemu w ogóle nie po myśli była ta droga, a może bardziej jeszcze pułkownik.

— Dziwna facyata! — mruczał do siebie kapitan. — Nasrożony ciągle, nadęty, ani doń przystępuj. Prawda co ze mną nie bardzoby się dogadał, lecz przecież do Gotartowskiego, do swoich Francuzów mógłby się ze słowem poczciwem odezwać!...

Zaraz w pierwszym dniu ekspedycyi Wosiński, chcąc dłużący mu się marsz skrócić gawędą, targnął cuglami i podsunął się do jadącego przed nim Floryana.

— Mości Gotartowski — ozwał się półgłosem — dalipan, ledwie się trzymam. Dziewięć lat na koniu nie siedziałem, a tu o lada wywczasie mowy nie ma!... Zrywaj się co chwila i na wyskoki leć, niby na harce... Dobre to, ale nie wciąż!... Lędźwie mi stężało, chyba nie wytrzymam!... A i szkapsko niby takie niepozorne, a rzuca mi się!.. O!... jak to piszczy cudacznie... Musi i konie u Francuzów po francusku rżą... Ale, gdzież my tak pędzimy do licha?!...

— Mamy dotrzeć do pikiet pruskich!...

— Ba, więc idziemy na Łęczycę?...

— Gdzietam!... Łęczycę zostawimy na boku, bo od Wrześni nie poszliśmy na Golin, lecz na Pyzdry!... Pułkownik pytał się już kilka razy o Prosnę... Może zatrzymamy się gdzie pod Kaliszem, a może i dalej jeszcze!...

— Hm!... Bardzo dobrze!... Tam czy owdzie, wszystko jedno!... Ale, przecież nie jednego dnia!... I co ten borsuk siwy sobie myśli?!... Nie wiem, o czem on tam z waszmością mówi przy raportach, lecz coś mi się widzi, że onej sławnej u Francuzów waleczności ani krzty w nim się nie dopatrzysz!

— Stary to podobno żołnierz!...

— Niechże sobie ma z Bogiem dwie kopy lat! — zaperzył się Wosiński. — Mnie co do niego!... Niechaj jeno obyczaju nabierze, a polskich oficerów za nosem nie ma!... Najęliśmy się, albo co?!...

Wosiński rzucił się podniecony na siodle. W tejże chwili adjutant Francuz, jadący za Floryanem, szepnął półgłosem:

— Panowie! Radzę nie rozmawiać!... Bo nasz „biały“ ogromnie się o to gniewa!...

Wosiński chciał zapytać się Gotartowskiego, co był do niego mówił oficer francuski, gdy nagle głowa sunącego przodem pułkownika odwróciła się, a z ust jego wyszedł krótki rozkaz:

— Silence!...
— Co on mówi? — szepnął Wosiński.
— Żeby milczeć!...
— A bodaj go pokurczyło!... Zatracony jakiś Kolonel! — bąknął pod nosem kapitan i pogrążył się w zadumie.

Nieukontentowanie Wosińskiego wzrastało coraz bardziej, bo też Deschamps istotnie zatraconym był pułkownikiem!... Zamknięty w sobie, zasępiony wiecznie, nawet na postojach nie dopuszczał do siebie. Głuchym był na wszelkie objawy radości szczerej, jakiej Francuzom na każdym kroku nie szczędzono. Odmawiał opryskliwie najserdeczniejszym zaproszeniom szlachty, zdobywając się zaledwie na lakoniczne „kiedyindziej"!

Jedynym przedmiotem, który ożywiał pergaminową twarz pułkownika, byli Prusacy. Każda najdrobniejsza o nich wiadomość, wyprowadzała go z apatycznego odrętwienia, a w małych, ciemnych oczach skry nieciła.

Żołnierzy swoich znał, a przenikał nawskróś. Jeden rzut oka wystarczał mu do wykrycia najmniejszego uchybienia. Mundur nieoczyszczony, popręg niedociągnięty, pas bez połysku, naderwany guzik nie uszedł nigdy jego uwagi.

Uśmiech nie istniał na twarzy Deschampsa. W chwilach dobrego humoru, a te rzadkiem bywały zjawiskiem, krzaczaste, siwe brwi zsuwały się bliżej pod okrytem zmarszczkami czołem, powieki drgały mu złekka, a z ust dobywało się krótkie, urywane parskanie.

Strzelcy każdy ruch, każde skinienie swego pułkownika rozumieli, a jego mała, skurczona twarz była dla nich wielką księgą, w której wypisanem było usposobienie, zamiary a niekiedy i rozkazy Deschampsa. A więc mówiono w szeregach między sobą:
— Jakże tam „biały"?...
— Parska!...
— Patrzaj!... Kapral mówił, że mu szczęka lata!...
— Et! Chciał ciebie nastraszyć!...

Albo znów strzelec, powróciwszy cały z ważną wiadomością od generała, chwalił się przed towarzyszem:

— Oddałem papiery i stoję wyciągnięty, czekając rozkazu. „Biały“ rozerwał kopertę, rzucił okiem na pismo, spojrzał na mnie i parsknął, a potem rękę mi położył na ramieniu i psyknął...

— Psyknął? powiadasz!...

— Niech mnie pierwsza kula nie minie, jeżelim zełgał!...

— No, no!... szewron pewny!...

Im dłużej Gotartowski przebywał z Deschampsem, tem on większy w nim podziw budził. Floryan napatrzył się już rozmaitym oficerom legii, lecz takiego jeszcze nie oglądał. Nadomiar adjutant Levitoux i porucznik Martin, wesoły a dowcipny Francuz, niestworzone rzeczy prawili Floryanowi o „białym“. Jako był zaczął od prostego żołnierza, a pierwszy stopień oficerski otrzymał wraz z pięciu ranami pod Arcole; jako ciało pułkownika jest tak gęsto podziurawione kulami, że kule przezeń niby przez rzeszoto przelatują, żadnej mu już krzywdy nie mogąc wyrządzić. Dalej, że tenże Deschamps był niegdyś znanym w całej armii włoskiej gadułą, ale od czasu powrotu z Egiptu zaniemówił prawie. Że przyczyną tego zasklepienia się a zdziczenia była dotąd trawiąca go boleść po stracie ukochanej Arabki, którą był poznał w Kairze. Arabka była córką bogatego szeika. Deschampsa pokochała całem sercem. Ojciec, udający przyjaźń dla armii Bonapartego, dał na pozór swoje przyzwolenie i błogosławieństwo. Lecz w następstwie, w noc pamiętnego powstania muzułmanów, nasłał na Deschampsa siepaczy. Arabka, ostrzeżona w ostatniej chwili o niebezpieczeństwie grożącem ukochanemu, bez wahania pośpieszyła doń z wiadomością. Miłość Arabki ocaliła życie nietylko pułkownikowi, lecz i całą armię postawiła w porę jeszcze na nogi. Powstanie zostało stłumionem, szeik skrył się. A gdy wieść o nim zaginęła, a Arabka lada dzień miała zostać żoną giaura, mściwy ojciec zakradł się do schronienia córki

i udusił ją. Deschamps wpadł wówczas w głuchą rozpacz, która w noc jedną siwizną go okryła, a twarz młodą zorała zmarszczkami. Dwakroć pułkownik targał się podobno na własne życie, lecz zdołano temu przeszkodzić. Dzisiaj szuka najwidoczniej śmierci, bo za lada potyczką rzuca się pierwszy na nieprzyjaciela, nie zważając nigdy na liczebną jego przewagę. Przezwisko „biały“ dostało mu się dlatego, iż jest on tylko białym, do starości bowiem jeszcze mu daleko.

Surowość i odwaga pułkownika były słynne w wojsku Napoleona, a zdolności wysoko cenione przez marszałków. Powierzano mu zazwyczaj najtrudniejsze do spełnienia misye. Przednia straż była zwykłym jego udziałem. Deschamps potrafił dotrzeć bodaj do samego środka armii nieprzyjacielskiej, a co ważniejsza, wyjść z niego cało. Służba pod nim była niekiedy męczarnią, lecz dawała szerokie pole do odznaczeń, pułkownik bowiem dbał o swoich podwładnych, i gdy szło o nagrody, gotów był zawsze wprost samego marszałka Davousta atakować. Marszałek zawsze czynił zadość przedstawieniom pułkownika, pokładając w nim ufność bezgraniczną. W korpusie Davousta, wyrażenie „pójść pod Deschampsa“ — równoznaczyło bądź wyjątkowej odwadze, szukającego karyery żołnierza — bądź karze dyscyplinarnej — o ile żołnierz szedł pod „białego“ z rozkazu.

Szwadron Deschampsa posuwał się szybko naprzód, śledził, badał, zaciągał języka, lecz do Prusaków dotrzeć nie mógł. Prusacy, o których mówili mieszkańcy wiosek, osad i miasteczek, jako o czemś, co było wczoraj jeszcze, przed godziną może, co jest tuż, zaraz, o staję drogi, rozpływali się przed podjazdem, niby sine mgły horyzontów. Niekiedy oddział napotykał w miasteczkach opustoszałe kordegardy pruskie, wyludnione koszary, opróżnione stajnie a nieuprzątnięte magazyny. Zdawało się, iż wojsko nieprzyjacielskie na chwilową ruszyło wycieczkę, bo i łóżka w izbach oficerskich znajdowano nietknięte, i beczki z prochem, i ładunki, i siano w drabinach, i owies w żłobach.

Deschamps niecierpliwił się, szczęka dolna latała mu coraz gwałtowniej... Strzelcy drżeli.

Pułkownik czuł, że przed nim majaczy się nieprzyjaciel, że depcze jego ślady, że wyrywa mu się z pod nóg prawie — a mimo to — dosięgnąć go nie może.

Czasem wysłane naprzód rekonensanse, myszkując polami, wyciągały ze stogów maruderów pruskich, lub, idąc za wskazówką kmieci, w opuszczonych komorach lub zapadłych na w pół sklepach znajdowali wylękłych piechurów. Jeńców prowadzono Deschampsowi, ten brał ich na spytki, groził śmiercią, batogów nie szczędził; wybladli, jak ich pomadowane harcapy, Prusacy powtarzali uporczywie: wojska ciągną na południe, muszą być tuż-prawie.

Po każdej takiej odpowiedzi, Deschamps nakazywał trąbić wsiadanego i pędził dalej na nieprzyjaciół, aby na pierwszym popasie znów tę samą usłyszeć wiadomość: „muszą być... tuż-prawie!“

Lecz trudno zaiste było sprostać Prusakom w ich gwałtownym, błyskawicznym pochodzie... To nie był odwrót, nie wsteczne marsze mających się skupić drobnych oddziałów, lecz coś, czego żaden wódz, żaden sztab, żaden najgenialniej opracowany plan przewidzieć nie jest zdolen. Fala złowrogich wieści zerwała się z ponad pobojowisk Jeny i Auerstaedtu i pogrążyła wszystko to, co niedawno jeszcze wrzało butą a samochwalstwem. Prusacy uciekali przed siebie, na oślep, bez ładu, z widmem bezbrzeżnego przerażenia przed oczyma, z dźwiękiem straszliwym: Bonaparte! — w uszach! Uciekali, nie bacząc, że pędzą ku granicom obcych mocarstw, mogących na skinienie polityki przywitać ich rotowym ogniem! Uciekali z bronią w ręku, lecz gotowi ją każdej chwili rzucić pod stopy zwycięzcy i ukorzyć się bez oporu, bez utarczki, bez walki.

Żołnierze Fryderyka! Chłop w chłopa na schwał, dobrani wzrostem, jednako paśni, jednako muskularni, jednako tędzy w piersiach, rozłożyści w plecach, a jednako w mustrze a ćwiczeniach sprawni.

Myślałbyś, taki jeden łeb twardy a kark bawoli niby taran mury walić będzie, a najmocniejsze rozbijać zapory! Co tu odwaga, co duch, co oręż. co geniuszu przewód mógł znaczyć... gdy oto żołdak taki stanął, ciężkie stopy rozkraczył a zaparł się w ziemię!

Król Fryderyk bo lada kogo „w kamasze“ nie brał. Gdy brandeburskich a pomorskich nie starczyło drągalów, to bodaj Sasów chwycić, Szwedów przynająć, opornych Łużan zniewolić, Ślązaków przebrać a z nad Warty i Wisły rekruta napędzić, byle mu żołnierz pasował do munduru, pałasz do pięści, a karabin do nogi.

Żołnierz taki, gdy szedł, ziemia pod nim jęczała, gdy dobył głosu, rzekłbyś wichru złowrogiego poszum, a gdy się zamierzył, to zdawało się, że miażdżyć będzie! A taka biła odeń siła, taka tęgość, taka z oczu zapamiętałość a z miny cholera, że od jednego ich widoku ludek polski się żegnał, giął się w pałąk.

I tacy to właśnie uciekali, nie bacząc na tradycye armii Fryderyka Wielkiego, nie zważając, iż kraj cały oddają na łaskę nieprzyjaciół, a hańbą okrywają się wieczną. Nigdy może zajęcze serca, tchórzostwo a samolubstwo nie miało tak zuchwałych pozorów mocy i odwagi. Prusak przypominał pędzącego na oślep byka, który nie pomny na swą siłę, ucieka wystraszony warknięciem polowego brytana. Na myśl mu nawet nie przychodziło, jak się ma bronić, jak opór stawić zalewowi, jak osłaniać ogniska domowe, jak życie nieść ojczyźnie w ofierze, jak ginąć hardo! Całą natomiast inteligencyę, całą sprężystość obfitych mięśni obracał na zjednanie sobie sprzymierzeńca, obrońcy i na ten bezprzykładny odwrót z pola bitwy. Prusak umiał politykować, umiał i po rozżarzone węgle sięgać cudzemi rękoma, potrafił bezbronnej ludności wdrażać wysokie wyobrażenia o swojej odwadze a potędze, zawsze z każdej skorzystał okazyi, byle choćby ochłap wyżebrać i podsunąć się w porę tam, gdzie czujność Europy była odwróconą, gdzie coś pochwycić można było bezkarnie.

Jął głos podnosić, z sojuszem się napraszać, a w końcu wyciągnął ku Bonapartemu pięści. Słabe, choć otyłe, pisklę krzyżackie zagroziło Tytanowi. Pigmej chciał się potykać z geniuszem. Mieszczuchowi przyśniły się wawrzyny. Tam, gdzie rozlegały się od lat dziesięciu surmy bojowe, gdzie rodzili się, żyli i umierali bohaterowie, tam wybrał się ciura, sądząc może, iż godzina zbierania łupów nadeszła, iż oślepiony blaskiem swej chwały Samson stracił już moc swoją!...

Nie spodziewali się, że potęga Napoleona jeszcze nie stanęła u szczytu, że i w mury Berlina wjeżdżać będzie i Wiedeń po raz wtóry odwiedzi.

Prusakom się śniło. Przebudzenie było dla nich okropnem, rzeczywistość zgasiła w nich wiarę w siebie... uciekali coraz szybciej, coraz gwałtowniej, aż za granice rosyjskich placówek.

Od zachodu tymczasem ciągnęła armia zwycięzka, podzielona na siedm kolumn, ogarniając całą monarchię pruską od Bałtyku aż po granice Austryi. Siedm kolumn, a na ich czele siedm pochodni, siedmiu lwów, siedm gwiazd z konstelacyi Bonapartego, siedm wyrosłych niby z pod ziemi imion nieśmiertelnych, które brzmiały krótko, urywanie: Ney, Soult, Davoust, Lannes, Murat, Bernadotte, Augereau.

Każdy z nich był innym, lecz wszyscy byli jednakowi... Murat, wyświeżony elegant, zalotnik wyrafinowany, strojący się, świecący, szeleszczący jedwabiami, wysznurowany, wiecznie troszczący się o zaokrąglenie różowanych paznogci, delikatność cery, białość żabotu, układ piór strusich na kapeluszu; Ney, huzar dawny, rozrzucony, rozhukany, rubaszny, lubiący wspominać o swem arystokratycznem szlacheckiem pochodzeniu; — Soult, o twarzy biurokraty, z uczesania muzyk, z pochodzenia syn palestranta, przebiegły, wyrachowany, zasklepiony w sobie; — Davoust, dumny a nieugięty, gwiazda, która świeciła niepewnie, bo ją gasił blask meteoru; — Augereau, syn przekupki, gadatliwy a przebiegły, chytry, równie odważny jak przewrotny, pyszny niby paw; —

Bernadotte, dziecię rewolucyi, syn mocy a zakusów najśmielszych, nieubłagany w zamysłach, a pnący się po stosach ciał ludzkich aż do korony: — Lannes, prawość duszy, otwartość serca, zresztą chłopiec stajenny, farbiarz i komunista.

A wszyscy? Wszystkich zrodziła chwila, geniusz, który zaćmiewał talenty, ale je i dobywał, i budził dokoła! Więc Murat miał Rivoli, Veltine, Albano, Castello; Lossel nad Jordanem, Abukir w Egipcie, rozpędzenie rady pięciuset w zamachu stanu i miał w sobie coś z nawałnicy, z szaleństwa; Ney był to lew z pod Neuwied, Diersdorf, Hohenlinden, Elchingen i Ulmu; Soult to Memmingen, Austerlitz... Jena; Davoust, towarzysz Bonapartego, generał już za Dyrektoryatu... bohater z pod Auerstaedt, niecierpiany przez Bessièresa i Bertiera, zapoznany, pomijany w zaszczytach, był ową siłą, która życie całe walczyć musi z niechęcią ludzką, z przeciwnościami, a gdy nieomal wszystkie usunie zapory, słabnie, uchyla się, łamie, ginie: Augereau, żołnierz starego Clarka i zgilotynowanego króla. Jeżeli Ney w bitwie był lwem, Augereau był panterą. Pierwszy parł naprzód, żeby zwyciężyć, drugi zwyciężywszy, jeszcze krwią musiał się nasycić. Bernadotte dziewięć lat był żołnierzem, zanim został sierżantem, a dalej tylko cztery lata czekał na dowództwo dywizyą, w dziesięć lat miał już buławę marszałkowską i książęcą mitrę, a stała jeszcze przed nim purpura i tron szwedzki! A Lannes? Lannes w dwudziestym drugim roku był porucznikiem... nazajutrz po nominacyi kapitanem, a w trzy miesiące z kapitana generałem... I potem z generała znów prostym żołnierzem i wodzem, i bohaterem, i chwałą armii, i dumą narodu, i nieśmiertelnym.

Lecz nie tych siedmiu tylko mężów przewodziło. Napoleon miał jeszcze wiernego Lefebvra, sprytnego Berthiera, prawego Monceya, niezmordowanego Massenę, Brune'a, głębokiego polityka, nieodstępnego Mortiera, w Bessièresie przyjaciela, w Durocu brata. Stali nadto około niego i Kellermann Alzatczyk i Pérignon odstępca, stary Sérurier, Pèrrin Lotaryń-

czyk, Macdonald Szkot, Oudinot, Marmont i Suchet, Gouvion i młody Clark, Lauriston i Maison, Gérard i Molitor, Clausel i Mouton, Grouchy i Junot i Jourdan.

Bernadotte, Brune, Kellermann, Masséna, Lefebvre, Perignon, Sérurier, Junot, Moncey, Jourdan, Augereau i Davoust byli dziećmi pierwszej rzeczypospolitej, pamiętali Klebera, Pichegru, Hoche'a i Lafayette'a.

Murat, Berthier, Soult, Ney, Lannes, Bessières, Mortier, to wojownicy z nad Nilu, Po, z pod Lodi, Roveredo, Arcôle, Mantui, Embabeh, Abukiru, Jaffy, Taboru i Marengo; tam narodziły się ich imiona, tam chrzest krwawy przyjmowali na wielką drogę sławy. A inni — inni mieli czekać jeszcze na Eylau, Friedland, Wagram, Saragossę, Somo-Sierrę, Smoleńsk, Borodino, Berezynę, Lützen, Lipsk aż do Ligny i Waterloo. A ponad tymi mężami z prochu, krwi a spiżu wznosiła się szlachetna postać Beauharnaigo, pasierba cesarza Francuzów a czynów i dzielności jego prawego syna.

Za tymi dopiero wodzami szła armia napoleońska. Armia złożona z żołnierzy wątłych, drobnych, słabych, niedobranych napozór, spowitych szarymi płaszczami. Jedna gwardya lśniła barwnością mundurów, wdrażała uszanowanie marsem okrytych bliznami twarzy, wystających z pod wysokich bermyc i wystrzelistych kit. Jazda jeszcze budziła uszanowanie i dla hełmów kirasyerskich i wyniosłych czap dragońskich i strzeleckich, lecz piechota... ta niezrównana piechota francuska, wobec pruskiej wyglądała na gromadę zebranej na gwałt landwery, tłum wyciągnięty na plac boju przymusem pospolitego ruszenia! Te pułki fizylierów a woltyżerów, ta poczerniała od prochu i dymu artylerya, te oddziały pontonierów i saperów i niezliczone kolumny mrowia liniowego, ta zbieranina różnojęzyczna, nasuwała pytanie: cóżby ta czerń znaczyć mogła obok jaskrawych Mameluków, czerwonych Holendrów, niebieskich grenadyerów, tęgich Bawarczyków, co w ogóle robiła wśród wielkiej armii?!... Jaką rolę odgrywać mogły te szare,

jednostajne kolumny o szeregach przepełnionych zniedołężniałymi starcami, wyrostkami, dziećmi? Co w bojach z zahartowanym żołnierzem Austryi, Prus i Rosyi stanowiły?

Dziwną była ta piechota liniowa. Szła wyczerpana pochodami za dźwiękami bębnów i trąbek, na których częstokroć grali dwunastoletni chłopcy, szła w bezładnej rozsypce, niby zdemoralizowane niedobitki, resztki pogromu, szła głodna i odarta i bosa. Tak mijały tygodnie i miesiące. Aż naraz u czoła jej zjawiał się ordynans, adjutant z rozkazem. Następowała komenda, krótka, ucinkowa, gwałtowna. Kolumna się zwierała z szybkością błyskawicy, zgarbione postacie żołnierzy prężyły się, rosły, potężniały... Jeszcze chwila, a mur tysiąca ludzi ruszał na nieprzyjaciół, gniótł, tratował, wpijał się, targał szyki bojowe, padał, trupem słał pola, miazgą własnych ciał torował drogę do sławy, do potęgi, do tronu... jemu. On był duszą ich duszy, sercem ich serc. Dla niego umierano z pieśnią na ustach, z wesołym okrzykiem.

Umrzeć na polu bitwy — znaczyło spełnić obowiązek. Zobaczyć cesarza, to dostąpić szczęścia: — być przezeń zapytanym, to okryć się sławą: zasłużyć na jego pochwałę — to nagroda, to duma całych familij, pokolenia chluba, to i najwyższe odznaczenie, i chrzest rycerski, i narodziny wielkiego rodu.

Piechota liniowa!

Armaty znak dają. Czworoboki szare drgnęły i rozpoczęły pochód. Idą w dal spowitą w dymy armatnie, idą wśród gradu kul, idą bez wahania, idą, aby utonąć w morzu ognia, lesie najeżonych bagnetów, wzniesionych szabel... idą pewni, że ostać się nie mogą przewadze, idą po nieśmiertelność.

Gwardya za nimi rozstrzygać będzie losy bitwy, wojny, narodu całego, wpadnie jak grom, jak burza, jak piorun, zmiażdży, skończy rozpoczęte dzieło, pieczęć swoją przyłoży...

Obrona pozycyi.

Rozkaz lakoniczny: „bronić“. Na małem wzgórzu, wśród rozległej równiny, stoi dywizya piechoty, niby czarna plama na śniegiem zaścielonej przestrzeni, stoi obojętna, zimna, skamieniała, wrosła w ziemię. Naraz sto światełek zabłysło pod lasem, sto kul wyrwało się z rozwartych paszcz, sto obłoczków zawisło w powietrzu, sto dział ryknęło, sto pocisków spadło na czworobok. Dywizya stoi niewzruszenie z bronią do nogi — rozkaz jasny.

I płynie żelazo i ogień i krew, granaty wyszarpują szeregi, kartacze rozpryskują mózgi, kule przeszywają piersi, urywają nogi i ręce, zamieniają ludzi w drgające kadłuby... Ziemia drży — ludzie stoją.

Czworobok kurczy się, skupia, lecz nie ustępuje.

Dywizya snać osłabiona dostatecznie, bo armaty ucichły, a ziemia już dudnić zaczyna pod nogami kawaleryi, pędzącej na wzgórze. Piechota chwyta za karabiny i pluje ogniem, składając się na jeden huk gromki, równy, niby uderzenie młota. Poczem zieje już dymem i żelazem, mierząc celnie, na sekundę, nie chybiąc komendy, jakby tuż przed nią nie błyszczały ani pochylone lance, ani końce dragońskich pałaszy.

Już pierwsze szeregi konnicy starły się z piechotą, już spiętrzyły się konie, pierś zwarła sie z piersią, stalowe żądła proporców już się czerwienią. Kotłują się ciała, szczęk oręża i zgrzyt zlewa się z chrapaniem koni, okrzykami ludzi...

Konnica się chwieje, i zdziesiątkowana, rozproszona cofa się, aby za chwilę do nowego przystąpić ataku...

Dywizya traci dowódcę, komenda przechodzi na pułkownika, od pułkownika na kapitana, dalej na porucznika, sierżanta... Ataki następują jeden za drugim. Fala nieprzyjaciół wzrasta. Coraz to inne pułki przybywają. A pomoc nie nadchodzi... Czworobok piechoty w oczach niknie: z tysięcy zamienia się w setki, w dziesiątki... garść zostaje ze sztandarem i kapralem... Otoczona ze wszech stron, gnieciona stosem ciał, z pustemi ładownicami, potrzaskanymi bagnetami... jeszcze walczy...

Orzeł cesarski zachwiał się. Ostatni jego obrońca pada, tuląc go do rozwartej cięciem pałasza piersi...

Deschamps posuwał się szybko. Minął Pyzdry, Ciemierów, Giżałki, wytchnął w Choczu nad Prosną, i stąd już przez Stawiszyn, Janków i Koźminek, omijając Kalisz, parł z podjazdem przez Błaszki, Złoczew, Wieluń, Działoszyn do Krzepic. Zjawienie się w tych stronach oddziału Deschampsa wywierało skutek niespodziewany. Oto ledwie biały pułkownik ukazał się ze swoim szwadronem gdzie na drodze, wnet okolica dotąd spokojna, wpółsenna, odrętwiała, ożywiała się, budziła. Zanim strzelcy minąć zdążyli osadę, miasteczko, już serca mieszkańców bić zaczynały, już ten i ów zaglądał do lamusa, kędy był broń przechowywał... Zanim Deschamps dosięgnął drugiego postoju, już na pierwszym skupiała się młodzież, zbierała w oddziały pod okiem dawnych oficerów gwardyi narodowej i słała gońce a posły dookoła. Jeszcze wici wojewody Radzimińskiego, a odezwy Wybickiego i Dąbrowskiego się nie rozeszły, gdy już generał Skórzewski opanował Kalisz i ku Wrocławowi się zwróciwszy, siła tułającego się żołdactwa pruskiego pochwycił. Sieradz atoli uprzedził wszystkich. Pierwszy z własnego natchnienia ustanowił podatek krwi, po żołnierzu uzbrojonym i umundurowanym z każdych dwudziestu dymów, zanim jeszcze, umocowany przez Dąbrowskiego Kacper Miaskowski zdążył wyruszyć z Poznania. Łęczyca zaś już wrzała i gotowała się do zniesienia obwarowujących się Prusaków.

Oddział Deschampsa sunął wciąż ku południowi, mając rozkaz wyraźny dotrzeć do straży pruskich. Ba — kiedy straży tej znaleźć nie można było. Pułkownik ciągle był niby na tropie i ciągle, mimo wysiłków, nie mógł dosięgnąć nieprzyjaciela. Na tej pogoni gwałtownej zeszła mu droga aż do Krzepic. Deschamps wpadł w wściekłość, wszystkie rachuby, wszystkie wiadomości najwidoczniej go zawiodły, — zbliżał się już, stał prawie nad samą granicą austryacką, a Prusaków nie było. Niemniej od Deschampsa był zirytowanym kapitan Wosiński. Odbiegł go i humor

i dawna swoboda. Klął z cicha, zęby zaciskał, a nawet rozmowy z Floryanem unikał. Co prawda, i ten ostatni dziwnie sposępniał. Czy to powietrze wilgotne, przejmujące, dżdżyste, czy ponure, zachmurzone niebo, czy noce długie a ciemne, czy w końcu ta pogoń bezowocna, gorączkowa sprawiły, dość, że cały szwadron stracił na fantazyi... Tak, że gdy mieszkańcy Krzepic zaprzysięgali się, że piechota pruska stoi o szesnaście wiorst pod Kłobuckiem, nikt na to uwagi nie zwrócił... Ot, codzień inne wskazywano im wsie a miasteczka, codzień strzelcy mieli nadzieję trafienia choć na placówkę pruską i codzień spotykał ich zawód. Konie mordowały się, chudły, mimo obfitych racyj obroku, a żołnierz, kiwając się na siodle, biegł myślą ku rodzinnym stronom i wyrzekał na rozpoczynający się ziąb, na psią służbę, na bezowocny pościg.

W Kłobucku znów zwiastowano Deschampsowi nowinę, że oddział Prusaków broni Częstochowy. Deschamps ręką machnął. Szczęka drgać mu zaczęła. Jeszcze jedna bajka, jeszcze jedna fatamorgana, która póty łudzić go będzie, póki w Częstochowie nie zaczną się zaprzysięgać, iż Prusaków widziano o dwie mile na wschód lub na zachód. Szwadron wypoczął w Kłobucku i o zmierzchu ruszył dalej lekkim truchtem ku Częstochowie. Floryan z Wosińskim jęli pełnić swą zwykłą służbę rekonesansową, wyprzedzając co chwila oddział i badając kmiotków... Ujechano tak milę blizko i, o dziwo, wieść o Prusakach nie słabła, lecz rosła w szczegóły.

Częstochowy bronił generał Miller z pięciuset piechoty i dwudziestu armatami, mając nadto około tysiąca zbiegów pruskich, zdolnych do niesienia pomocy.

Deschamps zamyślił się i niespodziewanie złożył radę, do której wezwał porucznika Martina, kapitana Douharai, adjutanta Levitoux i Floryana. Rada zebrała się konno przed frontem szwadronu. W kilku słowach uchwalono rozdzielić się na kompanie i podsunąć się do samej Częstochowy.

Wosiński, dowiedziawszy się o tem postanowieniu a urażony już, iż go w naradzie pominięto, wpadł w pasyę.

— Tchórze, niedołęgi! — krzyczał w uniesieniu. — Ot i ruszyli konceptem!... Bodaj ich i tych Francuzów!... Wielkie głowy!?...

— Co waćpan?... Dlaczego?!...

— Pytasz jeszcze. A przecież to chyba jasne!... Gnaj, pędź sześć dni blizko, morduj się, męcz, ciało sobie obtłukuj, byleś się Prusaków dopytał... a gdyś nareszcie poczuł pod nosem zapach świeżyzny, a prochu powąchać ci wolno, to się dziel, podłaź na palcach i zmiataj!...

— Jakże chcecie? — tłómaczył Gotartowski. — Toć przecież podjazd, straż przednia, wywiadowcza służba, sto pięćdziesiąt koni... a tam warownia, mury, wały, które szwedzkim zastępom stawiły czoło...

— To i co?! — oburknął się Wosiński, nie zbity z pantałyku.

— Waszmość pytasz się jeszcze!... Cóż my począć możemy wobec takiej przewagi?!... Oni mogą nietylko bronić się, ale i nas zgnieść. Jakiż stąd dla armii pożytek?...

— Więc opanowanie Częstochowy za nic macie?...

— Człowieku!... Nie unoszę się... wszakci to mury, armaty, wspomnij, powtarzam, na Szwedów... Bacz, jaka garstka, jakim oparła się zastępom!

— Taak!... Lecz rachuj-no wasze, że to nie rycerstwo, nie męstwo, nie determinacya i nie dzielność oręża sprawiła, tylko owo wdanie się naszej Bożej Rodzicielki!... A chyba nie takim jesteś heretykiem, abyś suponował, że Nasza Panienka z Prusakami wdawać się będzie i luterskie ochraniać bezeceństwa!.

— Zgoda!... Czegóż waść żądasz?...

— Czego żądam?!... Mięsa pruskiego, bitwy, walki!... Żołnierzem jestem, a nie psem gończym!... Waszmości może po myśli są te przeszpiegi!... Tfy!... Do dyaska!... Dać mi tu tych Francuzów... a psia noga!... Bodaj was!...

Wosiński urwał nagle, gdyż tuż przed nim stanął pułkownik.

— O co idzie? — zagadnął Gotartowskiego.

Floryan się zawahał, lecz Wosiński, odgadując pytanie, ozwał się żywo:

— A powiedz-że mu!... Właśnie niech wie!...

— Kapitan Wosiński — objaśnił Gotartowski — proponuje zdobycie Częstochowy!...

— Zdobycie?!... Oszalał! — mruknął przez zęby Deschamps, mierząc Wosińskiego wzrokiem. — Powiedz mu pan, że bez jego rady się obejdziemy!...

A po chwili dodał, niby mówiąc do siebie:

— W sto pięćdziesiąt koni... myśleć o fortecy!!... Ładny oficer!!...

Gotartowski chciał coś odpowiedzieć na usprawiedliwienie Wosińskiego, lecz biały pułkownik wzruszył pogardliwie ramionami i zawrócił na czoło szwadronu.

Wosiński wymiarkował odezwanie się Deschampsa, i naraz w dawnym żołnierzu gwardyi narodowej krew zawrzała.

— Mości Gotartowski, cóż bo sobie taki myśli!... Za hetkę mnie uważa!... Grymasy pokazuje!... Najmitą jestem, czy żakiem?...

— Cóż znowu!... Waszeć się unosi niepotrzebnie!... Ot, plan mu się nie wydał i wszystko. I dziwić mu się nie należy, bo, jak Waćpanu wiadomo, rekonesansowi nie wolno wdawać się w zdobywania, jeno wywiadowczą służbę...

— Gadaj wasze zdrów! — przerwał ostro Wosiński. — Nowicyuszem jestem do pioruna?... Nie wąchałem to prochu, pierwszy raz w rekonesansie chodzę?... Powiedz raczej, że Piotra ten biały królik ma pod skórą, a duszę na ramieniu!... Hycać po polach, po drogach, węszyć... to jego rzemiosło!... En avant i en avant! — krzyczy po całych dniach, myślałbyś, że gdy nieprzyjaciela dopadnie, to go zniesie, rozbije, że siądzie mu na karku, iż aż za stepy przepędzi... a tymczasem, gdy się nareszcie Prusaków dopyta, radę ci zwołuje... Tfy... Masz ci służbę u Francuza!...

Już od tego ich charkotania aż w uszach kręci!... Nie na tom się do Napoljona iść deklarował, aby plecy Prusakom oglądać, takiego niepolitycznego widoku spragnionym nie był!...

— No, no!... Mości Wosiński! — upominał Fioryan — cierpliwości trochę, skończy się to wkrótce!...

— Tak, tak skończy! — podchwycił przedrzeźniając Wosiński. — Waszmość to ani odrobiny krwi w sobie nie masz. Aż mi dziw, boś przecie z legionami nie po mrozie chodził, lecz po ciepłych krajach!... Wszystko waszmość połkniesz. Et, bodaj mnie, że jak mi jeszcze dokuczy, to jadę... jadę panie, gromadę zbieram i wam dopiero pokażę...

— Dla Boga, co waszmość zamyślasz?!... Toć z tego kompromitacya dla naszego generała, dla nas wszystkich!... Generał nam zawierzył, tyle ważną zaszczycił misyą...

— Piękna misya!... Mam dwóch gończych: Słowika i Ciawkę, akurat byłyby w sam raz dla „mosje Kolonela!“ Już muszę się waszmości przyznać, że zgoła inaczej wyobrażałem sobie tego Napoljona... Idzie taka armia, to łomocze z góry, prze nieprzyjaciela... zagarnia... ale...

Gotartowski się uśmiechnął:

— Doczekasz się wasze i tego może widoku!...

— Nie wiem!... Bo zapowiadam waszmości raz jeszcze, że mam dosyć i tej jazdy po polach bez celu i tego munduru francuskiego i kaszkietu... Nie po tom się do Bonapartego przedzierał, aby w jakimś numerze chodzić... i w takiej jeszcze trzynastce! Wasze śmiejesz się ze mnie!...

— Ani mi w głowie!... Jeno dziwno, że waćpan poczytujesz to sobie za despekt!... Toć trzynasty pułk strzelców, do którego my należymy, to chluba armii francuskiej!...

— Niech sobie będzie chluba, a ja do piątku i trzynastki, nigdy przekonania nie miałem! Feralny pułk i basta!...

Wosiński chciał dłużej jeszcze biadać nad swoim losem, lecz dano sygnał do wymarszu.

Deschamps podzielił swój szwadron na cztery kompanie. Dowództwo pierwszej sam objął, a trzy pozostałe miały iść pod przewodem Floryana, Douharai i Levitoux. Wosiński miał towarzyszyć pułkownikowi, dwom francuskim oficerom przydano na przewodników dwóch wyrostków, wyciągniętych ze wsi i wsadzonych na konie. Manewr polegał na tem, że kompanie miały się zbliżyć aż pod Grabówkę, o cztery wiorsty od Częstochowy i stąd rozejść się, obchodząc zdaleka placówki pruskie, i stosownie do poszczególnych dyspozycyj, na Stradom, Błeszno, Wrzosowę lub Wyczerpy, Siedlec, Matusze Wielkie i Turów, połączyć się znów w Olsztynie, gdzie, po zebraniu wiadomości, oddział będzie mógł ruszyć dalej. Kapitan Wosiński, dowiedziawszy się, iż ma polecone iść w kompanii Deschampsa, nie mógł się pohamować i ozwał się do Floryana:

— Co?!... Ja mam iść z tym borsukiem?... No, niech sobie tę pociechę wyperswaduje, ani mi się śni!... Jadę sobie i...

— Monsieur capitaine Woszynsky! — rozległ się równocześnie głos pułkownika na przedzie szwadronu.

Wosiński drgnął, przeniknięty wskróś ostrym, nie znoszącym oporu rozkazem Deschampsa, zaciął zęby i, spiąwszy konia, w długich susach wysunął się na front oddziału.

Noc zapadła ponura a ciemna. Szwadron posuwał się powoli naprzód drogą ku Grabówce, zachowując głęboką ciszę — ledwie miarowy łopot kopyt końskich lub niekiedy nieuchwytny brzęk pałasza, zawadzonego ostrogą, znaczył pochód strzelców. Ludzie i konie nagle jakby oniemieli. Ani parsknięcia, ani szeptu, ani chrząknięcia, ani westchnienia. Z karabinkami, podsypanymi świeżym prochem w pogotowiu, z krótko ujętymi cuglami w ręku, z zapartym oddechem a wytężonym wzrokiem w ponurą dal, ciągnęli niby mary, duchy jakieś. Czarne ich sylwetki zlewały się z czarną wstęgą drogi, ginęły na tle zbałwanionych, skłębionych chmur, zasnuwających niebo.

Floryana, jadącego na przedzie drugiej kompanii strzelców, wśród głuszy a martwoty opadły myśli tęskliwe za domem, za spoczynkiem, za Zośką. Jeszcze rok, półtora, a potem osiędzie na roli. Czas mu zażyć wytchnienia po tym ciągłym rozgonie. Nigdy bo jeszcze żołnierka tak mu nie dokuczyła, jak teraz. Ba, dawniej w to mu graj było, choćby tygodniami całymi w polu, w pełnym rynsztunku, z ręką na głowni pałasza. Ileż razy do snu go kołysały armatnie wystrzały, ileż razy dźwięk trąbki widziadła nocne przerywał! A teraz odstąpił go i zapał dawny i ciężar jakiś tłoczył mu piersi. Myśl co chwila zrywała się i goniła wiotką postać Zośki. Co ona tam? Zapomniała może!... Gdzież bo inaczej być mogło!... Dziewczyna, jak skra żywa, jak ogień żarem dyszy, płomieniem z oczu tryska!... Długoż jej w takiej Warszawie się ostać w panieństwie. Młodzieży huk i jakiej jeszcze!... Nie taki biedak skusiłby się na jej krasę!... Dola żołnierska — smutna dola. Na co łudzić się, na co tulić nadzieję może znów próżną, zawodną?

I zwątpienie szarpnęło Floryanem. Lecz nagle, tuż przed oczyma jego, w ciemnych, wilgotnych oparach, unoszących się ponad drogą, ukazała mu się twarzyczka Zośki w obramowaniu lśniących warkoczy, w blasku iskier, skrzących się w jej przepastnych oczach. Z brewką zmarszczoną, z ostro zaciętemi ustkami patrzyła nań surowo, żałośnie, a patrzyła mu w duszę.

Widziadło było tak wyraźne, tak uchwytne a rzeczywiste, iż Floryan aż ręce ku niemu wyciągnął. Koń Gotartowskiego targnął się w tejże chwili w bok. Widziadło znikło.

Młody kapitan sięgnął ręką machinalnie do ust, na których dotąd jeszcze czuł ślady jej pocałunku. W uszach zabrzmiały mu ciche a tak mocne, głębokie a namiętne wyrazy:

— ...jeżelibyś mi nie wrócił, to ja... cię... pod ziemią znajdę!!...

Floryana coś chwyciło za gardło.

— Ptaszyna moja!... Jak ona to powiedziała! — szeptał do siebie. — Nie żyć mi bez ciebie na świecie!... Tyś jedna dla mnie, droga, ukochana!... Ty nie zapomnisz... ty dochowasz przysięgi... I czekać na siebie ci nie dam... Jam już okupił krwią dług należny ojczyźnie... Niech inni teraz mnie zastąpią!... Jeden taki nie zaważy.

Tu nagle uczuł Floryan jakiś jęk wydobywający się niby z pod ziemi, po której koń jego stąpał. Jęk był cichy... tak cichy, jak skarga wichrem skręconej brzozy, jak szmer liści, a przejmujący i smętny, niby rozełkana dumka pastusza, niby ostatnie westchnienie konającej w rozkwicie dziewicy. Jęk nie milknął, a były w nim wszystkie bóle a rozpacze ciemiężonej ongi przez panków kozaczyzny, płynęła w nim i gorycz samowoli królewiąt, i echa gwałtu możnowładców i zbrodni sprzedawczyków, i ta niemoc, która nastała z mocy a zaufania i łza perlista, co, zda się, mówiła: więc znów na nową pustkę, a pożogę iść mają moje łany, i kiedyż skończą się dla mnie dni kary a dopuszczenia za winy moich synów!...

Ten jęk przeraził Floryana i obudził w nim nagle owe zapały, z jakimi szedł do ataku na polach Marengo, jakie w życiu tułaczem kazały mu się wyrzec i rodziny, i ziemi, i dostatku, dla jakich zginęły już tysiące. Napoleon! Cesarz! bożyszcze. Wspaniały a tkliwy, nieugięty a łaskawy, dumny jak lew, lecz równie jak lew odważny.

Floryan dotknął ręką czoła, było rozpalone.

Szwadron zbliżał się tymczasem do Grabówki. Na skraju horyzontu migotały już zdala czerwone światełka z chat wieśniaczych, rozrzucone, migotliwe, niepewne. Deschamps skinął na Levitoux i Wosińskiego i rozkazał im z plutonem strzelców wysunąć się naprzód. Wosiński ze strzelcami pomknął drogą ku Grabówce wyciągniętym kłusem, kierując się wprost, na najbliżej drgające światełko. Zaledwie jednak zdołał ujechać z oddziałem — tuż przed nim

na szosie zarysowały się jakieś niewyraźne cienie, a równocześnie rozległ się chrapliwy głos:

— Wer da?!...

Wosiński bez wahania dobył pałasza i nie zwracając uwagi na jadącego przy nim oficera francuskiego, zakomenderował — en avant!! Pluton gruchnął z impetem na placówkę pruską. W tejże chwili prawie padł strzał... i młody Levitoux zsunął się z siodła. Wosiński tymczasem rzucił się na nieprzyjaciela... Już był pałasz wzniósł do góry, już był zamierzył się z zaciekłością i... ciął... lecz ostrze rozpruło tylko z gwizdem a sykiem powietrze. Placówka ściągnęła konie i rzuciła się do ucieczki. Wosiński ryknął z pasyi i, już nie oglądając się na strzelców, pomknął za uciekającymi... Rozpoczęła się gonitwa zajadła, szalona. Trzej Prusacy, którzy zajmowali placówkę pod Grabówką, uciekali ile sił. Wosiński bódł konia ostrogami a płazował pałaszem, chcąc i strzał zdradziecki i owo niefortunne cięcie pomścić. Prusacy pędzili wprost ku wsi. Wosiński napierał konia coraz gwałtowniej; jakoż po kilku wysiłkach zdołał zbliżyć się do Prusaków na odległość strzału. Wówczas chwycił za pistolet i wypalił, mierząc w najbliżej galopującego konia. Koń Prusaka spiął się i stanął dęba. Siedzący na nim Prusak zsunął się zręcznie z siodła i rzucił się na przełaj przez pole, pozostawiając wijącego się w śmiertelnych podrygach konia. Wosiński bez wahania zawrócił za uciekającym pieszo. Pogoń teraz trwała już krótko. Koń Wosińskiego sadził przez zagony i rowy, jak szalony, idąc za cieniem Prusaka. Wreszcie Wosiński sięgnął do olster po drugi pistolet, wołając ostro:

— Stój! Bo w łeb strzelę!

Prusak zatrzymał się, a raczej padł nagle na ziemię, odrzucając pałasz i bełkocząc niezrozumiale— „pardon! — pardon!“

Wosiński z pistoletem w pogotowiu podjechał i wciągnął nie broniącego się żołdaka przed siebie na siodło. Kapitanowi w tejże chwili wrócił dawny humor i pogoda. Pistolet nabity w zanadrze mundura

wsadził na wszelki wypadek i ruszył zwolna ku oddziałowi, ostrzegając jeńca:

— Tylko mi się sprawuj dobrze, bo kulą w łeb!

— At, co mi tam! — odparł rezolutnie jeniec. — Nigdzie mi nie pilno!...

— Cóżeś ty?! — jął pytać ciekawie Wosiński. — Po polsku mówisz?!

— Zaś mówię!

— Polak jesteś?

— Kto tam wie! Niby w dragonach jestem Prusak, a mają mnie niektórzy za Polaka, a naprawdę ze Świdnicy na Śląsku jestem!... Ślązak panie!...

— Ślązak, więc Polak!

— Niech będzie! Wola pańska!

— Hm! Głupi cham! — mruknął Wosiński, a po chwili dodał: — Jakże ci na imię?!

— W szwadronie wołają na mnie Johan, a w domu to... Antoni!...

— Cha, cha! A czemużeś to, nicponiu, tak uciekał?

— Myślałem, że Francuzy idą!

— A to dopiero ciemięga! Nie wiesz-że to jeszcze, że Francuzy właśnie na to idą, aby Prusacy was nie mordowali, aby kiep taki mógł spokojnie w chałupie siedzieć...

— Skąd mam wiedzieć? Mówili: Francuz pobił Prusaka, tedy musi być gorszy od niego!... A... a... wielmożny pan Francuz?!...

Wosiński aż się zachwiał na siodle z oburzenia, a potem dając folgę gniewowi, chwycił za kark Ślązaka i potrząsnął nim niby gruszą.

— Słuchaj chamie! — wrzasnął — i to sobie zakonotuj, że jak mi będziesz farmazona udawał a nacye mieszał, to cię tak trzasnę w gębę, że jej z miesiąc nie otworzysz! A to ci psia dusza!

— Wielmożny panie! — błagał żałośnie Ślązak, wijąc się w żelaznym uścisku ręki Wosińskiego. — Powiadali w regimencie: Francuzy idą, tak i człekowi na myśl nie przyszło, że wielmożny pan także nasz pruski...

— Bodaj cię choroba! — zaklął Wosiński i puścił kark jeńca, rozumiejąc, iż się z nim nie dogada.

Kapitan dowlókł się powoli do szwadronu, gdzie go mieli już za przepadłego lub zagarnionego przez pruską placówkę. Deschamps mruknął coś pod nosem na przywitanie Wosińskiemu i rozkazał Floryanowi wybadać Ślązaka. Ten, wystraszony groźną miną białego pułkownika a marsowemi twarzami strzelców, plącząc się a mieszając, wyznał całą prawdę o sile, stojącej załogą w Częstochowie, czem potwierdził całkowicie zebrane już szczegóły. Deschamps stropił się nieco. Wszelkie wątpliwości, że znajduje się wobec przemagającej siły nieprzyjacielskiej, ustały. Najmniejsza nieostrożność mogła sprowadzić na głowę szwadron Prusaków. Już teraz nawet obawiać się tego można było, spędzona bowiem placówka wnet ich zaalarmuje. Ba, lecz przecież Deschamps miał sobie poleconem obserwować ruchy całej armii nieprzyjacielskiej. Pozostawał mu więc teraz jedyny środek: obejść Częstochowę i posunąć się dalej na zwiady.

Pułkownik nie namyślał się długo. Wysłał natychmiast gońców z przewodnikami do generała Milhaud, rannego ciężko Levitoux pozostawił w chacie sołtysa w Grabówce, Wosińskiemu powierzając dowództwo kompanii i nakazując mu zająć obserwacyjne stanowisko w Grabówce. Zadaniem nadto Wosińskiego było odwrócić uwagę Prusaków i dopiero na drugi dzień podążyć przez Wrzosowę do Olsztyna. O ileby zaś tam Deschampsa nie znalazł, miał się cofać do korpusu Milhauda, który znajdować się będzie już w okolicach Krośniewic.

Wosiński z zadowoleniem przyjął dowództwo kompanii, chociaż go i lęk zdjął równocześnie, w jaki sposób będzie mógł przewodzić oddziałowi Francuzów, nie znając ani komendy francuskiej, ani ich języka. Deschamps odgadł snać skrupuły Wosińskiego, bo odezwał się do Floryana:

— Hm! Tylko on nie zna języka! Ciężka sprawa... Czy da sobie aby radę!?...

Gotartowski przełożył Wosińskiemu słowa puł-

kownika. Wosińskiemu przyszło na myśl, iż „biały“ gotów go jeszcze usunąć na plan drugi. Wyprężył się więc, a przyłożywszy rękę do kaszkietu i skupiając całą swoją znajomość francuzczyzny, którą był w ciągu tej krótkiej ekspedycyi zdobył — odparł zuchowato:

— Oui, oui! Monsieur colonel! Wedle rozkazu... niech mnie dyabli porwą, jeżeli sobie z tymi psiekrwiami szaserami rady nie dam!...

Deschamps parsknął z cicha i przywołał do siebie starego sierżanta Flageoleta, polecając mu iść z Wosińskim i pilnie zważać na rozkazy kapitana... a w ostateczności samemu komendę prowadzić. Nadto miał dłuższą naradę z Floryanem, po której ten ostatni odciągnął na stronę Wosińskiego i rzekł:

— Mości Wosiński! Owóż pułkownik kazał mi powiedzieć Waszmości, iż ufa jego sprawności a doświadczeniu... Nadto w przypadku, gdyby ci przyjść mogło do potyczki, to zdaj się na sierżanta!... On już poprowadzi komendę... Pułkownik umyślnie przeznacza Waćpana, ile, że mogąc rozmówić się z chłopstwem a szlachtą, prędzej się zoryentujesz w położeniu...

— No, no! Bądź wasze spokojny!... W kaszy się zjeść nie dam! — odparł z przekonaniem Wosiński.

Rozległa się cicha komenda. Kompanie ustawiły się czwórkami i, idąc za przewodem Deschampsa, Douharai i Floryana, jęły odciągać w różne strony, znikając powoli w nocnej pomroce.

Wosiński sam został ze swoją kompanią na drodze, tuż pod Grabówką. Obejrzał się za siebie. Strzelcy stali w wyczekującej postawie. Kapitan stropił się w pierwszej chwili, lecz, nie tracąc fantazyi, spiął konia, zatoczył szerokie koło dookoła oddziału, dobył pałasza i zakomenderował „naprzód“. Niby echo na prawej stronie pierwszej czwórki dobył się z ust starego sierżanta niezrozumiały wyraz. I kompania ruszyła drogą wprost do Grabówki.

Wosiński, mając rozkaz zajęcia stanowiska obserwacyjnego w Grabówce, — przedewszystkiem pomyślał o jakiejś uczciwej kwaterze. Dopadłszy więc pierwszej chaty, jął rozpytywać ludzi. Wskazano mu na skraju

wsi, od strony Częstochowy, karczmę żydowską. Wosiński wprost do niej podążył. Nakazał na migi sierżantowi rozstawić widety, a sam buńczucznie ze srogim animuszem wpadł do karczmy.

Mieszkańcy Grabówki tymczasem w niemem przerażeniu nadsłuchiwali w zapartych chatach a izbach, co się to we wsi ich dzieje. Już od tygodnia patrzyli osłupiali na przebiegające drogę w popłochu oddziały pruskie, na ciągnące sznury wozów a bryk. Płynąca fala żołdactwa co chwila zawadzała o ich chaty, wybierała im szkapiny, opróżniała śpiżarnie, żądała postronków a uprzęży, spędzała ludzi do podnoszenia wywróconych wozów, a zawsze nagliła do pośpiechu. Nagle fala zaczęła rzednąć, już tylko niekiedy od Łebodna, Truskolasów czy Wilkowiecka szedł, jak wicher, oddział konnicy lub pędził wózek węgierski, mijał bez zatrzymania wieś i ginął na skręcie drogi, poza którą rysowała się we mgłach wysmukła wieżyca Jasnogórskiego klasztoru. I potem ucichło wszystko na czas jakiś. Kmiotkowie głowili się, coby to wszystko znaczyć mogło. Szmul karczmarz zapewniał, że wojna znów się zaczyna, że Prusaków już pobili Francuzi i że do Grabówki idzie tu jeden wielki bardzo i straszny Napoljon, ale temu mało kto dawał wiary. Zwłaszcza, iż starzy gospodarze Grabówki, którzy jeszcze króla Sasa pamiętali, zapewniali gromadę, że Niemcy, jako rozmaite dyabły luterskie na usługach mający, pobić by się nie dali. Jakby na potwierdzenie tych słów, od Częstochowy nadciągnął pluton pruskiej kawaleryi. Nadciągnął cicho, bez wrzawy a hałasu i hen na szosie do Kłobucka się zatrzymał i jakby wrósł w ziemię. Zdziwiła się niepomału gromada tej nieruchliwości a milczeniu wrzaskliwych a hałasujących zwykle Prusaków, a jęli wypatrywać, co oni tam robią. Od świtu do późnej nocy, kto śmielszy z wyrostków, podkradał się do Prusaków, wlepiał w nich ciekawe oczy i wracał z nowiną do wsi.

— I cóż?! — rozległy się pytania.

— Dyć stoją! — brzmiała odpowiedź.

Wszystko to razem nie zdawało się wróżyć nic dobrego. Więc ten i ów chudobę zbierał i krył, gdzie się dało, wszystko, co jakąś mogło stanowić wartość dla żołnierza. Dziewki młode już zawczasu upatrywały sobie kryjówki w sklepach a pod powałami. Parobczaki jeno znaku czekali, aby umknąć w lasy przed zaciągami.

W chwili, gdy Wosiński wpadł z sierżantem i kilku strzelcami do karczmy, świeciła ona pustkami. Za szynkwasem, w kącie, w oświetleniu zatkniętego w ścianie łuczywa, siedziała stara Siapsiowa, skulona i drżąca.

Kapitan huknął ostro na żydówkę, pytając o karczmarza. Siapsiowa skoczyła na równe nogi, lecz posłyszawszy dźwięk polskiej mowy, nabrała otuchy i zniknąwszy w alkierzu na chwilę, powróciła, popychając naprzód w pół zgiętego Szmula.

— Światła dać więcej!... Jadła naszykować... gorzałki... miodu!...

— Wielmożny panie... miodu?! — jęknął żyd. — Gorzałki?... Skąd wziąć?!... Biedny karczmarz jestem... co było, zabrali... zrabowali...

— Dosyć tego! — huknął Wosiński. — Ani mru... mru!... Żartów niema!... Jak mi w trzy pacierze się nie uwiniesz, pójdziesz z dymem...

— Z dymem!... O wa! O wa! Wielmożny pan nie skrzywdzi biedne żydki! — wmieszała się z krzykiem i płaczem Siapsiowa. — Wielmożny pan przebaczy!... My sami może tydzień nie mamy co w gębę włożyć!... Każdy przyszedł, każdy zabrał!... Tylko te pięć dzieciów zostało i trochę chleba z cebulą!!...

Wosiński ręką machnął:

— Nie wyć mi! Słyszeliście? Drugi raz wam nie powtórzę! Jedno z dwojga, albo was każę upiec... albo — dodał łagodniej — zarobicie parę czerwonych złotych!... Patrzcie, tu jest złotko... a tu żagiew!...

Żydom na widok dukatów oczy się zaświeciły. Aż do kolan kapitanowi przypadli.

— Kikste! — wołała z uciechy żydowica. — Widzisz! Ja odrazu ci powiedziałam, jak tylko wiel-

możny pan wszedł, że wielmożny pan, to jest taki wojewoda... taki...

— Dalej! Żywo! — fuknął Wosiński.

— Już, już wszystko będzie! Zaraz będzie! W tej chwili będzie!... Już jest!... Może wielmożna osoba rozkaże muszkateli zagotować? To je taki muszkatel, co w całej okolicy niema... Pan wojski z Klepaczka ile razy przyjedzie...

— Zamkniecie wy nareszcie gęby?...

— Już, już! Sza! Sza! Sza!...

Karczmarz z karczmarką zabrali się żywo do spełnienia rozkazów kapitana. Z głębi karczmy do izby gościnnej wysypała się cała czereda żydziątek. Powstał gwar i hałas. Uwijali się wszyscy ochoczo. Izbę oświetlono, stół okryto obrusem, ba, nawet ławę podesłano Wosińskiemu starym kilimkiem.

Kapitan rozsiadł się wygodnie za stołem, a spojrzawszy na wyprostowaną postać starego sierżanta, skinął nań i wskazał mu miejsce na drugim końcu stołu. Sierżant salutując, przykucnął na rogu ławy, wzruszony zaszczytem, który go spotkał.

Wosiński przeciągnął się z zadowoleniem. No, czuł się nareszcie jakby na swoich śmieciach. Kubek gorzałki do reszty wypogodził czoło kapitana. Misa jajecznicy rozprószyła czczość.

Wosiński nie zapomniał i o swoich podkomendnych. Sierżantowi sam jadło i napój podsunął, dla strzelców kazał co prędzej barszczu z kartoflami nagotować a piwa zagrzać. Zaczem po sołtysa kazał żydom posłać.

Stary Mateusz Kiciak, sołtys Grabówki, zjawił się duchem, czapkując a kłaniając się do ziemi.

Wosiński zagadnął go o adjutanta Levitoux, a zapewniwszy się, iż leży w wygodach i cieple, opatrzony przez baby, jął go o Częstochowę i okolice rozpytywać.

Sołtys z początku kłaniał się a wzdychał ciężko, mierząc Wosińskiego nieufnem spojrzeniem, lecz powoli rozgadał się.

Wieść o rannym oficerze w chacie sołtysa i o zatrzymaniu się oddziału wojska przy karczmie w okamgnieniu obiegła całą wieś. Jeden i drugi ze śmielszych wychylał się z izby, podchodził do karczmy, a pociągnięty widokiem rozprawiającego sołtysa, przestępował próg izby gościnnej. Ludu powoli do karczmy napływało coraz więcej, kupiąc się w oddali od stołu kapitana. Wieśniacy coraz życzliwiej spoglądali na zmiatających barszcz z kartoflami strzelców.

A Wosiński raczył się tymczasem tą zachwaloną przez arendarza muszkatelą, mrugając znacząco na sierżanta i powtarzając doń z przekonaniem:

— Co!? Bon? Bon?

Flageolet za każdym razem ocierał rękawem mokre wąsiska, podnosił się z ławy i salutując, raportował z wzrastającem przekonaniem:

— Superbe, capitaine!

— A widzisz, niedźwiedziu! — potakiwał Wosiński.

W karczmie zaczęto szeptać, a w końcu i gwarzyć coraz śmielej. Kapitanowi twarz poczerwieniała zlekka. W głowie mu potrosze szumieć zaczęło. Zakrzyknął na żyda:

— Hej! Karczmarzu! A dajże i tym chłopom po kwaterce. Niechże im ślina do gęby na próżno nie idzie!

— Ajaj! Jaki jaśnie wielmożny pan dobry!... Jaki jaśnie pan wspaniały pan! — wołał karczmarz z zachwytem. — Słyszycie kapcany!!...

W gromadzie rozległ się szmer zadowolenia.

Stary sołtys aż się po głowie podrapał i ozwał się nieśmiało:

— Wielmożny panie! Toć żyję ci ja nie od dziś i nie od wczoraj na świecie, i w Koniecpolu, i w Mrzygłodach, i w Pilicy bywałem, a com takiej łaskawości nie oglądał, chociaż się tam kręciło rozmaitych oficyerów z „kamery“!...

— Nic, nic... zobaczysz takich więcej! — odrzekł z zadowoleniem Wosiński. — Pruszczyzna się już skończyła!... Czmychają gałgany...

— Niech uni nogi połamią! — podchwycił z boku arendarz. — Takie łajdaki — czy to można co u nich

zarobić?!... A, psiepraszam jaśnie wielmożnego pana, czy to prawda, że do nas mają przyjść inne Prusaki, co się une nazywają Francuzy?!...

Wosiński palnął pięścią w stół. Arendarz odskoczył przestraszony.

— Cóż ty żydzie jakiś!!... Nie widzisz!?... Patrz-że błaźnie!... Nie widzisz Francuzów w karczmie?...

— Francuzów?!... O jej!!... Teraz wiem!... Psiepraszam, a jaśnie oświecony wojewoda to może sam Napoljon?!...

— Niezupełnie! — odrzekł z powagą kapitan. — Ale i Napoljon przyjdzie!...

— Przyjdzie! — zawołał żydek. — Aj waj!... Słyszycie chłopy, sam wielmożny Napoljon przyjdzie do Grabówki!!...

— A! a! a! — rozległo się w gromadzie chłopów, a równocześnie pierścień wieśniaków dokoła Wosińskiego i Flageoleta zaczął się zacieśniać. Karczmarz dalej śpieszył nasycić swoją ciekawość.

— Jaśnie oświecona osoba daruje, co to się dzieje?... Nasze żydki mówili, że się zrobiła wielka wojna... Taka duża wojna z armatami...

— Głupiś żydzie! — przerwał kapitan. — Francuz zobaczył, że nam Prusak dokucza, zabrał się tedy i dalej go tarmosić.. Prusakowi zdawało się, że poradzi... dostał kaducznie w skórę pod Jeną, a potem wzięli mu Lubekę, Kistrzyń, więc Prusak nogi za pas i dalej umykać, a Francuz za nim po piętach mu depcze a grzmoci... a wali, nie pyta!!...

— Dobrze robi! — potwierdził z przekonaniem Szmul — a, poskrobawszy się w brodę, zapytał znów nieśmiało: — To co Francuzi wzięli Prusakom?!...

— Lubekę, mówię, Kistrzyń!...

— Co to znaczy, bez urazy, Kistrzyń!?...

— Kistrzyń? Twierdza, panie, sroga, otoczona wałami, przekopami. Mury tęgie, fosy, armaty...

— I oni to wszystko wzięli Prusakom?...

— Powiedziałem ci raz, barania głowo!...

— Aj waj! Wzięli! Dlaczego nie mieli wziąć?... takie Francuzy!... Jaśnie wielmożny pan się nie obrazi.

czego oniby nie wzięli!? Mnie już dzisiaj dwie kury i gęś wzięli!!...

Wosiński wybuchnął serdecznym śmiechem:

— A bodaj cię, żydzie!... A niech-że cię nie znam!... No, no! Zapłacę ci... nie bój się!... Pilnuj się tylko, bo tu nadciągnie za mną siła jeszcze ludu... Cha, cha! Tom się uśmiał!...

Arendarz ręce zatarł, że mu się tak zgrabnie udało upomnieć o swoją krzywdę! W gromadzie wieśniaków lody nieufności topniały — szeptano między sobą z przekonaniem — „dobre panisko!“

Wosiński pociągnął ze szklanicy jeden i drugi łyk muszkateli i znów zaczął, zwracając się do sołtysa i wieśniaków:

— Owóż sobie to zapamiętajcie dobrze, że co Prusak, to nie Francuz. Tamten przyszedł was gnębić, podatki ciągnąć, dziesięcinę wybierać, rekruta chwytać, a wszędy przymus czynić...

— Prawda! Prawda, wielmożny panie! — odezwały się pojedyncze głosy.

— A no widzicie! Francuz? Francuz właśnie idzie, aby was z tej pruskiej opressyi wyzwolić!!... Rozumiecie?!...

Chłopi spojrzeli po sobie i milczeli. Szmul pośpieszył się wmięszać:

— Jaśnie wielmożny panie, co takie głupie parobki mogą wiedzieć!... Ja im zaraz powiem! Słuchajcie, sołtysie i wy Kuba!... Jaśnie wielmożny pan mówi, że wszystkie Prusaki będą wypędzone i z Grabówki, i z Brzeźnicy, i z Klepaczka, i z Janowa, i ze Starej Kuźnicy, może z całego świata! I tu wszystko będzie po dawnemu... Przyjdzie pewnie do nas sam pan Zaremba i wielmożny rotmistrz Grabowski i porucznik Załuskowski... Już nie będziecie mieli ani jednego Prusaka, tylko same wielmożne konfederaty!

— A... a... landrat!? — rzucił niepewnym głosem sołtys.

— Landrat?! — powtórzył arendarz, zaskoczony niespodziewanem pytaniem. — Landrat?... Landrat, o troszkę pojechał do Piotrkowa!!..

Kapitan pokładał się ze śmiechu, słuchając wykrętnych odpowiedzi arendarza. — Żyd, widząc dobry humor Wosińskiego, ciągnął dalej swój przykład:

— Landrat to un jest osoba, to jest taka osoba, że musi być zawsze. Jemu się będzie podobało nazywać mandataryusz albo starosta, ale on ciągle będzie. To wy, Kuba i wy, Kiciak, sobie pamiętajcie, że jak mieliście dać wymiar, to wy go dacie i teraz, ale do was nie przyjdzie już po siano, ani po owies, ani po krupy, ani po jajo Prusak, — tylko przyjdzie wielmożny Francuz, albo wielmożny konfederat! Jak się żołnierzowi zepsuje wóz, albo złamie oś, albo zerwie postronek, albo lejca, albo przewróci się bryka, albo jemu się będzie chciało pić, albo jeść... albo mu będzie za zimno, albo za gorąco, to on także do was przyleci i da wam kwitek... ale to już nie będzie pruski żołnierz, tylko wielmożny Francuz!... Rozumiecie!?...

W gromadzie powstał lekki szmer przykrego zdziwienia. Wosiński pobladł z gniewu i huknął surowo:

— Słuchaj, ty przechero!!... Sprzykrzyło ci się po świętej ziemi chodzić, chcesz sobie widzę podyndać!... Ja cię tu zaraz nauczę rozumu! Flageolet! Sam tu!...

Sierżant porwał się z miejsca i stanął, salutując przed Wosińskim i czekając rozkazu. Kapitan uniesiony gniewem zapomniał był, że sierżant... nie rozumie po polsku i zakomenderował ostro:

— Zabrać go natychmiast i pięć batów!

— Capitaine!? — zagadnął Flageolet, nie ruszając się z miejsca.

Wosiński spojrzał na twarz sierżanta i zaklął zcicha. Arendarz tymczasem, przerażony rozkazem, jął szeptać błagalnie:

— Jaśnie generale! Jaśnie oświecony panie! Czy ja chciałem obrazić... niech mnie...

— Milcz! — uciął surowo kapitan, a oryentując się w sytuacyi, dodał łagodnie: — Za karę, żeś się poważył w podobny sposób do nich przemawiać, musisz na przeprosiny dać na głowę po kwaterce gorzałki!...

Niema przebaczenia! Sołtys! bierzcie mu tam baryłkę!!...

Arendarz chciał protestować — lecz Wosiński skinął na gromadę. Chłopi ruszyli za szynkwas, wytoczyli baryłkę i jęli się raczyć wódką. Szmul, a za nim Siapsiowa i żydzięta uderzyli w lament.

— A wyrzucić mi z karczmy te piszczały! — nakazał kapitan.

Gromada spełniła skwapliwie rozkaz Wosińskiego, żartując a zachęcając się do picia.

Gwar w karczmie wzmagał się, pod karczmą również. Strzelcy, podjadłszy i podpiwszy nieco, baraszkowali sobie, śmiejąc się a nucąc żołnierskie piosenki. Ten i ów próbował nawiązać rozmowę z dziewczynami, które w ślad za chłopami zaległy już podjazd przed karczmą.

Nie szczędzono sobie ani żartobliwych uwag, ani złośliwych docinków.

— A to ci czarne, niby smoki!... Jaki to żółty!... Świergocą między sobą, jak stare śmieciuchy! — Ta niczego! Podoba ci się — chcesz zostać artylerzystą!?... Trznadle — kuse to, o rety! Dajże mu ta sójkę, niech nie następuje! — Kloce! — Szczygły!...

Nikt się tu nie obrażał — nikt nie srożył — jedni drugich nie rozumieli.

Karczma buchała potokami światła i kłębami pary. Okrzyki a śmiechy stały się coraz żywsze, coraz głośniejsze.

Jeden kapitan stracił nagle humor.

Myśl, że oto nie może się porozumieć ze swoją komendą, jak należy, skwasiła go. Wosiński czuł, iż w danym razie musi się z góry wyrzec wszelkiej samodzielności w działaniu i że raczej stary sierżant, a nie on, jest w tej chwili dowódcą oddziału. Wprawdzie rozkaz otrzymany nie należał do trudnych ani zagmatwanych, atoli Wosińskiemu błąkała się już była oddawna myśl, aby przy zdarzonej sposobności pokazać temu „białemu borsukowi“, co gwardya narodowa potrafi!... Zdawało mu się, że teraz właśnie okazya nadeszła, aż tu znalazł się szkopuł, o który

wszystkie jego zamysły rozbić się muszą. Nawet mu marzyć nie wolno o urządzeniu jakiej zasadzki, czy wypłataniu figla pruskiej pikiecie. Co gorsze, sam mógł się znaleźć w nielada kłopocie.

Spędzona placówka może z łatwością naprowadzić liczniejszy oddział nieprzyjaciela. A tu niewiadomo, po jakiemu wydać rozkazy. Ech! Gdyby tak miał pod sobą choć tuzin jeden tych zuchów dawnych z pod Szepetówki!... Ba, ba! Co tu począć? Co zrobić? No, siedzi tu, naprzeciwko niego, ta zasuszona mumia francuska i oczyma łypie! Niby kapitan w ciągu tygodniowego bez mała przebywania z Francuzami w szwadronie kilka wyrazów zdołał pochwycić, a kilku nauczył go Gotartowski, lecz co mu one pomódz mogły?!...

Wosiński głowił się nad wynalezieniem sposobu wybrnięcia z sytuacyi, a w końcu zdecydował się zarządzić próbną rewię. W tym celu nakazał chłopom naznosić łuczywa i oświetlić mocno placyk przed karczmą. Gdy rozkaz ten spełniono, kapitan dał znak sierżantowi i rzekł krótko:

— A cheval!

Zaczem, przyłożył rękę do ust i, naśladując głos trąbki, powtórzył kilkakrotnie: „tra-ta! tra-ta!“

Flageolet zrozumiał rozkaz. Wyszedł pośpiesznie z karczmy. Zakrzyknął. Rozległy się krótkie dźwięki trąbki i kompania ustawiła się na szosie czwórkami. Wosiński wyszedł zadowolony, dosiadł podanego mu konia i jął objeżdżać powoli swoją komendę, namyślając się nad tem, w jaki sposób wprowadzić ją w ruch. Wreszcie dobył z determinacyą pałasza i, machnąwszy nim energicznie, zakrzyknął:

— Naprzód — marsz!

Za plecami Wosińskiego, niby echo, rozległ się głos sierżanta i kompania ruszyła z miejca. Ujechawszy kilkaset kroków, kapitan osadził konia i zawołał: „stój!“, i oddział stanął. Wosiński zawrócił do karczmy i oddział zawrócił... Kapitan nabrał otuchy i pewności siebie.

— Pojętne szelmy! — mruknął. — Tylko wolałbym, żeby się z nimi po ludzku można było rozmówić!...

Uspokojony nieco Wosiński zsiadł z konia i dał znak sierżantowi. Oddział poszedł za przykładem kapitana. Wosiński powrócił do karczmy z Flageoletem, a za nimi gromada podchmielonego chłopstwa, która była wyległa przypatrywać się żołnierzom.

Kapitan dopił resztę muszkateli, przeciągnął się raz i drugi, i rzekł znacząco do sierżanta:

— Dormir!

Flageolet podniósł się, wyszedł do szeregowych i zarządził podesłanie ławy sianem dla kapitana. Chłopi, kłaniając się do ziemi a czapkując, zaczęli zwolna opuszczać karczmę. Sierżant zdwoił placówki. Wosiński zaczął układać się do snu. Głowa mu ciężyła, oczy zachodziły mgłą. Kiwnął się raz i drugi, senność skleiła mu powieki.

Naraz, za oknami karczmy, powstał zgiełk i dziwny hałas. Kapitan oprzytomniał i chwycił za pistolet. Flageolet dobył pałasza. Drzwi się z trzaskiem otwarły, gromada strzelców wprowadziła do izby opierających się jeńców. Był to chłop olbrzymiego wzrostu a marsowego oblicza i gruba, przysadzista baba. Chłop targał sześciu wczepionymi w niego strzelcami i mruczał groźnie — baba wykrzykiwała głośno i lżyła trzymających ją żołnierzy, mieszając co chwila cudzoziemskie wyrazy:

— Sacrébleu! — wołała baba. — Bodaj was pokurczyło! Cóż to sobie myślicie! Mnie, markietankę pierwszej legii, pierwszego batalionu, za kark prowadzić... a chyba mnie zaleje!... A psianogi!... a podlece!... Wyście Francuzy... rakarze jesteście! Canailles!...

— Jasia! — mruczał chłop, zgrzytając zębami. — Rozpłaszczę którego!..

— Czekajże!... Przecież ta hołota musi samopas nie chodzi!... Może się tu znajdzie jaki oficer... Ady nie ciągnij, psiawiaro, bo ci ślepie wydrapię!...

— Cicho mamo! Cicho! — odezwał się jeden strzelec.

— Słyszysz stary! — ryknęła baba. — Ta pokraka mówi do mnie „mamo!“ Jakem Muszyńska z domu,

święty Antoni, nie opuszczaj mnie, bo już nie wytrzymam!!...

— Milczeć! — wmieszał się kapitan. — Flageolet! Postronków! Ja was tu rozumu nauczę!...

Baba posiniała z oburzenia.

— Cóż to sobie pan myśli?... Mnie wiązać! Mnie, markietankę legii... Tfy! Różnych już Francuzów w życiu się napatrzyłam, ale co takiej hołoty...

— Odpowiadaj na pytanie jeden z drugą, bo kulą w łeb.

— Kulą w łeb! Patrzcie no! Słyszysz stary... osobliwość zobaczymy!... Przecież mnie nie duście! Nom de Dieu! Jest was przecie regiment bez mała!...

— Jasia! nie gadaj! — upominał chłop, który, na widok oficerskiego munduru Wosińskiego, przestał był wyrywać się strzelcom.

— Co nie mam gadać! — wrzeszczała baba. — U Prusaków jestem, albo co!? Żeby mnie dziś, Muszyńską z domu, taki despekt spotykał i od Francuzów!

— Będziecie wy odpowiadali do licha na pytania? — zakrzyknął Wosiński. — Chcecie, żeby wam gęby pozatykać!!... Gadajcie, coście za jedni?!!

— Joanna Żubr, markietanka pierwszej legii, pierwszego batalionu — odparła dumnie baba. — A to mój stary niedołęga...

— Maciej Żubr, podoficer pierwszej legii, pierwszego batalionu, drugiej kompanii! — poprawił chłop.

— Jakiej legii?! — rzucił surowo Wosiński, nie rozumiejąc odpowiedzi.

— Jakiej legii?! — przeciągnęła z pasyą baba. — Słyszysz stary!?... Jakiej legii!!... Masz dyable kaftan!... Przez dziewięć lat nawycierałeś się kątów po całym świecie, z głoduś zdychał a krew dał sobie toczyć... aż ci się pytają, z jakiej jesteś legii!! Z włoskiej mości kapitanie, nie z tchórzowskiej, ani piecuchowskiej, ani grabkowskiej!!

Wosiński zagryzł wargi. Mimo wyraźnego oporu jeńców i ich hardości, zaczęli mu się coraz więcej podobać. Ozwał się więc łagodniej:

— No, no! To się wyjaśni! Prawo wojenne! Każdy rad się wykręca... Jeżeliście służyli wojskowo, to powinniście znać to prawo...

— Prawo! według rozkazu! — szepnął Żubr i wyprężył się przed Wosińskim tak silnie, że trzymającego go za ramię strzelca podniósł do góry.

— Juści to się wie! — odrzekła uspokojona baba. — Myśmy też nie włóczęgi, nie szpiegi, a Prusaków sami obedrzeć ze skóry żeśmy radzi. Niechże więc pan kapitan od tych pijawek nas uwolni.

Wosiński dał znak strzelcom, aby odstąpili Żubrów i zagadnął:

— Więc powiadajcie mi o sobie, skąd wracacie i dokąd jedziecie?

— Gdzieżby? — zaczęła baba. — Będzie temu dwa tygodnie, jak wróciliśmy do kraju z naszym panem porucznikiem. Pan porucznik w drodze do Warszawy zajechał do domu... i powiada: należy się wam odpoczynek, to u mnie się ostawajcie, dam sobie radę i bez was!... A już siłaście się po świecie natułali. Niesporo nam było się z panem porucznikiem rozstawać, ale że stare kości o wytchnienie gwałtowały, a w gospodarstwie na wsi robota się zawsze najdzie i na łaskawym chlebie siedzieć nie potrzeba... tedy ostaliśmy. Minął dzień, drugi, trzeci, porucznik zaraz dalej odjechał, w domu nas honorują i starsza pani i paniątka, a już co starszy pan to nam spokoju nie daje, aż człekowi język kołem staje w gębie od ciągłego pytlowania. Aż ci wspominam sobie, jako, będzie temu lat parę, gdyśmy nad Adygą w ciężkich byli opałach, ślubowałam, że jeżeli z moim starym do kraju powrócę, to pielgrzymkę do Częstochowy odbędę!... Uprosiliśmy się więc na urlop i poszliśmy, bo to i z pod Rawy niedaleczko. Wczoraj właśnie, gdyśmy nadciągnęli na Jasną Górę, Prusaków do klasztoru naszło jak mrowia, a powiadali nam, że cesarz już, już nadchodzi i że lada chwila zaprą bramy klasztorne, bo się będą Prusacy bronili!... Myślę sobie, źle jest!... Bo to i wstyd byłoby człekowi siedzieć u Prusaków w pułapce, no i dla duszy niewielka pociecha. W tej bo ciżbie

Najświętsza Panienka snadnie mogłaby nas za Niemców czy lutrów poczytać!... Odmówiwszy więc pacierze i wydychawszy się trochę, ruszyliśmy na noc z powrotem, do lepszych czasów dłuższe modlitwy odkładając... Idziemy, a tu naprzeciw nas Prusacy pędzą... przycupnęliśmy pod drzewem, broni żadnej nie mając... minęliśmy ich szczęśliwie... Idziemy dalej, idziemy... aż tu nas te pijawki opadły. Myślałam, Niemcy z początku... ale ci parlefransują!... Mówię do nich „bon soir!“. Krzyczę — vive l'empereur! vive la France!... Gdzie tam!... Narobili hałasu — opadli nas i tu przynieśli!... To i cała szczera prawda!...

— Hm! A cóż to za porucznik?...

— Któżby! Imć pan Floryan Gotartowski!...

— Gotartowski?!

— Nie kto inny. Pisanie od generała Dąbrowskiego wiózł z Berlina, a teraz, Bóg wie, gdzie się drogie nasze panisko podziewa!...

Wosiński porwał się z miejsca:

— A czegóżeście mi, do licha, tego odrazu nie powiedzieli? Gotartowski! Gotartowski! Hej! Żydzie! Dawaj-no tu muszkateli a żywo!... I trzy kubki! Bodajże was! Toć przed dwoma godzinami z kapitanem się rozstaliśmy!...

— Z porucznikiem! — poprawiła baba.

— Właśnie, że szlufy kapitańskie dostał!...

— I... i... jest tutaj?!...

— Za parę dni się zjedziemy!...

— Stary, słyszysz!... Nasz porucznik szlufy kapitańskie dostał... no i podwójne obszlegi, a i przy szabli temblak ze złotym kutasem!... Jezu! Jakże on musi wyglądać! Uważasz niedołęgo! Kapitańskie szlufy!... Gdzież on jest?! Paniątko moje!... Słyszysz stary?!

— Nie... gadaj Jasia! — mruknął Żubr, ocierając rękawem łzę.

Żyd postawił baryłkę muszkateli i nalał kubki. Wosiński się rozochocił znowu:

— Et! Co tam! Wytarmosili was! Niech wam będzie na zdrowie! Widzę, żeście porządni ludziska!

W wasze ręce! Pijcie Żubr! A i wy się nie wzdragajcie! Na przeprosiny.

— Cha! Wzdragać to ja się nie będę! — rzekła z przekonaniem baba, sięgając po kubek. — Tylko ty, stary, folguj i do kubka mi się nie przylepiaj zanadto! Pięście silne, ale co głowa, to wiechetek, od lada czego kiwnie mu się!... Zdrowie naszego porucznika!!

Strzelcy, widząc dobrą komitywę, jaka zapanowała pomiędzy jeńcami a Wosińskim, ustąpili na bok. Chłopi, zwabieni tumultem, znów napłynęli do karczmy, obracając się śmielej, raźniej. — Żubrowa nabrała fantazyi i humoru, jęła opowiadać kapitanowi o Częstochowie.

— Co się tam dzieje, panie kapitanie, to powiedzieć trudno! Prusaków nalazło się z betami, bachorami, wozami, że na mury się dostać nie można... Sposobią się do odparcia oblężenia. Zataczają działa, czyszczą broń, a zgiełku, a krzyków co niemiara!... Starszyzna pruska jest — a jakże!... Sam generał Wagenfeld dowodzi i sztabu pełno i różnych oficjerów. Ale co właśnie pedała mi furtyanowa, niby matka braciszka klasztornego, jako silnego stracha mają Niemcy, bo jak ktoś tam, będzie temu trzy dni, obaczywszy zdaleka pruskich huzarów, krzyknął: „Francuzy!“ — to się takie zrobiło zamieszanie... — Stary! A odczepisz się ty od muszkateli!!... — że lada podjazd mógłby całej fortecy dobyć!!

— Lada podjazd! — mówicie?

— A pewnie, panie kapitanie, albo to raz na taką komendę patrzyłam!... Jęszy żołnierz póty coś znaczy, póki go tchórz nie obleci... Mało to się napatrzyłam! Ile razy!... I to nie byle kto, ale stare grenadyery od jednego naszego okrzyku broń rzucali i w nogi!... Ani czasem wystrzelić nie było czasu... Kurz się zrywa przed nami. Myślimy, idą do ataku, a oni karabiny na ziemię, albo pod pachę i w nogi!...

— Ba, ba! Częstochowa siła może wytrzymać!...

— Co prawda, to prawda! Mury nielada! Dla Boga! Maciej! A nie zalewajże się... Oddaj-no lepiej

kubek! Nie bój się! Nie wyleję za kołnierz! Przednia muszkatela! Co ja to miałam pedzieć?! Aha! Otóż gdyby tak garstka zuchów się znalazła, to przy pomocy Najświętszej Panienki, kto wie, nie daliby się lada komu!... Lecz Prusacy!... Niby to debatują nad obroną, a za lada wystrzałem poddać się gotowi!... Nie dziw, bo siedzą, co prawda, wzięci we dwa ognie!...

— Jakże to?!

— A no, tu mogą ich zaatakować Francuzi, a tu przecież Święci Pańscy pewno już długo nie ścierpią, aby im luter panoszył się, a miejsce, cudami słynące, postponował!... He!... Panie kapitanie, jakem Muszyńska z domu, żeby tak batalionik! Na co? dwie kompanie, jedna kompania!... Jużbym nie wytrzymała!...

Wosiński pokręcił głową, choć mu ta myśl dziwnie do gustu przypadła. Żubrowa pociągnęła muszkateli i dokończyła z przekonaniem:

— Niech mnie pierwsza kula nie minie, poszłabym! Albo to nie znalazłabym pomocy? Mało, bodaj tu, we wsi, chłopów? możeby nie poszli?! Co to, heretyki są jakie, kacerze, żeby Najświętszej Panience odmawiać mieli odsieczy?! Prawda stary?!

— Nie gadaj Jasia!! — ozwał się Żubr, spoglądając melancholijnie na odebrany mu kubek z muszkatelą.

Wosińskiego uderzyły słowa baby.

— Dobrze mówicie, Żubrowa! — zawołał. — Hej! Gromada! Sam tu do mnie!! Sołtysie! Słyszeliście, co wam tu kobiecina ta powiedziała?!...

— Słyszeliśmy! — odpowiedzieli chórem chłopi.

— A miłujecież naszą Częstochowską Panienkę a Orędowniczkę?!

— Miłujemy!

— Patrzcie więc, jaki ją to dyshonor a pohańbienie spotyka. Prusacy w miejscu świętem!...

— Prawda, wielmożny panie! — ozwał się stary sołtys. — Człekowi aż się serce kraje na ten przykład! Ojcowie Paulini dość się nawyrzekać nie mogą. Ofiary a wota im zagrabili i do wywiezienia już przygotowali!... Kary na nich niema, albo co?!...

— Niema kary? Owóż i będzie! Dalej chłopcy! Zbierać się w gromadę, pójdziemy klasztoru dobywać!!... Żywo łapcie za drągi, za łuśnie, kosy a widły — pójdziemy wszyscy... My im pokażemy!!...

Wieśniacy zafrasowali się, ten i ów drapał się w głowę a na drzwi poglądał. Żubrowa skoczyła do nich, nie mogąc ścierpieć tej obojętności:

— A wy, psiekrwie! Wy się jeszcze namyślacie! To ja, słaba kobieta, pierwsza za kłonicę chwycę i pójdę! Pójdę, jakem Muszyńska z domu!... Mało to się każdy z was codzień naskomle, naprzymawia Najświętszej Panience to o zdrowie, to o urodzaj, to o deszcz, o pogodę, o ratunek w lada potrzebie... a teraz taka wdzięczność!!?... Zdaje się wam, że to wam nie będzie policzonem!... Ruszajcie, capy jedne... dalej, pod Częstochowę!! Żywo się zbierać!...

Słowa Żubrowej sprawiły skutek piorunujący. Gromada chłopów zaszemrała, drgnęła, niby ze snu zbudzona i nagle huknęła całą piersią:

— Pod Częstochowę!...

Wosiński wydał natychmiast stosowne rozkazy.

Godzina nie upłynęła, a przed karczmą stały kupy chłopstwa z siekierami, drągami, kosami, podzielone na małe gromady.

Wosiński w ostatniej chwili przypomniał sobie Ślązaka, którego był pojmał, a który leżał związany pod strażą, i kazał go przyprowadzić do siebie.

— Słuchaj, trutniu — rzekł doń, marszcząc brwi groźnie. — Za to, żeś broń rzucił, puszczam cię wolno!... Idź, wracaj do swoich, do Częstochowy! Chciałem cię powiesić, ale zaniechałem zamiaru, bo mi szkoda postronka... na nim będzie wisiał twój generał... ten... Wagenfeld!... Rozumiesz?!...

— Ja wohl! — szepnął przerażony Ślązak.

— Milcz i słuchaj! Powiesz swemu generałowi, że cała armia francuska idzie na Częstochowę i że, jeżeli jej nie podda i nie padnie mi do nóg, będzie wisiał... posiekany na drobne kawałki! Teraz uciekaj a śpiesz się, bo jak cię drugi raz schwycą, to po ha-

rapie!... Stój jeszcze! Widziałeś, nicponiu, cesarza Napoljona?!... Gadaj!...

Ślązak zatrząsł się, rzucił okiem na groźnie zmarszczoną twarz Wosińskiego, na marsowe twarze otaczających go strzelców, na tłum chłopstwa i zgiął się do kolan kapitanowi, bełkocząc:

— Widziałem!... Excellence!...

— To dobrze! Uciekaj teraz!...

Ślązakowi nie trzeba było dwa razy tego powtarzać, porwał się z miejsca i pomknął drogą ku Częstochowie.

Wosiński nakazał, przed ruszeniem, karczmarza z rodziną w lamusie u sołtysa zamknąć, ile że był go podejrzywał o konszachty z Prusakami.

W kilka chwil później rozległy się dźwięki trąbki i pochód ruszył przy świetle licznych pochodni.

Naprzód jechało czterech strzelców, badając okolicę, o kilkaset kroków za nimi szła kupa co sprawniejszych a młodszych parobczaków, mając na czele Żubra i Żubrową na małych, krępych konikach chłopskich, za nimi dopiero jechał Wosiński ze strzelcami, mając za sobą drugą gromadę chłopstwa pod sołtysem. Czterech strzelców zamykało szyk bojowy oddziału.

Dziwny i fantastyczny był to pochód. Noc czarna, smutna okrywała kraj cały, chłonąc w głębi swej nawet cienie drzew, kontury chat wieśniaczych i faliste linie pagórków. Noc była nieprzenikniona, dżdżysta, przepastna, listopadowa noc. Lasy i pola, góry i doliny, sioła i miasteczka, niebo i ziemia zlewały się z sobą w jakiś wielki nieobjęty całun, kir. Naraz, na drodze ku Częstochowie ukazała się długa linia pochodni, w blaskach których mieniły się ostrza siekier i kos, bieliły świty chłopskie, lśniły felcechy, a guzy strzelców; tu i ówdzie czerwieniły się chusty, dążących za oddziałem bab.

Pochód szedł w milczeniu, niby procesya żałobna. Naraz z piersi wieśniaków zerwały się słowa antyfony:

Pod Twoją obronę uciekamy się...

Zerwały się, uderzyły w niebiosy i popłynęły w dal niezmierzoną.

Antyfona chwilami milkła, przechodząc w jakiś szept żałosny, pełen skargi, łez, bolów i trosk. Zdało się, że na ten szept ludu całe wieki gorzkiej na własnej ziemi niewoli się składały. Zdało się, że w tym szepcie zlały się w jeden jęk wszystkie błagania bitych i katowanych i gnębionych kmieci. Zdało się, że w tym szepcie duch pierwszego Piasta odżywa i złowrogie niesie wróżby tym, co Kainami się stali. Zdało się, że szept ten przenika sklepienia niebieskie i staje prosty, serdeczny, łzawy a wierzący przed tronem Najwyższego.

To znów antyfona na falach szeptu rosła, potężniała i przechodziła w groźną pieśń, brzmiącą, jak odgłos gromu, jak zapowiedź burzy — tyle w niej było świadomości siły, tyle wiary, tyle bezgranicznego poddania się wyrokom Bożym, tyle ufności w niezawodne orędownictwo Świętej Rodzicielki, że zdało się, iż od jednego tego głosu opadną wrzeciądze i zapory, a pruskie skamienieją żołdaki.

Strzelcy francuscy z podziwem a skupieniem wsłuchiwali się w szmery i akordy pieśni. Nie rozumieli słów, lecz odczuwali je, odgadywali.

W tylnej straży — strzelcy wszczęli między sobą ukradkową rozmowę.

— Śpiewają! — zauważył jeden.

— Flaki możnaby człowiekowi wypruć taką pieśnią! — dodał drugi.

— Anim myślał! Pół dziko to wygląda. Zbiedzone, odarte! — ozwał się trzeci i spojrzał na czwartego, który jechał z głową zwieszoną, zadumany w dźwięki antyfony, rozmarzony może myślą o chacie rodzicielskiej, o ziemi ojczystej, o Bogu — i ozwał się znienacka:

— Chciałbym wiedzieć, co oni właściwie śpiewają?!...

— Co śpiewają! — odrzekł czwarty strzelec, jakby budząc się ze snu. — Patrz na nich!... Niezawodnie to ich Marsylianka!!...

A tymczasem już do bram Częstochowy doleciały słowa:

„Módl się za nami Święta, Boża Rodzicielko...“

Generał Wagenfeld, wystrzałem armatnim obwieścił zbliżanie się nieprzyjaciela!

VI.

Częstochowa czuwała. W refektarzu klasztornym starszyzna pruska zebrała się na naradę, pobrzękując butnie ostrogami a trzaskając szablami.

Stary generał Wagenfeld, mając obok siebie młodszego swego kolegę, Millera — zagaił zebranie. Wieści były niepomyślne. Armia francuska zbliża się, podchodzi... ludność miejscowa chwyta za broń. Lada chwila należy się spodziewać starcia!... Gubernator Köhler zaleca rozwagę i ostrożność, nadto spodziewa się, że Częstochowa zdoła powstrzymać nawałnicę i da czas wojskom pruskim do zebrania się na brzegach Wisły. Forteca, choć naruszona mocno zębem czasu, powinna oblężenie wytrzymać...

Wagenfeld umilkł, zaczem przemawiali kolejno generał von Miller, pułkownicy Freiberg i Avisfort, powtarzając mniej więcej słowa dowódcy. Od pułkowników przeszedł głos na rotmistrza, dwóch kapitanów, poruczników wreszcie. I cisza głęboka zapadła. Członkowie rady wojennej zapadli w jakieś jednomyślne, wspólne a głuche milczenie. Każdy z nich jakby miał jakiś wielki ciężar na piersi, który go łamał, cisnął, a którego bał się wyznać, bał odkryć, bał wypowiedzieć. Zdawało się, że każdy tu inaczej czuje, co innego zamierza, czem innem jest zajęty, a w łukach izby klasztornej rozbrzmiewają puste, czcze wyrazy i giną, rozpływają się w ponurem świetle łojowych świec.

Po długiej pauzie, generał von Miller ozwał się dosyć niepewnym głosem:

— Musimy coś jeszcze postanowić... z tymi... z tymi zakonnikami!...

— Prawda! — przyznał Wagenfeld i umilkł.

Oficerowie spojrzeli po sobie, niby oddając sobie wzajem pierwszeństwo słowa. Wagenfeld zachmurzył się, a chcąc dodać bodźca rozprawom, rzucił rozkazująco:

— Rotmistrz von Kasten niech wyrazi swoje zdanie.

Rotmistrz drgnął, potarł czoło i zaczął z cicha:

— Zakonnicy?! Lepiej, bodaj ich tu wcale nie było... to złe duchy tej warowni... Zdrady można się od nich każdej chwili spodziewać!... Te... te ich opowieści, te bajdy, które wpajają w służbę... w naszych nawet żołnierzy... mogą nam załogę zdemoralizować... Na takie matactwo trzeba znaleźć sposób!... Proponuję ich osadzić w lochach, uniemożliwić znoszenie się z kimkolwiek... zamknąć... zamurować a w razie potrzeby w pień wyciąć!...

Rotmistrz zwolna się zapalał — głos jego przechodził w chrapliwy szept, ziejący nienawiścią — w oczach roztliły mu się jakieś ponure ognie, ręce ku przodowi wyciągnął, jakby chciał gryzącą go zmorę zdusić, zdławić...

Wzruszenie rotmistrza udzieliło się w jednej chwili zebranym. Czoła okryły się zmarszczkami, zacisnęły szczęki, oblicza pobladły, w sinawe strojąc się wypieki, z ócz trysnęły błyskawice — zemsty. Zemsty za ten spokój pogardliwy, okazywany im przez zakonników, za tę wiarę, która nigdy nie dała im zadrżeć z trwogi... za to zapamiętanie, za te śpiewy, które drażniły pruskich oficerów, za te światła w kościele... za te nabożeństwa!...

Rotmistrz von Kasten odsapnął ciężko i zaczął gwałtownie:

— Tak, wyciąć ich w pień!... To nasz jedyny ratunek!... Inaczej zginąć nam przyjdzie, albo... albo poddać się nieprzyjacielowi!... Raz przynajmniej trzeba już zburzyć to gniazdo szerzeni... Takie jest moje zdanie... bo ja ich ścierpieć nie mogę!... Ja

pozwalam sobie dziwić się dobroci Najjaśniejszego Fryderyka, że... zezwolił na utrzymanie ich na miejscu!...

— Jestem tego samego zdania! — podchwycił gorączkowo pułkownik Freiburg. — Ja gotów jestem walczyć zawsze do upadłego, krew przelać, gdy zajdzie tego potrzeba... ale... nie... z takim wrogiem!... Za nic tu ręczyć nie można!... Udają posłuszeństwo, pokorę... a kto wie, czy nie utrzymują stosunków z nieprzyjacielem!... Między żołnierzami jest wielu katolików... Co katolików!!... Wczoraj złapałem gefreitera mego szwadronu, Sachsa, jak skradał się tam, do nich... Zdawało mi się z początku, że może idzie przez ciekawość!... Gdzie tam!!... Wchodzi... pada na kolana!!... Modli się u nich!... Mało tego! Przechodzi ten... ten ich stary herszt... Sachs podsuwa się i całuje kraj jego szaty!... Nicpoń! Poszedł, naturalnie na chleb i wodę!... Lecz to jest przerażające, bezprzykładne!... To propaganda jezuicka!... Zdemoralizują nam wojsko!...

— To uniemożliwia obronę! — wtrącił generał von Miller.

— Grozi wzięciem we dwa ognie!! — wmieszał się pułkownik Avisfort. — Kto wie, czy Paulini nie mają jakiego podziemnego korytarza!... Ani się spostrzeżemy, jak nam tu, w okopy i fosy, wprowadzą powstańców czy francuską armię!... Trzeba Częstochowę oczyścić co prędzej. Przedewszystkiem, wypędzić tę całą hołotę, która się licho wie po co kręci około zakonników, a potem... i na nich samych sposób znaleźć...

Wagenfeld milczał. Czoło tarł niespokojnie i wahał się z wypowiedzeniem ostatecznego słowa. Rozumiał dobrze, że i von Kasten i obadwaj pułkownicy i Miller mają racyę, że mówią tak, jak on sam myśli... że... gdyby nie ci Paulini... to obrona Częstochowy w nim samym nie budziłaby trwogi, grozy, tego dziwnego lęku, któremu się ostać nie mógł. Ich trzeba rozumu nauczyć... ich trzeba się pozbyć!... Ale jak!?... Wagenfeld nie wątpił o tem, że oni... gotowi są pójść

pod miecz, bez słowa skargi, bez jęku, bez oporu... i tego się bał. Ta ich bezsilność, ta ufność, bijąca z ich twarzy... obezwładniała pruskiego generała...

Członkowie rady wojennej długo czekali. Wagenfeld przemógł się i, klasnąwszy w ręce, rzekł do stojącego u drzwi ordynansa:

— Zawołać tu przeora Paulinów!

Ordynans wyszedł. Nastała długa pauza, zanim w drzwiach refektarza ukazała się wysmukła postać starca, spowitego białym habitem. Oczy pruskich oficerów utkwiły swe ognie w zakonniku i odwróciły się!... Wagenfeld ozwał się surowo:

— Kazałem wezwać przeora!...

— Tak jest! — odrzekł mnich głosem spokojnym a poważnie brzmiącym. — Przeor stawić się nie może, odprawia bowiem wieczorne pacierze!...

Wagenfeld rzucił się rozdrażniony na krześle.

— Cóż to?!... Opór!!?... Kto waży się nie słuchać moich rozkazów?!... Ja was nauczę!... Nie wiecie, kto tu ma władzę!?...

— Wiemy generale! — ozwał się mnich — Bóg!...

— Cha, cha! — wybuchnął nagle Miller. — Można się z nimi dogadać!...

Wagenfeld zagryzł wargi i syknął przez zęby:

— Ja was proszę, abyście mi tu kazań nie prawili! Zachowajcie sobie ewangelię dla siebie!... Bo ja wam pokażę, jak się odpowiada pruskiemu oficerowi!... Dosyć tego!... Potrzebny mi jest przeor! Chcę mu powiedzieć, co rada postanawia z wami uczynić... i jakich chce wam udzielić ostrzeżeń!... Wołać przeora! Marsz!...

Zakonnik nie ruszył się z miejsca. Wzrok jasny, pogodny zwrócił na Wagenfelda i rzekł cicho:

— Przeor teraz przybyć nie może! Lecz proszę, mówcie, panie generale — ja mu słowa wasze powtórzę!...

— Więc bunt!?... Dobrze!... Daję wam pół godziny czasu na zebranie się przed odwachem... tam was okują i zostaniecie osadzeni w lochu!... Nadto, z góry wam zapowiadam, że ktoby się opierał, na

kogo bodaj cień podejrzenia padnie, że ma z nieprzyjacielem konszachty, ten będzie wisiał!... Każę takiego poćwiartować! Pójdziecie do lochu! Na chleb i wodę! My, tu, nie potrzebujemy waszych błogosławieństw! Rozumiecie! Tam dla was miejsce!

Zakonnik słuchał nieporuszenie. Ani jeden muskuł w twarzy jego nie drgnął. Gdy Wagenfeld skończył, dając znak ordynansowi, aby wyprowadził mnicha, ten nagle zafrasował się czegoś i, odpychając zlekka żołdaka — rzekł z prostotą:

— A kościół?!

Wagenfeld pobladł — niespodziewane to pytanie wzburzyło go.

— Słuchaj!... Szczurze klasztorny!... Nie wyprowadzaj mnie z cierpliwości!... Kościół?!... W waszym kościele my sami będziemy odprawiali nabożeństwa!... Precz z nim!...

Ordynans chwycił za ramię zakonnika i wypchnął go za drzwi. Oficerowie wybuchnęli śmiechem szyderczym.

— Znakomicie było powiedziane! — zauważył generał von Miller.

— Świetnie! — Doskonale! — Inaczej z nimi nie można! — rozległy się pojedyncze głosy.

— On mi śmie o Bogu mówić! — burzył się Wagenfeld. — Wstrętne stworzenia! Dobrze, że nam tu o cudzie jakim nie opowiedział. Niech sobie siedzą pod kluczem!... Pan, pułkowniku Freiburg, zajmie się nimi! Kompanię piechoty pod bronią i przeprowadzić ich! Niechże pan tylko uważa, aby loch niemiał drugiego wyjścia! Pod drzwiami postawić im straże... W razie czego, niech strzelają prosto w łeb! Tak, tak, zaraz się lżej odetchnie! Tu inaczej nie można!... Tacy to gorsi od nieprzyjaciela!... Wierzcie mi, panowie, z ochotą poszedłbym dalej... i nie pożałowałbym im ołowiu... atoli muszę wyrzec się tej myśli, chociaż prawo wojenne uprawnia mnie do wydawania wyroków i zwoływania sądu wojennego!... Właściwie nie wiadomo jeszcze, jaki obrót wziąć mogą losy wojny, Armia rosyjska stoi w pogotowiu, może Francuzów

powstrzymać... a w takim razie, bezwątpienia, wytępienie Paulinów byłoby nam nie na rękę!... Oni tu mają szczególniejsze jakieś zachowanie, do tego miejsca zabobon prostaków przywiązuje najdziwaczniejsze podania, setki rozmaitych legend... Poszłyby skargi do Berlina, protesty nawet do Rzymu... Rozwaga nakazuje pohamować nasz słuszny gniew... Ale, jeżeliby się co okazało, to pierwszy będę nieugiętym!... No, no... zresztą pobyt nasz tutaj... zawsze się opłaci... skarb pruski zyska niespodziewany zasiłek, bo czy tak losy pokierują, czy inaczej... skarby wyjadą do Berlina, tam im będzie i bezpieczniej i wygodniej...

Wagenfeld chciał dłużej jeszcze perorować, lecz niespodziewane zjawienie się służbowego oficera przerwało mu wątek myśli.

— Co tam takiego?! — zagadnął niechętnie Wagenfeld.

— Pikieta nasza pod Grabówką starła się z przednią strażą armii nieprzyjacielskiej!... Wachmistrz z jednym żołnierzem uszli... drugi żołnierz przepadł!...

Wagenfeld powstał z miejsca, a za jego przykładem inni oficerowie.

— Panowie!... Na stanowiska!... Zdwoić straże!... Kto wie, co nocy dzisiejszej wypadnie. Pułkowniku Freiburg, proszę, bez ociągania, skończyć z mnichami... a pan, panie Avisfort, zajmiesz się oczyszczeniem podwórza klasztornego... Kto tylko zbyteczny, wypędzić za bramy... musimy być sami!... Raz trzeba uporać się z tym bezładem!...

Oficerowie skłonili się dowódcy i wyszli. W refektarzu pozostał tylko Wagenfeld z Millerem.

Stary komendant Częstochowy znów się zasępił, i, jakby odpowiadając samemu sobie, ozwał się:

— Krótko mówiąc, czeka nas tęga przeprawa!...

— Niezawodnie! — przyznał Miller. — Oby tylko wszystko na co się zdało!... W tym kurniku zgnieść nas mogą!...

— Naturalnie!... Eh!... Wierz mi, kolego, wiele, wielebym dał za to, żeby być w szczerem polu... Tam przynajmniej ma się ruch!... Wiem, że mogę

pójść i tu i ówdzie!... Ta cała wojna wogóle mi się nie podoba!...

— Ani mnie!...

— Z tym wściekłym Napoleonem lepiej było nie zaczynać!... To zwierz!... Dziki, drapieżny!... A my nawet planu nie mamy... Przyznaj, kolego!... Nasz generalissimus chyba się przerachował... Pozostawia nas z dwudziestoma armatami... z tymi czterema szwadronami jazdy i tysiącem piechurów... Na co?... Lubeka nie mogła dać rady z tak wielką załogą, Gdańsk się chwieje...

— I pewno godziny jego policzone! — wtrącił Miller.

— A my tu, garść taka, mamy się potykać z Francuzami, którzy nas kaszkietami zarzucić poprostu mogą!... Już to generał Roketty razem z Pletzem i Köhlerem nieszczególny mieli pomysł...

— Mam to samo przekonanie!... Przyznam się, że mnie to nawet irytuje!... Byłem pewnym, że nadciągną do nas oddziały z pod Łęczycy i Kutna!... Gdzie tam, zawrócili prosto na Warszawę!... Pozostawili nas prawie odciętych od armii!... Dwóch generałów na ćwierć kolumny!...

Wagenfeld strzepnął rozpaczliwie rękoma i jął szykować sobie lulkę. Miller poszedł za jego przykładem.

— Roketty, zdaje się, nie odpowiedział nawet na ostatni raport kolegi? — zauważył po chwili Miller.

Wagenfeld splunął ze złością.

— Mój kolego, tu niema co ukrywać!... Czy odpowiedział?... Odpowiedział, ale tak, że jeszcze kiedyś zda mi z tego rachunek... poprostu... dał mi do zrozumienia, że żołnierz powinien spełniać przedewszystkiem rozkazy, a nie wdawać się w rozprawy i żeby miał tę pewność nawet, że ani jeden z załogi Częstochowy z życiem nie ujdzie — to postanowienia nie zmieni!!...

— Bo jego tu niema! — zauważył sarkastycznie Miller.

— Ba! Kuryer ostatni zapewniał, że załoga Warszawy jest przygotowaną najzupełniej do przeprawy przez Wisłę... Głupia sytuacya!...

— Najzupełniej!...

— A kolega nie przewiduje, że możemy się znaleźć w położeniu bez wyjścia?!...

Miller spojrzał z pod oka na Wagenfelda i odrzekł wymijająco:

— Rozmaicie może się zdarzyć... czasem... okoliczności zmuszają.

— No! Niechby do tego przyszło!... Przysięgam koledze... że tym nicponiom, mnichom nie daruję... i przedewszystkiem postaram się, aby im zabrakło...

Wagenfeld urwał nagle. Tuż za oknami rozległ się przeciągły śpiew. Miller skoczył do okna i zadrżał na widok obrazu, który się oczom jego przedstawił.

Przez podwórzec klasztorny ciągnął sznur mnichów z zapalonemi świecami, z przeorem pośrodku, niosącym pod baldachimem monstrancyę... Paulinów otaczali dragoni z dobytymi pałaszami. Pochód zakręcał około kościoła i nikł powoli w rozwartych drzwiach lochu.

Wagenfeld podszedł za Millerem do okna i wybuchnął gniewem.

— Ten von Kasten zwaryował!... Jakąś procesyę pozwolił im urządzić!... Patrz, kolego, idą sobie, jakby odprawiać jakieś nabożeństwo!... To nie do darowania!... Najwyraźniej... honorowa eskorta!...

— Co za arogancki spokój w tych ascetycznych twarzach!... Co za pewność siebie!...

— Ja ich złamię! — zagroził z wściekłością Wagenfeld i klasnął na ordynansa.

— Zawołać mi porucznika von Wesendorf!...

Ordynans wyszedł, a po chwili zjawił się w rektarzu spasiony, krępy, barczysty porucznik.

— Generał raczył mnie wezwać?!

— Jesteś mi pan potrzebny!... Przedewszystkiem obejmiesz ogólny nadzór nad tymi... mnichami... Możesz się naturalnie nie śpieszyć z wydawaniem im

racyi... bo gdyby którego zabrakło... to nic nie szkodzi!... Rozumiesz mnie?!...

Małe oczka Wesendorfa błysnęły złowrogo.

— Rozumiem, generale!...

— Nadto, wybierz kilku ze sprytniejszych i obszukaj cele klasztorne mnichów!... Szyję daję za to, że mają gdzieś jeszcze ukryte pieniądze!!... A kościół każ zatarasować tymczasem.

Porucznik wyszedł. Wagenfeld padł ociężale na krzesło.

— Jestem zmordowany, zmęczony!...

— Duszno tutaj!... Może kolega wyszedłby razem?

— Masz słuszność!... Chodźmy!...

Pruscy generałowie przypasali pałasze i wyszli w podwórzec klasztorny.

Zgiełk i tumult panował tu nie do opisania. Wieść o zbliżaniu się armii Napoleona wypłoszyła ze wszystkich zakątków kraju pachołków i wiernych poddanych króla Fryderyka. Kto z Prusaków lub sług pruskich mógł, a miał czem, ratował się ucieczką. Każdy dążył, gdzie tylko zdało mu się, że może być zabezpieczonym od armii nieprzyjaciela, a bardziej od odwetu za dziesięciolecie bezprawia i gwałtów. Dla wielu Częstochowa, jako miejsce obronne i obsadzone pruską załogą, wydała się najlepszem, czy najbliższem schroniskiem. Tu urzędnicy amtów zgromadzili swój ruchomy dobytek, tu rodziny oficerów pruskich szukały przytułku, tu Polacy a żydki — będący na żołdzie Fryderyka, zjechali z żonami i dziećmi. O pomieszczeniu jakiemś, dachu nad głową, nie było mowy nawet. Jak kto mógł, na wozie, lub pod wozem, szukał schronienia, snu, wypoczynku. Prócz tego jeszcze snuło się tu wiele bardzo postaci ciemnych, ponurych, nieznanych nikomu, kalek z dalekich stron przybyłych, pielgrzymów, których popłoch wojenny u bram Częstochowy zatrzymał, wreszcie dziesiątki żebraków, od lat w zakamarkach Jasnej Góry żerujących.

Między tą ciżbą ludzką niepodobieństwiem prawie było myśleć o zaprowadzeniu ładu a porządku. Zaciągające się warty bagnetami musiały sobie toro-

wać drogę. Wszystkie zarządzenia Wagenfelda nie doprowadzały do celu. Nakazał był początkowo formować spisy tych, którym wolno w murach fortecznych pozostać, chciał dzielić zbiegów, część ich usuwał przemocą i mimo to opanować tego tłumu nie mógł. Już się zdawało Prusakom, że przynajmniej od nędzy a żebractwa uwolnić się zdołali, lecz gdy tylko pościg osłabł, znów, niby z pod ziemi, wydobywały się jakieś baby stare, czołgające się, a ledwie łachmanami okryte, skulone postacie dziadów i dziesiątki najrozmaitszego mrowia ludzkiego.

Pułkownik Avisfort, otrzymawszy kategoryczny rozkaz Wagenfelda o oczyszczeniu podwórza klasztornego, zarządził otworzenie bram i, otoczywszy ciżbę, raz po raz szarżował, nie żałując ani płazów ani cięć.

Stąd zgiełk i przerażenie zbiegów. Wypędzano wszystkich bez wyjątku, czy kto się legitymował czy nie — czy kto klął i błagał po niemiecku, czy po polsku. Dragoni nacierali coraz natarczywiej. Brama klasztorna wyrzucała na stoki Jasnej Góry skotłowane masy, złożone z ludzkich ciał, tłomoków, bryk, wozów i koni.

Wypędzeni z klasztoru zbijali się w ciżbę przed murami i napełniali powietrze skargami, jękami, nie żałując swoim niedawnym obrońcom obelg i pogróżek.

Wagenfeld z Millerem, chcąc uniknąć zetknięcia z rugowanym tłumem, zawrócili na mury, w dalszym ciągu utyskując na zarządzenia generała Roketty. Tu dopadł ich rotmistrz von Kasten.

— Generale!... Francuzi o cztery wiorsty od Częstochowy! Otaczają nas!

Wagenfeld zaklął z cicha.

— Dyabeł nie człowiek! Skądże ta wiadomość?!

— Żołnierz, który został pochwycony przez Francuzów pod Grabówką, powrócił... Wypuścili go sami, aby nam zwiastował, że za godzinę, za dwie przypuszczą szturm... Ze Stradomia i Wyczerp, również placówki już powróciły!... Napoleon sam jest przy armii...

— Jest Bonaparte?!...

— Żołnierz przysięga, iż go widział na własne oczy!!

— Bonaparte! Napoleon! Tu! Słyszysz kolego?!

— Piekielne zwierzę! — przytwierdził zaniepokojony Miller.

— Otrzymam jakie rozkazy, generale?!

— Co za rozkazy?! — oburknął się Wagenfeld. — Przygotowania do odparcia szturmu zlustrować i czekać... Ale, ładnieś się pan załatwił z Paulinami!

— Generale?!

— Dosyć! Opatrzyć bramę! Przygotować lonty. Skóry wołowe namoczone mieć w pogotowiu. Rezerwa niech stanie pod bronią.

Rotmistrz odszedł. Wagenfeld spojrzał przeciągle na Millera.

— I co teraz?!...

— Cha! No, teraz przyjdzie nam pewno znieść wszystkie skutki rozporządzeń Rokettego i Pletza...

— To są wyraźne drwiny. Tam, pod Jeną, taka wielka armia nie mogła się ostać... Bierz licho! Niech się dzieje co chce! Niech kolega rzuci okiem na wały... Ja tymczasem tu zostanę! W Grabówce są, więc powinniby nadciągnąć z tej strony. Po skończonym obchodzie, proszę tu do mnie.

Miller odszedł, a Wagenfeld wspiął się powoli na okop i stanął na murze. Ciemność otaczała Częstochowę. U stóp Jasnej Góry w niejasnym, głuchym szmerze kotłował się tłum wypędzonych za bramy zbiegów. Pod odwachem rozległy się krótkie, ucinkowe dźwięki bębnów. Rezerwa piechoty stanęła pod bramą w pogotowiu. Tu i ówdzie na murach, niby błędne ogniki, gorzały zapalone lonty. Gefrejterzy, postukując halabardami, znaczyli obchód nieustanny szeregów. Poza nimi oficerowie kupili się w gromadki i szeptali między sobą.

Wagenfeld zatopił wzrok w czarne horyzonty. Dobył lunety. Nic! Hen, tam, daleko migotało światełko w chacie kmiecia... bliżej świeciły się okna kościołka Świętej Barbary. Opodal znów jakieś blaski

znaczyły nędzne lepianki i domostwa Starej Częstochowy... a zresztą noc, noc czarna i cisza.

Aż się Wagenfeld zadziwił. Napoleon był tuż... o kilka wiorst ledwie, a nic jego obecności nie wskazywało!... Pewno zajęty marszem flankowym, chce najpierw otoczyć, a później zacisnąć pierścień i zgnieść!... Czai się ten rozbójnik, aby napaść tem pewniej, tem lepiej dosięgnąć.

Starego generała ogarnął niepokój i zniechęcenie.

— Co to za wojna! Szkoda tylko ludzi i prochu. Młody Fryc porwał się z motyką na słońce... i nawet przyzwoitego pokoju podpisać mu nie pozwalają!... Donner-Wetter! Źle było mu siedzieć spokojnie! Królowa się wdała!... Już to z babami zawsze taki koniec bywa! Było państwo całe, było ziemi a dobrobytu po uszy... Małemu Frycowi zachciało się iść w ślady Wielkiego!...

Im dłużej zastanawiał się Wagenfeld nad swojem obecnem położeniem, tem go większa złość i gorycz ogarniała. Co on tu poradzi, co znaczy jego opór?... chyba rozwścieczy nieprzyjaciela... rozbestwi go i haniebniejsze warunki kapitulacyi sprowadzi! Tu przyszedł Wagenfeldowi na myśl paragraf dwieście ośmnasty ustawy o służbie polowej... „Każdy komendant — mówi paragraf — któryby oddał twierdzę, nie zmusiwszy nieprzyjaciela do przejścia przez wszystkie roboty oblężnicze i przed odparciem przynajmniej jednego szturmu, przez przystępny wyłom do głównego obwodu twierdzy, — karany jest śmiercią!“ — Lepiej niekiedy być porucznikiem! Zresztą, niech się co chce dzieje... Czy tak, czy owak musi się to skończyć! Byleby już raz nadeszli...

Wagenfeld rzucił okiem w dal i jakby na słowa jego trysnął snop świateł.. i rozwinął się w długą, wężowatą wstęgę, aż za wzgórzami. Równocześnie prawie rozległy się dźwięki jakiejś pieśni uroczystej, tryumfalnej, przejmującej.

Wagenfeld jął nadsłuchiwać. Naraz zatrząsł się całem ciałem. Niby echo tamtej pieśni, tuż za ple-

cami posłyszał chór głosów rzewnych, smutnych a głębokich...

Odwrócił się za siebie.

Kościół Jasnogórski bił potokami światła i rozbrzmiewał pieśnią na cześć Swej Opiekunki a Obrońcielki.

Pruski generał uląkł się. Pot zimny wystąpił mu na czoło. Śniło mu się, czy marzyło?! Paulini zamknięci, wtrąceni do lochów... a w kościele brzmiały organy, a chór się wzmagał i potężniał!...

Oczy Wagenfelda znów zwróciły się mimowolnie ku horyzontom, a tam na wzgórzach już nie pochodnie, ale mnożyły się ogniska, otaczając wieńcem płomieni całą Jasną Górę.

Wagenfeld skoczył ku pierwszej armacie, zakomenderował: „feuer!!“

Huk wstrząsnął falami powietrza, zadrżały stare mury, głośnym chrobotem odłamków cegieł witając dobrze im znane dźwięki... Im nie nowina!...

Do Wagenfelda zbiegła się starszyzna.

— Są?! Już są!? — pytał niespokojnie Miller.

Wagenfeld wskazał mu na ognie w dali, a potem na światło bijące z kościoła. Prusacy umilkli.

— Kto ich tam wpuścił?! Kto ważył się uwolnić tych mnichów! Von Kasten!!...

— Jestem, generale!

— Także to spełniasz dane ci rozkazy?

— Generale — tłómaczył się blady jak chusta rotmistrz. — Nie pojmuję, co się stało! Oglądałem lochy — straż do tej chwili strzeże wyjścia! Czary jakieś...

— Niepojęte rzeczy! — zauważył Miller.

Wagenfelda wściekłość nagła opanowała. Był zły na siebie, na Rokettego, Pletza, Köhlera, króla, na swój los, na swoich podkomendnych.

— Dosyć tego... Widzę, że i wy, panowie, macie ochotę uwierzyć w cuda! Zostawić ich — rozprawimy się z nimi później. Tymczasem postawić straż przy wrotach kościelnych, żeby się tu nie pokazywali! Uderzyć w bębny! Zagłuszyć mi to krakanie! Wy-

strzałów parę jeszcze. Niech się dowiedzą, że czuwamy!... Panowie, do oddziałów! Na miejsca!!...

Poza murami Częstochowy zawarczały przeraźliwie bębny, czarne paszcze armat zionęły ogniem... Powstał huk i łomot ogłuszający, przeciągły, odbijany przez echa wszystkich wzgórz okolicznych... A jednak poprzez ten ryk złowrogi, nie milknący... przebiła się pieśń i unosiła wciąż i akord za akordem słała pod niebieskie sklepienia.

Wagenfeld spojrzał przez lunetę. Wszelkie wątpliwości ustały. Przy ogniskach najwyraźniej uwijała się konnica francuska... tu i ówdzie widać było wysokie kity u czapek starej gwardyi... Francuzi snać rozkładali się dopiero obozem, bo coraz to ognisk przybywało. Jeszcze chwila, a wzgórza zabłysły setkami świateł, znacząc na niebie wielką łunę, pośród której niby plama czarna zarysowywało się położenie Częstochowy.

Wystrzały pruskiej artyleryi umilkły. Wagenfeld stał nieruchomy, bezwładny. Co bo te kilkanaście dział, co te mury znaczyły wobec tego morza... wojska!... Do rana może śladu nie będzie tego... kurnika!...

Wśród chwilowej ciszy u stóp wzgórza rozległy się dźwięki trąbki.

— Jedzie parlamentarz, generale! — zaraportował pułkownik Freiburg.

— Wpuścić go!

Wrzeciądze i zapory odemknięto. Naprzeciw nadjeżdżającego parlamentarza wyjechał porucznik Wesendorf, powitał ukłonem oficera francuskiego — zawiązał jemu i towarzyszącemu z białą chorągwią żołnierzowi oczy i skinął na swoich podkomendnych, aby konie ujęli za cugle i wprowadzili w mury forteczne.

W refektarzu zebrała się znów rada wojenna. Wagenfeld przedłożył jej przywiezione przez parlamentarza pismo odręczne wodza francuskiego, brzmiące dosyć lakonicznie:

„W imieniu Najjaśniejszego Cesarza, marszałek głównej armii, graf D'Ostoja Voschin wzywa Imć ge-

nerała komenderującego załogą Częstochowy, aby w ciągu dwóch godzin poddał się, broń i amunicyę wydał. W przeciwnym bowiem razie, nakazanym zostanie natychmiastowy a nieustający szturm, przyczem nikt z życiem nie ujdzie. Zastrzega się, że w razie najmniejszego opóźnienia się, żadne dalsze odezwy ani parlamentowania przyjętemi nie będą". Tu następowała jakaś pieczęć dziwaczna i dwa zamaszyste zygzaki, mające reprezentować podpisy.

Członkowie rady wojennej w ponurem milczeniu wysłuchali słów wezwania. Nikt nie chciał pierwszy zabrać głosu. Generał Miller z właściwą sobie przebiegłością, aby nie zdradzić się przedwcześnie ze swoimi poglądami, ozwał się, niby chcąc coś powiedzieć:

— Marszałek Voschin!? Nie przypominam sobie takiego nazwiska!

— Eh! — przerwał niecierpliwie Wagenfeld — także wątpliwość! Chyba znasz pan o tyle Bonapartego, że wiesz o jego sposobie wywyższania ludzi... dziś kapral, jutro kapitan, a pojutrze feldmarszałek!! Nie ma o czem mówić!!! Panowie! Proszę natomiast... o zastanowienie się głębokie nad tem oto przedstawieniem, bo, aczkolwiek prawo przyznaje mi możność samodzielnego rozstrzygnięcia kwestyi, atoli nie chciałbym nic przedsiębrać bez waszej zgody. Sytuacyi naszej nie widzę potrzeby ukrywać. Jesteśmy otoczeni ze wszech stron przez sto razy liczniejszego od nas nieprzyjaciela. Szans niema żadnych. Pozostaje pytanie, czy i jaką korzyść odniesie ojczyzna z naszej śmierci na gruzach Częstochowy?... Czy większy może mieć z nas pożytek, jeżeli cało wyjdziemy... czy... gdy się tu zagrzebiemy?!... Wierzcie mi, panowie, mnie samemu tak życie zbrzydło, iż każdej chwili gotów jestem ledz tu, na placu... ale muszę iść za głosem obowiązku! Radźcie, panowie... Proszę!

Oficerowie milczeli.

— Pułkownik u Freiburg?

— Ja!? — powtórzył zaskoczony pułkownik. — Nie jestem w możności... doprawdy położenie jest bardzo... bardzo... Jak pan generał uważa.

— A pan Avisfort?...

— Cóż, jesteśmy oblężeni!... Punktu wyjścia nie widzę!... Wywody pana generała są bezwarunkowo uzasadnione...

— Proszę o wnioski! O jasne wypowiadanie swych zapatrywań! — przerwał surowo Wagenfeld, rozumiejąc, że tu każdy chce ciężar odpowiedzialności zrzucić na niego. — Rotmistrzu von Kasten!...

— Mnie się zdaje, że czy prędzej, czy później, spotka nas ten sam koniec!... O tyle staćby się mogło inaczej, o ile Bonaparte zwykł dotrzymywać danego słowa... Zdaje się, naprzykład, iż gdy przed kilku miesiącami sam skłaniał się do załatwienia zatargu na drodze pokojowej... teraz ośmiela się odrzucać przedłożenia najmiłościwiej nam panującego króla!... Kto wie... czy nie postąpi tak i z nami...

Von Kasten uciął nagle. Wagenfeld spojrzał przyjaźnie na młodego rotmistrza i rzekł po namyśle, ważąc każdy wyraz:

— Widzę, niestety, że niejednemu z nas brak odwagi do wypowiedzenia się... I uczucie to usprawiedliwiam. My, żołnierze sławnej armii pruskiej, zbyt przyzwyczajeni jesteśmy do zwycięstw... abyśmy mogli się oswoić z myślą poddania. Zwycięstwo... tak zrosło się z tym mundurem, że przez gardło nie może nam przejść wyraz... kapitulacya!... Jednakże, panowie, czas nagli... postanowić coś trzeba. Proponuję tajne głosowanie, jak na wojennym sądzie... Kto jest za obroną, niech rzuci gałkę czarną, a kto... inaczej myśli, niech składa gałkę białą... Poruczniku... von Wesendorf! Zarządzić głosowanie!

Wesendorf przygotował dwa kaszkiety — rozdał gałki między członków rady, poczem zebrał głosy i podał je Wagenfeldowi.

Wagenfeld odsłonił kaszkiet i wysypał gałki na na stół... Wszystkie były białe!!...

Prusacy spojrzeli po sobie i zwiesili ponuro głowy. Wstyd ich zdjął przed samymi sobą! Zdawało im się, iż w kilku czarnych gałkach, rzuconych przez junaków niższych stopni, schronią własne tchórzostwo.

zamaskują zajęcze serca, że potem powtarzać będą na uboczu, brzękając ostrogami — ja... chciałem bronić się do ostatniej kropli krwi! Ale przegłosowali... nie dali!... — Fatalność!... Sam Wagenfeld się zmieszał. Miller ledwie mógł ukryć przerażenie... Ta jednomyślność była uwłaczającą! Gdybyż ją można było przewidzieć! Ho! Wówczas... i Wagenfeld i Miller, Avisfort i Freiburg, Kasten i Wesendorf... każdy wotowałby za obroną. Bali się, żeby... przypadkiem szala nie przeważyła się na stronę opętanych desperatów... a tu wagi nie było! Rzucono garść głosów i szala z trzaskiem a stukotem uderzyła o hańbę.

Wagenfeld przemówił pierwszy:

— Panowie!... Ta... jednomyślność... powinna... dodać nam otuchy w tej ciężkiej chwili!...

Miller westchnął:

— Ta jednomyślność wesprze nas, gdy ludzie źli a przewrotni zechcą nas potępić! Panowie, wszak ratujemy... około dwóch tysięcy ludzi... Najjaśniejszemu królowi naszemu... ludzi, których on tak bardzo w tej chwili potrzebuje!...

Wagenfeld zatrzymał się, czując, że w tej chwili mówi coś, w co samby nie uwierzył, lecz, nie tracąc panowania nad sobą, ozwał się dalej krótko:

— A zatem, nie pozostaje nam nic innego, jak ułożyć punkta kapitulacyi, bo oczywiście... obecnych żądań Napoleona zadowolić nie możemy!...

— Naturalnie! — My podamy warunki! Ho, ho! — Co on sobie myśli! Z honorem musimy wyjść!... z honorem!! — zawołano dokoła groźnie.

— Pułkowniku Freiburg!... Proszę notować!... Zgodzimy się na ustąpienie cesarzowi... nie!! Trzeba pisać ostro!... na ustąpienie armii francuskiej Częstochowy... na warunkach, że wojsko nasze, znajdujące się w warowni... wyjdzie z bronią w ręku i ze sztandarami... i... z taborem!! Rotmistrzu von Kasten, każ pan natychmiast ładować na podwody skarb Paulinów! Proszę pisać! Więc na czem to stanęliśmy!? Aha!... z taborem... Armie, przy spotkaniu, będą się salutowały... Zawieszenie broni obowiązywać będzie w prze-

ciągu czterdziestu ośmiu godzin!! Dosyć!... A co?! Niech się temu kusemu generałowi nie zdaje znów, że pozwolimy sobie... grać na nosie!!... Proszę! Oto mój podpis! Zawołać mi parlamentarza!

Do izby obrad wszedł wysoki, jak dąb, oficer francuski i stanął wyprostowany przed Wagenfeldem, ponurem mierząc go spojrzeniem, co mu znów nie przeszkadzało poprawiać sobie co chwila munduru, który jakoś był dziwnie ciasny i opięty.

— Panie kapitanie! — ozwał się Wagenfeld łamaną francuzczyzną. — Tu jest odpowiedź dla pana marszałka. Proszę go zapewnić, że od niej odstąpić nie możemy i że oczekujemy jego zgody!... Porucznik von Wesendorf pana przeprowadzi.

Oficer francuski mruknął coś pod nosem, co mocno zakrawało na „wedle rozkazu“ i wyszedł za pruskim porucznikiem.

Po oddaleniu się parlamentarza, w radzie zapanowało ożywienie.

— Cóż to za oficerów ma ten Bonaparte! Poprostu ordynarny, prosty jakiś chłop i nic więcej! — perorował generał von Miller. — Nieokrzesane zwierzę!...

— Pewno jakiś wczorajszy ulicznik, opryszek... komunista! — dodał Wagenfeld — i to jest cała taka jego armia! Pędzi przed sobą ten pastuch takie stado bestyi... no i bestye tratują przed nim! Ale to nie żołnierka, nie rycerstwo!... Wyobraźcie sobie, panowie, że, naprzykład, na najdzielniejszy pułk piechoty napada tabun zwierząt... który idzie na oślep... bez taktyki, bez planu... i co wówczas męstwo pułku, co poświęcenie się może znaczyć?! Ze zwierzętami się nie walczy!...

Wybuch szczerego śmiechu był odpowiedzią na słowa Wagenfelda. I już dalej poszły żarciki, szyderstwa i ochota, jakiej dawno nie było wśród pruskich oficerów. Lżej im jakoś było na sercu. Wyjdą z tego samotrzasku, wyjdą cało, a tam później już się poradzi!...

Jeden z drugim zajęli się już pakowaniem rzeczy, ściąganiem taboru. Za oficerami już i żołnierz

oglądał się, jakby chudobę swoją zebrać a może i powiększyć... Przed klasztorem ze skarbca wyciągano złote a srebrne naczynia a aparaty kościelne i ładowano na wozy... wytaczano porzucone wasągi. Gwar powoli zaczął napełniać Częstochowę, zda się, życie nowe wstąpiło w załogę pruską.

Wagenfeld równocześnie zwierzał się Millerowi.

— Uważa kolega, bez tego „ultimatum“ nigdybym był nie ustąpił z Częstochowy. Kapitulować... to kapitulować z godnością! Z pełnią wojskowych honorów, inaczej, to lepiej śmierć!... Gdybym tak jeszcze mógł tym mnichom!... Uważa kolega, oni sobie ciągle śpiewają!!...

— Należałoby się im!...

— Hm! Rzeczywiście. Tylko cóż... ten... udaje katolika. Mogliby się poskarżyć... Lepiej nie dawać powodu. Stać twardo na gruncie warunków i... koniec!... To moja zasada! Od niej bym nie odstąpił... No... a zdaje mi się, że i tak ukarani będą... no, bo skarbiec wyjedzie... a to ich zaboli...

W godzinę parlamentarz francuski powrócił. W bramie Częstochowy powitali go Prusacy szmerem zadowolenia: był on dla nich jasną zapowiedzią rychłego uwolnienia.

Członkowie rady wojennej przybrali uroczysty wyraz twarzy, spoglądając z butą na ten papier, który musiał zadość uczynić ich żądaniom, a który w tej chwili właśnie rozwijał z powagą sam Wagenfeld.

— Panowie! Feldmarszałek nadsyła nam odpowiedź! Proszę posłuchać...

Wagenfeld rzucił okiem na pierwsze wyrazy odpowiedzi i pobladł, ręce mu drżeć zaczęły... tchu mu zabrakło.

— Co... co... to zwierzę pisze?! bąknął. — Kolega von Miller odczyta!!...

Miller wziął podany sobie papier i jął czytać cicho a niewyraźnie:

„Oświadczam panu komendantowi załogi pruskiej w Częstochowie... że żadnych warunków nie przyjmuję!!... Broń na placu złożyć natychmiast i na

tem koniec. Niech komendant będzie kontent, że puszczę go z załogą na wolność. Inaczej za godzinę szturm! Będziecie wystrzelani co do nogi...“ Podpisano „....leon“.

— Leon?! — powtórzono chórem.

— Oczywiście... Napoleon! — objaśnił generał von Miller.

— To... to... haniebne! — wybuchnął Wagenfeld. — Drwi z nas!... Bez broni .. wyjść jako tłum zdezorganizowany... zbezczeszczony!... — Panowie, to nieszczęście!!...

Członkowie rady stali bladzi, oniemieli. Wagenfeld wpadł nieomal w rozpacz.

— Panowie! Co poczniemy? Radźcie panowie! Tu można się spodziewać wszystkiego!

Nikt nie śpieszył się z odpowiedzią. Wagenfeld ręce łamał, a pięście zaciskał.

— Radźcie panowie... na nic podobnego zgodzić się nie możemy...

— Gdyby... przedłużyć układy, ustąpić salutowania! — bąknął von Miller.

— Przedłużyć! — żachnął się Wagenfeld. — Nie widzisz kolego, co ten pies tu pisze?... Pół godziny czasu daje do namysłu!! Panowie, to jest nikczemne. Z tak przemagającą siłą stawać i rzucać się na garstkę żołnierzy odciętych!... To bezecne... na to zdobyć się może tylko taki prostak, jak... jak... ten!...

Wagenfeld pienił się. Oficerowie stali bezradni, aż nagle wybuchnęli wszyscy jednocześnie potokiem przekleństw i obelg dla całej armii Napoleona.

— To podejście! — Jesteśmy zgubieni! — Zdemoralizował nam załogę! — Rozbójnik! Łotr!...

Wzburzenie, a raczej popłoch, wzmagał się coraz bardziej. Jedni układali co prędzej nowe warunki kapitulacyi, drudzy biadali nad czekającym ich losem, trzeci napełniali refektarz klasztorny wrzaskiem i krzykiem. Wagenfeld do reszty stracił panowanie nad sobą. Ani mu w głowie było upomnieć się o należne mu uszanowanie ze strony podwładnych!... On, który dawniej wyższego tonu nie znosił a karcił oti-

cerów za odruchowy nieraz wykrzyknik... teraz nie baczył na nic.

Widmo hańby wyciągało doń ręce. Hańby nieubłaganej, niezatartej. Za nią stała wieczna niełaska królewska, zapomnienie... nicość... Ale i za nią stało życie, a do życia tego on się rwał jeszcze... i bał się tych laurów i wawrzynów, bo z poza nich wyzierała szyderczo wykrzywiona czaszka kościotrupa!

Na ten zamęt wpadł do refektarza oficer służbowy.

— Generale! W obozie nieprzyjacielskim niezwykłe poruszenie!... Armia francuska wykonywa jakieś ruchy, które trudno rozpoznać!

Wagenfeld, a za nim członkowie rady wybiegli z refektarza i rzucili się ku wałom. Wyciągnięto lunety, wytężono wzrok. Dziwny im się widok przedstawił.

Wśród morza ognisk, płonących na wzgórzach okalających Jasną Górę, sunął jakiś pochód, witany gromkimi okrzykami. Dookoła pochodu uwijała się francuska konnica, otrębując widocznie rozkazy. Rzecz zdaje się, nie ulegała dociekaniu. Nie kto inny, tylko Bonaparte musiał objeżdżać szeregi i wydawać ostatnie polecenia... Chwila jeszcze, a od tych ognisk zerwie się uzbrojone mrowie i zaleje tę małą wysepkę.

Wagenfeld wyciągnął pięść ku ogniskom i zgrzytnął zębami.

Tymczasem w szeregach obrońców Częstochowy rozległ się lekki szelest, niby powiew jesiennego wiatru... Szelest wzmagał się... cichł i znów się zrywał, aż w końcu zmienił się w złowróżebny, nieokiełznany pomruk...

Wagenfeld go rozumiał. Żołnierz, zdemoralizowany nadzieją rychłej kapitulacyi... lada chwila mógł odmówić posłuszeństwa.

Stary komendant dłużej się nie namyślał... Porwał za szpadę, dobył ją, chwycił oburącz, oparł na kolanie i nacisnął.

Stal twarda, hartowna, nie dała się zmódz odrazu. Prężyła się, gięła, ciągnęła... aż prysła z suchym trzaskiem...

Wagenfeld rzucił kawały szpady za mur, i rzekł uroczyście do otaczających go oficerów:

— On mojej szpady nie dostanie!!...

W słowach tych, tyle było głębokiego przeświadczenia o własnym heroizmie — tyle tragizmu, a tyle spartańskiego poświęcenia... że sam Wagenfeld zdumiał się własnej szlachetności. Scaevola, prażący dobrowolnie rękę w ogniu, Leonidas hardo witający zgon niechybny, nie wyglądał inaczej.

Wrażenie było silne. Jak tłum gawiedzi, który stojąc w niemem a bezsilnem oczekiwaniu, wygląda pierwszego uderzenia... aby rzucić się i rozszarpać upatrzoną ofiarę... tak załoga pruska czekała tylko tego znaku.

Jakoż, zakotłowało się nagle na murach Częstochowy. Wyciągnięte linie żołnierzy złamały się, skręciły i porwały na strzępy. Z wrzaskiem a rykiem jęto rzucać karabiny, zdzierać z siebie ładownice, łamać halabardy, kruszyć pałasze. Karne jeszcze przed chwilą szeregi zbiły się w ciżbę rozhukaną, niesforną... Oficerowie nie dali się wyprzedzić...

Tłum żołnierzy jest także tłumem, gotowym na jedno skinienie umrzeć z bronią w ręku lub bez niej... uciec. Przykład działa tu piorunująco i niezawodnie!... Wagenfeld poszedł za innymi... a za nim jego żołnierze!...

Generał von Miller chciał choć do ostatka zachować pozory dobrowolnej kapitulacyi i zwrócił się do Avisforta i Freiburga, aby zarządzili wywieszenie białej chorągwi i odesłanie parlamentarza. Rozkaz był spóźniony. Na murach Częstochowy powiewała już biała płachta, niewiadomo czyją zawieszona ręką... parlamentarz był w drodze do obozu, a pruskie żołdactwo odwalało z zaciekłością gruzy i belki pod wrotami, jakby chcąc, by hańba pełniejszem popłynęła korytem...

Inna partya Prusaków, rozstawszy się z karabinem a pałaszem, dorwała się wozów ładownych skarbem klasztornym i zaczęła je rabować, łamiąc co się

dało i krusząc, byle coś ze skarbów ukryć za pazuchą munduru, w mantelzaku a choćby i kamaszach.

Aż tu od dalekich ognisk na wzgórzach wyciągnął oddział konnicy francuskiej. Oddział nieliczny, boć tu nie o podboje szło, lecz o dopełnienie formalności odebrania fortecy.

Oddział, prowadzony przez oficera, jechał powoli, z powagą, no i z bronią w ręku, przygotowaną do odparcia, w razie potrzeby, zasadzki. Za oddziałem postępowała jakaś zwarta kolumna, nieco bezładnie sformowana... prawdopodobnie piechoty.

Prusacy czekali. Czekali z niecierpliwością. Niechby już raz się wszystko skończyło! Niechby im wolno było nareszcie pójść w pole, gdzie oczy poniosą!...

Nareszcie! O brukowany podjazd do bramy klasztornej zadudniały kopyta. Oficer wysunął się naprzód. Francuscy strzelcy nabite karabinki podnieśli na wysokość ramienia.

— Gdzie broń?! — huknął oficer francuski czystą polszczyzną.

— Tam, w rowach i pod murami! — odezwano się głucho w tłumie Prusaków.

— Flageolet! — zakomenderował oficer, wskazując ręką na fosy.

Dwa plutony strzelców odłączyły się i jęły formować łańcuch, zwracając karabiny ku Prusakom. Równocześnie prawie w bramie Częstochowy ukazała się gromada najdziwaczniej a najpierwotniej uzbrojonego chłopstwa, prowadzona przez babę, siedzącą na koniu.

Oficer strzelców dalej badał:

— Gdzie komendant? Gdzie oficerowie?!!

— W klasztorze! — objaśniły usłużne głosy.

— Flageolet, avec moi! Żubrowa! Tę bandę obstawić kosami, żeby mi tu żadnego harcapa nie brakło!...

— Według rozkazu! — mruknął jakiś wielki drab.

— Milcz-że, stary! — wrzasnęła baba. — Twoja rzecz słuchać! No, chłopcy, dalej... wziąć między siebie to tałałajstwo!!...

Chłopi na dany znak rzucili się ku rozbrojonym Prusakom i otoczyli ich pierścieniem zatkniętych kos.

Oficer strzelców zsiadł z konia i w towarzystwie sierżanta i kilkunastu żołnierzy, prowadzony przez jakiegoś ciurę, wszedł, kędy zebrali się pruscy oficerowie.

— Gdzie komendant?! — rzucił ostro przybyły.

— Jestem! — odrzekł wyniośle Wagenfeld.

— A... reszta oficerów?

— Są tu wszyscy!

— Bardzo dobrze! Kto się z was ruszy z miejsca, ten padnie trupem!...

— Za pozwoleniem! — zaprotestował Wagenfeld, uderzony nieco polszczyzną... Francuza. — Zdaje się, iż...

— Niech ci się przestanie zdawać!...

— Jak pan śmiesz przemawiać!...

— Jak śmiem? Zaraz się dowiesz! Flageolet! Quelque chose... tout de suite... comme ça!! — rozkazywał oficer strzelców, wskazując na migi, że strzelać należy. — A teraz... hej!... Dawać tu postronków na tych ptaszków!!...

Do refektarza wbiegło kilku chłopów i zaczęło krępować powrozami najbliżej stojących.

— Panie! Pan nadużywa swojej władzy! — burzył się Wagenfeld.

— To się pokaże!...

— Prowadź nas pan do marszałka!...

— Do marszałka się ichmościom zachciewa? — I owszem! Jak za dwa tygodnie nadejdzie, to może jego pokojowiec przyjdzie was zobaczyć!!...

— Myśmy poddali się cesarzowi!! — rzucał się von Miller, widząc, że i jego chcą jak barana związać.

— Cesarzowi?! — przedrzeźniał się oficer. — Hm! No proszę! Nic o tem nie wiedziałem!

— Pan sobie drwiny robisz! — zaopiniował surowo pułkownik Freiburg. — Wiedz o tem, że odpowiesz za to kiedyś... To jest pogwałcenie praw wojny!... Cesarz Napoleon... nie dla tego wzywał nas do poddania, aby nad bezbronnymi...

— Kto was wzywał?!...

— Przekonaj się pan!... Zobacz papiery, leżą na stole!... Masz pan tam podpisy marszałka i cesarza.

Oficer strzelców spojrzał na rozłożone papiery i uśmiechnął się drwiąco:

— Leon?!... Takiej mości cesarskiej nie znam!!...

— Może pan porzucisz niewczesne żarty — tłómaczył z powagą Freiburg — i uszanujesz imię swego władcy!...

Oficer zdawał się nie zważać na słowa pułkownika i z pozorną uwagą przyglądał się papierom — wreszcie zakonkludował surowo:

— Za to, że ważycie się oszukiwać mnie i przedkładać jakąś zamazaną bibułę, pójdziecie pod klucz!

— Mości oficerze!... Skończ tę komedyę. Bacz na pieczęcie!!...

— Prawda!... Poznaję właśnie mego własnego cwancygiera... który hula sobie samotnie w mojej kabzie!... Nie wierzycie?... No to patrzcie!!...

Pruscy oficerowie oniemieli na te słowa. Wagenfeld jęknął, przeczuwając jakieś okropne podejście. Oficer strzelców francuskich rozsiadł się wygodnie za stołem i wodząc oczami po nawpół już powiązanych jeńcach, zaczął z pogardą:

— Cha, wy tchórze! Nicponie! Syny psie! Przyszło na was! Paśliście się, ładowali cielska i zmora was zdusiła! Wiecie, kogo macie przed sobą? Gadaj, stary dudku! Nie wiesz?!... Żubr, powiedz im!...

— Według rozkazu! — mruknął wielki chłop, występując naprzód i oglądając się pomieszany ku drzwiom.

Prusacy poznali w chłopie parlamentarza.

— Mów! — zachęcał oficer strzelców.

— To już bez urazy pana kapitana, ja powiem!— odezwał się basowy głos starej baby, która wsunęła

się była cichaczem. — Bo stary mój do wszystkiego jest zdatny, byle nie do gadania!...

— Kto ja jestem?...

— Imć pan kapitan Wosiński, trzynastego pułku korpusu generała Milhaud, idący z podjazdem awangardy pułkownika Deschamps!...

— Dalej!... Nie wiesz!?... Marszałek Wosin! Cesarz Leon!... in partibus infidelium... oczywiście! Żubrowa! Skład naszej armii!!?

— Trzydziestu pięciu strzelców, jeden mistrz kowalski, jeden furyer, dwóch trębaczy, sierżant, jeden czasowo przykomenderowany Żubr... Stary, nie rób takiej miny, bo cię trzasnę w gębę! — Jedna markietanka statecznego autoramentu, mendel kos, dwie kopy wideł, tuzin drągów, dwie baby z kopystkami, gromada pędraków z łuczywem a chrustem!...

— A gdzie marszałek? Gdzie cesarz?!...

— Imć pan marszałek jegomość pewnie myśli już wyruszyć z Poznania... a Najjaśniejszy cesarz robi rewię w Berlinie!.

— Dosyć! — przerwał Wosiński. — Wiecie teraz, tchórze, kto was za łeb trzyma!? Wam się zdawało, że dla ucapienia takich rycerzów trzeba armii?!... Że do was będzie się tu sam cesarz fatygował!?! Cha, cha! Widzicie harcapy! Strach ma wielkie oczy!!...

Wagenfeld posiniał i zaklął przez zęby.

— Mruczysz, stary głąbie?

— Verfluchter! — syknął Miller.

— Taak? Macie ochotę do rozmowy! Zaraz! Żubrowa! Zakorkować mi te gęby!...

— Wedle rozkazu! — ozwał się Żubr.

— Milcz-że na Boga! Bo cię spostponuję, jakem Muszyńska z domu!

— No, no! Żubrowa! Nie gniewajcie się... choć mi cały mundur rozepchał, ale to dobry chłop!

— Rozepchał! — powtórzyła z oburzeniem markietanka. — Stary! Tyś się ważył rozepchać panu kapitanowi!?... Nie uszanowałeś honoru, jaki cię spotkał!!??

Żubr poruszył się rozpaczliwie, błagalnie spoglądając na żonę. Wosiński przyszedł mu z pomocą:

— Folgujcie Żubrowa! Toć co on temu winien, że go Pan Bóg dwa razy bez mała tęższym odemnie stworzył?!

— Prawda, panie kapitanie, ale zawsze rozepchał oficerską rzecz!... Był całe życie niezdarzony...

— Ej, ej! żartował Wosiński. — Coś mi się nie widzi! Pewniebyście lat tyle z nim nie wędrowali!...

— A któżby tę pokrakę upilnował inaczej!...

— Znam ci ja ten afekt surowy!... Jeno waszemu staremu nie przymawiajcie, bo... ot gdyby go tak zawadziło... nie trudno!...

— Stary! Słyszysz, co pan kapitan mówi?! Ciebie ma zawadzić?!! Ja ci radzę się strzedz, bo ci chyba ślepie... bym wydrapała!!...

Głos markietanki złamał się nagle.

Wosiński spostrzegł alteracyę.

— Dalej do roboty.... Zakorkować tych drabów. Kamasze... też na dworze spętać!!... A potem do kościoła i na kolana!...

— Kapitanie! — jęknął błagalnie Wagenfeld. — Bądź ludzkim, podszedłeś nas... lecz i dla nieprzyjaciela...

— Hm! Tak mi wasze śpiewasz?! No, no! Zobaczymy, jak pułkownik nadjedzie!...

Wosiński a z nim część strzelców ruszyli do kościoła, odparli zawalone drzwi i weszli.

Kościół Jasnogórski zabrzmiał pieśnią radości i rzewnego dziękczynienia.

Kapitan Wosiński był w swoim żywiole. Sypał rozkazami, jak z rękawa, oglądał mury, liczył armaty, nakazał rewizyę pruskich jeńców, zorganizował straże... wysunął placówki...

Dnieć jeszcze nie zaczęło. A w warowni był ład i porządek, jakby Częstochowa od miesiąca innego komendanta, ani innej nie miała załogi. Skarbiec, choć uszkodzony częściowo, znajdował się na miejscu, oficerowie pruscy byli pod dobrem zamknięciem, pie-

chury a dragoni Fryderyka uwijali się pod strażą około porządków.

Łup, zabrany przez Wosińskiego, był obfity a niespodziewany, bo Częstochowa i w amunicyę suto była zaopatrzona, i w prowiant, i we wszelaki żołnierski dobytek. Koni samych karmnych a tęgich miała coś pięćset, a zapasów różnych bez liku.

Gdy roboty te były ukończone, Wosiński uczuł zmęczenie, lecz, że jakoś nie widziało mu się, żeby tak, bez weselszego zakończenia, pójść na spoczynek, umizgnął się więc do ojca klucznika o... kropelkę. Ojciec klucznik zakręcił się, poszeptał z gwardyanem, skoczył do przeora i wkrótce w refektarzu na stole ukazał się gąsior węgrzyna. Gąsior krępy, gruboszyi, wydęty a omszały, aż brodaty. Wosiński dotknął go. Płyn ciemny, zawiesisty zabełkotał raz i drugi i chlupnął tak, że aż się oczy kapitanowi zaświeciły.

— Małmazya zgoła!...

— Kapitanie kochanku! — zaśmiał się z cicha ojciec klucznik, mrużąc zlekka oczy i palec wznosząc z powagą do góry. — Niebabyśmy waszeci przychylili!... Lepiej uraczyć nie możemy!... Dwa takie gąsiory mamy w loszku!...

— Stare? stare?

— Co tu długo mówić... szwedzkie kochanku!...

— Gdzieżbym bo śmiał tykać!...

— Nic, nic, kapitanie kochanku!... Ojciec przeor go ci przysyła!... Pij, niech ci będzie na zdrowie!... A nie chlap... wolniutko lej... każda kropelka ma sto beczek dzisiejszego cienkusza... Wolno, waszmość... to nie lada sikacz sztukowany!.

— Ojciec klucznik pozwoli ze mną... kropelkę, kapeczkę!...

— Ehehe! — drożył się ojciec klucznik. — Kusisz, wisusie, kapitanie kochanku!... Kusisz!... Czekaj... czekaj... po pacierzach rannych a po mszy... to zobaczymy!... Może który z ojców zajrzy ze mną spróbować tej osobliwości!... Tylko ostrożnie!...

Ojciec klucznik zakręcił się i wyszedł z refektarza. Wosiński zmierzył okiem gąsior i zafrasował się. Czy aby dla wszystkich tego poczęstunku wystarczy!?...

Zaczem, chcąc sobie siaką taką zebrać kompanię, w pojedynkę bowiem raczyć się nie umiał, przyzwał obojga Żubrów i Flageoleta, zaprosił ich i nalał. Zapach mocny, aromatyczny rozszedł się po refektarzu.

Wosiński umaczał usta i dopiero poczuł był, jak tęgiego ma przed sobą staruszka.

— Ananas! — szepnął do siebie. — Pijcie!... Pijcie, a powoli... bo was zwali!... Jeden kubeczek takiego pradziada, to konającego nawet z łożą śmierci podnosi i bodaj na koń sadza... a może... trzeci... żywemu dech odbiera i w pulsach dęba staje!... Flageolet... comprends?!...

Sierżant, który oka nie spuszczał ze swego kapitana i patrzył na niego z coraz to większym zachwytem — wyprężył się jak struna.

— Non — msieur capitaine!

— Non! — powiadasz?!... No, to bois! Tylko powoli! Pijcie Żubrowa!...

— Wedle rozkazu! — odrzekł podoficer legii, zanurzając sumiaste wąsy w kubku.

— Stary! Miejże pomiarkowanie! Wolno!...

— Czekajcie-no! Dowiedzcie się, z kim tu macie do czynienia!...

— Słyszałeś, stary, co pan kapitan mówi? Żeby czekać!... Oddaj mi kubek...

— Jasia!...

— Cicho! Masz, masz. Tylko czekaj!...

— Owóż to jest Szwed... czysty Szwed! Flageolet wiesz, co to jest Szwed?... Tu comprends?

— Non! msieur capitaine!— huknął znów sierżant.

— Więc słuchaj!... Węgrzyn ten pamięta szwedzką potrzebę... kiedy to... Gustavus... czy Adolfus — ktoby tam znów imię lada najezdnika spamiętał? — ziemię naszą naszedł i bez mała kraj cały ogarnął, a jedna Częstochowa, za cudownem wdaniem się Bogarodzicy,

wstręt mu uczyniła i potędze szwedzkiej się oparła. Tenci węgrzyn właśnie te pamięta czasy!... Flageolet... comprends!?...

— Non — msieur capitaine!

— Piesby się ogonem chyba z tobą rozmówił ... Uważacie zatem, mości dobrodzieju... Było to... temu lat?!... Żubr, powiedz kiedy to było?!...

— Według rozkazu!...

— No gadajże stary! kiedy cię pan kapitan pyta!...

— Według rozkazu! — powtórzył podoficer, czerwieniąc się, i umilkł.

— Nie powiesz?! Nie wiesz? A to ci dopiero utrapienie z tym chłopem! Pan kapitan go się pyta, a on nie wie! — oburzyła się markietanka.

— No... to wy sami powiedzcie, Żubrowa!...

— Jasia, według rozkazu!...

— Cicho stary!... Nie do ciebie mówią!... Zaraz... kiedy bo i ja nie wiem!...

— Czekajcie! — przerwał z powagą Wosiński, pociągając tęgi haust wina. — To było .. uważacie... roku pańskiego!... Tak, było roku pańskiego i koniec!... Flageolet!... Wiesz, kiedy to było?

— Non, msieur capitaine!...

— Non i non!... Ciągle mu to jedno chodzi po głowie!... Flageolet! Ale ci smakuje, co?...

— Dis — pomogła Żubrowa — c'est bon ou mal!

— Excellent — msieur capitaine!...

— Widzisz, koniu Pana Jezusa! — mruczał Wosiński. — Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli rozumiem, co ten drab do mnie mówi!... Ale oczy aż mu się śmieją!... A gęba skleja!... No... bois!... Bois jeden z drugim... Tylko powoli, tak!...

Kubki raz i drugi obeszły kompanię, rozgrzały i zakręciły w głowach. Żubrowa, która zdążyła już trzy kubki osuszyć, nabrała rezonu. Flageolet po pierwszym kubku spoważniał, a po drugim posmutniał, Żubr wpadł w zadumę, a Wosińskiego senność opanowała.

— Et, panie kapitanie! — dowodziła Żubrowa. — Cóż, słaba jestem kobieta i koniec! Słaba i nieszczę-

śliwa, bo to niby dwoje nas jest... lecz jedna głowa... i jedna gęba! Juści... tak, jak oto w tej chwili, taki on zawsze... choćbyś go tłukł, ani słowa... Nie dość jeszcze... jest wcale nie trunkowy, więc gdy się kompania zacna zdarzy... rób, co chcesz, pij za siebie i za niego! Choćby i teraz... dwa...

Tu markietanka obejrzała się i z największą zgrozą zobaczyła, jak małżonek, przysunąwszy nieznacznie swój kubek, chłeptał gwałtownie węgrzyna. Baba zerwała się na równe nogi:

— Stary! Rany Boskie! Oddajże!!... Chcesz się upić... a ty opoju... taki wstyd...

— Jasia, nie gadaj!... — szepnął stary podoficer, nie wypuszczając z rąk kubka, lecz Żubrowa skoczyła, wyrwała mu naczynie, jednym haustem wysączyła co do kropelki i osunęła się wyczerpana na ławę, pokrzykując:

— Nic z tego! Nie dam ci okazyi!... Opój jesteś!... Pijaczyna!... Panie Flageolet! Opój jest!!

— Excellent — msieur capitaine! — jęknął rozczulony sierżant.

— Bodaj was!! — śmiał się Wosiński. — Dalej go!... Hej Żubrowa! Na mury i huknij mi tam z harmat na wiwat!...

— Jasia, według rozkazu! — upomniał żonę podoficer.

— Żywo! Na mury!

— Do usług pana kapitana! — Ale ty stary chodź ze mną!

— Jasia! — protestował Żubr, patrząc z rozpaczą na omszały gąsior. — Nie było rozkazu!..

— Ty rodzonej żonie wypowiadasz posłuszeństwo! Stary... Subordynacya, sacrebleu, bo jakem Muszyńska z domu... bez sądu polowego zdzielę...

Podoficer westchnął głęboko i powlókł się za babą. W refektarzu kapitan z sierżantem zostali sami. Wosiński trząsł się ze śmiechu a pokładał na ławie.

— Flageolet! Tęga... femme... co? Hę?

— Excellent! Msieur capitaine!

— I cóż mi ty wyjesz jedno w koło!... Gadaj...

— Excellent msieur capitaine!

— Dyabłaś zjadł... pokrako francuska! Flageolet! Do milion dyabłów!

— Excellent... ms... capitaine! — ryknął sierżant, napróżno usiłując się podnieść z miejsca i uszanować osobę swego zwierzchnika.

Mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Mocował się z samym sobą, chciał rękę do kaszkietu przyłożyć — ani rusz. Oczy starego sierżanta łzami zaszły. Język kręcił się jeszcze w jakimś wirowym ruchu dookoła swej osi, lecz i on powoli ustawać zaczynał.

Wosiński pobladł. Myśl straszna powstała mu w głowie. Wypowiadają mu posłuszeństwo! Nie słuchają jego rozkazów... bunt... dezorganizacya... zasługująca na najostrzejsze skarcenie...

— Flageolet! — szepnął kapitan, a w głosie jego zadźwięczała i cała nieubłagana surowość, na jaką zdobyć się mógł w tej chwili, i zawód gorzki, i rozkaz ostry, smutek i rozczarowanie.

— Excell... capit! — wybełkotały posiniałe wargi sierżanta.

Równocześnie prawie huk armat wstrząsnął murami Częstochowy.

— Prusacy! — mruknął Wosiński, sięgając po rękojeść pałasza. — Chodźcie tu sam... ja wam pokażę gwardyę narodową!... Flageolet! Tra-ta! Trata!... Czwórkami!... Psianogi!... Naprzód!...

Tu ręka Wosińskiego błądząc, natrafiła na żelazny korkociąg, który był podle gąsiora leżał, i zacisnęła się kurczowo niby około głowicy pałasza. I oto nagle Wosiński uczuł się przeniesionym na plac boju... Na szerokiem błoniu, jak okiem sięgnąć, Prusacy. Armaty grzmią, ryczą... a on z oddziałem swoim czoło im stawi. Zniósł już i dragonię i dwa pułki huzarów... na polach leżą pokotem ciała zmiażdżonej piechoty... aliści wyjeżdża sam Fryderyk i wyzywa go na rękę. — Poco — mówi — mordy czynić a ludzi tyle psuć lub na tamten świat zgoła wyprawiać?... My z sobą, kapitanie, bijmy się... kto zwycięży, tego armia się podda!... Tak mówi Fryderyk! Cha! Kapi-

tan wyzwanie przyjmuje, bo je przyjąć musi... Armaty grzmią! Pałasze prysły przy pierwszem zaraz starciu... Zczepili się z Fryderykiem. Mocny szelma... Lecz Wosiński mu się nie daje! Wpół go uchwycił i trzyma... i dławi... Naraz cała armia pruska, mimo wszelkie warunki spotkania się, zrywa się ze wzgórza, pędzi i rzuca się na kapitana... Sto tysięcy rąk wpija się w jego ciało, sto tysięcy hołoty odciąga go, tarmosi... a on wciąż Fryderyka trzyma w garści i już go sobie wydrzeć nie pozwoli...

Wtem ulewa się zrywa i bluzga potokami wody!... Fryderyk zaczyna mu się wyślizgiwać... Jeszcze sekunda walki rozpaczliwej... i... umknął — luter!...

Wosiński otworzył oczy i w osłupieniu zobaczył przed sobą twarz ojca klucznika.

— No... napij się teraz, kapitanie kochanku! Napij się szweda!... Widzisz, nie miałeś kalkulacyi należytej... Pamiętajże sobie... trzy kubki z nóg zwalają, a czwarty podnosi!!... Żywo!... Bo ogórków na waści!...

Wosiński łyknął raz i drugi i pyrchać zaczął... woda ciurkiem spływała mu po twarzy.

— To ci fatyga była! Cztery kubły wody na głowę! Zamroczyło cię ze wszystkiem. Ale! Cóżeś bo sobie upatrzył w tym bucie francuskim, żeś go tak cisnął gwałtownie?!

Wosiński spojrzał. Tuż przed nim leżał but Flageoleta, podczas gdy sierżant, przerzucony bezwładnie przez ławę, dyszał tylko.

— Darujcie ojcze! — bąknął kapitan zawstydzony.

— Co tam!... Nostra culpa... Żeśmy waszeci nie ostrzegli należycie... Stało się!... Ba i nawetbym cię, kapitanie kochanku, nie cucił tak gwałtownie, gdyby nie ta wściekła baba! Słyszysz, co ona wyrabia?!

Huk armat rozlegał się na murach.

— Co to jest?! Kto to?!...

— A widzisz! Nie kto inny, tylko ta baba twoja!... Lata od harmaty do harmaty... nabija i strzela. Chłopów sobie do pomocy naspędzała... pruskich kanonierów napędziła i straszy nam całą okolicę... ba od tego

trzęsienia aż nam tynki odlatują! Poszedłem tam, na mury... Proszę... przedkładam!... Ani weź!... Kapitan — mówi — kazał... odwołania rozkazu nie było!... Kobieto — tłómaczę — zastanów się, pókiż tego będzie?... — Póki prochu starczy!... — Kapitanie kochanku — nie od dziś na świecie żyję, — różne już widziałem, lecz co takiej baby zaciętej, ani razu!!... O!... Strzela znów!...

Wosiński jął co tchu porządkować odzież, aby na mury biedz — gdy do refektarza wpadł jak kula, Żubr.

— Melduję pokornie. Pikieta donosi, że „colonel“ z oddziałem się zbliża!...

Wosiński złapał się przerażony za głowę. Wieść o zbliżaniu się Prusaków takby go nie przestraszyła. Deschamps!... Ten stary borsuk... nadchodzi... spostrzeże dezorganizacyę, rozprzężenie... gotów...

— Flageolet! — huknął Wosiński na sierżanta.

— Ba, ba!... Czekajże, kapitanie kochanku! — wmieszał się ojciec klucznik. — Nie tak prędko go się dobudzisz. Pomóżno mi!... Zaraz go tu zoperujemy, że mu piąta klepka wróci.

Wosiński z Żubrem skoczyli do Flageoleta i chlusnęli nań wodą. Ciało sierżanta ledwie drgnęło.

— Zaraz, zaraz! — zrzędził ojciec klucznik. — Szweda mu dać trzeba koniecznie... bez tego nie poradzi!...

Jakoż po drugim łyku twarz sierżanta się ożywiła, a oczy w pół się otwarły.

— Excellent, msieur capitaine! — począł bełkotać Flageolet. — Excellent!

— Jeszcze mu świta! — wołał z rozpaczą kapitan. — Ratuj, ojcze kluczniku, bo ta bestya mnie skonfunduje!!

— Hm!... Ciężka sprawa!... Łeb widocznie kruchy do picia... Na węgrzynie się nie zna!... Zimny!... Natrzeć go trzeba octem!...

Wosiński był w rozpaczy. Ten spity, jak bela, sierżant narazi go na pater noster... cała zasługa podejścia Prusaków przepaść może... pójść na marne!...

Nagle kapitanowi błysnęła dziwaczna myśl. Podsunął się do Flageoleta i huknął mu nad samym uchem:

— Flageolet! Colonel Deschamps!...

Ciało sierżanta drgnęło. Oczy otwarły się szeroko.

— Flageolet! — krzyknął tymczasem Wosiński. — L'empereur!!... Napoleon!!...

I stała się nagle rzecz nie do wiary. Sierżant wyprężył się, skurczył i powstał z ławy o własnych siłach.

Ojciec klucznik aż się zadziwił.

— Bodajże go... Francuza!... A wdziejże but!...

Lecz Flageolet oprzytomniał zupełnie. W okamgnieniu oporządził się i stanął wyprostowany, oczekując na rozkazy.

Wosiński skinął nań i na Żubra i wybiegł na wały, gdzie garści żołnierzy i tłumowi ciekawego chłopstwa przewodziła markietanka.

— Ognia! Niedołęgi! Nuże... sacrebleu! Nie widzicie, że pan kapitan nadchodzi!... Pal, do milion kroćset! — grzmiała Żubrowa.

Wosiński przypadł zdyszany do markietanki.

— Żubrowa! Co wy tu wyrabiacie!?

— Wszystko w porządku, panie kapitanie! — zaraportowała baba, ocierając okopconą twarz. — Puka się na wiwat, wedle rozkazu!

— Do licha!... proch mi marnujecie!...

— Starczy bodaj na tydzień!...

— Dosyć tego! wam kpinki w głowie, a tu pułkownik nadjeżdża! — oburzył się Wosiński.

— Dosyć tego!... Jeden z drugim, nicponie! — wrzasnęła z kolei markietanka, przyskakując do pruskich kanonierów i pilnujących ich chłopów. — Wam kpiny w głowie, a tu pułkownik nadjeżdża!

Armaty umilkły. Wosiński co prędzej ustawił swój oddział przy wjeździe przed bramą, chłopów wyciągnął w linię pod przewodem Żubra, a sam z trębaczami i Flageoletem przy boku stanął pośrodku, czekając na ukazanie się Deschampsa. Ojcowie Paulini, dowiedziawszy się o przyjeździe pułkownika fran-

cuskiego, uszykowali się w głębi przed kościołem, aby, jak należy, krzyżem a wodą święconą go powitać.

Minęła dobra godzina, a widać nikogo nie było. Kapitan już się zaczął niecierpliwić — gdy naraz z poza pagórka wysunęła się gromadka jeźdźców i w pełnym galopie ruszyła pod Jasną Górę. Wosiński oczy przysłonił, lecz dla mgły unoszącej się, nic dojrzeć nie mógł. Za Wosińskim jęli wpatrywać się i Flageolet, i Żubrowa, i Żubr, i strzelcy, i chłopi.

Wtem, z piersi Żubra dobył się przenikliwy okrzyk:

— Jezu!...

Wosiński aż drgnął na siodle, markietanka chwyciła męża za ramię:

— Gadaj stary! Coś zobaczył?!

— Co! Co takiego?! — gwałtował Wosiński.

Żubr milczał. Wzrok jego, niby przykuty, utonął gdzieś w mgłach, ścigając każdy ruch pędzących jeźdźców. Zdawało się, że stary legionista jeszcze się waha... jeszcze sobie samemu nie wierzy... aż twarz jego poczerwieniała nagle, pod obwisłą, zmarszczoną powieką ukazała się łza...

— Stary! Bo cię uduszę!...

— Mówże nareszcie!...

Żubr odetchnął głęboko, chwycił całą piersią powietrza i ryknął groźnie:

— Porucznik!!...

— Co? Co ty pleciesz stary!... Patrz lepiej, bo jeżeliś zełgał, to ci ślepie...

— Melduję pokornie, jako porucznik Gotartowski nadjeżdża!...

— Gotartowski! Doskonale! Górą nasza!... Tylko nie porucznik, a kapitan!...

— Słyszysz, stary! Kapitan!!... Porucznika naszego nie potrafisz uszanować, ciemięgo!...

— Baczność! — zakomenderował Wosiński. — Attention!!...

— Stać chłopy! — powtórzyła baba — porucznik... chciałam powiedzieć... kapitan nadjeżdża!!...

Milczenie zaległo.

Gotartowski, bo on to był istotnie, ukazał się na czele plutonu strzelców. Wpadł, jak wicher, osadził konia, aż ten zarył się kopytami w oślizgły, wilgotny grunt i, nie spostrzegłszy na razie Wosińskiego, ni francuskich mundurów, rzucił ostro:

— Kto tu dowodzi?!

— Mości Gotartowskiego sługa i podnóżek! — odparł jowialnie Wosiński.

— Waszmość tu?! — krzyknął ukontentowany Floryan. — Dzięki Bogu!... Zdawało się, żeście przepadli!... Powiadali nam, że oddział polskich wolontarzy tu obozuje!... A Prusacy!... Więc i tu ich niema...

— Owszem, jest tego pod kluczem do tysiąca!...

— Waszmość sobie dworujesz!

— Ani myśli! Żubr! Ile jeńca?

— Według rozkazu! Jezu! Pan porucznik!...

— Po... porucznik! — zawtórowała mężowi baba.

— Witajcie, starzy! To ci niespodzianka!... Czołem waszmości... z powrotem!...

— Gdzie... gdzie waszeć?! — krzyknął z podziwieniem Wosiński.

— Służba! Powrócimy niebawem!...

Wosiński chciał coś odpowiedzieć, chciał o jedno i drugie zapytać Floryana, lecz ten już spiął konia ostrogami. Koń żachnął się, buchnął kłębami pary i pomknął z powrotem. Gotartowski i pluton strzelców znikli.

Wosiński zaklął ciężko:

— Dyabli nadali! Poczciwy chłop, ale coś za wielkiego Francuza udaje!... Pali się, albo co?!... Nie mówię Prusacy... no, ale tu wszystko dobrze!...

Kapitanowi w tej chwili stanął na myśli Deschamps i skóra mu ścierpła.

Znów zacznie marudzić! Znów będzie gnać!... i zezować i ruszać szczęką!... I po co się fatyguje?! Obeszłoby się bez niego!... Nie sztuka do gotowego przyjść!...

Im się dłużej zastanawiał Wosiński, tem bardziej buntowała się w nim rogata dusza. Nieomal w złość wpadł, że mu tu taki będzie znów przewodził. Borsuk

poprostu i koniec. Nieokrzesany, lekce sobie ważący dawną kapitana szarżę! Najpospolitszej nie obserwujący grzeczności! Prostak zgoła! Zardzewiała rusznica! Chart, a nie człowiek!... Ale... takiego raz trzeba rozumu nauczyć... i rogi mu pokazać!...

— Ja mu pokażę! — szepnął do siebie Wosiński i, nie namyślając się, kazał przedewszystkiem bramę Częstochowy zamknąć, działa narychtować, a strzelcom uszykować się za bramą niby do wycieczki na nieprzyjaciela. Zaczem, na podwórzu klasztornem ustawił jeńców pruskich, a to poczynając od generałów: Wagenfelda i Millera, a kończąc na cyruliku i furyerach. Chłopom pod przewodem Żubra i Kiciaka nakazał pilnować niewolnika. Armaty powierzył Żubrowej, a sam, mając Flageoleta i trębaczy pod bokiem, zasiadł sobie w refektarzu, niby o żadnym pułkowniku nie myśląc.

Ojcowie Paulini, również znudzeni próżnem oczekiwaniem, powrócili z wolna do klasztoru. Częstochowa przybrała w jednej chwili swój dawny, obronny charakter. Mury ciężkie, zmurszałe, a zahartowane, nad nimi paszcze rozwarte armat, a po nad tem zamczyste zabudowania, wieża wysmukła i krzyż szerokoramienny.

Floryan tymczasem zdążył się był już połączyć z oddziałem Deschampsa, czem pułkownika z nielada wywiódł kłopotu, cała jego bowiem wyprawa chybiła celu. Prusaków nigdzie widać nie było. Oddziały szwadronu, jako było umówione, zeszły się były w Olsztynie.

Wszystkie przyniosły były ze sobą wiadomość o postrzeżeniu placówek pruskich i wszystkie stwierdzały obecność Prusaków w Częstochowie. Zaledwie atoli Deschamps zdołał wysłuchać raportów, gdy od strony Częstochowy zahuczały armaty. To go zastanowiło, wyprowadziło z równowagi. Bitwa jakaś wrzała pod Częstochową, lecz czyja i z kim? Wysłany na zwiady Gotartowski niebawem powrócił z wieścią, że Częstochowę opanowali Polacy. Pułkownik wyprawił Floryana po raz wtóry, nakazując pośpiech. I wów-

czas dopiero Gotartowski dotarł do samego klasztoru... Oczywiście, przezorny Floryan, znając po trosze fantazyę Wosińskiego, ani słówkiem Deschampsowi nie wspomniał o Prusakach, raportując tylko, że kapitan Wosiński znajduje się w Częstochowie, a Prusaków niema w okolicy. Deschamps prawie ze złością wysłuchał relacyi Floryana. I znów widmo pruskie, które ścigał, za którem się od tylu dni uganiał, rozpłynęło się, znikło!!... Sam nie wiedząc, co czynić dalej i gdzie szukać Prusaków, boć tuż, pod bokiem prawie była granica austryacka, a przekroczyć jej nie wolno mu było — postanowił zawrócić tymczasem do Częstochowy, gdzie w końcu mógł się spodziewać lepszego dla siebie i żołnierzy obejścia. Jakoż oddział ruszył wprost do Jasnej Góry. Któż atoli zdoła sobie wystawić pomieszanie Floryana a zdziwienie „białego“ pułkownika, gdy oto Częstochowę zastano zamkniętą a pogrążoną w głębokiej ciszy? Prócz armat, wystających z poza murów, nikogo widać nie było. Cisza zalegała obronny klasztor. Pułkownik spojrzał surowo na Floryana.

— Kapitanie, co to znaczy!?...

— Nie wiem!... Nie rozumiem! — odrzekł strapiony Gotartowski. — Coś się stać musiało!...

— Tu chyba niema żywej duszy!...

— Niepodobna! Księża Paulini muszą być! Pułkownik pozwoli, że każę dać sygnał!...

— Rób pan, co chcesz! Przecież tych murów szturmem nie weźmiemy!...

Floryan kazał zatrąbić raz i drugi. Po długiej pauzie z głębi murów Częstochowy dobyły się przeciągłe dźwięki trąbki, a następnie ponad bramą ukazała się wielka głowa w kaszkiecie dragońskim.

— Kto taki i czego? — dał się słyszeć basowy głos.

Floryanowi się zdawało, że najwyraźniej Żubrowa mówi, lecz, poczytując to za złudzenie, ozwał się ostro:

— Otwierajcie, do krocset!!...

— Komu? Co i jak?! — zapytano z murów.

— Wołać kapitana Wosińskiego!...

— Kapitan Wosiński śniada!... Nie ma czasu!...
— Chcecie, żeby was rozumu nauczyć?...
— No, jak o rozum chodzi tylko... to my mamy armaty!...
— Z kimże się dogadać można?!...
— A... coście za jedni?!...
— Nie obcy... jeno swoi!...
— Ba... toć Prusacy także swoich udają!...

Deschamps, przysłuchując się tej długiej a niezrozumiałej dlań konferencyi, wargi zagryzł, a iskrami z ócz sypał. Głos na murach ciągnął tymczasem obojętnie:

— No... powiem wam krótko!... Albo mi się w tej chwili należycie sprezentujecie, albo każę wam plunąć z armat, a zobaczymy, ilu was zostanie!...
— Do licha! Cóż sobie myślicie?... W tej chwili zawiadomić kapitana Wosińskiego, że pułkownik Deschamps przybywa!...
— Jasia! Nie wytrzymam! — rozległ się inny głos za bramą.
— Milcz stary! — odrzekł bas, a zwracając się do Gotartowskiego, zakonkludował obojętnie: — Kapitan Wosiński gości nie przyjmuje!...

Floryana złość jęła porywać. Deschamps toczył koniem i wykrzykiwał do Floryana:

— Co to jest?! Co to znaczy?!...
— Więc nie otworzycie?!...
— Obcym się nie otwiera! Mówcie, coście za jedni!...
— Poczekajcie! Sprawię ja wam!... Nie widzicie!... strzelcy cesarza Francuzów... Podjazd awangardy generała Milhaud, korpusu marszałka Davoust!!...
— Wiwat! — odpowiedziano mu z murów. — Czegoście sacrebleu... odrazu od tego nie zaczęli?...

Głowa na murach znikła. A po chwili za bramą dały się słyszeć dźwięki trąbki, za trąbkami ozwały się dzwony klasztorne i przeciągłe okrzyki. Floryan mało się nie skręcił. Wreszcie bramę otwarto. Deschamps spojrzał w głąb i aż konia zdarł na widok, który się oczom jego przedstawił. Na podwórzu stali w szeregach jeńcy pruscy, dozorowani przez chłopstwo,

uzbrojone w pruskie karabiny a halabardy, w głębi ojcowie Paulini ze światłem a krzyżem. Od refektarza kompania strzelców z Flageoletem, a po środku, niby twierdzy dowódca, kapitan Wosiński. Żubr i Żubrowa byli na murach.

Deschamps wjechał w podwórzec ze wzrokiem, wytężonym z podziwu.

Równocześnie prawie zagrzmiały bębny, a Żubrowa przejęta do głębi swem stanowiskiem na murach, wrzasnęła do Wosińskiego:

— Panie kapitanie! Puknę... chyba?!...

— Puknij! — przyzwolił Wosiński.

W okamgnieniu zatliły się lonty i huknęły działa, a z piersi załogi częstochowskiej dobyły się przeciągłe a pełne zapału okrzyki.

Biały pułkownik, zaskoczony niespodziewanem przyjęciem, udobruchał się nieco, lecz ciągle nie mogąc się zoryentować w sytuacyi, ile, że dookoła widział pruskie harcapy i kamasze, wezwał Wosińskiego przez Floryana do raportu. Wosiński stawił się pełen kawalerskiej fantazyi a pewności siebie, opowiadając szczegółowo, jako był Prusaków podszedł a jak im strachu napędził rozległością obozowiska. A gdy następnie jął wykładać Deschampsowi treść prowadzonych z Wagenfeldem pertraktacyj — biały pułkownik tak się groźnie namarszczył, że aż Floryan, tłómaczący słowa kapitana, uląkł się. Gotartowski umilkł. Deschamps oczyma łypał i parskał. Wosiński nie mógł dłużej wytrzymać i szepnął półgłosem do Floryana:

— Nosaciznę ma zgoła! Czego tak ślepie wybałusza! Monstrum jestem albo li taka, jak on, pokraka!?...

Gotartowski chciał napomnieć Wosińskiego, lecz Deschamps zbliżył się do kapitana i syknął przez zęby:

— Mais tu es brave!... Tu es brave, capitaine!!...

— Co — co on mamrocze?!...

— Żeś waszmość dobrze się spisał!

— No, żeby tyle tylko powiedzieć, to się niepotrzebnie trudził!... A czegóż tak gębę wykrzywia!?...

Deschamps zaraz się był zabrał oglądać Częstochowę, oprowadzany przez Wosińskiego i Floryana. Im lepiej poznawał mury a wały obronnego klasztoru, im bliżej przejrzał te wielkie zapasy amunicyi i prowiantu, nagromadzone przez Prusaków, a zobaczył ten tłum jeńców, z których każdy starczyćby mógł za trzech jego strzelców, — tem ze wzrastającym zachwytem spoglądał na Wosińskiego. Co prawda, zachwyt ten pułkownika trudnym był do odgadnięcia, ile, że krzaczaste jego brwi zsuwały się coraz groźniej, a i tak już pomarszczona twarz kurczyła się w grube, niekształtne fałdy.

Gdy następnie w obchodzie swoim trafił Deschamps na izbę, w której, po wjeździe pułkownika, osadzono znów powiązanych pruskich oficerów, Wagenfeld wystąpił natychmiast ze skargami na Wosińskiego, przedstawiając Deschampsowi łamaną francuzczyzną, jako ich kapitan podszedł, a jako praw wojennych nadużył...

Deschamps za całą odpowiedź wzruszył pogardliwie ramionami. Wagenfeld nie ustawał w przedstawieniach i żądaniach, aby mu wolno było opuścić z żołnierzami Częstochowę, biały pułkownik atoli wskazał mu Wosińskiego.

— Jemuście się poddali — jego proście! Mnie nic do tego!!... To jest wasz komendant!...

Deschamps zarządził kilkodniowy wypoczynek w Częstochowie, ponieważ misya jego właściwie już ukończoną była. Armia pruska cofała się za Wisłę, pod skrzydła Benigsena, szukając ratunku i punktu oparcia. Biały pułkownik wysłał więc wiadomości do Milhauda, prosząc o dalsze rozkazy i czekał.

Postój w Częstochowie był bardzo całemu szwadronowi po myśli. Zarówno oficerowie, jak i żołnierze, byli wyczerpani tym gwałtownym marszem. Deschamps komendę całą zdał na Wosińskiego, czem kapitana w świetny wprowadził humor.

Wosiński zajął się gorliwie garnizonem Częstochowy i sformowaniem załogi na wypadek, gdyby Deschamps musiał wyciągnąć w pole. Więc w tym celu rozesłał wici w okolice, wzywając szlachtę, aby śpieszyła zaciągać się w szeregi ochotników, a tymczasem, zebrawszy gromadkę parobków, którym wojaczka uśmiechać się zaczęła, odbywał z nimi ćwiczenia a musztry, w czem stary Żubr dzielnie mu pomagał. Rannego Levitoux przewieziono z Grabówki i oddano pod opiekę doświadczonego ojca klucznika, pruskich żołnierzy napędzono do naprawy wałów a murów. A że okolica Częstochowy, jak zresztą i kraj cały, był onem smolnem łuczywem, na które dość iskry jednej, by rozgorzała płomieniem, przeto ledwie posły z wezwaniami Wosińskiego wyciągnęły, już na drodze do Częstochowy ukazywać się zaczęli młodzieńcy zbrojni, dawni żołnierze, zwabieni zapachem prochu, szlachta, mieszczaństwo, ba, nieledwie wyrostki, dzieci prawie. Zaroiły się nagle podwórza klasztorne od zbrojnego mrowia. Wosiński każdego opatrywał sam, formował dziesiątki a setki, wyznaczał instruktorów, kwaterował, jak mógł i kłopotał się o uzbrojenie, o umundurowanie ochotnika. Wielką w tym razie pomoc okazał mu skarbczyk pruski, odjęty Wagenfeldowi, a i broń pruska. Oficerowie Fryderyka aż własne pięści sobie ogryzali, widząc, jak to każdy patrontasz, każdy rzemień się tu przydawał. Lecz alteracya ich dopiero na dobre wybuchła, gdy pewnego poranku w izbie ich zjawił się Wosiński z trzema pachołkami, niosącymi chłopskie kapoty i samodziałowe włościańskie hajdawery i rozkazał krótko:

— Mospanowie oficery! Proszę się rozdziewać!

— Co?! Jakto?! Dlaczego?! — zawołali Prusacy.

— Dlaczego? Hm! Bo mi potrzeba mundurów!!... Dalej, bo niema czasu!...

— To przemoc! To gwałt!! — rzucał się generał von Miller.

— To..... to..... niegodne! — protestował Wagenfeld.

— Mospanowie, nie psujcie sobie krwi naprożno, bo to nic a nic wam nie pomoże... Rozbierać się i basta!

— Ależ, panie kapitanie! — próbował tłómaczyć rotmistrz von Kasten. — Tak postępować się nie godzi... nawet z jeńcami!...

— Nie godzi się?!...

— Oczywiście! Zemsta niegodna oficera i Polaka!...

— Polaka! — odparł ironicznie Wosiński. — Zachciało wam się nareszcie polskiej wspaniałomyślności!?... Niema o czem mówić! Zemsty tu żadnej niema. Wyście z nas skórę zdzierali... a my wam tylko mundury zabieramy i to z potrzeby!... Rozdziewać się!... Myślałem sam, że mi paradnych waszych starczy... no, ale kiedy siła wolontarzy się ciuła!... Nic, nic! Waszmościn fraczek, generale Wagenfeld, będzie akurat dla Pietrka Sroki!...

Wagenfeld splunął ze złością.

— Nie chmurz się waćpan! Srokę się uszanuje, bo to chłop sprawny!... Więc naszyje mu się amarantu, kokardę francuską przyczepi i pies kulawy nie pozna, że w nim pruski generał chodził! Żywo! Żywo! Bo wam te zuchy pomogą! A kortu szkoda!... A i pluderki także! Koniecznie! Musi forma być, niema rady!... Dobrze, dobrze! Krzywdy waszej nikt tu nie chce. Dostaniecie na ziąb nadchodzący okryjbiedy zacne! Po jednej świcie nowej i pasiatych hajdawerkach.

Oficerowie pruscy, klnąc, zmieniali odzież swą na chłopskie sukmany. Gdy się owo przebieranie skończyło, a spojrzeli po sobie, mimo gniewu wybuchnęli śmiechem. Wosiński śmiał się z nimi z całej duszy, ile, że istotnie wygolone twarze oficerów w czapach baranich a sukmanach, na które zwieszały się białe harcapy, uciesznie wyglądały.

— Tak to lubię, mospanowie, wesoło i już! Wojnę żeście zaczęli — wojnę macie! A pamiętajcie, że krzywem okiem, ani żółcią, ze mną nie poradzi! To i po krzyku! Harcapów waszych już wam nie ruszę,

bo nasz żołnierz nie włożyłby tego na głowę, czem lada wałach muchy za sobą opędza! Rozumiecie!?... A jak się mundury wasze wyszykują a obszlegi zmienią, to was zaproszę na oględziny!...

— Verfluchter! — mruknął pod nosem Wagenfeld.

— Jeszcze generał się surzy!? Ale dalipan, umityguj się waszmość!... Pietrek Sroka jakby ulany do waścinego fraczka!...

— Chyba teraz moglibyście nam dać spokój! — zagaił pojednawczo von Miller. — Pozwólcież nam odejść w końcu!... Zabraliście broń, odzież nawet...

— Właśnie w tem sęk, że teraz anibym się ważył takowego wam despektu czynić... Imaginujcie sami, mospanowie!... Cóżby wasza prusacka mość powiedział, gdyby tak ujrzał was po chłopsku przebranych, zdrowych, całych i ledwie strachem nieco sfatygowanych?... Hę!!... Gotówby takich generałów do skrobania kartofli zasadzić... podczas gdy tutaj siedzicie sobie syci!!... No, a nareszcie i tu się dla was niejaki labor znajdzie!... Roboty huk się gromadzi, pułki będą się formowały... Rozmaitego ludu potrzeba. A słuszna rzecz, abyście, mospanowie, już do końca w swych trudach a bohaterstwie wytrwali i w rozprawieniu się z Frycem nam pomogli!...

Prusacy spojrzeli po sobie ponuro i umilkli zawstydzeni.

Wosiński czasu nie tracił. Prawił bo prawił, perorował bo perorował, ale i w pracy nie ustawał. Od świtu do późnej nocy usta mu się nie zamykały, tak, że aż to podziw obudziło w Żubrowej, która wobec Wosińskiego języka niekiedy zapominała.

Deschamps do rozporządzeń kapitana wcale się nie mieszał, niekiedy ledwie zapytywał poufnie Floryana:

— Cóż ten krzykacz polski dziś wymyślił nowego?!...

— Pruskie mundury przerabia!...

— No, no! I cóż więcej?...

— Założył kancelaryę... ustanowił intendenta...

— Może tę babę!?

— Nie!... panie pułkowniku!...

— Nic! Baba z kamienia! Takich więcej bab, a możnaby świat zawojować!... A paszę, żywność ma?!...

— Chyba na parę lat! Aż dziw, skąd ją bierze!... Koni pomieścić już nie może!...

— Stary urwis!...

— Może pan pułkownik każe go wezwać?!

— Nie! Nie moja rzecz! On zdobył, on komenderuje!...

I komenderował kapitan, a komenderował najwięcej Flageoletem, który dziwnie przypadł mu do gustu. Z drugiej strony sierżant patrzył w Wosińskiego, jak w obraz, starając się każdą myśl jego odgadnąć, każde życzenie uprzedzić. A że kapitan osłuchał się dosyć francuzczyzny, a znów sierżant. niejeden wyraz polski zapamiętał, więc porozumiewali się doskonale.

Naprzykład, przed udaniem się na spoczynek Wosiński odbywał krótko konferencyę z sierżantem:

— Flageolet!

— Pan capitaine?!

— Placówki rozstawione!?

— Plasófki? Już... pan capitaine!

— Przyjechał kto wieczorem? Les volontaires?! Soir!!?

— Oui! pan capitaine, ci!

— Jakie „ci?“ Trzech pewno?!...

— Oui „ciech“!....

— Wino lubisz?!...

— Lubisz, pan capitaine!

— Mówi się: lubię!...

— Loup! Bien! — szepnął skonfundowany sierżant, nie mogąc wyrozumieć, co ma wilk z winem za związek.

Wosiński spostrzegał zwykle, że jakieś nieporozumienie się zakradło i napominał:

— Flageolet! Słuchaj uchem, a nie brzuchem! Wyrazów na swój ład nie przekręcaj!... A pamiętasz, jak się po polsku nazywasz?!...

— Oui — pan capitaine!.... Pisciala!...

— Piszczała — powiedziałem raz! No! Na lewo zwrot! w tył... marsz!... spać!... Idź do dyabła! Nie zapomniałeś, jak się po francusku mówi: „idź do dyabła!?“

— Non — pan capitaine! Bonne nuit!...

— Właśnie! Zgadłeś! Dosyć konfidencyi... Allez!...

Gotartowski w kłopotach a zabiegach Wosińskiego mały brał udział, bo i nieznoszącemu opozycyi kapitanowi w drogę wchodzić nie chciał, a i smutek go jakiś opanował i tęsknica dziwna. Widok starych towarzyszów, Żubra i Żubrowej, ucieszył go był rzetelnie z początku, zwłaszcza, iż mu pomyślne zwiastowali nowiny z Gortatowic, lecz w końcu i od nich stronić a usuwać się zaczął. Próżno markietanka zabiegała a tem lub owem wspomnieniem usiłowała rozerwać, — Floryan niby to słuchał, uśmiechał się, lecz myśl jego gdzieindziej się błąkała. Na domiar niezdrów się czuł. Głowa mu ciążyła, a gorącość paliła czoło. Zafrasowała się nie żartem Żubrowa; sama nie wiedząc, co począć, udała się do Wosińskiego na naradę. Kapitan wysłuchał domysłów markietanki i ozwał się po namyśle:

— Hm! Co prawda, niedawno ja imć pana Gotartowskiego znam, lecz przylgnąłem do niego, jako do rodzonego, bo to i dusza zacna i głowa nielada! Nieba bym mu przychylił! Sam widzę, że czegoś krzywy jest a kwaśny... Po nocach nie sypia a wzdycha czasem tak ciężko, jak gdyby kamień młyński na wątrobie naszał!!... Ja tam nie wiem... ale, czy to czasem nie spódniczka jaka jest tego dyshumoru przyczyną?!

— Spódniczka?!... Gdzież zaś! To waćpan, panie kapitanie, ani krzty naszego porucznika nie znasz! Ba, mało to różnych niewiast zębów do niego naszczerzyło! Nie patrzałam może na to?!... Gdyby tylko okiem mrugnął, to nie mieszczki, nie szlachcianki, ale niejedna dożówna wenecka, niby lepiej niż starościanka, w dyrdy do ołtarza-by poleciała! Co tu gadać! Toć nasz porucznik, choć się trochę

zmizerował, — malina! Jęszy oficer w tej włoskiej potrzebie dosyć się buziaków naślinił a gęby nawycierał, a nasz porucznik dotąd ci jeszcze w puchu na policzkach chodzi!... Oko czyste, jasne... Et! przyznam się panu kapitanowi, że ja, stara baba, której dawno romanse wywietrzały, a przy takim, jak mój, niedołędze, wszelkie amory musiały zbrzydnąć... a gdyby tak... porucznik powiedział... „Żubrowa!...“ Eh! Tfy!... Człowiekowi wróble świergotać zaczynają!...

— W starym piecu dyabeł pali!...

— A pewnie! Bo jak nikt inny nie chce, to dyabeł musi! Takie jego lucyferskie prawo! Ale, że nasz porucznik o żadnej...

— Powoli! powoli!... Nie zapędzajcie się tak daleko, bo nużby wam imć pan Floryan figla wypłatał i zadurzył się... Hę?!

— To nie może być! — zaoponowała krótko baba. — Bo takiej niewiasty z pewnością niema na świecie, któraby się na takim, jak porucznik, specyale nie poznała!... Gdyby więc, w co nie wierzę, nasz pan Floryan tego... to panna jużby się go uczepiła i nie pozwoliłaby mu się tak markocić...

— Niech i tak będzie! — Jeno zapominacie, widzę, że niekiedy zdarza się w życiu, że kawaler aż dygocze do panny, a jejmościankę trzęsie do kawalera, lecz się licho jakieś przyplącze, a potem i wzdychają i stękają, bo zawsze ich coś rozdzieli!...

— Prawda! — przytwierdziła zafrasowana Żubrowa. — Chociaż to daremne supozycye, jakem Muszyńska z domu!... Gdzieżby?!... Będzie temu... dwie niedziele... albo parę dni lepiej, jak... przyjechaliśmy do starszej pani, do Gortatowic... Porucznikowi ani się śniło!... A potem pojechał do Warszawy, z Warszawy do Poznania... i znów tutaj... nawet na mrugnięcie okiem czasu nie było!...

Nagle Wosiński zerwał się z ławy i, trąc niespokojnie czoło, zaczął, w pół do siebie:

— Ach czekajcież... czekajcież!... Prawda... to może być!... Z pewnością! Kto wie!... Że mnie na myśl

odrazu nie przyszło!... Nic innego, tylko hic jacet lepus!...

Markietanka, wystraszona tajemniczymi domysłami kapitana, przypadła doń z błagalną prośbą:

— Panie kapitanie!? Co „z pewnością?...“ Co się stało!? Zaleje mnie chyba! To ci naszemu porucznikowi było potrzebne... a biedny on... nieborak!... Męki tyle przecierpiał... i tu jeszcze... Oo!... Tożem się doczekała! Wolej mnie samą jaka opressya spotkała... Delikacik taki... sercowy!...

Wosiński spojrzał z podziwem na zawodzącą babę:

— Żubrowa, a wam co? Czegóż desperujecie?...

— No, bo pan kapitan powiedział! — chlipnęła markietanka.

— Com mówił? Nic! Domysł tylko, że... że jest spódniczka!...

— Masz ci dyable kaftan!...

— Prawie pewna rzecz! Niby nic pewnego, lecz pan Dziewanowski powiadał mi właśnie...

— Powiadał? Powiadał?!...

— Niby krewna pana Dziewanowskiego przypadła porucznikowi do serca...

— Przypadła! Cha! Oczajdusze, pijawki... lisy... pewno go podeszli i, poczuwszy tęgą zdobycz, usidlili!

— Skądże znowu! Zawsze wam świta po głowie przed czasem... Dziewczyna, słyszę, dzielna, pułkownikówna... i imć Gotartowskiego bodaj powinowata... przypadła do serca i koniec.

— Przypadła?! Musi być, jak malowanie chyba!...

— Skąd znowu!?

— A! — uraziła się markietanka — przecieby pan porucznik za lada fartuszkiem nie poleciał!...

— Różnie bywa! — Czasem to młodzieniaszka żółtodzióbego taki sentyment opęta, że ani pyta a do staruchy, niby ćma do ognia, leci!... Za nic nie ręczę. I wcalebym się nie zdziwił, żeby bogdanka porucznika była dwa razy od was starszą!...

— Dwa razy?... To chyba za jednym zamachem narodziłyby się prawnuki!...

— Pewno! Pewno!...

— Ale pan kapitan sobie ze starej baby dworuje, a tu porucznika naszego żałość spiera!...

— I cóż na to poradzić! Trzeba go wziąć chyba na spytki! Ale i to ostrożnie, aby, czego Boże broń, nie urazić. Bo natura taka, to gorzej ślimaka — zasunie się w skorupę, że w cztery konie języka nie wyciągniesz!...

Słowa Wosińskiego głębokie na markietance wywarły wrażenie. Myśl, że Floryan ma zgryzoty, z któremi się tai, które dusi w sobie, spokoju jej nie dawała, a głównie dręczyła ją niepewność, gdyż przypuszczenia Wosińskiego wydawały się jej bardzo wątpliwemi.

Żubrowie zajmowali izbę tuż obok Floryana. Drzwi, i to nie dość szczelne, ich przegradzały. Markietanka zawzięła się dociec tajemnicy Gotartowskiego i, nic nie mówiąc mężowi, śledziła każdy ruch, każde słowo porucznika, a w nocy zrywała się i nasłuchiwała pode drzwiami. Przez dni parę zabiegi Żubrowej były próżne, Floryan milczał jak grób, nocami dyszał ciężko, lecz słowo skargi nie dobyło się z jego ust. Aż pewnej nocy Żubrowa, czuwając, w półśnie usłyszała jakiś cichy a rzewny szept. Markietanka zakradła się na palcach pod drzwi porucznika i zdawało się jej, jakby posłyszała wymawiane z przejęciem imię: „Zośka! Zośka!“.

Żubrowa przytuliła ucho do drzwi, lecz szept umilkł, tylko coś niby westchnienie głębokie rozległo się za ścianą.

Nazajutrz skoro świt, wpadła Żubrowa do Wosińskiego:

— Pokornie melduję, jest Zośka!...

— Co za Zośka? Kto taki?! — obruszył się kapitan, nie rozumiejąc, o co idzie.

— Zośka, mówię!...

— Daj ją katu! Co mnie do jakiejś Zośki!...

— Nasz porucznik ma ją we wnętrzu!...

— Porucznik! A!?... Jakże bo?!...

Baba opowiedziała kapitanowi, co była usłyszała Wosiński targnął się niechętnie.

— Wam poprostu przyśniła się jakaś tam Zośka i koniec! Z igły widły robicie... radzę się z tem nie wygadywać, bo imć Gotartowski gotów się pogniewać!...

— Kiedy słyszałam na własne uszy!...

— Dziad swoje, baba swoje!... Co wam do tego? Przyjdzie czas, to się dowiecie. Koniecznie chcecie porucznikowi w ranę, jeżeli ją ma, paluch wetknąć!?...

Żubrowa głową pokręciła i odeszła. Nie zdało się jej, aby Wosiński miał racyę. Przekora jakaś mówiła do niej:

— A przecieżbyś mu ulżyła! A ulżyłabyś!...

Markietanka zazwyczaj rano opatrywała odzież porucznikowi, a posługi drobne około niego czyniła, nie dając się nikomu w tem wyręczyć. Od Wosińskiego poszła wprost do Floryana i, według zwyczaju, dreptać zaczęła po izbie a dogadywać. Gotartowski, nawykły do zrzędzenia baby, nie zwracał na Żubrową uwagi, cały pogrążony w myślach.

Markietanka, nie zbita z tropu obojętnością Floryana, ozwała się znienacka:

— Wstawać pora, panie... por... kapitanie!... Słońce wysoko, choć na dworze ciemno!... Na śnieg się zbiera... tylko patrzeć, a będzie południe.

— Tak, tak! Czas, czas! — mruknął Gotartowski, zaczynając się powoli odziewać.

— Mnie samej żal pana... kapitana! Gdzie to, sztuk taki drogi bez wytchnienia zrobić!... Nie taki się odpoczynek paniczowi należy!... Niby to ja nie wiem!...

— Hm! hm! — bąknął pod nosem Floryan.

— Inny, na panicza miejscu, dobrze sobie wywczasu a dobrości wszelakiej zażywa. W cieple siedzi, zabawia się, hula z pannami i co mu tam do wojny!... Jejmościanek serduszka to niby pukają do szabelki a mundura, ale, jak ci sobie pocznie ważyć niejedna, że to w odosobnieniu a rozłące żyć trzeba, to wnet i szlufy sobie zbrzydzi... i hajda! za pierwszym gachempiecuchem poskoczy!... Et! Ja tam stara baba jestem i już!... Mnie to i wszystko jedno, czy mnie „febra“ w izbie zmoże, czy kula liźnie... i tak się kołaczę za moim. Ma się niegodziwiec bałamucić a zaniewieru-

szyć sam, niechże przepada razem!... „A iż cię nie opuszczę aż do śmierci“ — przysięgaliśmy sobie oboje, jako żywo, w Niewirkowie, pod Zamościem, przed ołtarzem świętego Antoniego!... Tedy trzeba strzymać... choć dyabeł nieraz kusi rogi staremu przyprawić! I tak się człek tuła!... Co tam, ani mam za kim tęsknić... ani czego się spodziewać!... Ale... bo właśnie najgorzej... kiedy na kogo napadnie w żołnierskim stanie medytacya... to ci go tak rozbierze, że kosteczki w nim nie ostawi... Choć siedzieć, oczyma łypać i na księżyc się gapić. Ni do jadła, ni do napoju, ni do zabawy, ni do roboty!... Nie mówię, każdy ma... przecie... każdy ma... swoją Zośkę... co mu dokuczy...

Floryan, który był nie zwracał uwagi na dogadywanie baby, na ostatnie słowa drgnął i zagadnął niespokojnie:

— Co? co wy mówicie?!...

— Nic! — odrzekła Żubrowa, udając obojętność — powiadam, że... że... każdy ma swoją Zośkę, co mu dokuczy...

— Jaką znów Zośkę?!

— Taką!... Zośkę, panie kapitanie!...

Gotartowski poruszył się niespokojnie.

— Żubrowa!... Wy coś wiecie?!...

— Wiem, panie kapitanie...

— Wszystko wiecie?...

— Wszystko, panie kapitanie! — odrzekła Żubrowa, mrugając znacząco a szepcząc półgłosem do siebie: — Święty Antoni, nie opuszczaj, choćbym zełgała!...

— Wiecie wszystko! — powtórzył melancholijnie Floryan. — No... i jak wam się zdaje?!

— Hm!... Panie kapitanie... tego!...

— Chcecie powiedzieć, że się rozmaicie zdarza!?...

— Tak właśnie! — potwierdziła szybko markietanka.

— Chociaż kto wie... zaklęła się!...

— Zaklęła!...

— Toż właśnie!...

— Właśnie!... Ba!...

Floryan spojrzał podejrzliwie na Żubrową i zagadnął ją znienacka:

— Co... właśnie?!...

— Ni... nic, panie kapitanie — odpowiedziała markietanka, czując, że jej się ziemia z pod nóg usuwa i że lada chwila może się zdradzić ze swą nieświadomością.

— A cóżeście... mówili?! — badał dalej Floryan.

— Że... że się zaklęła!...

— Tak!... Macie racyę! — przyznał Gotartowski. — Tylko natura ognista, gwałtowna zawodzi, może nie strzymać. Stało się wszystko tak prędko! Dzień... potem ta noc okropna i noc... jeszcze....

— Jeszcze noc!...

— Co wy mówicie?! Wszakci rano przyjechałem, potem ona do Jabłonnej... a potem, na drugi dzień, już z listami do generała wyruszyłem!... I cóż myślicie... strzyma, czy nie strzyma?!...

Baba zmieszała się, nie wiedząc co odpowiedzieć na pytanie.

— Mówcież śmiało, jak wam się zdaje!? — nalegał Gotartowski.

— Trudno... trudno... rzec! — wykręcała się markietanka, chcąc odpowiedzi uniknąć.

Floryan nie ustąpił.

— Cóżbo!... Wszystko jedno... powiedzcie...

Żubrowa poczerwieniała i rzuciła na chybił trafił:

— Nie strzyma!... panie poruczniku!... to jest... panie kapitanie!!...

Gotartowski zbladł i zaciął usta.

Baba splunęła nieznacznie z największą dla samej siebie pogardą.

— Słuchajcie! — ozwał się po chwili Floryan zdławionym głosem. — Co wam w głowie!... Skąd takie przyszły wam supozycye?...

— Zwyczajnie!... Głupi łeb panie, kapitanie — jąkała Żubrowa, chcąc zatrzeć w umyśle Gotartowskiego niezręczną odpowiedź.

— Nie! Wy musicie coś więcej wiedzieć! Gadajcie całą prawdę bez ogródek!!...

Babie pot zimny wystąpił na czoło.

— Teraz się załamiesz... madame Żubrowa! — szeptała do siebie.

Gotartowski silił się na spokój.

— Nie macie mnie czego oszczędzać! Muszę wiedzieć całą prawdę!...

— I ja także! — bąknęła Żubrowa.

— Co... mówicie?...

— Nic, panie kapitanie!...

— Po co się łudzić!?... Ot dziewczyna w pierwszej chwili uniosła się współczuciem, dała porwać... może dolą tułaczą... a potem rozważyła!... Może tam już kto i był pod ręką. W Warszawie młodzieży nie brak!... I to bogatej młodzieży. Gdzieby jej czekać! Moja Żubrowa, ja to wiem, że mi jesteście przychylni... więc lepiej mnie nie oszczędzajcie! Najgorszą bo jest niepewność... lepsza zawżdy bodaj najsroższa świadomość... Dolegać będzie... aż i przestanie!...

Gotartowski tak żałośnie a smętnie mówił, że Żubrowej na płacz się zbierać zaczęło. Markietankę złość zdjęła na swoją własną ciekawość. Nuż teraz wyrwie się z czemś, co kapitana ukłuje!!...

Floryan, alteracyę Żubrowej poczytując za wahanie — przekładał jej dalej:

— Widzicie! Co tu długo mówić? Przypadła mi do serca!... Sam nie wiem, czego mi zadała!... Ni snu, ni myśli!... Świat mi zamroczyło... Układę się na spoczynek... jużci stoi przedemną a pali oczyma!... Jadę przed frontem, a tu z poza każdego krzaka, z poza każdej wierzby, coś się uśmiecha, coś wabi... coś szepcze! Czary zgoła!...

— W imię Ojca i Syna!... Panie kapitanie!...

— Takci jest!... Czasem to mi dobrze z tym smutkiem! Zdaje mi się, że gdyby na skraj świata jechać przyszło, to zawsze dwoje nas będzie!... Jakaś myśl ściga mnie, goni a towarzyszy!...

— O la Boga! — westchnęła przerażona markietanka.

— Czasem znów, gdy sobie pomyślę, że wszystko to marą być może... że ona tam ma albo li znajdzie

tymczasem innego... to ci mnie taki strach, taki lęk porywa... że sobie miejsca...

— A tożby chyba ślepą była! — wybuchnęła nagle markietanka.

— Co mówicie?...

— Że to są faramuszki! Jakiem Muszyńska z domu! A tożby chyba oczu nie miała... siaka taka morowa!... Cha! Dać mi ją tutaj!... Jaćbym ją nauczyła, gdzie raki zimują! Niechby pozbaść spróbowała!... He! Panie kapitanie... niech mnie odrazu skręci, jeżeli łżę!... Niech no ona pana kapitana zobaczy, a zaraz się za pierwszym z brzegu „łabusiem“ obejrzy, pana kapitana pociągnie, bodaj w kruchcie przycupnie i — „błogosław księże dobrodzieju!“ — wrzaśnie — „bo mnie zamorduje!“ — Oho! Już co na babskich rzeczach ja się znam!...

— A cóż powiadaliście, że mi nie strzyma!...

— Co powiadałam?!... Nic!... Nic nie powiadałam!... Tfy!... Wymówiło się i tyle. Na człowieka czasem przyjdzie taka chwila, że on w lewo myśli, a język na prawo miele!... Bodaj mi spuchł!... Coby znów nie miała strzymać!? Musi i basta, jakiem Muszyńska z domu, inaczej... co pan kapitan... to... swoją drogą... ale ze mną... miałaby do czynienia!... Jeszcze jeden z drugim ma przedemną respekt, choćby dlatego, że... jeżeli się chłopakiem nie urodziłam, to nie wiem, czyja w tem wina, lecz pewnie... że nie moja!...

Gotartowski spojrzał na otwartą, szczerą a pełną zapału twarz markietanki i naraz przyszła mu do głowy myśl, która zbawczą mu się wydała.

— Uważacie Żubrowa! — ozwał się Floryan, zastanawiając się zwolna.

— Uważam, panie kapitanie!...

— A gdybyście wy!...

— Gdybym ja... i mój stary oczywiście, panie kapitanie! — poprawiła baba.

— No tak! Gdybyście do niej dotarli... a przez czas jakiś mieli ją w opiece, bo wszakci ma matkę.. ale niby... tak!...

— Niby! Rozumiem!...

— I ja byłbym spokojniejszy... zupełnie spokojny!... No i wam krzywdaby się nie stała!... Bo to na krótko... rozumiecie!?...

— Wszystko rozumiem! Niby... a niby!... Niby panny pilnować się nie godzi, a niby na oku dobrzeby ją mieć!...

— Więc pojechalibyście?...

— Czybym pojechała? — bo mój stary się nie liczy! A bodaj do Belzebuba! Na co bo człek żyje?... Dla kogo?!... Bez urazy pana kapitana, wyznam już mu całą prawdę, jak na świętej spowiedzi! Dwie jeno rzeczy trują mi się po głowie! Łeb stary, ale fantazyę swoją ma!... Więc niby niechbym doczekała się jeszcze... jakiego krzyża na wojaczce... no i mój stary także i... z jednego kapitaniątka! Więcej mi nie potrza!... A kiedy człek już zgrzybieje... to bodaj pod kościół pacierze klepać a w piersi grzeszne się bić!...

Markietanka pociągnęła nosem raz i drugi i łzę otarła. Gotartowski się poruszył.

— Co wam w głowie!... Da Bóg, dopóki ja żyję... nie zginiemy we troje!...

— Toć... wiem... proszę panicza!...

— Otóż, lada dzień wyciągnąć znów przyjdzie... pewno niezadługo staniemy może i w Warszawie! Kto wie! Więc... gdybyście do niej tymczasem z listami... byłbym spokojniejszym!...

— I pewnie!... Bo jużbym jej na chwilę nie puściła. Mój stary pode drzwiami, bo do czego innego niezdatny, aby do raportu i to niedługiego... a ja przy pannie. Ona tam, i ja tam! Ona tędy, ja owędy, drepczę sobie, pozoru nie daję, a do wszystkiego docieram! Zdarzy się świszczypała jaki, to mu się odrazę wymyśli, że się aby kopnie i umknie. Panie... po... kapitanie, jakiem Muszyńska z domu, już radę dam, bo to czasem choć i sentyment jest, a strzedz a hodować go należy! Kwiatuszek taki dycha sobie, łodyżką kiwa, na żałość mu się zbiera, aż ci dmuchnie kto z impetem... już ci panna w innym ślepki topi!...

— Wybornie! — podchwycił z zapałem Floryan, któremu słowa baby dziwnie do przekonania trafiły. — Więc pojedziecie? Pojedziecie... i kiedy!?...

— Dziś jeszcze... zaraz!...

— Wiek wam tego nie zapomnę! No, tedy czekajcie, skoczę do ojców a inkaustu i piór wydostanę, i pisanie wam wygotuję... A wy tymczasem... wybierajcie się....

Żubr był właśnie zajęty karbowaniem na drągu napływającego rekruta, gdy markietanka wpadła doń jak bomba.

— No stary! Składaj manatki, ruszamy w drogę!...

Stary podoficer legii spojrzał na żonę z podziwem i, nic nie rzekłszy, zaczął z flegmą karby swoje nacinać.

Baba się obruszyła.

— A cóż ty, szczurze medyolański, nie słyszysz, co do ciebie mówię?...

— Et... Nie gadaj... Jasia!...

— A ty nie skrzecz jednego w koło!...

— Kiedy kapitan Wosiński...

— Co mi o kapitanie Wosińskim prawisz!?... Zaciągnąłeś się? Komu służysz?... No, bez mitręgi, porucznik każe... jechać!...

— Porucznik!? — powtórzył z przejęciem Żubr, zrywając się na równe nogi.

— Już cię podjęło!?...

— Ja... według rozkazu! — bąknął, usprawiedliwiając się podoficer i jął co tchu porządkować swoją kancelaryę, to jest długie żerdzie w kącie ustawiać.

Babę ta gotowość męża ujęła. Spojrzała nań przychylnie i ozwała się łagodnie:

— Stary! Stary!... Powiem ci nowinę!... Ani się spodziewasz!... Będziem mieli dzieci...

— Dzieci!?

Baba kiwnęła konfidencyonalnie głową.

Żubr spojrzał na żonę, oczyma łysnął i naraz pięść całą do ust podniósł, żeby śmiechem nie wyquchnąć a żony nie rozsierdzić.

Babie atoli dość było jednego widoku, aby się przekonać, jako jej małżonek nowinę przyjmuje.

— I... i... cóż ty, stary karabinie, sobie myślisz?... Ja do ciebie mówię... a ty mi się będziesz trząść!!?...

— Jasia nie gadaj!...

— Co ja mam gadać, sroko włoska... Jak mówię, że będziem mieli dzieci, to będziemy!... Rozumiesz?!... Twarzy nie kurcz, bo ja ci ją skurczę...

— Jakże bo?!...

— No, no, jakżeś myślał?!... Ty, ty, niedołęgo?!... Że cię na dudka wystrychnę? Pewnie, że się na tem skończy! Niech tylko ta pukanina przeminie!... Tyś wart takiej żony!... Inna to najwyżej postarałaby się o podoficerzątka, a ze mną, da Bóg doczekać... to z pół tuzina kapitaniątek, jeżeli wyższej szarży nie dojdziemy... Rozumiesz!?...

— Jasia! — szepnął z wyrzutem stary Żubr, kręcąc głową.

Markietanka strzepnęła z nieukontentowania rękami:

— Jeszcze nie wyspekulowałeś!?... Dziw, dziw, że ci ta głowa na karku wyrosła, a nie gdzie w zaciszniejszem miejscu! No więc... jedziemy na służbę do pani... porucznikowej!... A że porucznik jest kapitanem... to... to, jak mu się dzieci narodzą, to będą... kapitaniątka!... Frontem stawać będziesz musiał!... Wiesz teraz?... A... jak... porucznik doczeka się dzieci... to kto będzie miał dzieci?!...

— My! — huknął gorąco podoficer i głos mu się nagle złamał i zachrobotał w gardle.

Baba odwróciła się, z trzaskiem nos wytarła, a po chwili, nie patrząc na męża, rzekła krótko:

— Idźże zaraportuj kapitanowi Wosińskiemu i bez namysłu w drogę!...

Żubr skoczył ku drzwiom i wybiegł na podwórzec, kierując się wprost do mieszkania Wosińskiego.

Kapitan Wosiński medytował właśnie nad ułożonym świeżo spisem ochotnika i sadził dyabłami co

się zmieściło, ile że piąty raz dodawał i zawsze mu wypadało albo trzech ludzi za dużo, albo dwóch za mało — gdy wbiegł doń zdyszany Żubr.

Kapitan podniósł niechętnie oczy na podoficera, że mu się jawił 'nie w porę. Wosińskiego uderzyła odrazu przejęta a wzruszona twarz Żubra, więc zagadnął niespokojnie:

— Cóż tam? Co nowego?!...

Żubr wyprostował się jak struna, zaczerpnął powietrza i wyrzucił jednym tchem:

— Pokornie melduję panu kapitanowi... będziem... mieli dzieci!!...

— Co? Co będziemy mieli?...

— Dzieci, panie kapitanie! — raportował dalej stary legionista.

— Oszalałeś!...

— Kapitaniątka! — poprawił się Żubr, dziwnie mrugając oczyma.

Wosiński spojrzał raz i drugi na Żubra i fuknął prawie:

— Gadaj mi asan! Co się stało!? Gdzie?... Po co?... jakie dzieci?!...

Żubr chciał odpowiedzieć... już z warg jego zrywać się zaczęły pojedyncze sylaby, aż nagle głos uwiązł mu w gardle.

— Jasia! — wyjąkał Żubr.

— Bodajże acana! Z waszecią ani rusz się dogadać! Wołaj-że mi kogo do stu piorunów, niech się dowiem w czem rzecz!...

Żubr zawrócił się na pięcie i wyszedł pośpiesznie wołać na odsiecz żonę.

— Jasia! Według rozkazu! Sacrébleu... Nom de chien!... Będą dzieci!... Nasze dzieci... Melduję pokornie!... Marsz!... Dzieci... niechze... tego!... Bo, widzisz Jasia... no gadaj... mnie tu!... Człeka!... Eh!... Do pioruna! Marsz! Kapitaniątka... pełny front! Robaki takie... potem równaj się...

Baba na taką rozmowność męża aż się przeżegnała.

— Stary co... co tobie?...

— Nie gadaj... będą dzieci!...
— Nasze! — poprawiła markietanka.
— Tylko nasze!...
— Za bardzo sobie znów ich do głowy nie bierz, bo chybabym rozum postradała, żebym tym twoim niedźwiedzim łapom pozwoliła je tknąć!...
— Ale... nie gadaj!...
— Razześ się do rzeczy ozwał przecie!... Nie czas na gawędy!... Komu w drogę, temu pora... Bo to dnie krótkie!...
— Jasia! Kapitan Wosiński... do raportu!!...

Baba zrozumiała lakoniczną uwagę męża i wnet przed kapitanem się stawiła.

Wosiński zasmucił się, że Żubrowie już wyciągać mają. Przywykł był do nich potrosze w ciągu tych kilku dni, a osobliwie markietankę sobie upodobał; dowiedziawszy się jednak, dokąd dążą, odwodzić ich nie chciał i nie śmiał.

Floryan tymczasem pisanie gotował. Ciężko mu szło ono a powolnie. Bo to i całą duszą radby okazać i tęsknicę a smutek wyrazić, a tu strach, aby zwawszem słowem despektu pani Dziewanowskiej nie uczynić lubo przykrości nie wyrządzić. Pocił się biedny żołnierz, wzdychał, sapał a czoło tarł, aż powoli pisanie uskrobał.

Żubrowie już tego tylko czekali.

Gotartowski pożegnał ich serdecznie i na drogę grosiwem, które miał, opatrzył. Jedno i drugie szepnął do ucha markietance i rzekł w końcu:

— No... ruszajcie z Bogiem!...
— Według rozkazu! — huknął Żubr i już był zwrot wojskowy wykonał — gdy baba krzyknęła surowo:
— I gdzie idziesz, drągalu!? — zaczem, niespokojnie otulając się chustką, zagadnęła Floryana:
— A... niby... gdzie my to mamy jechać, panie kapitanie!?
— Jakto gdzie? Nie znacie drogi do Warszawy!...

— Do Warszawy! Aha! Tylko, że Warszawa duża...

— Mówiliście, że wiecie wszystko?!...

— Tak jest! — Święty Antoni, nie opuszczaj mnie, chociem zełgała. — Łeb taki stary... a ulic w Warszawie tyle... że łacno się może pokiełbasić...

Floryan, nie poznawszy się na podejściu, dał im dokładne wiadomości, gdzie i jak panią Dziewanowską mają odszukać, a nadto, jakąś zmorą trapiony, dodał głucho:

— Słuchajcie, Żubrowa, a gdyby, czego Boże broń... ich tam nie było... gdyby stało się coś... czego przewidzieć niepodobna, to... idźcie za niemi, ratujcie... A ja... wnet za wami podążę!...

Po odjeździe Żubra i Żubrowej znów chwilowa jednostajność zapanowała w obrębie klasztoru. Wosiński w dalszym ciągu zajmował się formowaniem oddziałów ochotniczych. Floryan, uspokojony nieco wysłaniem posłów do Zośki, nabrał otuchy i pomagał byłemu kapitanowi gwardyi narodowej. Deschamps, jak zwykle, siedział pochylony nad mapami i liczbami, ledwie czasem od niechcenia dopytując się, co się dzieje w okolicy...

Bo też faktycznie w okolicy nic się nie działo, Prusaka ani na lekarstwo. Ludzie zapominać zaczęli, że tu byli kiedykolwiek.

W tydzień coś, późną nocą, wpadł do klasztoru kuryer od generała Milhaud z rozkazami. Strzelcy poruszyli się co do jednego...

— Wiadomości, nowiny... od naszych!!... — szeptano sobie dookoła.

Deschamps zajął się natychmiast rozpatrywaniem papierów. Wosiński, Floryan i oficerowie francuscy wzięli kuryera na spytki. Wieści były skąpe, choć pomyślne. Łęczyca opanowana, Prusacy na całej linii ścigani, placówki armii Benigsena wysunięte aż pod Łowicz, zwinięte, przeszły Wisłę i stoją pod Warszawą. Pochód całej armii rozpoczęty. Cesarz bawi w Poznaniu, przyjmowany jak zbawca przez ludność.

Kapitan Douharai chciał dalej badać kuryera, lecz naraz ordynans pułkownika dał znać, że Deschamps natychmiast wzywa do siebie oficerów. Porwano się do szabel, pasów i czapek, założono temblaki. Jeden oficer drugiego zlustrował szybko, iżali wszystko w porządku, i ruszono do pułkownika.

Deschamps stał już gotowy, jak do pochodu.

Oficerowie francuscy spojrzeli znacząco po sobie.

Wosiński szepnął kwaśno do Floryana:

— No, tylko patrzeć, a ten biały borsuk na pole nas wypędzi!...

Deschamps spojrzał surowo na Wosińskiego uciął krótko:

— Monsieur Wosiński!...

Kapitan wyprostował się jak struna.

— Monsieur Wosiński! — odezwał się po raz drugi pułkownik, marszcząc się coraz groźniej. — Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan, w uznaniu położonych przezeń zasług... raczył pana mianować majorem francuskim i komendantem fortecy w Częstochowie!... Pozwól pan sobie powinszować tego zaszczytu!!...

Między oficerami powstał szmer zadowolenia. Wosiński tylko patrzał z podziwem na Deschampsa, nie wiedząc, o co idzie.

Pułkownik wyciągnął doń rękę. Floryan szepnął mu nad uchem:

— Podajże waćpan także i podziękuj!...

Wosiński podał rękę. Deschamps chwycił ją i ścisnął, aż kości Wosińskiemu zatrzeszczały. Kapitan posiniał i syknął przez zęby:

— A bodaj cię!...

— Panie Gotartowski, zechciej objaśnić pana majora! — rzucił pułkownik.

Floryan przetłómaczył słowa Deschampsa. Wosiński poczerwieniał, nogi się pod nim zatrzęsły.

— Niechże was! — mruczał — Francuzy!... Toście mnie chwycili!... Jużci chyba!... zdechnę gdzie dla was!... Mości Deschampsie... ma parole!... Vive l'em-

pereur!... Do milion dyabłów... Mówisz... sam Napoleon o mnie pamiętał?!... Drwiny chyba!... Major... komendant!... Nie!... Widzę panie... kolonel, że... żeście dobre chłopy... porządne chłopy!... Miałem was za... hołotkę, za boćwinkarzy... ale... ale... moćpanowie!... Co tam... daj, drogi kolonelu, pyska!...

I zanim oficerowie zdołali zoryentować się, co żywa gestykulacya nowomianowanego majora znaczy, ten już rzucił się na pułkownika i ściskał go a całował z całego serca — wołając:

— Vive l'empereur! Vive la France! Górą nasza! Niech żyje Imć... Monsieur... Deschamps!! Hurra!

Oficerowie francuscy oniemieli, działo się w oczach ich coś, o czem karność ich nie mogła pomyśleć, czego sobie nie mogła wyobrazić!... Floryan stał oniemiały, skonfundowany wybuchem swego kolegi, sam nie wiedząc, co mu począć wypada.

A Deschamps — Deschamps w pierwszej chwili pod ciężarem Wosińskiego — zatrząsł się i zachwiał — potem błysnął ponuro oczyma i zdawało się, że schwyci majora i rzuci nim o ziemię, aż nagle, spojrzawszy w jasną, pogodną a wzruszoną do głębi twarz Wosińskiego... drgnął, i przycisnął go do swej wyschłej piersi...

W jednej chwili przykład Deschampsa porwał, uniósł wszystkich. Wosiński rzucił się z kolei do kapitana Douharai, Floryan całował się z Martinem i znów Deschamps z Gotartowskim, a Martin z Wosińskim, potem dwaj Francuzi z trzecim i dwaj Polacy ze sobą. Zapanowało ciepło, serdeczność, braterskie prawie.

Pierwszy przerwał ten nastrój Deschamps:

— Panowie! Musimy ruszać dalej, ile że generał Milhaud życzy sobie, abyśmy się z nim złączyli przed jego dotarciem do Warszawy. Droga daleka! Chwili czasu stracić nie możemy... Naturalnie, rozkaz nie dotyczy majora Wosińskiego, który jako komendant, otrzymał oddzielną instrukcyę... i nadal wprost będzie się znosił z kancelaryą sztabu... Kapitanie Douharai, każ trąbić wsiadanego. Panowie, czekam na was!...

Oficerowie ruszyli do swoich kompanij. Wśród nocy rozległy się krótkie, żałośne dźwięki trąbki. W godzinę strzelcy byli gotowi do wymarszu.

Wosiński, oszołomiony nową godnością i stanowiskiem, chodził tymczasem za Floryanem i z żalem patrzył, jak ten szykował się pospiesznie do drogi.

— Et! Mości Gotartowski... żal mi was do licha!... Psi czas!... Mży na dworze... wichura... śniegu lada dzień spodziewać się należy, a tu jechać!... Miałci cesarz racyę, że sobie w porę moją mizerną osobę przypomniał, bo jużby mnie alteracya zalała, gdyby mi tak przyszło teraz stąd wyciągać! Chociaż... uważa waszmość, dalipan i was żegnać mi niesporo, niesporo!... I ten colonel także sobie niczego! Sercowy człek! Ma nieco dzikie narowy i na polityce szwankuje... ale zacny!...

Floryan niebardzo zwracał uwagę na wynurzenia majora. Myśl, że niezadługo stanie w Warszawie, że zobaczy ją, Zośkę, takiem weselem go napełniła, iż mu się żale Wosińskiego aż niewłaściwymi wydały.

Deschamps tymczasem dyktował ostatnie rozporządzenia. Więc będący na wyzdrowieniu Levitoux został pozostawiony Wosińskiemu do pomocy wraz z kompanią strzelców. Deschamps atoli miast tej kompanii, która dotąd z Flageoletem była pod rozkazami Wosińskiego, wyznaczył inną, czem niepomału majora zmartwił, a nawet do żywego poruszył.

W ostatniej prawie chwili Wosiński uczepił się Floryana:

— Słyszałeś waćpan, colonel zabiera mi Flageoleta!...

— Słyszałem!...

— I cóż waszmość na to?...

— Hm!... Rozkaz...

— Rozkaz! Ładny mi rozkaz! Niechby go wymówić nie mógł! Co mi po takim rozkazie!...

— I cóż ja waści poradzę?! — uciął zniecierpliwiony Gotartowski.

— No... to bierz licho cały awans i całą komendanturę! — rozgorączkował się Wosiński. — Rzucam wszystko i wracam!... Mnie co z tej służby? Kawałek ziemi człowiek ma i wiele nie potrzebuje, to mu wystarczy!...

— Co!? co waszmość?.... Zważ na słowa!.... Gdyby tak wszyscy chcieli robić, to gdzież byłby ład!?...

— Ład! Ład!... Co mi z niego! Kiedy ci jeden sierżant był w całym szwadronie, siaki dorzeczny, z którym się rozmówić mogłem, to dają mi akurat drugiego! Waszmość to nazywasz wszystko ładem!...

— Ależ bo — przedkładał Floryan. — Nieszczęście się nie stało!... Kto wie!... Pułkownik bardzo dla waszmości łaskaw... Możnaby mu przedstawić, poprosić! Nie myślę, aby miał coś szczególnego w tem, żeby Flageoleta zabierać!...

— Co waszmość?... No to chodźmy!... idźmy zaraz do niego! — nalegał Wosiński — trzeba mu to wyklarować należycie, a waszmość to potrafisz, podczas, gdy ja się z nim nie dogadam!...

Floryan, ulegając prośbie, zwrócił się do Deschampsa z przedstawieniem. Biały pułkownik skinął przyzwalająco głową.

W godzinę potem Wosiński był już pełnym komendantem Częstochowy i największą na okolicę osobą!... Pochlebiało to wielce bujnej ambicyi majora i niekłamane sprawiało mu zadowolenie.

Po wyciągnięciu oddziału Deschampsa, komendant Częstochowy rozsiadł się w swej stancyi przed kominkiem i polecił wezwać do siebie Flegeoleta.

Sierżant stawił się w pełnym uniformie i zatrzymał się z uszanowaniem przy drzwiach. Wosiński spojrzał nań z ukontentowaniem i mrugnął nieznacznie.

— No... co? Piszczało? Hę!?... Krzywda ci, żeś na harce nie poszedł ze szwadronem?! Gadaj!

— Comprends pas!... pan... commandant!...

— Znów swoje pleciesz!?... Do licha, czas wielki,

żeby ci się język w drugą stronę wykręcił i po ludzku chadzać zaczął.

— Comprends pas!... pan... commandant!...

— Silence! Rozumiesz!?... Nie pytam ci się! — zniecierpliwił się Wosiński, a po chwili dodał z powagą:

— Flageolet! Quand tu ne comprends, dis oui!!... Comprends?...

— Oui! — pan commandant!...

— Właśnie!... O to chodzi!... Bardzo dobrze! Powoli, a przy Bożej pomocy, jeszcze z Francuza na człowieka wyjdziesz!... Zobaczysz!... Ja ci to mówię!

— Oui! — pan commandant!...

— Ja myślę!... Nie odrazu Kraków zbudowany!... No, ale nas robota czeka nielada, bo tu ludu ciuła się co niemiara... Trzeba będzie co rychlej, jak mówił kapitan Gotartowski, raport siarczysty do generalności francuskiej wystosować, niech nam dla wolontarzy ujście najdzie, bo nas tu do cna zjedzą! Wigor duży, ale i apetyty i gęby tęgie!!... A przecież objadać klasztoru i Najświętszej Panienki nam się nie godzi!...

— Oui! — pan commandant!...

— No, widzisz!... Zdaje ci się, Piszczało, że niby to trudno polskiej mowy się nauczyć?... Ot, już zaczynasz wcale do rzeczy mówić!...

— Oui! — pan commandant!... — huknął znów sierżant.

— Ciągle „łój“ masz we łbie!... Nie szkodzi!... Przyjdzie czas, że ci się i na olej zbierze! Cóż, mumio? Marzyło ci się, że w tak zacnym regimencie służyć będziesz?... Hę?...

— Oui! pan commandant!...

— Skądże znowu!?... Franta chcesz udawać?... Tego nie lubię!...

— Oui!...

— Jak wiesz, że mi to nie w smak... to po drugi raz tego mi nie mów! Słyszałeś? Patrzże teraz komu służysz! Wszakci to nie masz pono równie poważnego znaku na świecie! Niby Napoljon ma rozmai-

te srogie a pstrokate gwardye... lecz tu, mości panie, jesteś sobie bez mała sierżantem Bogarodzicy!...

— Oui! pan commandant!...

— Rad z ciebie jestem! Dobrze ci z oczu patrzy! Można z tobą wytrzymać!... Jeszcze parę tygodni.... i zupełnie przemówisz! Może i ślepiami przewracać przestaniesz!... No... dosyć tego!.. Bo i tej konfidencyi byłoby za wiele... Wynoś się!...

Flageolet się nie ruszał.

— Idź do dyabła!...

— Oui — pan commandant!...

— Rusz-że się z miejsca!...

— Oui — pan comm!...

— Będziesz mi ty łojował jeszcze!...

— Oui! — odpowiadał wciąż sierżant.

— Bodajżeś się udławił! A to skaranie... istne! Zachciało mi się tego błazna mieć przy sobie — mam ci teraz nagrodę: miamle i miamle aż uszy bolą!... Dormir!... Sacrébleu!...

Flageolet się poruszył z miejsca i jął co tchu szykować Wosińskiemu posłanie.

Wosiński się udobruchał i mruknął do siebie pod nosem:

— Ma szelma racyę! Człowiekowi się oczy do snu kleją! Pewnie, że się układę.. zaraz! Niedługo już i północ... Jaki on sprawny, patrzcie, niczem pacholik, albo stara piastunka!... Filut stary!...

Wosiński, nic nie mówiąc, jął się rozdziewać powoli i układać do snu. Flageolet mu pomagał.

Komendant rozprawiał dalej:

— Dobrze, dobrze! Kaducznie mnie senność morzy... Ładniebym wyglądał, żeby mi tak teraz przyszło tłuc się po nocy ze szwadronem!... Ten cały wasz colonel to postrzeleniec wielki... Noc nie noc... deszcz nie deszcz, pluchota... a wędrowałby po całym świecie, niczem pokutująca dusza. Ja tam tego nie lubię, mam się bić, mam ścigać kogo... to po dniu... a nie po nocy!... Bom nie kot żaden, ani opętaniec czy niby lunatyk!... Widzisz! Tobie, stary, też ciepło będzie... A!... Jak się człek tak wyciągnie

spokojnie... to mu i na sercu lepiej... Aaa!... Flageolet!... A ty także nie bałamuć... i wynoś się do swego barłogu... a obacz, żeby mi... tego... szyldwachy na miejscu!...

— Oui! pan... commandant!

— Czekaj! Jutro od rana wezmę cię na naukę, już się nie bój... ten cały łój... ci wyleci. Sałaty także nie dostaniesz... ani listeczka!... Bo, jużci, rozum z niej nijakiego pożywienia nie ma!... Aa!...

Wosiński ziewnął przeraźliwie raz i drugi, przeciągnął się raz jeszcze, podniósł powieki i chrapnął mocno.

Flageolet przez czas jakiś stał przy posłaniu Wosińskiego, czekając jakby rozkazu. Postrzegłszy w końcu, że komendant śpi już na dobre, podsunął się ostrożnie do ławy, na której leżała odzież Wosińskiego a broń, zgarnął ją delikatnie i wyniósł do sąsiedniej izby. Tam przy świetle łojówki zasiadł do porządkowania munduru i czyszczenia rzemieni a broni.

Nielada to była robota. Flageolet jednak był i majstrem w tej robocie i służbistą wielkim. Coby znów pierwszy lepszy pachołek czy żołdak miał się dotykać munduru komendanta! Czyby potrafił nawet tak jak on, na każdy guzik nakładać kolejno drewniane, wycięte we środku deszczułki, a potem czyścić go suknem tak długo, aż nie da lustru, odpowiadającego i randze majora i stanowisku komendanta? Albo rzemień pucować, a głównie dopucować się giętkości, glansu, usunąć najdrobniejsze zarysowanie skóry, najlżejszy meszek?

Flageolet pracował bez wytchnienia ze dwie godziny. Gdy w końcu rzucił okiem na równo poskładaną odzież a lśniącą broń, niby od płatnerza prosto, aż mu się oczy zaśmiały.

— C'est joli! Ça! — szepnął do siebie ze szczerą radością.

Zaczem znów ukradkiem wsunął się do izby, w której spoczywał Wosiński, ułożył starannie przy

łożu odzież i broń i zatrzymał się, patrząc z jakiemś wielkiem uszanowaniem na śpiącego komendanta. Wosiński chrapnął głośno.

— Śpi sobie.

Wtem usta komendanta wymówiły wpółsennie:

— Flageolet!...

— Sni, śni! o mnie! — ozwał się cicho rozczulony sierżant. — Mój... mój... komendant!...

Ręka Wosińskiego wykonała w tej chwili jakiś senny odruch i zwiesiła się bezwładnie poza krawędź posłania.

Flageolet przysunął się bliżej do komendanta, jakby wahając się, wreszcie zebrał na odwagę... pochylił się i przyłożył usta do ręki Wosińskiego.

VII.

Deschamps ruszył z oddziałem swoim z kopyta drogą na Wyczerpy, Rudniki, Kłomnice i Pławno, dążąc wprost ku Warszawie, przed którą miał nadzieję spotkać się z generałem Milhaud.

Floryan był w wybornem usposobieniu. Przecież bo się dlań ta męka skończy. A wreszcie, jeżeli odrazu trudno mu się spodziewać, by przed ołtarzem mógł stanąć... bo to i pani matce trzeba sprawę przedłożyć i zezwolenie a błogosławieństwo jej zjednać... to bądźcobądź... jakoś zdoła się zapewnić i od pani Dziewanowskiej choć słowo poczciwe wydostać. Kto wie, może i zrękowiny uda się wyprosić? Gdy tak Floryan rozmyślał, kalkulował a układał sobie zawczasu stosowne do matki wystąpienie a do pani Dziewanowskiej przemówienie — przyszło mu, że szwadronowi może byłoby i po drodze do Gortatowic zajechać!... A wówczas mógłby i widokiem swoich się nacieszyć i u pani matki z zamiarów swoich się submitować. Uradowany już myślą samą odprawienia chociażby krótkiego w Gortatowicach postoju — zaraz na pierwszym popasie, korzystając, że Deschamps był w doskonałym humorze — projekty swoje mu przedstawił.

Aliści Deschamps szarpnął się niecierpliwie i odrzekł:

— Ani myśli! Trzydzieści kroków zboczyć nam nie wolno!... Droga wytknięta jakby strzelił... Musisz, kapitanie, odłożyć... Nie, teraz nie pora! Wojna!...

Gotartowski posmutniał. Biały pułkownik spojrzał nań przenikliwie i bardziej jeszcze się nasrożył.

— Dziwię się panu bardzo, że masz odwagę... że ci podobne zamiary przychodzą na myśl!... Chyba nie mogłeś się spodziewać innej odpowiedzi... Więc... gdzież nareszcie jest ta twoja chałupa... rodzinna czy jak tam!?...

— W Gortatowicach, pod Rawą tuż!...

— Aha! Czekaj... pod Rawą! Rawą! Coś takiego jest! Mamy jechać!... Zaraz sprawdzę! Aha! Ujazd... a potem Rawa!... Wyznaczyłem tam postój! Hm! No... to tyle możnaby zmienić, że zamiast w Rawie... popasać będziemy w tych twoich... Jak powiedziałeś?...

— Gortatowicach!...

— Właśnie! Tego nawet wymówić niepodobna!...

Floryan chciał dziękować pułkownikowi, lecz ten go ofuknął surowo:

— Za co? Komu? Nic pewnego jeszcze. Zobaczymy, jak nam droga wypadnie!...

Znając szorstki, nieprzystępny charakter białego pułkownika, Floryan poprzestał na tem połowicznem przyrzeczeniu — ufny, że Deschamps święcie je spełni.

I rozradowało się serce Gotartowskiego, a i skrucha wewnętrzna go chwyciła. Ot, niedawno jeszcze biadał a wyrzekał na los, na dolę smutną... gdy już i zamiary swoje widzi spełnione i życzenia ziszczone. Wszystko układa się jak najlepiej. Gdy teraz stanie przed Zośką, to już z pozdrowieniem matczynem dla przyszłej synowej...

Szwadron Deschampsa szybko posuwał się naprzód, tem szybciej, że pułkownik, mając przed sobą drogę wolną, nie potrzebował słać w rozgony wywiadów i ciągnął śmiało gościńcami. Tu i ówdzie chciano Francuzom gotować przyjęcia, a wyprawiać stypy — Deschamps odmawiał, obawiając się spóźnienia. Strzelcy, mimo ziąbu a przejmujących listopadowych wichrów, które z coraz większą siłą od północy ciągnęły, poddawali się ochotnie niewywczasom, rozumiejąc, że u kresu drogi czeka ich połączenie z kolumną armii, więc i służba lżejsza, i życie weselsze.

Gotartowski pełnił obowiązki dragomana z niebywałym zapałem a zapamiętaniem. Pierwszy był do wsiadanego, pierwszy głosował za przedłużeniem marszu, za skróceniem noclegu. Deschamps, jakby na złość przekomarzał się z Floryanem i obstawał za ociąganiem się.

— Daleko mamy jeszcze do Rosprzy?...

— Do Rosprzy?!... Bardzo blisko!...

— Co to znaczy u pana blisko?

— Małe półtorej mili!...

— Małe półtorej mili! Nie rozumiem takiej miary!... Trzeba będzie chyba popasać w Plucicach!... Jak myślisz, kapitanie?...

— Ja?! Ja sądzę, panie pułkowniku, że to... próżna mitręga!... Do Rosprzy jak nic przed wieczorem dotrzemy... tam i furaż lepszy i przedniejszy...

— Taak! Panu widzę pilno bardzo! — drażnił się Deschamps. — Niema co... trzeba i ten popas... pod Rawą skasować...

— Kiedy bo... panie pułkowniku...

— Co — kiedy?!...

— Kiedy, według mnie... to tam powinniśmy odbyć dłuższy popas... może nawet zanocować!...

— Chcesz się przespać w swojem łóżku!?...

— Ja, panie pułkowniku?!...

— Chyba że nie ja!...

— Skądże!... Tak bo... wypada!...

— Ciekawy jestem bardzo!?...

— Otóż... ja myślę, że... Piotrków możemy śmiało ominąć... Na co drogi nadkładać, kiedy od Rosprzy najkrócej byłoby iść na Przygłów, Białobrzegi, Wielką Wolę... potem zanocować w Gortatowicach i odrazu pod Mszczonów... i Sochaczew lub Błonie!...

Deschamps głową kręcił, udawał, że nie rozumie kapitana, kazał sobie drogę na mapach wskazywać, wyliczenia robić. W końcu przyzwalał niechętnie na proponowane zboczenie, ciągle zapewniając, że dalej będzie musiał się trzymać pierwotnego planu.

Gotartowski wnet po jakimś czasie zabierał się znów do nakręcania marszruty według swoich zamysłów.

Po kilku dniach drogi szwadron Deschampsa stanął około południa w Królowej Woli, położonej na skraju borów lubocheńskich. Floryan był więc prawie u celu... jeszcze dobre dwie mile i stanie nareszcie w Gortatowicach. Serce kapitana żywiej bić poczęło. Myślą już oglądał i jadalnię, w której przyjmować ich będą, i ów alkierzyk, w którym przyjdzie mu się wyspowiadać przed panią matką ze swoich sentymentów dla pułkownikówny. Zdało mu się, że słyszy już jowialne uwagi dziada, tęskliwe westchnienia piecuchowatego Staszka, że młodsze rodzeństwo wita go wesołym zgiełkiem, a czeladź z ekonomem Lewandowskim serdecznem mruczeniem. Toż dziwić się będą tym Francuzom, toż i uciecha dla nich i widowisko nielada w tym zapadłym kącie!...

Tak sobie rozmyślał Floryan, spoczywając na ławie w izbie wieśniaczej, a nie bacząc, że i pragnienie i głód mu dokuczał. Nie do jadła mu było, nie do napoju...

Naraz wezwano go do pułkownika.

— I cóż? — rzekł ten ostatni na widok Floryana. — Jedziemy... na Chociw do Rawy i koniec! Co? Prawda?...

Gotartowski zbladł.

— Mówże, kapitanie!... Mówiłeś sam, że znasz te strony wybornie!... Przecież na Sochaczew tędy najbliżej?!...

— Do Sochaczewa?... Tak! — odparł z wysiłkiem Gotartowski.

— No widzisz!... Sam się przekonałeś!... Wybornie!... Ruszamy zaraz! — zakonkludował z przekonaniem pułkownik i kazał trąbić do wymarszu.

Gotartowski dosiadł konia i powlókł się za szwadronem.

W oczach mu pociemniało. Wszystko, co wysnuł sobie, czem się karmił, czem żył od dni kilku, rozbiło się o dziką, niezrozumiałą surowość Deschampsa. W pierwszej chwili chciał przedłożyć pułkownikowi

swoją sprawę, chciał prosić go, aby, jeżeli istotnie to małe zboczenie nie wydało mu się możliwem, jemu pozwolił odjechać na dzień jeden od oddziału. Ale rogata dusza Floryana zacięła się, zamknęła w sobie. Jechał za pułkownikiem w milczeniu głuchem, ponurem. Nagle, podniósłszy oczy i rozejrzawszy się dookoła, jęło mu się zdawać, że tuż przed nim wystrzeliła wieżyczka kościoła w Rzeczycy. Wpatrzył się uważniej i, ku wielkiemu swemu zdziwieniu a radości, dostrzegł znany mu dworek i chaty Małowierzy... Więc oddział jest na drodze do Gortatowic!...

Biały pułkownik, który nieznacznie śledził każde drgnienie muskułu na twarzy Floryana, ściągnął konia i podjechał do Gotartowskiego.

— Powiedz mi, kapitanie! — zaczął znienacka — Ileż ona ma lat?

Floryan się zmieszał.

— Daruje pan pułkownik, nie rozumiem o kim mowa!...

Deschamps się skrzywił.

— Nie rozumiesz?! To niedobrze! Skrytych ludzi nie cierpię! Nie znoszę!... Co tu długo mówić! Chyba mnie za dudka nie masz, abym mógł przypuszczać, że tak cię pali do sióstr i do braci... Przyznaj się, kogo tam masz?!

— Pułkowniku! Parol żołnierski, że w Gortatowicach, prócz rodzeństwa nikogo oglądać się nie spodziewam!...

— No, no!... To się pokaże jeszcze!... Szydło z worka wyjść musi... Jak ci się podoba, nie nalegam!...

Deschamps odjechał na czoło szwadronu, a Floryan znów w myślach się zatopił.

Wieczór zapadł, gdy szwadron nareszcie podjeżdżać zaczął do Gortatowic. Floryan, mimo panujących ciemności, odróżniać począł i chaty wieśniacze, i szczyty zabudowań folwarcznych.

Wieś tonęła w ciszy głębokiej a ciemności.

Dwa, trzy migotliwe światełka w oknach, a zresztą, mimo wczesnej pory, noc w izbach i ludzkich czworakach. Deschamps burczał po swojemu i mówił

do kapitana Douharai tak, żeby go Floryan mógł usłyszeć:

— Ładny będzie nocleg. Ni psa, ni człowieka! Dyabli mnie skusili słuchać! Wieś głucha, pusta... Pięknie będziemy wyglądali!... Hej! Kapitanie Gotartowski... to chyba nie tutaj jeszcze?!...

— Tu, tu! panie pułkowniku! — odrzekł raźno Floryan.

— Pustkowie!...

— Z pozoru! Wieś, jesień! Ludzie tu żyją inaczej! Jeżeli pan pułkownik pozwoli... skoczę naprzód... uprzedzić o naszem przybyciu!...

— Owszem! Jedź pan! Jedź się tam nacackać, oszczędzisz nam niepotrzebnego widoku!...

Floryan nie dał sobie dwa razy tego powtarzać, spiął konia ostrogami, pochylił się na siodle i ruszył polem, na przełaj, wprost do dworu.

Dwór gortatowicki tonął tymczasem w ciemnościach. Zaparte okiennice, odrzwia i bramy folwarczne nieprzyjemnie zdziwiły Floryana. Lecz nie tracąc czasu na nawoływania, przywiązał konia do furty, a sam przesadził żwawo okalającą folwark kamionkę i skoczył ku drzwiom dworu. Wstrząsnął raz i drugi żelaznym ryglem, zakołatał, huknął całem gardłem, aż echo dalekie mu odpowiedziało — we dworze nikt nie dawał znaku życia.

Dreszcz zimny przeszedł Floryana. Złowrogie przeczucie targnęło nim. Sam nie wiedząc, co czynić — dobijał się dalej, coraz silniej, coraz gwałtowniej...

Wtem, poza drzwiami dały się słyszeć ciche, powolne kroki, a potem rozległ się jakiś przestraszony głos:

— Co tam? Kto tam?!...

— Otworzyć!

— Ba, komu?!... Czego chcecie!... Nikogo tu niema!...

— Otworzyć, mówię! — wołał Floryan w uniesieniu. — Nie poznajecie mnie?... Któż tam jest?...

— Nie... nie mogę! — ozwał się głos za drzwiami po namyśle. — Walcie drzwi, kiedy wola! Niczego się tu nie dobijecie, bo dwór pusty... żywej duszy niema... dobytku żadnego także!...

— Gotartowski jestem, do licha! Nie do obcych się dobijam... tylko do siebie!...

— Jezu! Chyba to panicz!—zawołano za drzwiami.

— Otworzyć jeden z drugim! — rzucił się kapitan.

Dał się słyszeć szczęk kluczy, dźwięk odejmowanych sztab żelaznych, zgrzyt zamków i drzwi się nareszcie otworzyły.

Gotartowski wszedł — przed nim stał starzec skulony z latarką w ręku.

— Co wy?! Kto wy?! — pytał gorączkowo Floryan.

— Panicz mnie nie poznali?! — odrzekł drżącym głosem starzec. — Mikołaj... włódarz!...

— Gdzie pani... gdzie dziedziczka?!...

— At... paniczu wielmożny... toć było... wszystko, było może jeszcze tydzień... temu albo i lepiej trochę!... Ta i przyszło nieszczęście!... Zakotłowało się... i chlusnęło wszystko ze dwora! Ostatni to starszy pan z pacholikiem jutro tydzień pojechał!... Niema nikogusieńko.

— Gadajcież mi, co się stało... gdzie pojechali?!...

— Nieszczęście, wielmożny panie, i tyle!...

— Mówcież raz! Jakże to?!... Więc...

— Juści że opowiem wielmożnemu paniczowi akuratnie! — Niechże ta wielmożny panicz choć do komory pozwoli tu... bo i ziąb idzie...

Floryan chciał nalegać, palony smutnem przeczuciem, lecz starzec podreptał naprzód do komory na prawo, usadowił go na nakrytym kilimkiem stołku i ozwał się z właściwem sobie gadulstwem:

— Było u nas cicho a spokojnie, aż ci tu wielmożny panicz nocką przyjechali z owym siarczystym żołnierzem i niby tą żołnierzową...

— Nie wlecz, tylko gadaj odrazu!...

— Wielmożny panicz darują... wszystko się wypomni... całą biedę!... Aha! Więc panicz zaraz-że odjechał. A co on żołnierz i ta żołnierzowa ostali. To przez kilka dni w całym dworze rejwachu było co niemiara, osobliwie z onej baby, co powiadali, także oficjerem we wojsku była... Potem naraz oboje odjechali. Bartoszów Wojtek odwiózł ich za Rawę i po nich!... Zeszło potem ze dwa dni, najmłodszy panicz na Wszystkich Swiętych z Piotrkowa przyjechał ze szkół od ojców Pijarów...

Floryan słuchał, siedząc jak na węglach. Starzec ciągnął swoje:

— Uciechy było co niemiara! Aż ci na drugi dzień we dworze popłoch a rwetes. Właśnie z ludźmi byłem na klepisku przy młocce, gdy wpada ekonom Lewandowski.

— Mikołaju! — woła — kto w Boga wierzy, niech na koń siada... starszego panicza gonić!...

— Rozpędziliśmy całą wieś na cztery świata strony, gdzie tam, ani śladu pana Marcelego! Jak to młodemu!... Wojenka mu się udała silnie. Nie strzymał, chyłkiem do dnia konika wyprowadził, zawiniątko pod pachę, pałasik do boku i hajda wojować. Oj było smutku a łez co niemiara... Starszy pan aż zębami zgrzytał — a co dziedziczka to się wypłakać nie mogła!...

— Gdzież jest?...

— Zaraz wielmożny paniczu! — odparł z flegmą włodarz. — Zmartwienie, dopuszczenie Boskie przyszło tu i markoci się wszystkim i robota niesporo idzie i po kątach szepty jeno i wzdychania. Takie pisklę ledwie skrzydła poczuło, już wyleciało za góry, za lasy!... Zeszło tak ze trzy dni... patrzę, naraz coś-cić się czerni na drodze od Rawy... ledwie zdążyłem ekonomowi powiedzieć, a tu walą już na podwórze Prusacy!... Przyjechało ich może z pół rejmentu. Zaraz do dwora, do dziedziczki i sądy jakieś odprawują, a co mogą to z izb, komór grabią, co lepsze konie wybierają i cały folwark z dymem chcą puścić!....

A to wszystko, że niby oni wielmożnego panicza przyszli szukać i nie należli!...

— Mnie?!...

— Jako żywo!... Tak nam tłumaczył ekonom, co całej rozmowy był świadkiem. W końcu uczepili się, psiawiary, naszego pana Stanisława... głowę mu ostrzygli, harcap nałożyli, w kamasze ubrali i... ze sobą uprowadzili!... Dziedziczka aż do nóg im się słaniała, prosiła, chciała dać okup!... Gdzie tam! Okup wzięli, a i panicza także, a co ze wsi, to do dwudziestu, co najsprawniejszego parobka nam wybrali!... I uprowadzili!... Potem... to już dziedziczkę taka boleść chwyciła... że ani się z nią było rozmówić... Nie jadła, nie piła... siedziała aby i ledwie dychała. Przyjeżdżał i ksiądz proboszcz i państwo z Cielądza cieszyli, koili, nic nie pomogło... Będzie temu tydzień, zbudziła w nocy ekonoma, mnie, kolebkę wyszykowali i dziedziczka z najmłodszym paniczem a panienką, ekonomem i trojgiem czeladzi odjechali... Ostał tylko starszy pan!...

— Gdzież on jest?

— A! Ot i właśnie! Z początku to z dziedziczką nie chciał... a potem, jak odjechała, to nuże zawodzić a lamentować, że z nim rady nijakiej dać nie można było!... Już głowę traciłem, a co moja stara się naprosiła, a nacałowała po rękach, nic nie pomogło!... Pozawczoraj niby z nieba spadł tu jakiś tęgi szlachcic a pan... Rozprawiali ze starszym panem, radzili, biadali, aż ja patrzę, a starszy pan z nim się zabiera w drogę. — Ziąb taki, flaga — mówię. — Głupiś, Mikołaju — powiada. — Marynować się tu nie myślę... poszli w świat wszyscy, to i ja za nimi!... Ta i pojechali!...

Floryan słuchał opowiadania włodarza i w głowie mu się mięszało. Zdawało mu się, że stary bajdę mu jakąś sztukuje niezręczną i że lada chwila drzwi się otworzą i wyjdzie doń pani matka z dziadem, a za nimi rodzeństwo i czeladź. Podniósł się Floryan z miejsca, dźwignął ciężko ramionami, wziął latarkę i jął

obchodzić kolejno izby dworu, niby we śnie jakimś, niby szukając dowodów potwierdzenia słów włodarza.

Dwór gortatowicki świecił pustką, zniszczeniem. Na każdym kroku widniały ślady, że dopełniono tu rabunku, że zbierano chudobę pośpiesznie, gorączkowo. Tu kufer z odbitym zamkiem, ówdzie roztrzaskane wieko skrzyni, tam wysunięta na poły szuflady gdańskich szafeczek, mnóstwo rozmaitych przedmiotów porzuconych, jako bezużyteczne, na stołach i podłogach. Broń pozdejmowano ze ścian, koły na rzędy staroświeckie świeciły pustką. Tu puzdro niedomknięte a próżne, łoże z wydartą ze środka pościelą, kredens z resztką starych, bezwartościowych skorup, a na wszystkiem znamię czasu — pył.

Floryanowi serce się ścisnęło na widok tej ruiny, tego zniszczenia.

Wojna! Więc i tu nawet, do tego zaścianka, do tej głuszy zabitej, dosięgnąć zdołała!... Wczoraj, dziś jeszcze, roił, wierzył, ufał, że go ten kąt, jeden na świecie, grzać zawsze będzie, że go przytuli w potrzebie, że tu i radości będzie miał z kim dzielić i smutek ukoić... Tymczasem zastaje pustkowie. Rodzina, którą przez lat tyle matka chroniła, strzegła, rozprysła się w jednej chwili, rozprószyła po świecie... i za czyim?... za jego powodem. Żyli sobie tu tak cicho, tak spokojnie!... Jego jednego może brakło!... A dziś... Marcel, nierozważne chłopię, rzucił się w te wiry a odmęty... może na zgubę swoją!... Do pierwszej lepszej gromady zbrojnej przylgnąć może i zmarnieje w pierwszej lepszej awanturze! A Staszek? Ten biedny, cichy Staszek u Prusaków!...

Im dłużej Floryan zastanawiał się nad nieszczęściami, które spadły na dwór gortatowicki, tem większy żal go chwytał.

Chciał się był czegoś więcej dowiedzieć od włodarza, chciał przynajmniej wyrozumieć, dokąd udała się matka, a kto zabrał dziada ze sobą, lecz tu pamięć starego sługi zawiodła. Prawił coś niby o tem, że pani Jadwiga do krewnych się zbierała uciekać, że mówili coś państwo o Lublinie, a dziad się wy-

grażał, że Marcelka bodaj na końcu świata pochwyci i za uszy wytarga, lecz wszystko to było niejasne, mgliste, wątpliwe. A co już o tym szlachcicu, który tak niespodziewanie do Gortatowic zajechał, to włodarz nic nie umiał powiedzieć, coby Floryana na jakowąś myśl naprowadzić mogło. Według zdania Mikołaja krewnym żadnym nie był, powinowatym także, bo się z dziadem „moćpanowali", ale musiał być i nie obcy, bo strasznie się o rzecz każdą kłopotał.

Mimo tych niezrozumiałych odpowiedzi, Floryan chciał był dłużej badać jeszcze włódarza, mając nadzieję, że choć cośkolwiek z niego wydobyć zdoła, lecz wtem za ogrodzeniem rozległy się sygnały nadciągającego oddziału strzelców.

Stary sługa struchlał.

— Paniczu! Pewnikiem Prusacy.

Floryan uśmiechnął się smutnie.

— Oj!... Możeby lepiej było... gdyby oni nadeszli!... No! Mikołaju... biegnijcie wrota odemknąć... nanieście ognia, gości mamy!... Ciężko będzie ich przyjąć w czas taki! Co robić! Może tam kogo ze wsi weźmiecie sobie do pomocy.

Mikołaj podreptał spełnić rozkazy.

Deschamps po chwili zjawił się w izbie z oficerami.

— No, kapitanie, coś nam tu niebardzo są radzi. Głucho, ciemno... kto wie, czyby nie lepiej było do Rawy wyciągnąć!...

Floryan milczał blady, przygnębiony.

Deschamps spojrzał niespokojnie na zmienioną twarz Gotartowskiego i rzucił niecierpliwie:

— Cóż więc?... Nawet pan odpowiedzieć nie uważasz za właściwe!?...

— I co powiem! — odparł głucho Floryan. — Miałem... rodzinę... dom... tydzień blisko żyłem myślą, że ich zobaczę!... Widzicie sami, panie pułkowniku, głusza... zajechali Prusacy... zrabowali, brata wzięli w rekruty... a reszta z ostatkami uszła w świat...

Oficerowie francuscy poruszyli się niespokojnie. Deschamps usiadł ciężko na ławie i ozwał się poważnie:

— Mówże nam, kapitanie!... Co zaszło?!... Mów! I tobie to ulży... i... dla nas to, do milion kartaczy, obojętnem nie jest!!...

Floryan jął powtarzać relacye włodarza. Gdy skończył — Deschamps ozwał się sucho:

— Wiele w tem rzeczy niejasnych, niezrozumiałych... boć skądże przyszło Prusakom ciebie tu szukać, kapitanie?...

Gotartowski wyłuszczył dopiero rzecz całą od zajścia, jakie miał w początkach swej żołnierki pod Madalińskim, jako wówczas już był na śmierć skazany za zniesienie oddziału huzarów pruskich i za rozpłatanie łba porucznikowi Schmidtowi i jako, wracając do kraju z posłaniem generała Dąbrowskiego, znów był tego samego Schmidta spotkał i znów był go, na odmianę, kulą poczęstował. Kto wie, mógł więc Prusak go poznać i, przyszedłszy do zmysłów, na niego wskazać.

— Hm! — wtrącił pułkownik. — To ci szelma, do ciebie szczęścia nie ma! — zaczem, zwróciwszy się do oficerów, rzekł surowo: — Moi panowie! Kolegę naszego spotkało nieszczęście!... Jest zniszczony, zmarnowany, a myż przecież nie będziemy chyba ostrzyli zębów i resztek mu zabierali. Ruszymy natychmiast dalej stąd... Jest tu niedaleko miasteczko jakieś... tam się zatrzymamy! Niewielka droga!...

Floryan chciał protestować i tłómaczyć, że jeszcze jedno i drugie we wsi się znajdzie. Deschamps wstrząsnął poważnie głową i położył rękę na ramieniu Floryana.

— Nie kapitanie! — rzekł stanowczo. Teraz ja mam głos!... Nie mogę zezwolić, aby ci tu żdźbła słomy tknięto!... Chodź stąd!... prędzej od tego bolesnego widoku!... Tu nie pomożesz, nie odmienisz!... Tobie pola trzeba, konia, trudów, zmęczenia!... No... no kapitanie!... Bywa gorzej czasem. Najgorsze z tego, że brata ci Prusacy zabrali... lecz nie bój się, znajdzie

się... Przedstawię sprawę generałowi, ten z chęcią zezwoli na wymianę którego z tych tchórzów w Częstochowie!... Dosyć mazgajstwa!... Sam widzisz, żywi wszyscy, i to szczęście...

Floryan chciał coś odpowiedzieć, lecz Deschamps nie dał mu przyjść do słowa.

— Kapitanie! Ruszamy stąd natychmiast!

Gotartowski nie mógł się opierać. Z ciężkiem sercem wskoczył na siodło i powlókł się za szwadronem.

Nowy ciężar spadł na piersi Floryana. Zawierucha wojenna opustoszyła mu dom rodzinny, rozproszyła po świecie najbliższych jego sercu, gdzież ich teraz odnajdzie, kędy szukać będzie!?... Armia francuska ciągnie, owe blaski słoneczne rzucając na zachmurzone polskie horyzonty, lecz o burze łacno!... A może matka udała się z Urszulą i Fabianem do Warszawy?... W takim razie, kto wie, mogą się z łatwością odnaleźć... Deschamps miał słuszność. Wyzwolenie Staszka może być więcej niż pewnem, boć Prusakom niewiele zeń przyjdzie: ani żołnierz, ani personat żaden... a tu gromada znacznych pruskich oficerów w niewoli.

Im dłużej Floryan nad tem wszystkiem rozmyślał, tem większej nabierał otuchy. Zośka czeka tam na niego... Da Bóg, z rodzeństwa nikt nie zginie!...

Aż wstyd było Gotartowskiemu przed sobą samym, że tak gładkie na wszystko znalazł uspokojenie a wyjście. Wyrzuty sobie robił a smutne budzić usiłował refleksye. Lecz ani rusz, coś mu do ucha szeptało ciągle: najdą się oni... nie zginą... a ona tam czeka... czeka na ciebie, a tęskni, a wygląda...

Kapitan się przeżegnał zabobonnie.

— Kusi ciągle! Dręczy!... Byle Opatrzność Boża nie opuszczała!...

Z Rawy oddział Deschampsa ruszył nazajutrz przed świtem drogą na Kurzeszyn, Chrzczonowice, Staropol do Wiskitek.

Za Rudką, pod puszczą Korabiewską, szwadron natrafił na pluton rekonesansowy dywizyi generała Milhaud. Prowadzący rekonesans oficer objaśnił Des-

champsa, że generał Milhaud ciągnie od Łęczycy ku Warszawie, że wczoraj jeszcze pod Sochaczewem podjazd stoczył lekką utarczkę z kozakami, i że w tej chwili dywizya znajdować się musi na drodze z Bolimowa do Miedniewic.

Na tę wiadomość biały pułkownik nakazał krótki popas w najbliższej wsi i ruszył ze szwadronem, mimo zapadającej nocy, aby stosownie do rozkazów, co prędzej się z generałem połączyć. Droga atoli była ciężka. Śnieżyca z deszczem zaciągnęła się na kilka godzin, rozmiękczyła drogi i zasłała je białym całunem, tak, że koń stawał się przewodnikiem człowieka. Przed północą znów zerwał się wicher, zimny, przejmujący. Sciął w okamgnieniu kałuże, śnieg wodnisty w twardą zamienił grudę, a znużonych strzelców wskróś przejął. Deschamps naglił. Konie wlokły się, ślizgały się po gołoledzi, żołnierz klął po cichu, rozcierał drętwiejące nogi i ręce... Nad ranem jednakże szwadron wpadł jak burza w środek obozu.

Generał Milhaud ucieszył się wielce powrotem Deschampsa, bo główny sztab gwałtować już zaczynał o raporta o ruchach nieprzyjaciela, a i sam generał, mimo rozkazów posuwania się ku Warszawie, obawiał się, aby w matnię nie wpadł. Świeżo bo miał dowód pod Sochaczewem. Ostrożny Benigsen, mimo pozorne układy, bardzo opieszale ściągał kozackie pikiety... Marszałkowie zaś Davoust i Murat o kilka dni marszów pozostawali w tyle.

Deschamps rozprószył wszelkie wątpliwości... na południu cisza, odwrót Prusaków za Wisłę dokonany, zbrojna pomoc mieszkańców zapewniona.

Po raporcie Floryan z oficerami był powołany do generała. Milhaud dziękował mu i winszował uznania, jakie powziął był dla Gotartowskiego pułkownik, w końcu zapewnił, że cesarz potrafi nagrodzić go, a co się tyczy wziętego do niewoli brata, to przy pierwszej okazyi, jaka się zdarzy do głównej kwatery pruskiej... odpowiednie przedstawienie zrobionem zostanie.

Łaskawe słowa generała i czynione przezeń nadzieje wyzwolenia Staszka niemałą sprawiły Floryanowi uciechę — lecz radość jego może większą była, gdy, wychodząc od generała, spotkał się oko w oko z panem Dziewanowskim. Padli sobie w objęcia.

— Tuś mi, panie Floryanie!?... Witajże mi waszmość!... Anim się spodziewał takiej siurpryzy!...

— O, sztuk drogi się zrobiło...

— Przybladłeś wasze!... Chodźże do mnie się rozgościć... Jest twoich cała gromada!...

Dziewanowski pociągnął Floryana do siebie na kwaterę, zarzucając pytaniami. Gotartowski bezładnie, dorywczo, zdawał relacye z odbytej wyprawy — gdy skończył, zagabnął z kolei Dziewanowskiego, gdzie się podziewał.

Pan Jan zachmurzył się nieco.

— Ba! I ja także nielada kawał kraju przejechałem i niby zasłużyłem sobie podobno na względy samego pana marszałka, lecz mi coś nie w smak, coś mnie ckli!... Wolałbym, wierzaj mi waszmość, i tej ekspedycyi nie odbywać, i onych zaszczytów nie doznać...

— Jakże to? Co waści?! — zaniepokoił się Gotartowski. — Zastanawiają mnie wasze słowa!...

— I mnie też niejedno zastanowiło. Co mam ukrywać? Całą wam prawdę powiem. Nie mam się z czem kryć! Owóż, jako sobie pewnie przypominasz, generał Dąbrowski dał mi ordynans do armii Benigsena. A właściwie nie on, jeno generał Milhaud, a, jak wnoszę, pono sam marszałek Davoust... Opatrzyli na drogę, pisanie tajne dali i ruszyłem... niby pod Łowicz. Aliści, generał Benigsen przeniósł już był swoją główną kwaterę na Pragę. Rozkaz był wyraźny, aby papiery jemu samemu doręczyć, więc jechałem dalej do Warszawy... Nie będę tu waszmości opisywał, jako się kryć musiałem a w chłopskiem przebraniu między Prusakami wędrować, jako mnie już byli schwytali na Woli i do zaciągu prowadzili, a jako im umknąłem... bo to za długie na teraz historye... Dość, że coś po tygodniu zaledwie dostałem się do armii nie-

przyjacielskiej i pisanie wręczyłem, a sam, według przykazu, czekałem na respons... Długie były debaty sztabu rosyjskiego, tak, że mi dni parę w obozie generała Benigsena zeszło. Przyjmowali mnie tam bardzo politycznie, a wziąwszy asumpt z ważności ordynansu do mej osoby, uważali mnie za znaczną w armii napoleońskiej personę i tu i ówdzie, nie kryjąc się, szczerze przedemną mówili... I oto, panie Floryanie, jak mnie tu żywym widzisz... słuchałem i skóra mi cierpła... bo dopiero z boleścią przekonałem się, co warte są te francuskie zaklęcia a napoleońskie zaręczenia!...

— Co waść mówisz! — upomniał ze zgrozą Gotartowski.

— Co mówię!? O bodajbym tego nigdy nie był usłyszał... bo mię oto nagle i zapał cały opuścił i sił zabrakło...

— Mówże waść na Boga!...

— Ot! Co tu długo mówić!... Powtórzę, com nieledwie z ust samego generała Benigsena słyszał. Napoleon ciągle pacyfikuje z Rosyą a wdzięczy się do cesarza Aleksandra i chce go namówić, aby się z nim przeciwko Prusakom i Austryakom zwrócił... i wiesz czem grozi? Tem właśnie, że nas podburzy i pod broń powoła.

— Darujcie, panie Janie, nie zdaję sobie sprawy!

— Toć przecież rzecz jasna! Nam się zdaje, że Napoleon przychodzi do nas na odsiecz, że chce, bo ja wiem, świetność dawnej korony przywracać... a tymczasem cała jego fatyga własne jeno ma cele a korzyści na widoku!... Nas uważa za coś, czem pokupczyćby można!...

— Panie Janie, czy nie za łapczywe sądy?!

— O bodajbym się mylił! Niczego więcej nie pragnę!... niczego więcej nie żądam!... Zważ-że teraz na cesarza Aleksandra!... Boć Benigsen na jego to właściwie odpowiedź czekać mi kazał... Owóż cesarz Aleksander odmówił... Słyszysz, wszystkie one świetne propozycye odrzucił, mówiąc: w sojuszu jestem z Fry-

derykiem, przyrzekłem, nie zdradzę!... Oj! ciężko, mości Gotartowski... służyć takiemu panu, ciężko...

— Lecz bo się waszmość unosi! — tłómaczył Gotartowski. — Toć są przedmioty wielkiej polityki!... Nie nam się głowić nad jej przebiegiem!... Patrzmy rezultatów! Na co sobie zaprzątać głowy? Nasza rzecz czekać końca!... To jedno powiem waszmości i za to jedno zaręczyć mogę... że jego nie znasz... że gdy go zobaczysz zbliska, gdy posłyszysz, gdy ujrzysz na placu boju... to ci nigdy myśl taka w głowie nie postanie! — Nie, w tak wielkim rycerzu, w takim wojowniku myśl nikczemna zrodzić się nie może!...

— Daj Boże, aby słowa waszeci się sprawdziły! Jeno nie zapominaj, że to, co ty snadnie za nikczemność, jak mówisz, byś poczytał... polityka za mądrość głębokiego statysty uważać będzie!... Oj! panie Floryanie! Ciężko mi bardzo dać sobie radę z myślami! Tem cięższej, jako jestem świadkiem tego zapału, który dziś wszystkie stany ogarnął, i stracham się i lękam, i sam nie wiem czego. I ciągle zdawać mi się nie przestaje, że jeżeli Napoleon tu, do nas, przychodzi, to czyni to nie dla intencyi naszej, tylko dla własnej korzyści, a raczej z musu, dla następstw wojny z Prusami, która obowiązuje go do szukania przystojnych punktów przymierza...

— Już bo wy, panie Janie, za daleko sięgacie w swych domysłach! Ja tam do suppozycyi nie nawykłem i na wojaczce nauczyłem się brać rzeczy, jako są... a nie jako być mogły!... Jużci taki zdobywca, taki wojownik mógł mieć i ma nie jedną, lecz dziesiątki kalkulacyj!... Co nam do nich! Idzie do nas z wyciągniętą dłonią — nie jak ciemięzca, ni najezdnik, lecz druh! Sprzymierzeniec! Prawda, legie włoskie rzetelnie na przyjacielstwo to zarobiły!... Idzie, zezwala na formowanie oddziałów polskich, rządy kraju w ręce Polaków oddaje!... Małoż tego?! Przecież ledwie nogę na ziemi naszej postawił!... Cierpliwości, panie Janie! Wspomnicie sobie moje słowa!...

— Daj Boże! Daj Boże! Tego tylko pragnę, żebym się omylił! A dowód macie oczywisty, żem się nie dał

zniechęcić, ani goryczy opanować... bo otom został... i otom w łasce... Milhaud wielce mi życzliw. Aż nie wiem, za co! Patrzże! Akselbanty mi się już dostały! Adjutantem mnie swoim mianował! Ćwierć Francuza chce ze mnie zrobić!... Młodzieży do nas huk się zwaliło! Czekaj, poznasz ich! Jan Kozietulski ze Skierniewic cały oddział przyprowadził ze sobą! Dzielny chłopak, skończył był korpus kadetów, na tęgiego może wyjść oficera! Jest płaksa Gorajski, Wielkopolanie: Niegolewski, Jaraczewski i młody Chłapowski! Bodajżeś ich widział u generała Wojczyńskiego! Są i Marscy — bliźnięta, zasłużony kapitan Żymirski i porucznik Czyżewski. Ba! Dni kilka temu przeciągnęli obok nas do głównej kwatery Wincenty Krasiński i Dominik Radziwiłł.

— Mówicie, Żymirski?! Toć to kapitan piątego batalionu legii... trzeciej kompanii! Dawny towarzysz broni...

— Najdziecie tu ich bez liku! Niby z pod ziemi się to dobywa!... No to i wszystkie nowiny. Pod Sochaczewem była utarczka... Łęczycę Francuzi zaczęli na gwałt fortyfikować, niby tam główne swoje centrum zakładają!... At, daruj mi, waszmość, tyle de publicis ci naopowiadałem, a zgoła twoją biedę mimo uszu puściłem... Opowiedz-że mi wasze raz jeszcze, jakże to się to stało... więc Prusacy najazd zrobili na wioskę matczyną?!...

— Darujcie, już później to wam dokładniej wyłożę... Chaos istny mam w głowie! Ani mi myśli zebrać... Ale, czekajcież... powiadaliście, że byliście w Warszawie!...

— Byłem! — przytwierdził Dziewanowski. — Dwa razy! Opisać mi trudno, co się tam dzieje. Dziwy wszystko!... Prusacy nadrabiają minami, gwałtują, ale co imć panom Rokettym, Pletzom, Hoimom, Mejekom, Bachmanom nosy spadły na kwintę! Lada chwila im się wynosić przyjdzie! Właśnie, uważasz waszmość, w tem mam istną satisfactio, że im się te chamskie karki a bawole łby nieco nagną!...

— Hm! Tak to, tak! — przerwał machinalnie Floryan, dręczony pytaniem, które na wieść, że Dziewanowski był w Warszawie, z ust mu się zrywało, a z którem wprost zdradzić się nie chciał. — Pewnie, pewnie! Kto wie!... Więc powiadacie, żeście dwa razy byli w Warszawie?...

Dziewanowski spojrzał przenikliwie na Gotartowskiego i zmieszał się nagle.

— Dwa razy! Dwa razy! — odparł pan Jan.

— I długo waszmość... bawił!?

— A gdzietam! Tyle, że mi droga wypadła przez Warszawę... a zresztą to jak po ogień! I to się strzedz musiałem, bo misya ważna! Niechby tak Prusacy dostali papiery, do nielada przyjść by mogło zatargu... Myszkowałem, ile się dało... dla wszelkiego bezpieczeństwa nawet... najbliższym się nie ukazując...

— Słusznie! — bąknął Floryan, zawiedziony w domysłach, a chcąc się wszelkich wyzbyć wątpliwości, zagadnął ostrożnie: — Bo... to, panie Janie, już mi jedna rzecz leży na sercu!... Wyjechaliśmy wówczas tak raptownie... tak po hajdamacku, aże sobie wyrzuty czyniłem... iżalim czemkolwiek tyle dla mnie łaskawej pułkownikowej Dziewanowskiej nie uchybił...

— Gdzież znowu! Wybijcie sobie ten frasunek! Kobieta z sercem, żona żołnierza, za dobre tylko energię a służbistość waszą wziąć mogła...

— Może... ale... zawsze!

— Nic — nic! Ot na skrupuły niesłuszne wam się zbiera! — odparł z przekonaniem Dziewanowski, ucinając znów przedmiot rozmowy.

Gotartowski zebrał się na odwagę i rzucił znienacka:

— A jakże tam, zdrowi?!...

— O kim mówicie?! — odpowiedział pytaniem Dziewanowski, trąc niespokojnie zmarszczone czoło.

— Pani... stryjenka wasza, pułkownikowa!

— Ach! Bezwątpienia.. nie widziałem jej! Nie byłem!...

— Nie widzieliście! — powtórzył przeciągle Gotartowski tonem wyrzutu.

— Cóż!? Cóż było robić! Rozkaz gwałtował, bałem się być przez kogokolwiek poznanym! Żałuję bardzo!... Nie można było.

Floryan utkwił badawczy wzrok w twarzy Dziewanowskiego.

— I nie widzieliście ich?...

— Klnę się waszmości słowem, że nie widziałem! Ale — dodał Dziewanowski, jakby ważną myślą tknięty — uważa waszmość, już powracając, za Warszawą spotkałem był... kupca znajomego, co ze strachu przed nawałnicą z żoną i dziećmi do Krakowa się przebierał... On właśnie powiadał, jako pani stryjenka była wyjechała z Warszawy... do familii.

— Wyjechała, mówicie, do familii!... — podchwycił Floryan, blednąc.

— Tak!... — plątał się Dziewanowski. — Czemu się dziwić nie można. Dwie same kobiety!... Inaczej im uczynić nie należało!... Tam przynajmniej spokojne będą...

— Wyjechała do familii!...

— Waszmości... to zastanawia!?... W Warszawie popłoch... niewiadomo co wypadnie!... Przezorność to jedno mogła im zalecać!...

— Do familii!?... A pozwólcie! Wszakci, bo pomnę dobrze... pułkownikowa wspominała, że prócz was nikogo...

— Tak się to mówi!... Pani stryjenka jest de domo Mokronowska... Mokronowskich w Krakowskiem pełno. Niewątpliwie musiała tam szukać schronienia!... No — rozchmurz się wasze!... Pora ci wielka pomyśleć o posiłku!...

Gotartowski podniósł się ciężko. „Odjechała, rzuciła!“ — szumiało mu w głowie, a równocześnie złe jakieś owładnęło nim przeczucie.

Dziewanowski niemniej zdawał się być zasmuconym a przejętym. Spoglądał z pod oka na Floryana, a na twarzy szczerej, otwartej malowała się troska i współczucie wielkie.

Nie danem było Gotartowskiemu długo nad nowym zawodem rozmyślać. Życie obozowe upomniało się o swoje prawa.

Ordynans Dziewanowskiego zaraportował posiłek. Na ociąganie się czasu nie było. Lada chwila można się było spodziewać zwinięcia obozu.

Dziewanowski powiódł Floryana, kędy w obszernych izbach polscy ochotnicy śniadali z francuskimi oficerami i jął go zapoznawać z młodzieżą. Gotartowski witał się obojętnie, ucinał wszczynaną z nim rozmowę i ledwie na pytania odpowiadał, nie dzieląc ani panującego tu zapału, ani uniesienia. Próżno Dziewanowski zagadywał go a do gawędy ogólnej chciał wciągnąć. Floryan zamknął się w sobie i milczał. Tu ich w kącie siedzących znalazł porucznik Martin, który przyszedł Gotartowskiemu ostatnie zwiastować nowiny.

— Kapitanie — rzekł — ani się domyślasz, co się dzieje!... Czeka nas wszystkich co najmniej siedmiodniowy urlop. I was, panie kapitanie, także!

Gotartowski milczał obojętnie. Dziewanowski zapytał przez grzeczność raczej niż ciekawość, domyślając się w odezwaniu Francuza ukrytego żartu.

— Urlop?!... Chyba niemożliwe!

— Ba! My to nazywamy urlopem. W tej chwili nadjechał kuryer od księcia Bergu, nadjechał z rozkazem natychmiastowego ruszenia do Warszawy... Generał Milhaud porozumiał się z naszym pułkownikiem... ale że słusznie zwątpił, aby kto z nas zdolen był po tak forsownym marszu wytrzymać w przedniej straży... więc wyznaczył czwarty szwadron... My zatem ruszymy z generałem!... Słusznie nam się to należy, bo nie każdy ma takie twarde kości jak Deschamps! Ja pierwszy z ochotą przyjąłem wiadomość, że zobaczę Warszawę o kilka godzin później!... Co — nie mam racyi?!,..

Floryan ożywił się niespodziewanie.

— Pułkownik rusza do Warszawy?!...

— Niezawodnie, i to najdalej za godzinę! Naciera się pewno w tej chwili, według swego zwyczaju, wodą

ze spirytusem, a potem tylko patrzeć, jak ruszy!... To, proszę panów, jest marynata! Innyby sobie mięso od kości poodbijał! Gwarantuję, że generał nawet nie śmiałby pułkownika wyznaczyć, lecz on sam prosił o to!...

— Darujcie panowie! — przerwał krótko Floryan — muszę do pułkownika.

Dziewanowskiego uderzyła nagła determinacya, która zarysowała się na twarzy Gotartowskiego, i ozwał się zaniepokojony:

— Gdzie wasze? Po co?

— Mam sprawę ważną, darujcie! — odparł sucho Gotartowski i, nie zwlekając, udał się wprost do kwatery generała Milhaud, gdzie także stał Deschamps.

Jak był przewidział porucznik Martin, biały pułkownik zmieniał odzież po zwykłych nacieraniach, jakiemi hartował ciało. Floryana przyjął niebawem.

— Co?! Co takiego?! — zagadnął niecierpliwie Deschamps, bo już nowa ekspedycya go paliła.

— Pan pułkownik podobno do Warszawy?!...

— Więc co? — oburknął. — Nie bójcie się... wy zostaniecie, pojedziecie sobie truchcika!... Kanarki!...

— Właśnie... panie pułkowniku!...

— Co, co takiego?!... Idź się pan zameldować adjutantowi służbowemu ze swoją sprawą. Nie mam czasu!... Mnie nic już do was...

— Ja chciałem z panem pułkownikiem!...

Deschamps rozwarł szeroko oczy.

— Tak — powtórzył Floryan. — Chcę prosić, aby mnie pułkownik zostawił przy sobie!...

— Zostawić przy sobie!? Ciebie? Kapitanie, oszalałeś... Macie sześć godzin czasu!... Idź się schować pod pierzynę!... Także! Temu się zachciewa! Dosyć! Wyglądasz, jakby z ciebie dusza miała wyjść!...

— Nie, panie pułkowniku! Ani krzty nie czuję zmęczenia i proszę, jak o łaskę... aby mi pułkownik zezwolił iść razem!...

— Łaskę!... Łaskę!... Szczur taki! No, czekaj... konia drugiego nie masz!... Też się mu prześniło! Łaskę

mu zrobić... No... no, czekaj, kapitanie... to się może zrobi!... Powiem generałowi!...

Floryan chciał dziękować, lecz Deschamps nasrożył się raptownie.

— Co, pan sobie myśli, kapitanie! Marsz w tej chwili, oświeżyć się wodą, rumu gorącego... przeciągnąć się na ławie raz i drugi... inaczej ani myśli... Marsz i czekać rozkazów...

Gotartowski wyszedł od pułkownika jakiś spokojniejszy. Ruszy do Warszawy... ruszy zaraz... więc tam może rozwieją się dręczące go niepewności, tam dowie się nareszcie, co się z nią stało, dokąd wyjechała, gdzie przebywa.

Dziewanowski, który był czatował na wyjście Floryana od pułkownika — chwycił go za ramię.

— Panie Floryanie! — rzekł serdecznie. — Wy coś zamierzacie, godziłożby się może mnie powiedzieć! Wiecie chyba i nie wątpicie, żem wam oddany...

— Nic, nic takiego. Ot, chce waszmość wiedzieć... Rozmyśliłem się i dogodniej mi będzie iść ze szwadronem mego pułkownika, ile że mnie nie zna...

Dziewanowski pokręcił głową.

— Gadaj wasze zdrów i submituj się, jeźli wola, afektami dla Deschampsa! Cha! Pewnie, że nie mam prawa żądać od waszmości odkrywania swoich zamysłów...

— Co tu bo są za zamysły! Chcecie, panie Janie, wiedzieć całą prawdę... Oto do Warszawy wlecze mnie gwałtem, radbym tam już jednym tchem polecieć!...

— Zważ waszmość na utrudzenie wielkie. Pora nienawistna zdrowiu! O przypadłość nietrudno... Słyszę w rozgonie byliście nielada.

— W Częstochowie odpocznienia było zadość!

— Może! Ale co waszeci tak pili do Warszawy jechać?... Pójdziemy tam wszyscy ledwie dniem jednym później. W kompanii, między swoimi, zawsze raźniej...

— Czasem... czasem i godzina znaczy!...

Dziewanowski spojrzał smutnie na Gotartowskiego i westchnął ciężko.

— Prawda — i godzina stanowi! At... niby wesele, niby radość powszechna, a gdzie się nie ruszysz, tam smutek i boleść... Siła krzywd narobili nam Prusacy!... Strach pomyśleć. Zawierucha taka wszędzie... Mówię waszmości, przez ten czas, co bawiłem w przejeździe przez Warszawę, czegom ja się nie nasłuchał... Bo to na złodzieju czapka gore. Jak tylko zaczęła się potrzeba z Francuzami, już wówczas Prusacy, czuj-duch, czatowali na młodzież, co z pod strzech się wyrywała na wojnę, a pono w ostatnich czasach dyrektor policyi de Tilly dał się potężnie we znaki...

Floryan niewiele zwracał uwagi na słowa Dziewanowskiego. Warszawę miał przed oczyma, o niej myślał i do niej się rwał.

Cierpliwość Gotartowskiego na ciężką atoli była wystawiona próbę. Już bowiem świeży szwadron strzelców był wygotowanym do wymarszu; już czekano tylko na skinienie Deschampsa, gdy naraz przypadł ordynans od Milhauda i pułkownik zakomenderował „zsiadanego“ i „rozkulbaczenie“.

Floryana ta opieszałość do rozpaczy przyprowadzała, lecz i sztab feldmarszałków Murata i Davousta w nielada był opałach. Goniec za gońcem, sztafeta za sztafetą, kuryer za kuryerem pędzili co koń wyskoczy, przebiegając dziesiątki razy przestrzeń kraju od Poznania do Łęczycy, od Łęczycy do Łowicza i od Łowicza do Wiskitek. Rozkazy mijały się, raporty kursowały, co godzina to nowina.

Szpiedzy z za Wisły wyłowili wiadomość, że na pomoc generałowi Benigsenowi idzie korpus Buxhaevdena, że biwaki pierwszego dotąd stoją na Pradze pod Warszawą, nie myśląc o cofaniu się, że wreszcie niedobitki pruskie formują się, skupiają i gromadzą pod skrzydłami armii rosyjskiej.

Murat, książę Bergu, objąwszy od Poznania naczelne dowództwo armii francuskiej, był w nielada opałach, nie wiedząc, co czekać go może pod murami Warszawy. Układy z Benigsenem spełzły na niczem. Można się więc było spodziewać nielada przywitania.

Murat to w lot bystrym swym umysłem chwycił. Plan cesarza był dla niego prawem, lecz wykonanie tego prawa, wprowadzenie, w jego spoczywało ręku.

Książę Bergu nie namyślał się długo. Życie całe wierzył w piorunowe ruchy i kawaleryę. Nakazał więc przyśpieszenie marszu piechoty, a sam z sześciu tysiącami jazdy parł na Sochaczew, obawiając się zaś najdrobniejszego niepowodzenia, ruchy Milhauda wstrzymał, aby szczupłego korpusu nie narażać. Dopiero, gdy zaledwie sześć godzin drogi oddzielało korpus Murata od korpusu Davousta, polecono Milhaudowi maszerować, i naraz od Poznania prawie aż do Błonia wyciągnęła się armia napoleońska.

Więc pośrodku, w Poznaniu, lew przyczajony z gwardyą, Napoleon. Na prawo książę Hieronim Bonaparte, na lewo korpusy Lannesa i Augereau, za Napoleonem Ney, Soult i Bernadotte, a przed nim różnobarwna wstęga mundurów, sztandarów, lśniąca od stali a przetykana śpiżem armat...

Pod Uniejowem zaledwie były ambulanse Davousta, on sam ledwie do Łęczycy dochodził, o sześć godzin przed nim Murat z konnicą... i znów o kilka godzin awangarda Milhauda, a przed nią miał się wysunąć Deschamps, przed Deschampsa pluton rekonesansowy, a na czele jego sierżant.

Dość byłoby jednego wystrzału, jednego alarmu, aby ta fala ludzi i koni zwarła się lub rozsunęła, aby odsłoniła paszcze dział lub wystawiła żądła lanc, — znikła w tych samych mgłach, z których się wyłaniała, lub stanęła murem zaparta szeroko plecami o Ren, a łokciami sięgająca Bałtyku i Podkarpacia.

Generał Milhaud czekał właśnie ostatniego sygnału Murata, że pochód jest gotowy, aby ze swej strony wyprawić naprzód Deschampsa i samemu tuż za nim ruszyć. Sygnał się spóźniał. Milhaud już się niecierpliwił, rzucał się Deschamps, a pono najbardziej Floryan. W tem oczekiwaniu dzień cały minął i pół nocy blisko.

Aż naraz, na drodze od Miedniewic ukazał się kuryer na spienionym rumaku, jak wicher przesunął się wzdłuż zabudowań miasteczka, rzucił w drodze okrzyk stojącej pikiecie i w pełnym galopie, prowadzony przez służbowego ordynansa, osadził konia przed dworkiem, zajmowanym przez sztab. Milhaud, wpół ubrany do pochodu, rozerwał zapieczętowany papier, przebiegł go oczyma i rzekł krótko:

— W drogę!...

Jeden ten wyraz poruszył sztab, wyprężył ordynansów, zagrzmiał przeciągłą pobudką, zbudził drzemiące konie, żołnierzy porwał na nogi. Zagotowało się, zawrzało w uśpionej napozór mieścinie. Brzęk szabel i ostróg, nawoływania wachmistrzów, komenda oficerów, tupot kulbaczonych koni, okrzyki i przekleństwa żołnierzy zlały się w jeden groźny gwar.

Deschamps równocześnie dopadł już był świeżego konia, zanim wskoczył na niego, już targnął cuglami i jak szalony, pomknął do uszykowanego na boku gościńca szwadronu.

Dziewanowski, który był dotrzymywał kompanii Floryanowi, chwycił go za rękę.

— Słyszycie sygnały!? Ruszamy! Więc... jedziecie!?

— Cha! Niezawodnie!... Lada sekunda pułkownik nadjedzie.

— Zatem do zobaczenia się, panie Floryanie! — ozwał się z uczuciem Dziewanowski. — Pamiętajcie, że... zawsze możecie liczyć na mnie... A pamiętajcie, że czasy są ciężkie i że dziś na wszystko trzeba być przygotowanym! Hartu, panie Floryanie, wytrwania! Tedy w Warszawie...

— W Warszawie — odrzekł Floryan i dosiadł podprowadzonego konia.

Dziewanowski zawrócił i pobiegł na swoje stanowisko przy Milhaudzie.

Sygnały następowały po sobie jedne za drugimi. To krótkie, urywane, to przeciągłe, raz rzeźkie, ocl oczе, to znów smętne, złowróżbne. Wreszcie ucichło

wszystko. Na gościńcu czerniały już pasma konnicy. Deschamps ze swoim szwadronem stał na przedzie, oglądając się niespokojnie poza siebie. Konie łbami potrząsały i, rozwarłszy chrapy, rżały, jakby obwołując się między sobą, może się żegnając.

Powietrze było mroźne, suche, droga ku Warszawie w mrokach zawoalowanej pełni księżyca wiła się wśród śniegiem pokrytych pól niby czarna taśma.

Generał Milhaud z adjutantami wysunął się na czoło kawaleryi. Deschamps zakomenderował „présentel'arme!“ Szczęknęły pałasze i zabłysły w powietrzu. Milhaud dobył szpady, salutował, a potem, zatoczywszy kołem przed Deschampsem, rzucił energicznie:

— A Varsovie!

— En avant! Marche! — huknął jak echo Deschamps. — Ventre à terre!

Szwadron zatrzepotał się, konie się zdarły i ruszyły w cwał, wypryskując kopytami zmarzłą grudę.

Ledwie szwadron rekonesansowy zniknął w oddali, sygnały zatrąbiły kłusa... Milhaud postępował za Deschampsem.

Tłum mieszkańców Wiskitek, wyległy na przydroża, żegnał okrzykami Francuzów i szeptał między sobą z przejęciem a rozrzewnieniem:

— Idą... idą do Warszawy!...

Warszawa tymczasem jęła znów przechodzić dni, które każdem drgnieniem skazówki zegara ryły niezatarte ślady w historyi jej dziejów, które miały ją zbudzić i porwać w wir nadziei, ułudy i zawodów, które to zastygłe w bolu własnem miasto, miasto sączące niezdrową pianą uciech, miasto wyludnione, odurzone, drgające w ostatnim spazmie rozpasania, powoływały na dawne stanowisko stolicy.

Już to koniec roku 1806 — nie poskąpił Warszawie nowin.

Więc najpierw, wskutek śmierci matki księcia Józefa Poniatowskiego, w pałacu pod Blachą zapanowała żałoba. Innemi słowy, ton, inicyatywa, pomysł, dowcip, gust, elegancya, wzór znikły... nagle a. czego nie przypuszczano, pod Blachą... bezpowrotnie.

Mundur dobrowolnej asysty księcia przestał kłuć w oczy spokojnych mieszkańców Warszawy. W zielonym fraku ze złoconymi guzami, w papuzich spodniach, pończochach i paliowych kamizelkach przestali chodzić nawet tacy zwolennicy umitrowanego „Pepi“, jak Pokutyński, Friebes, Rautenstrauch i Hebduski. Obóz przeciwny „obrońców ojczyzny“, zwalczający zapamiętanie „Blachy“, także się rozprószył mimo zabiegów swego młodego twórcy, Wincentego Krasińskiego.

Z wód karlsbadzkich popowracały już rodziny: Lubomirskich, Rzewuskich, Radolińskich, Kuszlów, Radziwiłłów, Łubieńskich, Dębowskich, a mimo to życie dawne zamierało, zczezało.

Czy, że tłumowi zabrakło urojonej wyroczni w osobie przekwitłej pani de Vauban, czy satelitom słońca w księciu, dość, że i „reuniony“, i fety, i „pikniki“ rzedły, traciły na smaku, na finezyi.

Lecz była to chwila zaledwie, bo tuż za śmiercią Teresy Poniatowskiej, w ślad za ostatnimi wędrownymi ptakami, ciągnącymi od Zachodu, gruchnęła wieść o wojnie z Francyą. Wieść wzmagała się, rosła w szczegóły i rozlała się w cichym szepcie, który co dnia inną przynosił wiadomość...

Pogrom jenajski przez trzy dni był publiczną tajemnicą. Wychodząca w Warszawie „Gazeta“ musiała na bardzo ogólnikowych poprzestawać półsłówkach. Władze pruskie, przerażone ogromem klęsk, nie wiedziały co czynić. Gubernator Köhler stracił nagle swą dobroduszną flegmę i jął ludowi „Prus Nowo-Wschodnich“ obwieszczać prawa nowe, wydarzenia a postanowienia. Jakoż, mieszkańcy Warszawy dowiedzieli się niebawem, że król Fryderyk Wilhelm i jego małżonka są zdrowi i przebywają w Królewcu, dalej, że najmniejszy ślad podburzenia do inzurekcyi karany będzie śmiercią, że kasa skarbu przeniesioną zostaje do Królewca.

Warszawa słuchała tych nakazów i jeszcze dziwiła się, gdy oto niewiadomo skąd i jak zjawili się wysłańcy, którzy dziwy prawić zaczęli. Imię Napoleona

nie schodziło z ust. Młodzież znikała gromadami. Pachołkowie pana de Tilly od świtu do nocy szperali po mieście, myszkowali, ciągnęli dziesiątki ludzi na odwach, aż nagle zaciekłość pruska osłabła, jakby omdlały jej ręce.

I oto z wysokości tronu Fryderyka Wielkiego spłynęły nagle miłościwe słowa manifestu, głoszące, że większość mieszkańców, pomna na dobrodziejstwa pruskiej korony, nie myśli o zaburzeniach, a tylko niektórzy ze szlachty ważą się na tę szkaradną „niewdzięczność".

Jeszcze Warszawa nie zdołała się spostrzedz, gdzie właściwie ta niewdzięczność początek wziąćby powinna, gdy Köhler zawiadomił znów miasto, że w razie, gdyby garnizon pruski miał wyjść z Warszawy — spokojność i bezpieczeństwo zachowane będą.

I rzecz dziwna — słowa te ani ukazy nie wywierały wrażenia. Słuchano ich, kiwano głowami i nie wierzono im prawie...

Dwudziestego czwartego listopada gubernator Köhler wezwał niespodziewanie do siebie księcia Józefa i przedłożył mu odręczny list króla.

— Gdy w obecnej wojnie — pisał Fryderyk — wojska nasze inny wezmą kierunek, opuszczając chwilowo Warszawę, chcąc dobrym Warszawianom za ich niezachwianą ku nam wierność i przywiązanie, której jasne dowody ciągle od nich odbieraliśmy, dać nawzajem ojcowskiej pieczołowitości naszej oznakę... postanowiliśmy upoważnić cię, mój Książę, do zebrania straży z majętniejszych mieszkańców złożonej, postawienia cię na jej czele i strzeżenia bezpieczeństwa i porządku publicznego tej stolicy. Spodziewamy się, iż ceniąc tę naszą Królewską ufność, odpowiesz godnie naszej woli, a przez to nowego nabędziesz prawa do naszego szacunku"...

Poniatowski przyjął niespodziewaną godność. Na ratuszu zgromadzono radę i ustanowiono straż obywatelską. Na rogach ulic rozlepiono proklamacye księcia i czułe pożegnanie Köhlera... Wielka siecz-

karnia łzy roniła i starała się rozrzewnić buraki myślą, że ich nie będzie miał kto miażdżyć...

Dzień dwudziesty szósty listopada był dla Warszawy dniem przełomu, dniem, o jakim jeszcze kilka tygodni temu marzyć się nie ważono... Na ulicach od wczesnego ranka zadudniły wozy, pojazdy i bryki... Gubernator Köhler, a z nim i de Tilly, i Bachman i Bauman, i Mejek, i cały legion pruskich urzędników, wyciągał na Pragę... Za urzędnikami poszły sznury całe ambulansów, wiozących rannych żołnierzy pruskich i rosyjskich a potem, zaczął się kilkogodzinny marsz wojska.

Noc dawno zapadła, mroźna, księżycowa noc, a most łyżwowy uginał się, skrzeczał, w pustych ulicach rozlegał się ponuro szczęk broni i głuche stąpanie ciągnących pośpiesznie oddziałów.

Miasto milczało — milczało także opuszczające je wojsko. W milczeniu tem było coś z dumy i coś ze wstydu.

Po północy ucichło wszystko. Nastąpiła głusza grobowa, a za nią trzask palącego się mostu...

Prusaków już nie było!...

Nazajutrz miasto zbudziło się wcześniej niż zwykle i wyległo powoli na ulice, oglądając się trwożnie, iżali z za węgła domu nie wysunie się oddział nienawidzonych harcapów, iżali nie zaturkocze na skręcie kolaska pana de Tilly lub nie ukaże się hajdukami otoczona karoca Köhlera. Śmielsi szli na brzegi Wisły. Tam szczątki mostu dymiły, sycząc przeciągle w zetknięciu z wartkim prądem rzeki i wystrzelając w górę kłębami pary... A dalej, za Wisłą, stały sznury wyciągniętych wojsk, mając przed sobą wymierzone ku Warszawie działa...

I serce Warszawy żywiej bić zaczęło. Oglądała się po sobie, mierzyła wzrokiem hardo wznoszącą się wieżycę królewskiego zamku i zdawała się pytać samej siebie:

— Sen to, czy jawa?

Ptak, długo więziony w klatce, gdy mu zasuwę otworzą nie rusza się z miejsca. Patrzy, staje na

krawędzi więzienia i jeszcze obawia się, aby daremnie skrzydeł nie rozpuszczać do lotu.

Prusaków nie było.

Straż obywatelska ład czyniła i porządek. Mimo tłumu ludzi na ulicach, nigdzie śladu zamieszania. Starszyzna na walną zebrała się naradę. Najpowściągliwsza młodzież zapalać się zaczęła.

I znów mrok zapadł cichy, głuchy. Miasto nadsłuchiwało...

Około szóstej z wieczora, od strony Woli, usłyszano przeciągły, wzmagający się tentent koni... Szwadron kawaleryi w pełnym galopie pędził przez Warszawę wprost ku brzegom Wisły, aż zatrzymał się u szczątków tlejącego mostu, poczem zawrócił...

Na ulicach rozległ się okrzyk: „Francuzi!“ Okrzyk zerwał się, i odtąd z ust do ust przechodził, wspinał się na piętra i pięterka domów Starego-Miasta, uderzał o szyby dworów, dworków i pałaców, do każdego zakamarka zaglądał i wreszcie wstrząsnął murami Warszawy.

Tłumy ludu rzuciły się witać wybawców. Ulice zamieniły się w sale biesiadne. Przed odwachem, około Bernardynów, kędy był się szwadron strzelców francuskich zatrzymał dla wypoczynku, istny bój zawrzał... bój o jeden uścisk dłoni, bój o dotknięcie się bodaj munduru francuskiego, bój o każdy wyraz, każdy łyk wina, każdy kęs zaofiarowany żołnierzowi Napoleona.

Warszawa zabłysła tysiącem świateł.

Okrzyki zamieniły się w pieśń wesołą. W otwartych kościołach zabrzmiały hymny dziękczynienia. Łzy radości zmywały ślady smutku i przygnębienia. Serce Polski bić zaczęło

Pułkownik Deschamps w nielada był kłopocie. Ani się spostrzegł, gdy cały jego szwadron zdezorganizowano mu... obezwładniono... Strzelców zniesiono na rękach z koni... wciągnięto w tłum i tam raczyć poczęto. Próżno biały pułkownik rzucał się a nawoływał do karności i porządku, próżno usiłował zapobiedz rozprzężeniu... Skutek był ten, że i jego, mimo

oporu, ściągnięto z konia i... Deschamps znalazł się za stołem biesiadnym wraz ze swoimi oficerami...

Stary służbista chciał gniewać się, chciał burczeć, lecz zapał a uniesienie i jego w końcu obezwładniły, porwały.

— Wiwat Napoleon! Niech żyją Francuzi! — huczały tłumy ludu.

Na odwachu, przed Bernardynami, straż obywatelska pilnowała koni francuskich i nadciągających wózków z amunicyą. Wola równocześnie drżała od tupotu a szczęku oręża... Generał Milhaud wkraczał już i zajmował przedmieście.

Noc z dwudziestego siódmego na dwudziesty ósmy listopada nie znalazła w Warszawie ani poszanowania dla swych mroków, ani spokoju dla swego majestatu... Bo nie noc to była, a raczej wielki, jasny, oczekiwany, wymarzony, wymodlony u Boga dzień!... Słońcem jego był ten szwadron trzynastego pułku strzelców... Promienie padały, biły i od tych wytartych ciemno-zielonych mundurów, i od tych twarzy zczerniałych, zszarzałych na wietrze... Biły i padały w serca Warszawian!... I łuny tryskały z rozchmurzonych twarzy i iskry szły z oczu, a ogień płynął i z ust i z dusz. Ludzie płakali na ulicach! Nikt nie pytał o przyczynę łez.

Miasto pulsowało. Pieśni i okrzyki zrywały się, milkły i z nową wybuchały siłą.

Nikt nie myślał o spoczynku. Ci, co do szwadronu Deschampsa docisnąć się nie mogli, biegli na Wolę. Szczytem szczęścia było mieć u siebie Francuza i gościć go.

Całowano ręce żołnierzy, tulono do twarzy poczciwie patrzące łby koni kawaleryjskich... Gromadki dzieci przebiegały ulice... Starzec siwowłosy, ledwie na nogach mogący ustać, zrywał się ze swego krzesła, mrugał na drepczącą jejmość i nucił pod nosem, przytupując ochoczo:

„Słuchaj, Basiu, pono nasi biją w tarabany!“

A Deschamps?... Deschamps, znalazłszy się wśród wytwornego towarzystwa, gdzie z podziwem przysłu-

chiwał się z niebywałą werwą a czystością akcentu prowadzonym po francusku rozmowom... mienił się i mieszał. Ranga jego oficerska stała się przedmiotem ogólnej uwagi. Jako dowódcy oddziału, oddawano mu hołd i witano w nim wysłańca Bonapartego.

I strzelały ku piersi pułkownika powłóczyste spojrzenia wystrojonych „dam“, muskały go jedwabie, muśliny, „madrasy“ a „triesty“... Z poza wachlarzy puszystych a przytkniętych figlarnie do różowych ustek koronkowych chusteczek ścigały go rozmarzone uśmiechy. Niekiedy szorstką jego rękę, stwardniałą od cugli, zoraną brózdami, muskały rączki małe, wypieszczone, „petinetowemi“ osłonione rękawiczkami. Czasem „florensowy“ gorsecik zdradził niedyskretnie śnieżność żywiej falującego łona, czasem para oczu jasnych, promienistych z dziecinnym uporem szukała jego wzroku.

Biały pułkownik bladł, czerwieniał. Mimo protestu starszyzny, w jasyr niewieści się dostał i zasypany pytaniami... tłómaczył się jak żak, gdzie się urodził, kiedy, ile lat ma służby, gdzie ma rodzinę... dlaczego trwa dotąd w celibacie...

Wiadomość o kawalerskim stanie pułkownika zaogniła nastrój. Z klawikordu zerwała się melodya smętna, tęskna, pieszczotliwa. A gitary jęły się już stroić do tej piosenki swywolnej a romansowej, która miała się lada chwila narodzić, a która zaczynała się od słów:

Czy ty znasz — oh ma chére!
Colonela postać!!?!
Ah — comme je voudrais
Jego żoną zostać!!...

Warszawa tonęła w morzu świateł, drżała od wiwatów i wesela, a Praga była obumarła. Gdzieniegdzie ogień obozowy wystrzelił snopem iskier, niekiedy w lustrzanym nurcie Wisły ukazał się na brzegu cień nieprzyjacielskiej placówki lub ozwało się przeciągłe nawoływanie obchodzących obóz rontów.

Bożek wojny krwią się jeszcze nie nasycił!...

Floryan nie ostał się fali, która porwała szwadron Deschampsa. Zagarnięty wraz z innymi pod gościnną strzechę szlacheckiego dworku na Nowym Świecie, mimo wymawiań się a tłómaczeń, musiał dotrzymywać kompanii. I jego wzruszyła do głębi uroczysta chwila, i w nim obudził się zapał dla sprawy publicznej, atoli myśl o Zośce była w nim silniejszą. Wyrzucał sobie młody kapitan, że teraz właśnie, gdy nieomal urzeczywistniać się zaczynają rzeczy a pragnienia i cele, dla których tam, nad brzegami Adygi, tysiące szły na śmierć z ochotą a rozpromienioną twarzą... on zapomnieć nie może o swej własnej boleści...

Lecz próżno kapitan krzepił się a umacniał, próżno wystawiał sobie, jak drobną, jak maleńką była ta jego troska wobec nieszczęść, które przeciągnęły już nad równinami ojczystej ziemi, i wobec chmur, które grozić jej nie przestały!... Mordującego... samolubstwa stłumić w sobie nie zdołał, i kiedy pierwsze powitania a zapały rodaków minęły, wysunął się cichaczem na ulicę i zawrócił pośpiesznie ku dawnym izdebkom pani Dziewanowskiej na Podwalu.

Droga nie była łatwa do przebycia — mundur oficera strzelców francuskich co chwila stawał się przedmiotem owacyi a wiwatów. Gotartowski jednakże wyśliznął się zręcznie jednej i drugiej gromadzie ludu, i sunąc w cieniu pod murami, szczęśliwie był do kamieniczki dopadł. Tu czekał go zawód. W izdebkach pani Dziewanowskiej mieszkał już ktoś inny. Sąsiedzi, a i sam domu właściciel zapewnili że pułkownikowa jeszcze jak przed Wszystkimi Świętymi nocką się wyniosła, tak od tego czasu nikt jej, ani córki nie widział. Floryan wspominał na to, że pani Dziewanowska, zabrawszy się onego pamiętnego dnia na kwaterę do bratanka, u niego przebywać mogła, i nie tracąc nadziei, poszedł przez Kapitulną na Miodową, minął pałac Branickiego, skręcił w Senatorską, obok rezydencyi prymasowskiej, i dostał się na Daniłłowiczowską, kędy był pan Jan Dziewanowski

mieszkał. Lecz tu dawną kwaterę pana Jana zastał zamkniętą...

Gotartowski chciał u sąsiadów zasięgnąć wiadomości, lecz kamienica prawie była jakby opustoszała: kto żyw, wybiegł był na miasto wziąć udział w radości ogólnej a weselu.

Zawiedziony srodze Floryan wyszedł był powoli na ulicę, postanawiając sobie powrócić tu za dnia. Gotartowski czuł się znużonym, pośpieszny marsz dał mu się teraz dopiero uczuć. Do środka miasta wracać się ociągał, czując potrzebę ciszy a wytchnienia. Sunąc powoli Daniłłowiczowską, a zastanawiając się, gdzieby mógł wypocznienie znaleźć, dojrzał wpółuchylone drzwi winiarni... Nie namyślając się, wszedł.

Winiarnia była pusta. Stali nawet goście snać przebywać musieli gdzieś podle Francuzów na Krakowskiem. Gotartowski osunął się ciężko na ławę za stołem i zażądał piwa grzanego.

Młoda szynkareczka na widok osobliwego munduru oficerskiego żwawo się zakręciła, uśmiechnęła mile raz i drugi, duchem dzban żądanego napoju postawiła, a strzeliwszy ku szlufom Floryana, zagadnęła śmiało:

— Toż chyba waszmość pan nie z naszych stron pewnie!? Musi zdaleka!?

— At! — mruknął niechętnie Floryan i zadumał się nad swoją troską.

Szynkareczka nie dała się zbić z tropu. Figlarne oczka nastawiła, pokręciła noskiem i zapytała powtórnie, niby mówiąc wpół do siebie:

— Różne już mundury widziałam... i grenadyerskie, i woltyżerskie, i pruskie, i rosyjskie, i nasze, a co... takiego sobie nie przypominam! Waszmość pan chyba z adjutantów gubernatorskich?!

— Mylisz się waćpani! — odrzekł nareszcie Floryan. — Mundur to strzelców francuskich.

— Francuskich strzelców! — zawołała z odcieniem radosnego zdziwienia szynkareczka. — A toż dopiero!... Że ja tego nie spostrzegłam odrazu! Ot głowa!... Hej! Pani Wojciechowa! Pani Wojcie-

chowa!... Kumotrze!... Chodźcież bo... gościa ci mamy nielada... Pan oficer francuskich strzelców!!... Jezu! Ani mi to nie przyszło na myśl... Niechże bo waszmość pozwoli... że mu stół obrusem świeżym zaścielę... Tam, podle okna, niewygodnie... może tu, bliżej kominka?!... Piwo juści piwo, lecz możeby tak wina z korzeniami!... Dobre wino! Pan oficjer to nie tutejszy, nie wie, a przecież u nas „pod kontuszem“ co najprzedniejsi obywatele a szlachta pijają...

Szynkareczka uwijała się po winiarni; kręciła się żywo, a nawołując niecierpliwie, zaglądała do izby za szynkwasem. Zanim Floryan zdołał coś odpowiedzieć a podziękować, w izbie gościnnej ukazał się kusy, krępy mężczyzna w kubraku staroświeckim a jałowiczych butach i wysoka, cienka starucha, o twarzy pokurczonej, zmarszczonej i jak piąstka z pod białego czepca wyglądającej.

— Czołem — waszmość panu! — Maciej Kopytko szewc, do usług... a obecnej tu wdowy a gospodyni kumoter! — zaprezentował się mężczyzna, a wskazując na staruchę, dodał: — A to... nasza Wojciechowa... trochę piastunka, a prawie familiantka.

Starucha dygnęła kapitanowi, Kopytko skłonił się i oboje pożerać zaczęli oczyma mundur, kaszkiet a obszlegi Floryana.

— Rad, rad jestem... poznać! — bąknął Gotartowski.

— Waszmość pan daruje śmiałości! — ozwał się Kopytko. — Ale bo wprost z pod Bernardynów wróciłem i com się namordował, com natarmosił, żeby choć jednego dostać żołnierza, lecz gdzie tam! Wstyd się przyznać... ledwie kawałek sukna francuskiego został mi w garści, czego sobie darować nie mogę... bo on Francuz poczciwy brzydkie może powziąć o nas mniemanie, obaczywszy tak srogie okaleczenie szarawarów. Łaska atoli Boska czuwała snać, kiedy nam waszmość pana zesłała!... Wybaczaj waszmość, panie oficyerze, szewckie natręctwo... lecz hej... dzień ci taki dzisiaj nadszedł, że jak to onego czasu nawet w pocięglu serce się odzywa! Niechże bo kuma sie zawi-

nie a żwawo!! Gość taki!!... Toż chyba cała ulica posinieje z zazdrości jednej...

— Bóg zapłać! Bóg zapłać za dobre, poczciwe słowo!...

— Et! Panie oficjerze! — podchwycił wesoło szewc. — Za cóż bo Bóg miałby nam jeszcze płacić?... to my raczej wszyscy w większej teraz niż kiedykolwiek jesteśmy względem niego zaległości... Jest wino! Darujcie... darujcie... szewckiemu natręctwu... W wasze ręce... za pomyślność... za... tego!... Tfy! Człowiek prosty zwyczajnie wygadać nie może... co ma na sercu, a co na wątrobie!...

— Wiem ci ja, wiem! — potakiwał Gotartowski.

Imć Kopytko po kilku gwałtownych haustach wina nabrał rezonu.

— A bo i tak!... Pewnie, żem nie osoba ani personat, lecz co sobie powiedziałem... strzymam. Niech się nasi ruszą... to cztery przyszwy nowe daję... dwie pary palonych z przedniej skóry, rzemienia drobnego, użytecznego worek, i na porządki inne złotych polskich ośm... Potrzeba będzie szewckiej roboty, jakem Kopytko, wszystką czeladź napędzę... niech tam!... A niech się trafi tędy... owędy... to za drąg i łoić to łoić!!...

— Już bo to kumoter panu oficjerowi do słowa przyjść nie da! — wmieszała się z grymasem szynkareczka. — Wielka obrada! Zdrowia Bóg użyczył, toć nie taka znów cnota pójść, kiedy wszyscy idą!... Tedy jakże bo, panie oficjerze... idą Francuzy... co? Idą?!...

— Będziecie, ich mieli za dni kilka niby mrowie!

— I Napoljona także!?...

— I Napoleona!...

— Słyszycie Wojciechowo! Napoljon sam przychodzi do nas!... Niby cesarz francuski, a nasz bez mała! — objaśniała szynkareczka, zaczem powabną swą główkę na rękach wsparła na stole podle Floryana i, wdzięcząc się a strzelając oczyma, rzekła z przymileniem: — Niechże nam pan oficjer powie o nim!...

Floryan to i owo o armii opowiedział i umilkł raptownie.

— Rety, jakie to ciekawe! — westchnęła szynkareczka, spoglądając z żalem na kapitana, że mówić przestał.

— Ciekawe pewnie!.. Ale najbardziej to jest mocne takie, aż ciarki przechodzą, tylko w garść pluj i wal... jako to onego czasu... — dodał kumoter.

— Tylko co pan oficer nie łaskaw, markotny czegoś!...

— Cóż bo kuma myśli! Świat taki przedreptać, z tylu się nieprzyjacioły za bary brać... toć nielada utrudzenie! Tułaczka da się we znaki!... Dobrze kumie mówić, jak sobie za szynkwasem siedzi i minki do gości stroi.

— Już by kumoter nie przymawiał! — nadąsała się szynkareczka. -- Mało to było u nas kłopotu z Prusakami?!... O, zobacz-no na desce, ile to darmo napili się a najedli, i co!... Niech ich tam powietrze morowe... Przyjdzie i na nich. Jeszcze oni nam za krzywdy zapłacą!... Strach pomyśleć, ilu ludzi namarnowali, naniszczyli... Winien czy niewinien! Ba! Niewiastom spokoju nie dali... Pomnisz, kumotrze, ową wdowę z córką, jak ją do zughauzu prowadzili...

— Moja gosposiu! — odezwał się znienacka kapitan. — Znacież wy dobrze okoliczne kamienice?...

— Czy znam! Panie oficjerze, a toż tu się rodziłam, tu rodzice moi trzymali jeszcze tę samą winiarnię, tu przez dwa lata mieszkałam z moim nieboszczykiem, świeć Panie nad jego duszą, tu mi zamarł na srogą gorączkę!... I tu od trzech lat żywot samotny wiodę z tą oto Wojciechową i z rodziną kumotra, co w tej samej kamieniczce kunszt prowadzi!... Jabym kogo nie znała...

— A nie słyszeliście o panu... Janie Dziewanowskim?!...

— Czyśmy nie słyszeli!?... — wmieszał się imć Kopytko. — Toć, panie oficjerze... jednej przyszczypki na bucie jego nie było, któraby z mego nie wyszła warsztatu!!... Pan Dziewanowski toć mieszkał tu,

niedaleczko, w dwóch izdebkach... Zacny szlachcic i podobno oficer nielada!...

— U mnie to prawie codziennym bywał gościem!... Ledwie zrana okiennicę odemknąć zdołam, a już drzwi się z trzaskiem otwierają i słyszę głos pana Jana!... Dzielny kawaler... — zakończyła z westchnieniem szynkarka.

— A czy nie wiecie nic o stryjence pana Dziewanowskiego?!...

Szynkarka z kumotrem spojrzeli na siebie znacząco. Ostatni ozwał się smutnie:

— Niby o pani pułkownikowej Dziewanowskiej?...

— Tak, tak właśnie! — potwierdził gorąco kapitan.

— Przepadła, przepadła i ona i córka jej!

Floryan zbladł.

— Co — jak to przepadła?!...

— Ach! Panie oficjerze... nie ona jedna, biedaczka! Więcej ich było ofiar takich!...

— Na miły Bóg, mówcie mi całą prawdę!!...

Kopytko głos zniżył:

— Pani pułkownikowa sprowadziła się na kwaterę bratanka, jakby zaraz po jego wyjeździe... Pomnę doskonale... akurat byłem był z butami poszedł, aż ci tu drzwi uchyla panna... i mówi — niema Jasia, pojechał, niewiadomo kiedy powróci!... Od słowa do słowa, dowiedziałem się, jako niby imć pan Dziewanowski bratem stryjecznym jej wypadał... Owóż...

— Pozwólcie kumotrze! — przerwała szynkarka — ja to lepiej opowiem, bom patrzyła prawie. W tydzień może, jak pan Dziewanowski po raz ostatni był w winiarni, około południa patrzę... a tu walą ulicą Prusacy z milicyantami... Myślę, nie przypadek ich tu prowadzi w naszą zaciszną uliczkę. Wyjrzałam, wołałam na Wojciechową, a sama chuścinę na głowę i lecę zobaczyć, co się dzieje!... Aż powiadają, że ci spisek jakiś odkryli i pana Dziewanowskiego przyszli szukać... Co się tam działo na górze, tego nie wiem, bo straż nikogo w korytarz nawet nie puszczała... Bobrowali tam może ze dwie godziny. Potem wóz spro-

wadzili... Na wozie usadowili panią pułkownikową i jej córkę i wywieźli na odwach... stamtąd pono... dalej jeszcze wyprawili!... Lecz co to panu oficjerowi?!...

— Nic — mówcie dalej! — rzucił Floryan, zaciskając zęby i tłumiąc w sobie wybuch żalu.

— Nie wiele już zostaje do mówienia. Wywieźli i jak kamień w wodę. W jakiś czas potem, patrzę, kto wchodzi, aż ci sam imć pan Jan... Aż się przelękłam... Akurat siedział tu za stołem, jak waszmość... Biadał, narzekał, kłopotał się... lecz cóż mógł poradzić, samemu pilno mu było gdzieś, a i Prusaków strzedz się musiał, bo choć to plugastwo za Wisłę się już wybierało, lecz pewnieby mu nie darowali!... Potem znów jakiś chłop z babą się zjawili. Chodzili od domu do domu a o panią Dziewanowską się przepytywali. Baba, jak sama powiadała, aż na policyę chodziła się pytać, bo niby jej pani pułkownikowa winna była sporo grosza... Na policyi powiedzieli, że pani Dziewanowska jest oskarżoną o udział w spiskowaniach tych, co się do Francuzów wykradali... i że wysłano ją... gdzieści za karę!... Gdzie, nie pamiętam!... Baba z chłopem zakręcili się i przepadli!... Oj, panie oficjerze... Nie jedne one!... De Tilly nikomu nie darował, choćby dziecko schwycił, to i to skatował... A ów Köhler, co to niby poczciwego udawał i do polskich panów się mizdrzył... Prusak był, taki sam zapamiętały, jak i inni!!...

Floryan milczał, ostatka sił dobywając, aby nie okazać słabości. Wielkie krople potu spływały mu po twarzy.

Teraz jasno mu się przedstawiało dziwne zachowanie się Dziewanowskiego i one słowa, które był do niego wyrzekł przy pożegnaniu... Zośka przepadła... zginęła prawie... zmarnieje tam, w tej niewoli!...

Gotartowski podniósł się ociężale z miejsca — duszno mu było w tej małej izdebce gościnnej.

— Pozwólcie, gosposiu! Pora na mnie!...

— Już pan oficjer odchodzi!... Nie łaskaw! — zakrzyknęła ze szczerym zalem szynkareczka. — A przecież i kwatera by się znalazła!...

— Nie. Bóg zapłać. Ile się należy odemnie?...

— Panie oficjerze! Chyba tej nam krzywdy nie wyrządzisz, abyś w dniu tak radosnym niewolił nas do przyjęcia pieniędzy! — rzekła nieśmiało szynkarka.

— A jeżeli waszmość koniecznie chciałbyś na kwit pójść z nami — podtrzymał mistrz Kopytko — to już ostańcie tutaj! Noc późna. Nie sajety, nie salony, lecz wygoda wszelaka się najdzie u mnie, a żonisko...

— Ani sobie kumoter do głowy nie dopuszczaj, bym mu pana oficjera pozwoliła... Ho! ho! Cóż to, niby mu krzywda się stanie? Nie mam tu gościnnego alkierzyka?...

— Juści! Kuma byś chciała!... Akurat!... Przecież pan oficjer do was nie myśli, bo mu u familijnego przystojniej...

— Oo! Patrzcie mi go! Cóż to sobie kumoter kalkuluje! Byle jaka jestem? Toć żeby mój nieboszczyk żył... toby akurat może znów woźnym trybunalskim został, na co się uczył!... Ooo!... Tuście przyszli gości mi wypraszać... Wojciechowo! Słyszycie-no wy!?!...

Kum z kumą do nielada się zabierali swarów, lecz Floryan przypasał pałasz i rzekł wstając:

— Ani u was, ani u was ostać nie mogę... Darujcie... Po dniu, da Bóg, zajdę... nie teraz. Za serca zacne dziękuję... Patrzeć tylko, inni przyjdą, wiela ich przyjdzie może... gości nie zbraknie nikomu!... Bywajcie!...

Szynkareczce oczy wilgocią rozbłyszczały. Zastąpiła Floryanowi drogę:

— Panie oficjerze! — szepnęła cicho — Wam czegoś markotno!... Miarkuję, możeście pani pułkownikowej blizcy!!... A może i imć panu Janowi!... Napraszać się nie śmiem!... Wola wasza! Skromne izdebki!... Ale, gdyby waszmość imć pana Jana spotkali... to mu powiedzcie, że ten kwiateczek, co mi go zeszłego roku na Boże Ciało przyniósł... leży w za-

chowaniu... i że szynkarka Marcysia codzień w pacierzu go wspomina...

Gotartowski spojrzał serdecznie w powabne liczko szynkarki, rękę jej ścisnął i na ulicę wyszedł.

Tu dopiero uczuł niemoc a wyczerpanie. Pulsa wszystkie biły mu do głowy, krwawe plamy ukazały mu się przed oczyma, pierś rozpierał ból suchy, drętwy.

Szedł niby we śnie, przez mgłę ledwie widząc przed sobą w łunach światła spowite domy i ulice. Gwar a okrzyki, tu i ówdzie się rozlegające, drażniły go, napawały bólem, szarpały. I pytał samego siebie zdziwiony — czego ludzie ci tak się cieszą, czemu tak się radują!?...

Floryan biegł prawie, gorączką trawiony wewnętrzną, biegł prosto przed siebie, zakręcając ledwie wówczas, gdy ciągnąca się przed nim ulica załamywała się nagle, lub kończyła w dwie różne strony idącem rozgałęzieniem.

Myśl o Zośce kołatała się w nim, snując mu obrazy pełne grozy. Wszystkiego od Prusaków mógł się spodziewać. W zapamiętaniu swem nie znali oni litości, w przemocy a gwałcie pomiarkowania. Im pewniejsi byli bezkarności, tem zwierzęcość ich występowała silniej!... Wiedział o tem Floryan nie od dziś!...

— Przepadła, przepadła dla ciebie... na wieki! — szeptał mu jakiś głos ponury, a równocześnie błąkające się na ulicach cienie układały się w szyderczo wykrzywioną twarz Schmidta!...

I oto bunt zerwał się pod czaszką Floryana.

Za lat tyle walki, za oddanie się, za zaparcie, za głód, za rany, za tęsknotę... takaż go spotyka nagroda!?...

Wzniósł oczy do góry. Niebo pogodne, szafirowe skrzyło się milionami gwiazd.

Floryan chciał złorzeczyć, naraz uląkł się i zatrzymał. Wzrok spuścił ku ziemi i zadrżał... O krok przed nim z lekkim szmerem Wisła toczyła swe fale...

Kapitan przeżegnał się. Jeden ruch jeszcze, a stoczyłby się z urwistego brzegu na dno rzeki.

Widmo niebezpieczeństwa przywróciło mu panowanie... Czyżby śmierci się bał?... Nie!... Przeciwnie — śród gradu kul powitałby ją, jak starą drużkę, która tylekroć razy zaglądała mu do oczu, tyle razy szczerzyła się doń w pękających u stóp jego granatach! Topiel atoli była mu wstrętną, przeciwną pojęciu o śmierci żołnierza.

Gotartowski cofnął się od brzegu, i, uszedłszy kilkadziesiąt kroków, osunął się ciężko na zwalony nad Wisłą budulec i tu zastygł prawie w szarpiącym go bólu.

Księżyc wysunął się z poza obłoków i oświetlił obydwa wybrzeża. Przeglądał się w błyszczących krzyżach na wieżycach kościołów i w wypolerowanym szpontonie pruskiej placówki, w jasnym nurcie Wisły i w lśniących kałużach Pragi, w mosiężnych kaskach dragonii francuskiej i w końcach pik widet kozackich armii Benigsena. Zamek królewski rysował się na jasnem tle nieba czarno, smutno, jakby w zadumie o świetnej przeszłości pogrążony, jakby rozpamiętywał minione czasy.

Naraz, na skraju tarasów zamkowych ukazała się wysmukła postać mężczyzny, spowita burką szeroką. Postać mierzyła wzrokiem dalekie horyzonty, wodziła oczami po załomach spiętrzonych murów Warszawy i zawróciła krokiem powolnym ku Wiśle.

Mężczyzna zatrzymywał się często, niby ważył coś w umyśle i znów szedł, bez widocznego celu, kołując wśród wyboistych nasypów i bezładnie porozrzucanych kłód drzewa, aż zbliżył się ku stronie, gdzie leżał Floryan. Na widok bezwładnej sylwetki Gotartowskiego, jakby rozrzuconej w śmiertelnym skurczu na stosie bali, mężczyzna zatrzymał się. Zawahał się przez chwilę, a potem śmiałym, elastycznym krokiem podszedł do Floryana i za ramię go ujął.

— Hej!... Przyjacielu! — zawołał. — Cóż to!?... Na ziąb taki przyszliście noclegu tutaj szukać!?...

Floryan poruszył się jakby w gorączce. Nieznajomy, przyjrzawszy mu się bliżej, poznał mundur francuski.

— Hm! To go, widzę, uraczyli! Francuz jakiś pewnie! — mruknął do siebie i ozwał się ponownie czystą francuzczyzną: — Dalej, wstawajcie! Noc zapada, gdzie wam tu się wycierać!

Gotartowski podniósł zwolna ociężałe powieki, głos nieznajomego wydał mu się nieobcym.

Ten ostatni nalegał żywiej:

— Nie ociągajcie się, bo wam ta gościnność dać się może we znaki!... Mróz, mróz idzie!... A w dodatku, niebardzo tu może być wam bezpiecznie!

— Zostawcie mnie! — wyjąknął z wysiłkiem Floryan, usuwając rękę mężczyzny. — Mnie tu dobrze!...

Światło księżyca padło wprost na Floryana i przejrzało się w jego złotych kordonach oficerskich, wyglądających z pod płaszcza. Nieznajomy podsunął się żywiej:

— Co widzę!? Oficer... tutaj!... Polak?!... Wstań-że waszmość!... Ani myśli, żebym cię tu zostawił! No, wesprzyj się na mnie. Tak! Na każdego przyjść może!... Podejmowali was sercem! Bo aż wam w głowę a w nogi weszło! No... teraz!...

Nieznajomy ujął silnie Floryana i postawił go na nogi.

— A teraz... podprowadzę was ku miastu!...

Floryan ustąpił na bok. Przytomność mu wróciła.

— Dziękuję, nie trzeba! — rzekł głucho. — Waszmość jesteś w błędzie... za podchmielonego mnie masz!... Bywają chwile... że człowiekowi lepiej byłoby spić się...

Nieznajomy utkwił bystry wzrok we Floryanie i ozwał się znienacka:

— Wszak to mości Gotartowski!?...

Kapitan drgnął, spojrzał na nieznajomego i szepnął z pomieszaniem:

— Książę!...

— Toż dopiero spotkanie!? Jakiemiż drogami, chadzasz waszmość, że cię tu aż, na tem pustkowiu zdybałem?!... Bo ja.. jak zwykle, przechadzkę moją odbywam... i błąkam się!... Lecz waszmość, waszmość... o tej porze?!...

— Tak przyszło na mnie... Wasza książęca mość... sam nie wiem!

— Zdajesz się być czegoś strapionym!... No, chodź wasze ze mną! Chodźmy stąd!...

Poniatowski pociągnął zlekka Gotartowskiego za sobą i tak mówił dalej:

— Wnosząc z twego munduru, suponuję, żeś z kawaleryą francuską wszedł dzisiaj!... Dziw mi tylko, że cię do pana Gutakowskiego nie zagarnęli z innymi oficerami... Tam festyn wielki, wesele...

— Byłem tam — odrzekł Floryan.

— Byłeś!? I cóż cię to wypędziło? Nie przypadła ci do smaku ta radość?... Co?

— Nie, mości książę! Wstyd się przyznać... moje własne, mizerne troski zwaliły się na mnie!...

— Kogóż one ominą! — odparł smutnie książę Józef i umilkł.

Floryan szedł za Poniatowskim z głową zwieszoną. Wspomniał był właśnie, że niedawno kroczył tą samą drogą z Zośką... i boleść znów targnęła nim silniej.

W głębi, pod Zamkiem, ukazały się oświetlone drzwi pałacu „pod Blachą“. Poniatowski rzucił nagle:

— A gdzie, mości Gotartowski, kwaterujesz?...

— Gdzie kwateruję? — powtórzył Floryan zbierając myśli. — Sam nie wiem jeszcze, mości książę!...

— To chodź-że do mnie...

— Czyżbym śmiał?...

— No... nie bój się... kąt się jaki taki znajdzie! — zakonkludował z uśmiechem Poniatowski. — Kłopotu mi nie przysporzysz, a rozgrzać się potrzebujesz.

Floryan chciał się jeszcze wymawiać, lecz książę Józef rzekł urażony:

— Chyba, że ci dach mój nie po sercu, w takim razie nalegać nie śmiem!...

— Wasza książęca mość, to jeno przekonanie, że niegodnym się czuję zaszczytu...

— Bajesz waszmość! Żołnierz żołnierzowi równy! — odparł Poniatowski i zawrócił w stronę pałacu.

Floryan, idąc z księciem, minął szereg z wyszukanym przepychem urządzonych salonów, tonących w półmrokach przyćmionych świateł i znalazł się znów w tym samym wymuskanym, cackami zastawionym gabinecie, w którym pamiętną z nim prowadził rozmowę. Poniatowski jednak zatrzymał się tu tyle tylko, aby zabrać ze sobą świecznik, i poprowadził Floryana przez długi, wąski korytarz do dwóch obszernych izb.

— No, jesteśmy u siebie! — zagaił wesoło książę, ustawiając świecznik na stole.

Zaczem zadzwonił na pokojowca i wydał mu jakieś rozkazy.

Gotartowski, mimo przygnębienia a wyczerpania, jął się z ciekawością po tych izbach rozglądać, nie mogąc się oprzeć pewnemu zdziwieniu.

Izby te bowiem w niczem reszty pałacu nie przypominały.

Ściany proste, w poważne u sklepienia łuki ujęte, ledwie że bielone, przypominały owe staroświeckie komnaty, w których surowość obyczajów z rycerskimi przymioty bratać się lubiła. Stoły, krzesła i ławy skromne, drewniane; w drugiej komnacie łoże wąskie, twarde, skórą jelenią okryte, na ścianach kilka miniatur, portret króla Stanisława, ciemnym zasłonięty welonem. Broń porozwieszana ponad kopersztychami, a zresztą ni cienia onej zniewieściałości, ni śladu wyszukanego zbytku, jakim się reszta pałacu pod Blachą odznaczała. Tu, za tym korytarzem, był jakby inny świat zgoła, mieszkał inny człowiek.

Pokojowiec zastawił tacę na stole z winami a posiłkiem. Książę zrzucił burkę, naciągnął kubrak wojskowy i przyzwał do stołu Floryana.

— Siadaj wasze! Niech i mnie wolno będzie w dniu tym powitać w tobie zwycięzką armię! Jedz, pij — waszmość, nie trucizna!...

— Wasza książęca mość, czemże sobie zasłużyłem...

— Wszyscy... wszyscy jesteście jednacy! — odrzekł porywczo Poniatowski, targając ręką pierścienie swych kruczych włosów. — Wy, obrońcy ojczyzny! Nie po

myśli wam Poniatowski, bo patrzy głębiej! Naród powstaje... Może już powstał... Armię zbierzecie i co dalej?!...

— Armii tej potrzeba będzie wodza! — rzucił Floryan, pasując się z niemocą, która go znów chwytać zaczynała.

— Wodza — powtórzył w zamyśleniu książę Józef. — Cha! Przecież jest pan Dąbrowski, ba i pan Zajączek także kręci się pewno. Owszem, tędzy żołnierze! Naczelnik bo odmówił...

— Prawda, wasza książęca mość! — ozwał się w uniesieniu Gotartowski, tracąc panowanie nad sobą. — Naczelnik nie przyjął cesarskich propozycyj i... cóż w tem dobrego?!... Może prosta natura moja tej subtelności pojąć nie umie, lecz odmowa ta mi się nie widzi!...

— Bo nie rachujesz, jaką odpowiedzialność wziąłby na siebie. Wszak na jego głowę spaśćby mogły złorzeczenia całego narodu!... Jemu nie wolno i nikomu nie wolno — przykładać ręki do dzieła tego bez gwarancyj należytych. Łatwo jest imienia sławnego nadużyć!... Czasem jedno nazwisko może szalę przeważyć!... Naczelnik spełnił swój obowiązek. Zbadał intencye i cofnął się.

— Daruje wasza książęca mość — lecz mnie to nie przekonywa — nie!...

— Jesteś zapalonym, oszołomionym, jak wielu tobie podobnych. Olśniła cię chwała zdobywcy. Zapominasz, że zdobywa on dla siebie, a nie dla nas!...

Gotartowski wychylił duszkiem szklanicę wina i rzekł śmiało:

— A my teraz, gdy wkraczają do nas orły francuskie i zwiastują nam wyzwolenie, mamyż, idąc w ślady Naczelnika powiedzieć sobie: finis i patrzeć z założonemi rękoma!?... Jeżeli wasza książęca mość raczy mniemać z imć panem generałem, że Maciejowice były naszym zgonem, toć jeszcze i tej zmarłej ojczyźnie i pogrzeb i stypa się należy! — Zaiste! Jedno nazwisko przeważyć jest zdolnem szalę wypadków! Dotąd ta szala podobno się chwieje, bo braknie

jej tego właśnie imienia! Bo choć zrywają się ręce i serca, lecz niema komu przewodzić, niema komu być onym węzłem, któryby przeszłość złączył z dniem dzisiejszym. Niema komu, a raczej są, co Piłatami ziemi swej chcą zostać!...

Poniatowski zasępił się groźnie.

— Co wasze?!... Chcesz, aby na nową zgubę wyprowadzić tysiące!?... Chcesz, aby znów legiony marły na podzwrotnikowych wyspach a pustyniach? Z lekkiem sercem skazałbyś tysiące na niedolę, na sieroctwo!?...

— Mości książę! Pomnę na chwilę, gdy prostym będąc żołnierzem w brygadzie imć pana Dzieżka, stałem pod Markuszowem. Wówczas nadjechał do obozu wysłaniec królewski, pułkownik Kirkor. Treść przywiezionego nam pisania wkrótce była nam znaną. Było to zawiadomienie o przystąpieniu króla do konfederacyi. I do dziś dnia pomnę słowa odpowiedzi waszej książęcej mości — „raczej należało obierać śmierć chwalebną“. — I słowa te wryły mi się głęboko w duszę. Może te tysiące z ochotą zniosą dolę, jaką im przeznaczenie zgotuje?!

Poniatowski szarpał niecierpliwie fałdy żabotu. Gotartowski mówił dalej głosem cichym, słabnącym:

— Ja nie wiem, mości książę, przebaczenia proszę, lecz tam, na polach szerokich, na równinach wielkich, wśród huku dział, pobudek wojennych lepiej, jaśniej niż tu! W legii ciężko było a ochoczo. Niewygód wiele, głód codziennym był gościem, żołdem była nam ożywiająca nąs wiara w przyszłość. Może się mylę, może błądzę... lecz inna rzecz, gdy pojedyńczy człek staje i mówi: pójdźcie za mną, a ja was poprowadzę — a inna, gdy korna gromada zwraca swe błędne oczy i żebrze: idź z nami, za twoim iść chcemy przewodem!...

— Człowieku, zastanówże się nad tem, co mówisz!— zakrzyknął Poniatowski — toć w mgle więcej treści, niż w twoich supozycyach. Kto najdotkliwiej dał się nam dotąd we znaki? Kto najgwałtowniej chce zetrzeć z nas piastowe znamię, kto siły swej użył na

bezprawie, przemoce najcięższe?! — Austrya! Z kimże teraz wasz odnowiciel w przyjaźni, kto mu zaręczył neutralny spokój, z kim jest w przyjacielstwie? — Z Austryą! Czy trzeba mówić dalej? Zdaje ci się, że dla miłości naszej Bonaparte zerwie przymierze i trzecią potęgę na głowę swej armii zwali?! Mrzonki! Powołujecie ludzi pod broń, formujecie oddziały, a wieczeż, dokąd one iść mają?!... Odpowiedz!...

— Ja — szepnął w gorączce Floryan — ja chcę umrzeć!...

Poniatowski spojrzał niespokojnie na bladą, zmienioną twarz Gotartowskiego i zapytał pośpiesznie:

— Co waszeci?!...

— Nic! — jąkał kapitan, napróżno broniąc się raptownemu osłabieniu. — Tyle dni... nocy tyle... daremnie!... Dziewanowski coś wiedzieć musi!... Zabrali ją... wywieźli... Dom pusty... nikogo... i znów sam!...

— Waszmość chory jesteś?! Napij się wina... to cię orzeźwi... i na spoczynek! Jam tu waszeci niepotrzebnie rozmową tą trudził, nie pomyślawszy o twoim niewywczasie!...

Floryan nie odpowiadał. Książę zatrwożył się niepomału nagłą chorobą Gotartowskiego. Zadzwonił na służbę i kazał przywołać natychmiast medyka. Tymczasem wpółomdlałego Floryana ułożono na naprędce przygotowanem posłaniu w alkierzyku, za komnatą sypialną księcia.

Medyk ledwie nad ranem się zjawił. Książę nie spał, trawiony myślami. Wejście medyka ożywiło nieco księcia, chciał iść za nim do chorego Floryana, lecz wtem dano mu znać, że oficer francuski z ważną depeszą nadjechał.

Książę narzucił burkę i wyszedł do posłańca. Był nim Jan Dziewanowski.

Poniatowski przebiegł szybko podany mu papier. Generał Milhaud zawiadamiał księcia jako przełożonego nad miastem, że dnia następnego przednia straż armii francuskiej wkroczy do Warszawy i zajmie ją imieniem cesarza Francuzów. Przyczem generał Milhaud wyrażał przekonanie, że cała ludność powita

z takiem sercem żołnierzy francuskich, z jakiem oni wchodzić będą w mury grodu polskiego, tudzież nadmieniał, że marszałek Murat, którego przybycia lada chwila Milhaud się spodziewa, radby bardzo poznać księcia pana przed wjazdem do miasta.

Poniatowski skrzywił się nieco i odrzekł po namyśle:

— Proszę wyrazić moje pozdrowienie panu generałowi i zapewnić go, że Warszawa godnie przyjmie zwycięzców z pod Jeny.

Dziewanowski salutował po wojskowemu księciu i ruszył z odpowiedzią do generała. Książę zaś zasiadł do biurka.

Odezwę generała Milhaud widział się zmuszonym przesłać do wiadomości tym, którzy odeń stronili, unikali go, a którzy niepodzielnie piastowali tytuły dobrych synów ojczyzny. Książę pominąć ich nie mógł i nie chciał.

Ciężko było Poniatowskiemu zebrać się na wystosowanie epistoły, która nie byłaby uniżeniem, ani prośbą, ani schyleniem czoła, ani pychą. Po długiem wahaniu nakreślił na liście Milhauda lakonicznie:

„Pismo to uważam za właściwe przesłać JWPanu do wiadomości i odpowiedniego Jego uznaniu postąpienia. Ja wyjeżdżam rano naprzeciw marszałka Murata.“

Zaczem przywołał strzelca służbowego i odnieść pisanie polecił generałowi Wojczyńskiemu na Leszno.

Medyk opatrzył był już Floryana i leki pośpiesznie zaaplikował. Choroba, według jego zdania, była ciężka, bo silnie gorączkowa, tak, że bez krwi puszczenia się nie obeszło i na lada dryjakwi poprzestać nie można było.

Poniatowski zafrasował się szczerze chorobą Gotartowskiego i nakazał medykowi mieć o nim pilne staranie.

Medyk, zmiarkowawszy z relacyi służby, że chory nieznanym zgoła jest tylko oficerem, doradzał księciu, aby go gdzie w oficynach ulokował, chory bowiem, będąc w gorączce, snadnie mógł wpaść w ma-

lignę, a tem samem spokój księciu zakłócać. Poniatowski mimo uszu puścił rady medyka, Floryana kazał w alkierzu pozostawić i wszelką opieką otoczyć.

Nad ranem Warszawa jakby ucichła, jakby zapadła w krótki, gorączkowy sen, majacząc tu i ówdzie w winiarniach a kawęcząc w oświetlonych przez noc całą izbach a komnatach.

Głuchy, przeciągły odgłos bębnów przed Bernardynami postawił wszystkich wczesnym rankiem na nogi. Woźni rady miejskiej odczytywali ludowi proklamacyę generała Milhaud o ochronie grosza publicznego w kasach i o karze śmierci na tych, którzyby w jakichkolwiek stosunkach a korespondencyach z nieprzyjacielem pozostawali.

Część pierwszą proklamacyi przyjęto z zapałem, jako oczywisty dowód pieczołowitości francuskiej — druga obudziła gorycz chwilową, że śmiano wątpić o jednomyślności Warszawy. Lecz na gorycze a ważenie słów nie było czasu — wkroczenie uroczyste armii francuskiej, obębniane po ulicach a otrębywane, zajmowało umysły. Tłumy mieszkańców wyległy na ulice w odświętnych przybraniach i wyciągnęły się w dwa czarne, zbite pasma od zamku aż ku Woli. Straż obywatelska z dziesiętnikami, setnikami a tysiącznikami czyniła porządek a ład między ludem. Piaskiem wysypane a świerkowemi gałęźmi usłane ulice, któremi wojska miały przechodzić, wyglądały uroczyście. Okna kamienic, mimo mroźnego wiatru na oścież otwarte, wypełniały zbite pęki głów wystrojonych dam, bogatych szlachcianek a mieszczek. Tu i ówdzie na balustradach a gankach jęły się zwieszać kobierce, cyfry napoleońskie i girlandy zielone.

Mijały godziny. Fale ludu nie ustępowały.

Około południa, od strony zamku, ukazał się książę Poniatowski w otoczeniu kilku swych strzelców przybocznych. Jechał na siwojabłkowatym arabie, w barwnym mundurze generała-porucznika dawnego wojska polskiego i w burce, zwieszającej się na srebrnych klamrach przez ramię. Jechał wolno, spokojnie, z zaniedbaniem pewnem w swych giętkich

ruchach, z lekkiem zmarszczeniem gęstych, łukowatych brwi. Na wysokiem czole księcia zaduma jakaś osiadła czy troska i spłynęła ku tłumom takim majestatem, taką szlachetnością, że aż szmer cichy, przeciągły rozległ się na widok Poniatowskiego.

Ciekawe oczy zaczęły każdy ruch jego śledzić, rozmarzone spojrzenia dam mówiły, zda się: comme il est beau! Mężczyźni z ukontentowaniem patrzyli, jak lekko a jak dzielnie wyglądał książę na koniu... Czasem, wśród ciżby unosiła się do góry czapka i brzmiał okrzyk gorący:

— Niech żyje książę!...

Lecz okrzyk ginął bez echa.... Tłumy milczały, Poniatowski je rozumiał — witano w nim pana z pod Blachy...

Krew uderzyła w matową bladość twarzy księcia, rozżarzyła drzemiące w sokolich oczach iskry i obrzuciła lud dumną goryczą.

Poniatowski mocniej nacisnął czapkę i spiął konia ostrogami. Arab szyję wyciągnął, chrapy rozwarł szeroko i długim galopem pomknął ulicami ku rogatkom.

Książę siedział na koniu, jakby wrosły w haftowaną kulbakę. Jeździec i koń niby jedno stanowili ciało, jedną duszę. W arabie krew grała, każdą pajęczą wstrząsając żyłką — w księciu wrzały burze żalów i zawiedzionych nadziei. On, królewski bratanek bezdzietnego króla, on, który, z narodem szedł zawsze, który niedawno chlubą był jego, nadzieją... nie takiego się spodziewał powitania i nie o takim myślał przyjeździe....

Lud ścigał wzrokiem książęcego jeźdźca i już niejedno serce zabiło żywiej i usta składały się, zda się, do okrzyku, gdy naraz ku rogatkom ciągnąć zaczął pochód cechów z chorągwiami, dalej radni miasta, a wreszcie deputacya obywateli, złożona z panów: Stanisława Małachowskiego, Wojczyńskiego generała, Giełguda, Gutakowskich a Kochanowskiego. Za deputacyą szli w zbitej gromadzie co przedniejsi z panów szlachty a obywateli, możniejsi kupcy a mie-

szczanie. Więc Aleksander Linowski, Antoni Gliszczyński, Ignacy Sobolewski, ksiądz Woronicz, Andrzej Horodyski, Dyonizy Trzciński, Antoni Grabiński, graf Joachim Moszyński, Paweł Zaborowski, Lalewicz, Ledóchowski, Potockich trzech, Pluskwiński, Dobrycz, Dekiert, Kijewski, Wyczechowski, Szydłowski, Wodzyński, Chevalier Dembowski, Łubieńskich dwóch, Czarnecki, Bronikowski, Krasiński Józef, a za nimi ciżba strojna, butna, błyszcząca.

Zwolna przeszli wszyscy i ugrupowali się przy wjeździe do miasta. Fale ludu w gorączkowem oczekiwaniu kołysały się coraz gwałtowniej...

Naraz hen, pod Wolą, zerwał się grzmiący okrzyk i tysiące ust go pochwyciły, podtrzymały i nie dały mu umilknąć na chwilę... Okrzyk wzmagał się, to niby cichł pozornie i znów wybuchał radością, weselem, nadzieją, łkaniem niekiedy. Czapki, kaszkiety, kapelusze, chustki powiewały, z okien sypały się kwiaty...

Błyszczały oczy, promieniały twarze — serca jednem uderzały tętnem.

Aż ukazał się pochód świetny, barwny, strojny, pyszny w swym dźwięcznym chrzęście a miarowym tupocie — porywający dzielnością żołnierzy, ich pięknym mundurem, rycerską postawą.

Przodem dwóch trębaczy, czerwienią jarzących, z wyciągniętemi surmami, zdobnemi w haftowane bogato kapy, grało sygnał zwycięstwa, powitania.

Za trębaczami dwa plutony lśniących blachami kirasyerów, salutujących obnażonymi pałaszami miasto. Za kirasyerami długi odstęp i kapela trębaczy na białych, jak mleko, koniach, grzmiąca w takt pozłocistej buławy brodacza „tamburmażora“ marsza tryumfalnego. Zaczem, dwóch adjutantów, a raczej dwóch młodzieńców, pełnych krasy, wyszukanego smaku munduru, rzekłbyś, dwóch Apollów w zbroi Marsa, dwóch wykwintnisiów paryskich w przebraniu mężnych. Każdy ruch ich, każde targnięcie wyrzucających łbami i niecierpliwiących się rumaków było

jedną nieskończoną zalotnością dwóch adjutantów, dwóch dzieciuchów.

Za adjutantami jechał na karym anglezie Joachim Murat, wielki książę Bergu, marszałek i wielki admirał francuski a szwagier Napoleona.

Jechał, jak tylko on jeden umiał jechać.

W dużym, zawądyacko z czoła zsuniętym, czarnym, pilśniowym kapeluszu, chwiejącym białemi strusiemi piórami, ujętemi w brylantowe zapony — w krótkim, kolistym, aksamitnym płaszczu, zwieszającym się z ramion, w haftowanym złotem mundurze, przedziwnie układających się żabotach, wyglądał na Walezyusza, na bóstwo wykwintu. Twarz jego delikatna, wymuskana, o rysach regularnych, prostych, nadawała mu cechę łagodności, czyniła oblicze jego powabnem prawie.... zadawała kłam niejako gminnemu pochodzeniu marszałka i faworyta Bonapartego. Lecz ktoby zajrzeć chciał w oczy Murata, w te oczy ciemno-piwne, o źrenicach dużych, czarnych, oczy, na dnie których nigdy nie było końca tajemniczym błyskom a demonicznym drganiom — tam dopiero znalazłby ów szał żywiołowy, z jakim ten woniejący panek, szeleszczący jedwabiami wytworniś, rzucał się z dobytą szpadą w odmęt bitew — tam poznałby, że lwy przybierają czasem postać sarn czy wdzięcznych a aksamitnych antylop.

Murat jechał, jak tylko on jeden umiał jechać!...

Drobna, elastyczna, muskularna jego postać, rysująca się na tle chwiejących się nad jego głową sztandarów i orłów cesarskich, dyszała ambicyą, biła dumą, wionęła potęgą krwawej wstęgi wielkiej legii i chwałą zwycięzców, a równocześnie pociągała ku sobie, w łaskawym uśmiechu jednała sobie tłum, w przymilającym ukłonie buławą marszałkowską opanowywała go, ujarzmiała.

— Niech żyje książę Bergu! — Wiwat Francuzi!... — Wiwat marszałek! Wiwat Murat!! — huczały fale ludu warszawskiego.

Po prawej ręce Murata jechał Poniatowski. Jechał zimny, zastygły. Im zapał śród szpalerów narodu

się wzmagał, tem twarz jego wyrazista stawała się bledszą, bardziej martwą. Suchym, palącym wzrokiem mierzył tłumy i zdzierał szamocącego się araba.

Za Muratem i księciem Józefem ciągnął Milhaud ze sztabem kapiącym od złota, błyszczącym sutemi szlufami, akselbantami, feldcechami, szamerowaniami, pstrzącym się od rozmaitości mundurów i płaszczów. Były tu czapy niedźwiedzie grenadyerów jazdy, czapy gwardyi cesarskiej z pozłocistemi blachami, czerwonymi, galonami szytymi wyłogami u wierzchów i wysokiemi kitami — kapelusze czarne, stosowane z pióropuszami lub tylko z kokardami i guzami, kaski kirasyerskie i dragońskie, kaszkiety strzeleckie, zawoje Mameluków, stożkowato ucięte huzarki Holendrów i rogatywki polskiej młodzieży.

Sztab przesunął się z chrzęstem, szelestem, wyświeżony, wyperfumowany. Za nim dopiero szło cztery tysiące kawaleryi francuskiej. Kawaleryi lekkiej i ciężkiej, z pałaszami, jak maczugi, i szablami, jak żądła, z karabinkami i bez, z czaprakami w lampasy ujętymi i z czaprakami ciemnymi, lecz ze złocistą literą „N“ w rogach, w szarych, zawiesistych płaszczach, i w krótkich narzutkach, i w siwych opończach, i barankiem szytych kurtkach, z ostrogami wygiętemi ku górze a rozstrzępionemi, i z ostrogami prostemi, ledwie brzęczącemi, z dwoma pistoletami w olstrach kulbak lub jednym w przytroczonej do pasa pochwie, z czapami, kaszkietami a kaskami na metalowych podbrodach, lub na barwnych sznurach, zwieszających się swobodnie od podkicia ku szyi, o koniach jednomaścistych, równogrzywych, z ogonami postrzyżonymi pod miarę i o koniach srokatych, mieszanych.

Bokiem konnicy szły cechy, chwiejąc złocistemi chorągwiami i szedł głos ludu, rozradowany, drżący, szczęsny a rozpłakany.

Murat skierował się ku odwachowi, gdzie pułkownik Deschamps ze strzelcami raport mu złożył, a dalej zjechał do resztek mostu na Wiśle.

Oględziny trwały krótko. Wisła przegradzała dwie nieprzyjacielskie armie. Marszałek zawrócił ko-

nia do przygotowanej dlań kwatery w pałacu Raczyńskich. Kawalerya zajęła koszary: Mirowskie i Ujazdowskie, a częścią lokowała się, gdzie mogła: po zajazdach, dworach, kamieniczkach szlacheckich, pałacach, podmiejskich czworakach a opuszczonych szopach.

I Warszawa nowem zawrzała życiem.

Miasto ospałe dotąd, wyludnione, kipiało gorączkowym ruchem.

Za wojskiem Murata tłumy nieprzejrzane, niezliczone ściągać jęły ku rogatkom, tłumy napoły zbrojne, tłumy rozśpiewane w piosnkach wojennych, rozkołysane w fantazyi, w wierze w przyszłość.

I dni płynąć zaczęły szybko. Godzina każda przynosiła nowinę. Jeszcze się Warszawa nie zdołała oswoić z kawaleryą francuską a nacieszyć łaskawością księcia Bergu, gdy w dwa dni nadciągnął marszałek Davoust, bohater z pod Auerstädtu, nowomianowany książę.

Davoust nadciągnął z korpusem liniowej piechoty, piechoty szarej, drobnej, nikłej, niepozornej.

Nie zabrakło i teraz Warszawie ani serca, ani zapału dla powitania bohaterów pogromu pruskiego, ale w oczach Warszawian czytać można było jakiś ukryty zawód, jakieś rozczarowanie.

Toż byli ci niepokonani, nieugięci?... Toż ci zwycięzcy, którzy pod Auerstädt dokazywali cudów męstwa?!...

Piechota ciągnęła zwartemi gromadami, w swych zniszczonych popielatych płaszczach, wytartych furażerkach, ze sztandarami, które wyglądały jak poszarpane, wystrzępione wiechcie, a na które piechur każdy spoglądał z miłością, z uwielbieniem, ze czcią...

A na jej czele Davoust. Wysoki, barczysty, o twarzy szerokiej, czole dużem, łysy, jak kolano, o małych przystrzyżonych bokobrodach i charakterystycznem skrzywieniu brwi. W tych brwiach w pół wygiętych a w pół zsuniętych, był jakiś żal i znie-

chęcenie, zaciętość i wola żelazna, energia ponura, gwałtowna, a i flegma hartowna, ścinająca krew w żyłach nieprzyjacielowi, a te regimenty piechoty porywająca, prowadząca ze swywolną piosnką na ustach do zwycięstw, do grobu...

Davoust, jak Murat, duszę swoją miał odzwierciedloną w oczach.

Oczy marszałka były wielkie, szare, jasne. W oczach tych dobroć częściej gościła niż gniew, smutek raczej niż pogoda... Marszałek nie miał łaski monarszej za sobą. Droga do sławy była dlań drogą cierniową. Zaszczyty, które go spotykały... były jego prawem, jego zdobyczą, a tej mu zaprzeczyć nie mogli. Ostatni laur Auerstädtu przyniósł mu mitrę, lecz i niechęć. — Dwie bitwy równocześnie: Jena — to Bonaparte i — Auerstädt — to Davoust! Pierwsza była bitwą, druga rozbiciem Prus, — pierwsza to listek wawrzynu, druga starczyła już za wieniec laurowy; — dziesięć Jen trzeba było, aby zostać wielkim... Auerstädt starczył na nieśmiertelność. Tu wygrana, a tam pogrom. Tu walka z cząstką armii, a tu rozprawa z wojskiem, dowodzonem przez króla Fryderyka, z wojskiem, idącem w obliczu swego władcy na śmierć, rozprawa: „być albo nie być“...

Lecz pod Jeną dowodził Napoleon — Auerstädt przypadł w udziale Davoustowi. Marszałek został księciem Auerstädtu, a wzamian biuletyny, kroniki, a w ślad za niemi usłużna historya, mówić zaczęły tylko o... Jenie!...

Na Warszawę znów spłynęły dekrety, odezwy, proklamacye. Davoust publikował blokadę Anglii. Murat w tonie władcy, jako Joachim z Bożej łaski, namiestnik cesarza, ogłosił zniesienie rządów pruskich.

Tymczasem wieści z kraju szły obfite. Słowa Bonapartego, wyrzeczone w Poznaniu, dotarły już do Warszawy, głębokie czyniąc tu wrażenie. Każdy je tu sobie inaczej tłómaczył, każdy zachowywał w pamięci tę ich część, która mu najbardziej była po sercu.

— „Chcę ogłosić w Warszawie niepodległość waszą“ — mówiła starszyzna na radzie u pana Małachowskiego.

— „Chcę na nowo wrócić istność polityczną waszemu narodowi“ — powtarzano w domu generała Wojczyńskiego.

— „Czekam, abyście mnie przekonali o męstwie i odwadze waszej!“ — huczała młodzież, trzaskając szablami.

— „Niech widzę skutki waszego zapału, na słowach i oświadczeniach nie przestaję!“ — wołało mieszczaństwo, sposobiąc się do zamienienia łokcia na szponton, a garnca na żołnierską manierkę.

— „Los wasz jest dzisiaj w waszym ręku!“ — wykrzykiwano po cechach a gospodach.

— „Zobaczę... czy jesteście godni być narodem!“ — szumiał złowrogo głos rozwagi, głos zastanowienia, głos trwogi o tak zwodnicze, niepewne, mgliste jutro.

Nie czas było na zastanowienia. Iskry padły. Lud ruszył z miejsca, ruszył zapamiętały, szalony. Lud, który miażdży, który nie zna hamulca, który w zanadrzu nosi świadectwa na zdrajców i sprzedawczyków.

Lud, to potęga, siła niezmierzona, choć ukryta. Poruszyć ją z miejsca trudno. Czasem wystarczy frazes, skinienie, wyraz, a czasem ani przedłożenia, ani najwymowniejsze wezwania nie pomogą. Milczy i drzemie. Lecz, gdy się raz targnie z miejsca, to już idzie na oślep, idzie przed siebie, idzie do zapamiętania, choćby go czekała zguba pewna, choćby miał się stoczyć w przepaść, choćby miał zmarnieć, zczeznąć. Nie masz tamy dlań w pochodzie. Zdepcze tych, którzyby chcieli go zawrócić z drogi.

Hańba tym, co lud budzą daremno! Hańba tym, co, zbudziwszy go, nie umieją poprowadzić lub prowadzą na manowce!

Za Muratem i Davoustem nadjechał z Poznania, jak wicher, imć pan Józef Wybicki z sekretnymi rozkazami samego cesarza i wespół z księciem Bergu

jął rząd nowy ustanawiać — nie podobało się to wielce panom a magnatom polskim, którzy już poważne sobie czynili nadzieje na otworzyć się mające stanowiska i szemrali po cichu. Były poseł sejmu czteroletniego a komisarz legionów włoskich niewiele na to zwracał uwagi i zabrał się szybko do organizacyi.

Gubernatorem miasta nominowano generała Gauviona, prezesem administracyi Michała Kochanowskiego, prezydentem grafa Moszyńskiego, a prezesem trybunału Ossolińskiego. Zaczem jęto debatować nad utworzeniem siły zbrojnej. A był to szkopuł nielada. Bo choć generał Henryk Dąbrowski w Wielkopolsce działał z właściwym sobie impetem a energią, choć cztery pułki pierwsze niemal z pod ziemi wydobył, a już pod dowództwo Niemojewskiego, Downarowicza, Fischera i Wasilewskiego oddał — jednak tego było nie dość ani dla Bonapartego, ani dla potrzeb samoistnie działać znów mającego kraju.

Materyał wojskowy był obfity, lecz brakło mężów, którzyby zeń żołnierza wyrobić umieli i chcieli. Bonaparte zwrócił oczy na księcia Józefa i w myśl tych widoków cesarza Wybicki zaraz po przyjeździe do Warszawy udał się z samego rana do Poniatowskiego.

Książę Józef po nocy bezsennie spędzonej spoczywał jeszcze. Służba Wybickiego nie chciała wpuścić. Lecz ten natarł na nią tak żywo, tak zapalczywie, submitując się imieniem Napoleona, że w końcu zbudzono księcia i Wybickiego do sypialni wprowadzono.

Poseł cesarski jął odrazu przedstawienia swoje czynić a księcia namawiać, by porzuciwszy gnuśną bezczynność, na służbę francuską się deklarował i stanął na czele formować się mających polskich oddziałów. Poniatowski głuchem milczeniem przyjął pierwsze słowa Wybickiego. Lecz ten zbić się lada czem ani zniechęcić nie dał. Poniatowskiego znał i z dawnych jeszcze czasów wiedział, jak potężny duch a jak wielkie serce w nim bije. Nacierał dalej.

wystawiając mu potęgę Napoleońską, która z wyciągniętemi rękoma się jawi i wzywa teraz synów tej ziemi, by po złamaniu pierwszych zapór w szeregach stawali, wspominał o ostatnim Stanisławie, napomykając, że jeżeli ten słaby monarcha, nieudolny władca, choć sztuki lubownik, był plamą rodu, to on, książę Józef, dumą powinienby się jego stać i zmazać wszystkie grzechy, winy czy słabości mizernego stryja. — Ostatnie słowa podziałały.

Książę Józef szarpnął się niecierpliwie, na twarzy gorące mu wytrysły rumieńce.

— Mości Wybicki — rzekł wyniośle. — Czy nie za głęboko waść sięgasz!...

— Niema dość silnych, dość drażliwych argumentów, których w tej chwili użyćbym się nie ośmielił!...

— Czegóż więc cesarz odemnie żąda?!... Małoż mu generałów, małoż wodzów znakomitych i marszałków?!...

— Mości książę — odrzekł z mocą Wybicki. — Generałowie a marszałkowie francuscy są dla Francuzów. Nasze wojsko musi mieć własnych dowódców i to dowódców, którzy byliby krwią i ciałem zrośli z nimi. Nadto cesarz Napoleon ufa Waszej książęcej Mości, ma w wielkiem zachowaniu jego wysokie talenty wojskowe...

— Cieszę się bardzo, że cesarz raczy tak dobre mniemanie mieć o mnie, lecz zaszczyty jego mnie nie kuszą... Nie, mości Wybicki, zapomnijcie o mnie, zostawcie w spokoju. Dąbrowski, wreszcie pan Zajączek wystarczą — do takiego hazardu ręki przykładać nie chcę!...

— Hazardu?! Chyba w obecnej chwili ryzykować będziemy mniej niż kiedykolwiek...

— Mości Wybicki! Nie wiem, jak mnie waszmość sądzisz, lecz i ja mam niektóre moje przekonania i dowody nawet... Czy wiadomo waszmości, że... marszałek dworu, Duroc, jeździł do króla Fryderyka do Osterode?!...

— Tak jest, mości książę!..

— A wiadomo waszmości, po co Duroc jeździł?... Wszak były to propozycye zawarcia pokoju! Propozycye, w których o nas słowa jednego nie było...

— Prawda, lecz były to zarazem propozycye, które nigdy przez Fryderyka przyjętemi być nie mogły, bo nieomal zapowiadały zupełny upadek jego monarchii!... Był to manewr polityki dla ukrycia ruchów wojska, dla zamaskowania istotnych zamiarów. Jego cesarska mość, Bogiem się klnę, najlepsze względem nas żywi zamiary... chciałby jednakże przekonać się i widzieć, że...

— Że godni jesteśmy być narodem! — dokończył ironicznie książę. — On, szczęśliwy zdobywca, przychodzi do nas, po dwunastu wiekach historyi i chce nam dyplom podpisać na prawo uważania się za naród! Mości Wybicki! Przeszłość ciężka waćpana, jego poświęcenie, jego miłość dla kraju są mi zbyt dobrze znane, abym je stawiał w wątpliwość, lecz ty i tysiące innych jesteście w wielkim, w strasznym błędzie!... Kilka pustych słów oszomiło was!

— Nie i sto razy nie!... To, co się dziś dzieje — to praca legionów, to owoc dziesięcioletnich zabiegów, to żniwo po krwawej siejbie na italskiej ziemi! Bonaparte spłaca dług zaciągnięty...

— Bo potrzebuje świeżego żołnierza...

— Nie dla siebie, lecz dla ziemi, której nadać chce swobody!...

— Gdzież więc jest to wojsko, gdzież te regimenty?

— Mości książę, toć legia wraca z Italii. Mam wiadomości, że w korpusie Hieronima Bonapartego są już ułani!... Młodzież wreszcie z całego kraju przybywa!...

— Młodzież?!... A gdzież środki na wyekwipowanie!... Skądże ten wyniszczony kraj poniesie te ciężary?... Małoż go już samo przejście armii będzie kosztowało?!...

— Na pierwsze potrzeby sto tysięcy złotych jutro dostarczę!...

— Nie tak gorąco, waszmość, bo suma to dziś nielada!...

— Wiem, mości książę!... Klnę się, ubogi jestem, bo mi Prusacy fortunki uszczuplili, lecz... dwadzieścia tysięcy ja dam, a tuszę sobie, że inni się znajdą hojniejsi!...

Poniatowski wyciągnął rękę do Wybickiego:

— Tu prawość waszmości poznaję!...

— Więc, mości książę?!...

Poniatowski milczał, jakby z samym sobą walcząc i odpychając pokusy — a po namyśle odrzekł cicho:

— Nadtoś szybki, mości Wybicki. Waham się. Gry się tej obawiam, bo nie widzę jej końca. Napoleona potęga z pod ziemi wyrosła, a tacy mocarze ukazują się i nikną, jak owe zjawiska niebieskie.. Daj zastanowić się, daj rozważyć!... Tak! Niemniej tego waszego Bonapartego i ja podziwiam. Oczarował was. Ot, wy, mości Wybicki, szeroką drogą idziecie, lecz patrzcież, tuż obok, w alkierzu moim, leży gorączką powalony młody legionista; od wyrostka tułał się za Napoleonem, dzieckiem prawie był w kampanii dziewięćdziesiątego drugiego roku i odtąd ani dnia, ani nocy spokojnej może nie miał. I ani szarży nie wyniósł, ani majątku, bodaj krzyż żołnierski ma! A wierzy w tego Bonapartego, a ufa mu — aż strach pomyśleć!...

— Takich były tysiące!...

— I dlatego zmarniały, znikły. Iluż dzielnych żołnierzy, znakomitych oficerów zginęło!... Masz przecież dowód — Napoleon jeszcze chce czynów, jeszcze żąda ofiar!...

— A jakąż inną politykę wasza książęca mość mniemasz być lepszą dla nas?!...

— Politykę!?... Ba! Wiele — bardzo wiele możnaby powiedzieć, lecz teraz zarzewie, waszą rzucone ręką, podobno wszelkie plany w niwecz obróciło!... Albo trzeba się usunąć, albo...

— Otóż, mości książę, i tu ultima ratio, jako na dłoni. Racz mnie nie uważać za wysłańca Bonapartego, lecz za obywatela kraju, za człeka, który może

błądził, lecz który dobra jedynie chciał zawsze i nie dla siebie, bom za to wyzuty z ojcowizny. Mości książę, źle się stało czy dobrze, lecz stało się!... Jeżeli przeto suponujesz, że nie na gody nam się zbiera, że na zagładę pójść mamy i musimy — to prowadź-że, abyśmy zginęli z chwałą, aby powiedziano w przyszłości: pomylili się, zawiedli, lecz byli prawymi synami ziemi. Atoli ja, mości książę, tak czarno nie patrzę, a bodaj całej nabiorę ufności, gdy waszą książęcą mość na czele naszem zobaczę!...

— Cóż zatem mam czynić!? — zagadnął krótko Poniatowski.

— Książę Bergu czeka...

— Murat! — poprawił niechętnie książę Józef.

— Tak jest. Gdyby nie przypadłość nagła... niewątpliwie samby się stawił.

— Przypadłość — tak niespodziewana?...

— Parol szlachecki, że prawda. Marszałek, jako może waszej książęcej mości wiadomo, mimo swych zalet wojskowych, jest płochy i nieraz lekkomyślność swą zdrowiem już przypłacił!... Przeto mogę mu zwiastować przybycie waszej książęcej mości?!...

— Nie wiem — namyślę się!...

— Mości książę, na odpowiedź waszej książęcej mości czeka nie marszałek, nie cesarz, ale ziemia.

Wybicki skłonił się i wyszedł.

Poniatowski zerwał się z posłania i jął się pośpiesznie odziewać. Myśli, które w nim obudził Wybicki, paliły go, trawiły.

Iżaliż przystało jego godności, aby szedł na służbę? Nie ciągnięto go już i na dwór austryacki i pruski? Miałże teraz dać się porwać? Miałże traktować, a może uniżać się przed francuskim marszałkiem. Któż bo znów go woła!?... Przez lat dziesiątek ścigały go służalcze spojrzenia tej hałastry pustej, próżniaczej i pogardliwe uśmiechy Katonów!... Oni byli perłami narodu, oni owem czystem ziarnem, a on bezmyślnym pustakiem, zawadyaką, lekkoduchem, przeskakującym z kwiatka na kwiatek! Bonapartemu może potrzeba imienia, tytułu starszego od jego tronu i jego

korony! Nie — nie! Niech ci godniejsi, ci bez zmazy mu służą, proch przed nim zmiatają. On sam zostanie ze swoimi myślami, ze swoją pustotą i ze swoją Blachą!...

Książę drgnął zlekka — z poza drzwi, prowadzących do alkierza, doszedł go jęk rzewny, przejmujący.

Poniatowski otworzył drzwi. Floryan leżał na posłaniu blady, bezprzytomny, a z piersi jego płynęła jakby skarga, jakby ból żałośny.

Książę Józef zbliżył się troskliwie do chorego i ujął go delikatnie za rozpaloną rękę.

Gotartowski otworzył oczy, a z ust jego dobył się szept przeraźliwy, gwałtowny, wstrząsający — to trwożny, nieśmiały prawie, to znów mocny a nieugięty.

Poniatowski z oderwanych słów Floryana chciał wątek wyciągnąć — napróżno, wyrazy padały bez ładu, pozornie bez związku. Naraz matowe oczy kapitana błysnęły, a ręka jego zacisnęła się około ręki księcia w kurczowem ujęciu, na twarzy Gotartowskiego zajaśniał tkliwy uśmiech.

— Jak tu jasno! — szeptał chory. — Jasno wszędy... Grają!... To gwardya idzie!... Stara gwardya... grenadyerzy!... A za nimi legia... Idą prosto... A Warszawa aż dudni!... Hej gody wielkie!... Wiwat!!... Baczność — cesarz!!...

— Najjaśniejszy panie... porucznik Gotartowski pierwszej legii, pierwszego batalionu, drugiej kompanii! Naprzód! Szlusuj!!...

— Zośka moja!... Nie, nie mogę — pisanie do księcia! Waćpannie figle!...

— Dlaczego tak głucho, tak pusto?... Wojsko? Kto przewodzi? Nie książę!? Fałsz! Jam patrzył nań pod Marymontem! On tu jest!...

— Wszystko znikło naraz — przepadło!... Dom pusty, Zośkę zagarnęli... ni matki, ni brata! Gdzie bitwa, gdzie wojna, tam mnie prowadźcie!... Chciałbym umrzeć — niech strzelają, byle prosto w serce!... Niema go!? Prawda! Zczerniały żużel został tylko!...

— Boże, bądź miłościw!... Jam grzesznik wielki... Skusiła!... Tak, jam pragnął, jam się ważył... myśleć o sobie!...

— Boże, bądź miłościw! I bluźniłem, że czternaście lat to dosyć, że teraz innym pora!...

— Boże, bądź miłościw! I krwi swojej chciałem skąpić! Jezu!...

— Nie! Ja ją miłuję, miłować muszę! Nie zabierajcie jej odemnie!... Raz jeden jeszcze, raz tylko... niech spojrzę jej w oczy!... Tam szczęście moje mieszka!... Czyż nawet raz jeszcze zobaczyć szczęścia nie wolno!?

— Pobudka! Naprzód! Naprzód... tam, na wzgórzu, cesarz stoi i ku nam patrzy!... Trzymaj szereg! Równo! Pod twoim przewodem złączym się z narodem!

— Kula armatnia... płynie w obłoczku... płynie ku mnie... Bij!... Uderzaj tu... w pierś... tam została jeszcze kropla krwi... Boże, bądź miłościw!... Cesarz!...

Gotartowski jęknął głucho — głowa jego zwiesiła się bezwładnie na poduszce.

Książę Józef otarł pot zimny z czoła, i opanowywując wrażenie, któremu pod wpływem maligny Floryana uległ, zadzwonił na służbę.

— Po medyka kto żyw! — zakrzyknął na pokojowca.

A gdy ten nadszedł, a do aplikowania leków i krwi puszczania się zabrał, Poniatowski kazał do kolebki zaprządz i do pałacu Raczyńskich, do marszałka Murata ruszać. Tu atoli dowiedział się, że książę Bergu, przekonawszy się, kim był pałacu właściciel, a jak szpetnych dopuścił się czynów, wyniósł się coprędzej do imć pana Aleksandra Potockiego.

Okoliczność ta ujęła księcia Józefa. Wszedł do komnaty namiestnika cesarskiego spokojny, zdeterminowany.

Murat z wyszukaną uprzejmością, która aż na uniżoność zakrawała, przyjął księcia i zaraz jął się rozpływać w komplementach a pochwałach dla talentów wojskowych Poniatowskiego, dając do zrozumienia, że Napoleon potrafi ocenić jego gotowość.

Książę Józef odrzekł zimno:

— Panie marszałku! Racz zapewnić jego cesarską mość, że będę wiernym sługą...

— Mości książę... przyjacielem, sojusznikiem...

— Nie! — przerwał z naciskiem Poniatowski. — Będę wiernym sługą ziemi ojczystej!

Murat się stropił nieco tak niespodziewanym zwrotem, lecz potrafił zręcznie skierować rozmowę na materye wojskowe.

Nadszedł Józef Wybicki. Rozmowa potoczyła się żwawo.

Poniatowski, z początku zimny, obojętny, rozgrzał się, — i zanim marszałek zdołał rozważyć a zastanowić się, jak sobie poczynać należy, aby uruchomić co prędzej a raczej stworzyć nową armię — książę Józef już dyktował Wybickiemu pierwsze rozkazy i przedwstępne zarządzenia, ogarniając szybko sytuacyę i najdrobniejszego nie pomijając szczegółu.

Aż Murat się zdziwił.

— Znakomicie! Przepysznie! — przytwierdzał z zachwytem. — Toć plan cały. Kto inny miesięcy by potrzebował na ułożenie go!...

— Bezwątpienia! — przyznał szczerze Wybicki.

— Był czas po temu! — uciął obojętnie książę Józef.

Narada dobiegała do końca. Poniatowski przyrzekł zająć się organizacyą, zastrzegając się jednak, że dalszy jego współudział zależnym będzie od Bonapartego.

Murat gorąco ściskał księcia za rękę i świetną przyszłość mu wróżył.

— Mości książę, tego się po panu spodziewaliśmy!... Najjaśniejszy pan będzie niezmiernie zadowolony. Tylko pod jego zwycięskimi orłami miejsce dla takich, jak pan, generałów! Ręczę słowem, że Wasza książęca mość nigdy żałować nie będzie.

Poniatowski zagryzł wargi.

— Panie marszałku! — rzekł po namyśle — trzeba, żebyśmy się dobrze zrozumieli!... Nie zaszczyty, nie honory i nie łaski wielkiego Napoleona kuszą mnie

i skłaniają do powzięcia tego kroku, lecz — patrz, panie marszałku! — Oto, co mnie niewoli!...

Poniatowski pociągnął zlekka Murata ku oknu. Środkiem ulicy szła gromada ludu, wznosząc okrzyki na cześć idących śród niej dwóch grenadyerów francuskich. Chwilami, gdy okrzyk milknął, przebijały się słowa piosnki swywolnej a pełnej ognia i zapału:

Czego szewcy nie zdołają — krawcy między sobą skrają,
Czego kowal nie dokuje — to im rzeźnik dożyłuje!
Danaż — moja dana!

Przed ciżbą biegł bosy chłopczyna, ledwie spencerkiem na ziąb okryty, i wymachując płachetką, niby francuski sztandar naśladującą, wtórował dyszkantem — wyrazami nagle na bruku warszawskim urosłymi:

Fryderyka błaga żona — chwyćże za łeb Napoliona!
Niechże pozna siaki taki — co Prusaki, co krzyżaki!
Fryc zakasał... szarawary — i nuż imać się za bary!!...
Lecz mu szpetnie zbito kości—strzeż się, Frycu, swej jejmości!!...
Hu — ha!!...

Murat spoglądał przez chwilę bezmyślnie na ten tłum pstry, cudaczny, ze wszystkich warstw nieomal zbierany — nie rozumiejąc Poniatowskiego. W końcu odgadł.

— Hm! Tak — istotnie! — bąknął, nie chcąc dopuścić do jaśniejszych tłómaczeń.

Poniatowski pożegnał Murata, przyrzekając mu natychmiastowe zajęcie się organizacyą i utworzeniem tymczasowego zarządu wojskowego.

Po oddaleniu się księcia marszałek odezwał się z lekkim przekąsem do Wybickiego:

— Ten wasz książę jest bardzo wspaniały... szkoda, że go ominęła korona, byłoby mu w niej bardzo do twarzy!...

— Kto wie!... Najjaśniejszy pan mocen jest! — zauważył spokojnie Wybicki.

— Masz pan to przekonanie?... Wątpię! — rzucił przez zęby marszałek i chmura niedostrzeżona przesunęła się po jego białem, gładkiem czole. — Byłby to krok nieostrożny ze względu na Austryę!... Prędzej już w inny sposób!.. Tu musi stanąć ktoś, ktoby niejako był namiestnikiem cesarza!...

— Może kto z rodziny cesarskiej!...

— Tak sądzę!...

— Wasza książęca mość... gdyby...

Wybicki urwał nagle.

— Co... gdyby?!...

— Gdyby wasza książęca mość raczył!... Toż szczęście byłoby nielada dla kraju całego.

Murat połknął gładko przygotowaną pigułkę. Uśmiech dumy i zadowolenia zajaśniał mu na twarzy. Wybicki uderzył w najczulszą marszałka strunę. Korony chciał, pragnął, marzył o niej... I to korony nie ukutej na pobojowisku, jak westfalska, lecz korony trwałej, korony, mającej już historyę, korony ludu jednolitego!... Bo ona mu się należała, bo gdyby... nie było Murata, nie byłoby komu dowodzić w zamachu stanu, nie byłoby Bonapartego — bo gdyby nie było Napoleona, to byłby... Joachim!!

— Nie wiem, panie Wybicki! — odrzekł przyjaźnie marszałek po dłuższej pauzie. — Owszem, dla Polaków mam wielką sympatyę, prawdziwą. Lud dzielny. Gdyby miał przezorniejszych monarchów, energiczniejszych, były dane po temu, ażeby stanął wysoko!... A może i ma teraz!... Tak... tu potrzebny jest ktoś, ktoby się poświęcił, oddał całkowicie pracy...

— Chciej tylko, Wasza książęca mość! — podtrzymał żarliwie Wybicki, w którego ognistej wyobraźni już widniało potężne królestwo Joachima pierwszego.

Murat położył rękę na ramieniu byłego posła.

— Panie Wybicki! Zobaczymy!.. Wiedz, że mam wielkie do niego zaufanie. Najjaśniejszy pan sam w liście odręcznym raczył się wyrazić, że na pań-

skiem zdaniu polegać można!... Panie Wybicki, ja go... ze swej strony uważam już nietylko jako posiadającego zaufanie cesarza, lecz jako... mego najpierwszego doradcę!

— Mości książę!...

— Ty znasz tu ludzi, stosunki... więc radź, decyduj, wybieraj, stanie się po twojej myśli. A co dalej będzie, okaże się niebawem, jak cesarz przyjedzie!...

I Wybicki rządził, a po Warszawie kursowała wiadomość o przyjeździe Napoleona.

Wiadomość ta poruszyła wszystkich.

Magnaci a panowie szykowali się do okazałych wystąpień, układali ceremoniały powitalne, koncypowali mowy, rozpisywali listy po kraju do krewnych a powinowatych, żeby co tchu, bodaj zapożyczywszy się, zjeżdżali, aby tak wielkiej okazyi nie pominąć. Ci petycye całe stosowali, inni radzili, co i jako mocarzowi należy przedstawić, a jako słowo zeń stanowcze wydobyć. Dawni możnowładcy już o urzędach przemyśliwali a marszałkom: Muratowi i Davoustowi się wdzięczyli. Każdy z nich albo dla siebie o krześle senatorskiem dumał, albo synów swych a familiantów promować zamierzał. Damy zawczasu już debatowały, iżby cesarzowi francuskiemu według mody a co najpiękniej się sprezentować. A jużci to było zadanie, zważywszy, iż Bonaparte musiał się nie lada wytwornościom paryskim napatrzeć. Stąd i kłopoty, i zakupy pośpieszne, i gorączkowy niepokój, iżali krawcowe sprostają zadaniu. Mieszczaństwo znów kłopotało się o przyjęcie, o uhonorowanie należyte monarchy. Szyto co duchu chorągwie, gotowano transparenty, girlandy. Tu i tam już i sprzeczka się wszczęła z powodu, iż kogoś skrzywdzono, wyznaczając mu przy wjeździe uroczystym miejsce nie dość poczesne.

Armia francuska nie mniej myślała o swoim wodzu. Pułki francuskie codzień odbywały rewie paradowe, mistrze pułkowi doprowadzali do ładu kulbaki, mundury, broń, lederwerki. I tu nadzieje

ożywiały wszystkich. Spodziewano się przeglądu; a więc i słów miłościwych, i krzyżów, i awansów.

Książę Józef pracował już nad uformowaniem gwardyi narodowej. Posiłkując się częścią pomocą francuskich oficerów sztabu Murata, a częścią gorliwemi służbami dawnych żołnierzy i legionistów — doglądał musztry, przyjmował rekruta, zachęcał, krzepił, zabiegał, o wszystkiem myślał, a kłopotał się o każdy patrontasz, o każdy kaszkiet. Aleksander Janicki, Wolański, Mekin i Sawicki, dawni kapitanowie, stanowili tymczasową kancelaryę Poniatowskiego; Aleksander Potocki został pierwszym dowódcą pierwszego pułku, Krasiński Józef i Wituski Jan „grossmajorami", bataliony wzięli Szubert i Winterstein. Kompaniami przewodzili kapitanowie: Schroeder — kupiec, Krauze — piwowar, Nafok — mieszczanin, Gąsiorowski — rymarz i Orłowski — szewc. A porucznikami rozmaici żołnierze szczerzy, doświadczeni, którym nie raz przychodziło kopyto mieniać na pałasz, młot na karabin, a nożyce na szczotkę armatnią.

Ruch inny znów zapanował w Warszawie. Warsztaty huczały, dygotała ludwisarnia, pod Arsenałem, na placach rozlegały się pobudki, nad Wisłą wyznaczony „tamburmetr" francuski, Larose, uczył nowo zaciężnych doboszów sygnałów, znaków, gromów.

Każdy coś sobie obiecywał, czegoś się spodziewał. Ba! Toć dziad z pod Fary, trzęsący się, zaschnięty na poły ze starości, tabakę pociągał i po przydaniu jeszcze jednej „Zdrowaśki" na intencyę „Napoljona", mrugał zamglonemi oczyma i mówił do sąsiadki swej, staruchy, żebraczki ociemniałej:

— A przecież go zobaczę!...

Baba kurczyła ścięgna martwych oczodołów i wzdychała płaczliwie:

— Jużby się pan Jacenty z kalectwa ludzkiego nie natrząsał!...

Napoleon bawił w Poznaniu i stamtąd co dnia padały na Europę słowa potężnego władcy. Codzień niespokojny, ruchliwy błyskawicznie umysł Bonapartego nowe snuł plany. Były chwile, iż Napoleon, jak

ów duch, patrzący na mizerne światełka życia ludzkiego, ważył się spoglądać na szachownicę Europy. Patrzył i mówił, zda się:

— Tu będzie królestwo Hieronima!... Józefowi dam Hiszpanię, Ludwikowi i Eugeniuszowi także się berła należą — dostaną je!...

On mocen się czuł całe połacie ziemi wykrawać obcemu państwu i samoistne królestwa stanowić. On nie pytał, czy i kto jakie ma prawa dziedziczne. Mówił tak spokojnie, tak pewnie — „ty będziesz królem“ — jak zwykł był mówić żołnierzowi — „jesteś kapralem“ — lub kapitanowi — „jesteś pułkownikiem!...“

Niczem mu był opór sąsiadów, noty dyplomatyczne, przedstawienia. Praw swoich dowodził w tak przekonywający sposób, przemawiał tak wymownie armatami i żelazem, że najstarsze dwory godziły się na tych pomazańców... napoleońskich.

Jedna Anglia nie dała się ująć, ani upokorzyć, ani ugłaskać. Niby zły duch geniuszu Bonapartego, nie ustawała minowej prowadzić roboty. Nie było zatargu z Francyą od lat dziesiątka, nie było dyplomatycznej intrygi, groźby, zagmatwania, wrogiego Napoleonowi przymierza, wojny, w którejby Anglia nie brała widomego lub ukrytego współudziału. Jeżeli nie żołnierz angielski, to broń, amunicya, pieniądz, obietnica, zaręczenie odsieczy... były i pod Arcole i w Egipcie, na St.-Domingo i pod Tulonem, przy Finisterre i pod Ulmem, i pod Austerlitz, i pod Jeną!...

Bonaparte zgrzytał zębami, czytając codzień bezecne insynuacye angielskich dzienników, — system blokady, skierowanej przeciwko Anglii, wprowadzał na lądzie z orężem w ręku. Miliardy strat pieniężnych ponosiło Królestwo brytańskie, a mimo to, lew nie mógł dosięgnąć żerującej na wybrzeżach foki. Ostatnia klęska, zadana flocie francusko-hiszpańskiej u przylądka Trafalgar, spać Bonapartemu nie dawała. Brakło mu ludzi takich jak Nelson!...

Wspomnienie imienia Anglii w dniach najświetniejszych tryumfów marszczyło brew Napoleona. Nie mogąc zatopić angielskiej marynarki, ani orłów zwycięskich na wyspach Wielkobrytańskich wysadzić, postanowił Anglię zamorzyć, doprowadzić do stanu, w którymby samą siebie zjadać zaczęła.

Jakoż na szachownicy dyplomatycznej w ciągu dni kilku niespełna dwa doniosłe zrobił Napoleon posunięcia. Turcya wypowiedziała wojnę Rosyi. Armia, która dążyła na okiełznanie, wstrzymanie pochodu Francuzów, została osłabioną, rozdwojoną. Pod Benderami i Chocimem rozpoczęła się już walka krwawa, gdy Bonaparte plany przejścia Wisły jeszcze ważył. Drugi manewr — to pozyskanie elektora saskiego dla ligi reńskiej, dla Francyi. Za dwadzieścia tysięcy wojska na skroniach Fryderyka Augusta błysnęła korona, a wielkiej armii przybyły obfite śpichrze i uczciwy sojusznik w środku Europy.

Warszawa czekała, czekała Napoleona, czekała na słowa, które miały losy jej rozstrzygnąć. Rząd tymczasowy, ustanowiony przez Wybickiego, złożony z izb: wojennej i publicznej, przeszedł był już pierwsze ognie swych narodzin. Przygotowania do uroczystości wjazdu ukończono — czekano tylko sygnału, aby ostatnie zarządzenia poczynić, w szaty godowe ustroić miasto, kwiatami drogę do Zamku usłać.

Dnie mijały. Józef Wybicki codzień pytał Murata, kiedy Bonapartego spodziewać się należy, i codzień odbierał odpowiedź, że cesarz bawi w Poznaniu, lecz niewątpliwie lada dzień sztafeta nadjechać może.

Była cicha, jasna noc grudniowa. Niebo mrugało, mieniło się od gwiazd, a ziemia, niby odpowiadając mu, iskrzyła się kryształami ściśniętego mrozem śniegu. Gmachy Warszawy, wieżyce, a wysmukłe kamieniczki, spłaszczone dworki, pałace, przystroiły się w koronkowe obramowania, we wzorzyste na szybach desenie. Każda linia, każdy kapitel pilastru, każdy złom pysznił się białą delikatną wypustką. Snieg był tu dla wszystkich równomiernie hojnym, równomiernie wspaniałym. Z równą szczodrością biegł ku górze, w ślad

gotyckich ostrołuków katedry, jak i wyścielał bogate balustrady Łazienkowskiej siedziby. Rozpościerał się szeroko na bani karmelickiej, lecz tuż za nią i domków ubogich Powiśla nie pomijał. Ba, jakby tym ostatnim chcąc nagrodzić ich wątłość, ich nieszczelność, dachy im okrywał kilkocalowemi kołdrami, maleńkie okienka rzeźbił piękniej... kunsztowniej, a u poddaszy sople stalaktytowe zawieszał.

Śnieg i mróz — dwaj wielcy artyści. Pierwszy z niezmierzoną wytrwałością a flegmą buduje, atom do atomu przystawia, układa, z miliardów lekkich, nieuchwytnych, rozpływających się za lada ust oddechem cząsteczek wznosi całe zawały, groźne, nieprzebyte. A gdy mróz, śniegu kumoter, przyjdzie pracę puszystą oglądać, a prześlizgnie się tylko po pierzastych wstęgach, wypustkach, równinach, tu owilgłe kryształy ściśnie, tam zewrze słabo przystające piórka, ówdzie wygładzi, wypoleruje, a tchnie chrupotem a tężyzną — wówczas... w noc cichą, jasną ziemia hardo ku firmamentom niebieskim spogląda i skrzy się, jak one, i błyszczy.

Śnieg i mróz — dwaj wielcy artyści! Nic to jeszcze, gdy spełniać im przyjdzie powszednią swą pracę, nic to, gdy niwy szerokie okrywać muszą a ruń zbóż ozimych otulać, ziemię przejmować i ziębiąc, studząc, równocześnie grzać i chronić... Ot, praca powszednia...

Dopieroż, kiedy śnieg na drodze swego opadu spotka jodłę, sosnę a świerk wystrzelisty, zielonopióry... tu zaczyna się czysta, podniosła sztuka wielkich rzeźbiarzy zimy.

Więc śnieg, dojrzawszy świerk, czeka. Czeka zawieszony w szarym obłoku, czeka uciszenia się wiatrów, czeka, aby mu nikt w pracy nie przeszkodził. Upatrzywszy chwilę, rzuca najpierw garść białych płatków.

Płatki unoszą się w powietrzu powoli, dziesięćkroć razy każdy z nich przysiędzie, zanim się usadowi na zielonej kiści, zanim strzępiaste jego odnogi do strzępiastych gałązek przylgną. Gdy śniegowe forpoczty się rozsiądą — za niemi leci zwarta fala pła-

tków, lecz drobniejszych jeszcze, przezroczystych prawie... A potem już tuman za tumanem, garść za garścią. Białe gwiazdeczki kotłują się, igrają między sobą, gonią się, wzbijają do góry, otaczając świerk od rozłożystej podstawy aż do wysmukłego wierzchołka.

Robota taka trwa godziny, czasem dnie, a niekiedy i zimy bez mała trzeba, aby świerk ustroić.

Za śniegiem przychodzi mróz. Niewiele mu już do czynienia pozostaje. Cztery ,pięć tchnień mocnych — i dzieło gotowe, dzieło misterne, dzieło niezrównane.

I dziwią się wszyscy. W dzień słońce ogląda świerkową szatę i ze zdumieniem patrzy na bogactwo, na przepych.

Świerk, otulony srebrem, przetykany dyamentami, rubinami przeczystej wody, modrymi szmaragdami.

Tu szafir błyśnie i w opalowych rozpłynie się ogniach, tam wątła kiść świerku, koronkową a sutą brodą strojna, chwieje się lekka, wiewna.

Dziwi się słońce. Przychodzi księżyc. Trupiobiałymi promieniami przeziera uśnieżony w kryształy zaklęty świerk. Przeziera go wskróś prawie, szuka długo, napróżno, coby tu zganić można... Wreszcie, już chce się zdobyć na westchnienie i powiedzieć — i cóż, kiedy pałac ten... głuchy, pusty, zimny, niezamieszkały! — lecz oto u spodu światło jego zbudziło oczy duże, wypukłe, załzawione, patrzące smutnie a poczciwie... Szarak się poruszył i słuchy wytężył. Cisza — grzebnął skokami silniej i przycupnął w kotlinie. Jego tu królestwo, jego zamek.

Pusto było na drodze od Błonia ku Warszawie idącej. Ta część kraju po dniach gorączki, po nocach, pełnych szczęku oręża i alarmujących wystrzałów, spoczywała w śnie miarowym, spokojnym. Armia francuska szeroko rozrzuciła swe pułki i widety. W środku jej można było nie troszczyć się już ani o spóźnione gromadki jeźdźców, ukazujących się na drogach, ani o całe bodaj oddziały. Przestano się niepokoić i oddalonym tętentem, i dźwiękiem sygnałów. Ten, co jechał drogą, swoim być musiał, bo któżby

się ważył między rozstawione kolumny francuskie wkraczać?

Spało Błonie. Spała snem twardym Warszawa. A tymczasem drogą, przez Błonie idącą, pędziło dwóch jeźdźców. Jeźdźców dziwnych, i ze stroju, i z zachowania się, i z zamienianych niekiedy, urywanych wyrazów.

Pierwszy, otulony krótkim, zielonym surdutem podbitym futrem, w łosiowych spodniach, w nasuniętym mocno na czoło stosowanym kapeluszu, przekręconym według mody rewolucyi i Dyrektoryatu, parł naprzód białego, jak mleko, araba.

Drugi w wielkim zawoju wschodnim, w białym burnusie, narzuconym na jaskrawą odzież, z wielkim kindżałem i krucicami za pasem, jechał o dwa kroki za pierwszym jeźdźcem na koniu, jak kruk, czarnym.

Arab pruł powietrze i sunął naprzód sam, bez ostróg, bez targnięcia cugli. Cwałował a płynął, zda się. Suchy, kształtnie wygięty kark ani drgnął prawie, chody prężyły się i zginały z siłą niepomierną a giętkością i wdziękiem. Krew w arabie grała; każda żyłka delikatnych a stalowych pęcin drgała; błyszczące oczy rumaka toczyły ognie. Niekiedy arab szarpał niecierpliwie munsztukiem, zgrzytnął cisnącem mu pysk żelazem, lub zarżał przeciągle, dźwięcznie, hardo.

Kary dążył tuż za siwym, ani razu nie ważąc się łba przedeń wysunąć, ani usiłując nawet pójść z nim w zapasy.

Jeździec w burnusie zdawał się konia swego naśladować. Z bałwochwalstwem jakiemś pędził za pierwszym jeźdźcem, nie spuszczając zeń wzroku. W jego zaniedbanej, pochylonej postaci każdy ruch mówił, że jest cieniem tego, co jechał przed nim, że rzeczą jego jest zgadywać i spełniać.

W karczmie przydrożnej pod Błoniem migotało spóźnione światełko. Pierwszy jeździec osadził nagle araba przed karczmą i rzucił ostro:

— Rustan!...

— Sire!...

— Może tu kogo znajdziesz!... Zapytaj się o drogę.

Jeździec w burnusie jednym rzutem ciała zeskoczył z konia, cugle na kark mu cisnął i wpadł do karczmy.

Pierwszy jeździec czekał, uderzając niecierpliwie szpicrutą po wysokich cholewach. Arab nerwowo bił kopytami w ziemię i oglądał się na potulnie stojącego obok karego towarzysza.

Czerwone światełko z okna karczmy padło na jeźdźca, błysnęło w złotym lampasie czapraka i jego bogatej cyfrze, i przesuwając się zwolna, oświetliło twarz jeźdźca. Twarz jasną, ściągłą, wyrazistą, pełną linij silnych, mocnych, o nosie kształtnym, czole wysokiem, oczach palących, ustach wygiętych foremnie, brwiach równych; twarz, która wyryła się już w milionach serc, dusz, mózgów — twarz, mająca w sobie coś z dumy i szlachetności Brutusa i coś z gwałtowności i porywczości Kaliguli, coś z Nerona i coś z Hannibala. Gdy pogodne na pozór czoło tej twarzy skurczyło się w pionowy fałd, gdy się te brwi ściągnęły, to biła od niej taka wola nieugięta, taka stal, taki hart, przenikliwość, ogień, potęga... że musiały drżeć tysiące, musiały korzyć się piramidy, a pełzać ludy.

Taką miał twarz Bonaparte.

W brwiach chmury, w głosie gromy, w oczach pioruny. W jednym wyrazie umiał zakląć wszystko, co żołnierzowi dawało odwagę, poświęcenie, co prowadziło go do bohaterstwa. Jednem skinieniem, jednym ruchem miażdżył i wyzywał, karał i nagradzał. Postać jego, szczupła na pozór, drobna, miała lwią siłę, moc, którą mieć musiał i Cyrus, i Aleksander Macedoński, i Cezar, i Atylla.

Po dłuższej chwili Rustan wybiegł z karczmy.

— Sire! — zaraportował. — Niepodobna się z nimi rozmówić!...

— Żołnierzy — oficerów?!...

— Ani jednego!...

Jakby na potwierdzenie słów Mameluka, drzwi karczmy otworzyły się szeroko — w progu zarysowały się trzy ciekawie patrzące ku drodze cienie.

Bonaparte zakrzyknął ostro po francusku. Jedna z postaci, odgadłszy, że ktoś je przywołuje — wysunęła się ku przodowi i zgięła się nisko.

— Droga do Warszawy!? — zagadnął Bonaparte znów po francusku.

— Psieprosiem wielmożne osobe... może osobe życzy przenocować? O jej! Poszczeli się znajdzie! Dziękować Bogu, różne oficery już nocowali.

— Varsovie! — syknął niecierpliwie Napoleon, nie rozumiejąc uprzejmych zaprosin.

Karczmarz skurczył się do ziemi prawie.

— Co wi?... Ja nic nie wi!... co mnie do tego! Byli panowie Prusaki, teraz są wielmożne Francuzy! O jej! Czy to ja trzymam rogatki! Żadne kopytkowe niema! Jadą sobie drogą... niech sobie jadą!...

Bonaparte targnął się niecierpliwie, aż arab zarył kopytami.

— Rustan! Co robić?...

— Ty wiesz... sire! — odrzekł Mameluk, chyląc głowę, a ręce krzyżując na piersiach.

— Bacz na konie! Musimy się tu zatrzymać! Może kuryer lub ktokolwiek, do pioruna! przejeżdżać będzie, co nam drogę wskaże!

Napoleon zeskoczył lekko z konia, rzucił cugle Rustanowi i pewnym krokiem wszedł do karczmy — prowadzony przez żyda arendarza i żydowice.

Karczma pod Błoniem była, jak wszystkie owoczesne karczmy, brudna, ledwie okratowanym szynkwasem, ławami i kilku stołami zastawiona, oświetlona syczącą łojówką, zatkniętą na gwoździu przy szynkwasie, pełna zaduchu, świecąca pustką.

Bonaparte rzucił okiem po izbie, wzdrygnął się i, nie zwracając uwagi na szwargoczących doń żydów, jął wielkimi krokami mierzyć karczmę.

Arendarz tymczasem z żydówkami dreptał za swoim gościem i napraszał się.

— Wielmożna osoba może życzy krupnik? Taki krupnik jak u Moszka he... to jego może na całym świecie niema! Nie?!...

— Czekaj, czekaj! — przerwała starsza żydówka — Co ty wielmożnej osobie zawracasz głowę z krupnikiem! Osoba pyje może same wyno! Proszę wielmożnego pana... ja doradzę, ja powiem... maślacz!!... No — już?!... Maślacz!!

— Salcia! Jejej! — dziwiła się druga żydówka. — Tobie się zdaje, że każdy musi pić zaraz! Wielmożny oficer... może chce jeść! Jedno słowo! Ośm jajki na jajecznicę! Co?! Mam głowę!!..

— Tsyt! Sza!! — wmieszał się arendarz. — Najpierw kuń! Potem oficer! Taki jest wojskowy porządek!... Może dwie miarki owsa?!...

Bonaparte nie zwracał z początku uwagi na bezładne okrzyki i na to asystowanie mu, lecz nagle uczuł, że go ktoś trącił w ramię. Odwrócił się ostro i chciał zgromić śmiałka — lecz ujrzawszy pociesznie wykrzywioną trójcę, która mlaskając językami, potrząsając butelkami i giestykulując żywo, chciała mu na migi wytłómaczyć, jak znakomicie karczma była zaprowidowaną — roześmiał się.

Karczmarzowi tego znaku tylko było potrzeba. Bez ceremonii zbliżył się już do Bonapartego, ujął go pod ramię i do ławy poprowadził — kurz strzepnął połą chałata i gościa usadowił; zaczem, skinąwszy na żydówki, jął zastawiać cynowe talerze, kubki, butelki, chleb, ser, jaja gotowane. Aż starsza żydówka go napomniała:

— Moszek! Moszek! Ty nie wiesz, co robisz!... Taki... ni wojskowy, ni szlachcic... on ci może nie zapłaci!...

— Co to nie zapłaci!? Niech spróbuje!

— Wielka rzecz!... Mało tu rozbójników rozmaitych! Sam jeden — no, we dwóch po nocy się włóczą!...

Uwaga żydówki podziałała piorunująco — zapał karczmarza ostygł w jednej chwili. Spojrzał nieufnie na gościa.

Bonaparte, ubawiony niespodziewaną przygodą i tem niezwykłem otoczeniem, oglądał ciekawie butelki, próbując wyrozumieć, co w nich było. W końcu odsunął od siebie i jadło i naczynia, czem arendarza i żydówice wyprowadził z cierpliwości.

— Co, co to jest!? — krzyknął żyd. — To... to kazał sobie naznosić, a teraz nie chce mu się jeść... nie chce pić! Nie chce może płacić!...

— Widzisz, ja odrazu mówiłam! — przytakiwała starsza żydówka.

— Salcia!... Leć po sołtysa! — dysponował żyd — Zobaczymy! Pierwszy lepszy taki co się włóczy! Może już tu niema ludzi?! Moje pieniądze? Mnie się należy!... Ja tu karczmy za darmo nie trzymam!!... Tu nie może być żadne rozbójstwo!!...

Karczmarz coraz natarczywiej jął przyskakiwać do gościa. Hałas się wzmagał. Bonaparte nachmurzył się zlekka, lecz w tejże chwili za ścianą, w przyległej komorze rozległ się cichy chrobot. — Drzwi się uchyliły powoli... w głębi dał się słyszeć krótki okrzyk przerażenia.

Karczmarz z żydowicami, zacietrzewiony myślą o niechybnej stracie, nie zwrócił był uwagi na ruch w komorze i jął gwałtowniej jeszcze gestykulować a nawoływać:

— Tak robią francuskie wojaki!... Tfy!... Ja nie da...

Żyd nie skończył zdania, bo w tejże chwili drzwi od komory otwarły się ze stukotem i dwie tęgie postacie rzuciły się na karczmarzy.

W izbie powstał tuman pyłu, jakiś pisk krótki, przeraźliwy, a potem łomot wyrzucanych do komory ciał i dziwaczne nawoływania:

— A przyłóż-że mu, niezdaro! — Cha, psiawiary! — Kości wam pogruchoczę!!... — Jasia!! — Sacrebleu!! — Ogryzki!...

Bonaparte porwał się był w pierwszej chwili z za stołu i chwycił za szpadę, lecz zanim zdołał wyrozumieć, kto z kim i o co się tak gwałtownie

rozprawił z żydami — w izbie dwa głosy ryknęły z mocą:

— Vive l'empereur!!...

Rustan z kindżałem w ustach i odwiedzionemi krucicami stanął był już przy cesarzu.

Napoleon spojrzał bystro ku dwom prężącym się w głębi postaciom i zagadnął krótko:

— Coście za jedni!?...

— Maciej Żubr... podoficer — wyrzucił gwałtownie wielki chłop i głos uwiązł mu w gardle.

— Joanna Żubr, markietanka pierwszej legii... pierwszego batalionu!!... — odpowiedziała śmielej przysadzista baba, choć głos jej drżał, a język kaleczył francuskie końcówki.

— Legii?! włoskiej!?

— Tak jest... general... — Święty Antoni, tobym głupstwo palnęła! — Najjaśniejszy panie!

— Byliście w bitwach?!...

— Adyga, Hohenlinden, Salza... Marengo! — recytowała baba.

Napoleon skrzywił się nieznacznie.

— Ty byłaś?!...

— Byłam!

— A ten... człowiek?!...

— To... najjaśniejszy panie, nie człowiek, tylko mąż!...

— Byłeś więc także?...

— Był, najjaśniejszy panie! — przytwierdziła gorąco markietanka.

— Ciebie się nie pytam! — napomniał babę cesarz.

Żubrowa nagle straciła rezon, chciała się wytłómaczyć, lecz francuzczyzna cała ją odbiegła.

— Najjaśniejszy panie — zaczęła, wskazując na głowę męża. — Tutaj, to on nic, — ale co tego... do batalii bardzo mocny!...

— Drogę do Warszawy znacie?!...

— Stamtąd wracamy!...

— Więc prowadźcie natychmiast. Konie może tu są!...

— Według rozkazu! — huknął tym razem Żubr całą piersią.

— Już... już... gębę rozpuszcza! — mruknęła pod nosem Żubrowa.

Bonaparte wyszedł na drogę i skinął na Rustana, aby podał mu konia. Zanim atoli zdołał dosiąść araba, tuż za sobą usłyszał bezładny tupot. Obejrzał się. Żubr i Żubrowa na małych chłopskich konikach siedzieli już na oklep.

Arab ruszył naprzód, za nim kary, a w tyle pomykać zaczęły mierzynki. Z początku kawalkata szła dosyć zgodnie, lecz naraz chłopskie koniki, do wolnych snać tylko przyzwyczajone pociągów, jęły ustawać. Mimo wysiłków ze strony Żubra i Żubrowej, dystans między nimi a Rustanem zwiększał się coraz bardziej, nadto bułanek podoficera, ledwie na jednym prowadzony kantarze, upierał się i zdradzał ciągłą ochotę do niesubordynacyi. Próżno Żubr cisnął go kolanami, kopał zlekka, cmokał, głosem zachęcał — bułanek grzywę jeżył, dyszał ciężko i zwalniał biegu.

— Jasia! — szepnął błagalnie podoficer.

— Widzisz... ty niedołęgo! — oburknęła się baba — A chciało się takiemu do kawaleryi! Mnie co do tego! Wędruj sobie na piechę! Myślisz, bardzo mi twoja kompania potrzebna?...

— Nie gadaj... nie poradzi! — odrzekł łagodnie Żubr.

Markietanka chciała energiczniej zgromić męża, lecz i jej szronek zaczął się w tej chwili wspinać a łeb ku domowi odwracać.

Baba zaklęła przerażona — burnus Mameluka ledwie się już migał w oddali na drodze.

— Święty Antoni... a to ci psie szczęście! Macieju, zdziel-że go choć pięścią po zadzie!...

Podoficer zawahał się, lecz markietanka zawróciła gwałtownie cuglami szronka i wrzasnęła po raz drugi:

— Zdziel, mówię... bo zginiemy!...

Nawykły do ślepego posłuszeństwa, Żubr pochylił się, pięść wzniósł do góry i uderzył nią konia Żubrowej, aż się ten rozpłaszczył...

Poczęstowany tak potężnym razem, mierzynek wspiął się i jak wicher, wysunął się naprzód. Markietanka ledwie przy boku araba zdołała zwolnić zapały chłopskiego konika.

Bonaparte, który zamyślony galopował naprzód, obrócił się nagle ku Żubrowej:

— Drogi jesteś pewna?...

— Najzupełniej, Najjaśniejszy panie, tylko... arjergarda nie ma arabów!...

— Jakto?...

— Nie możemy nadążyć!...

Bonaparte ściągnął araba. — Konie przeszły w truchta. Żubr zdołał się przybliżyć.

— Daleko jeszcze do Warszawy?!...

— Dobra godzina!...

— W ilu bitwach byliście?!...

— W trzydziestu dwóch... dziś trzydziesta trzecia!...

— A!! Krzyże macie?!...

— Mamy! — odparła z fantazyą markietanka.

— Jakie?!...

— Ze... chrztu świętego!...

Napoleon spojrzał bystro na Żubrową.

— Nie o te pytam! O wojskowe!...

— Niema... ale będą, Najjaśniejszy panie!

— Proszę! Jesteście tego pewni?...

— Najzupełniej!...

Bonaparte się uśmiechnął — odpowiedzi markietanki podobały się mu.

— Jakże to myślicie je zdobyć?...

— Zwyczajnie, Najjaśniejszy panie! Trafi się chorągiewka, to tylko, aby potarmosić trochę, i legia jest!...

— Hm! Zapewne! najprostszy sposób!...

Cesarz z wzrastającem zajęciem jął przypatrywać się babie, która w świetle księżyca, skulona na koniu, z włosem wystającym z pod owiązanej na

głowie chusty, wyglądała jak wcielenie bajecznej czarownicy.

Nagle uwagę Bonapartego zwróciła dziwaczna płachta, którą markietanka była okryta.

— Cóż wy to macie na sobie?!

— To?... Sztandar pruski, Najjaśniejszy panie.

— Sztandar? Gdzie? Skąd?

— Dawna historya! Jechaliśmy, będzie temu z dziesięć dni, do Warszawy... wlekło się kilku Prusaków z tą płachetką i — do nas! Mój stary się zawinął, jam palnęła i zabrałam sobie, bo to dychtowne, na ziąb taki grzeje niby skóra!...

— Mówcie prawdę, skąd jesteście, co tu robicie!?...

Żubrowa nie dała sobie powtórzyć rozkazu, plątała się, gestykulowała; wzywała pomocy świętego Antoniego, lecz wybrnęła w końcu i przed Napoleonem rozwinęła dzieje swych trosk, kłopotów, radości a nadziei na „kapitaniątka“ i krzyżyki, wplatając co chwila imię Gotartowskiego i raczej o nim, jak o sobie mówiąc.

Gdy skończyła, wzdychając ciężko, że im panią... kapitanową Prusacy zagarnęli, Bonaparte obrócił się żywo:

— No, więc krzyże już macie!...

— My? Gdzie tam, Najjaśniejszy panie!

— Macie... bo dostaliście w tej chwili legię — powtórzył z naciskiem Napoleon — za tę chustkę... i za bitwę pod Błoniem!...

— Jasia! — huknął z zapałem Żubr.

— Milczałbyś, stary pomidorze! — zgromiła baba podoficera.

— Więc macie tylko na głowie „kapitaniątka“... lecz i te się znajdą powoli!... Tymczasem jeden kłopot mniej... w Warszawie zobaczymy.

— Najjaśniejszy panie, nie godniśmy tej łaski! A co kłopotu to nie ubyło!...

— Nie rozumiem...

— Bo... juści zaszczyt wielki, ale trzeba się będzie jeszcze o krzyżyki starać, bo te... choć honor nielada, lecz...

— Mało wam! — rzucił z nieukontentowaniem cesarz.

— Broń Boże... tylko że za żydowską wojnę, a człowiek się na taką nie zaciągał!

Napoleon roześmiał się:

— Widzę... madam Żubrowa, bo wszak wam Żubrowa, że mocna jesteś w języku!...

— Najjaśniejszy panie, to i całe szczęście, bo ciągle za dwoje trzeba gadać!...

— Wam to nie robi różnicy! A cóż Warszawa?

— Wszystko aż drży!...

— Ze strachu?

— Nie, ze szczęścia, że Najjaśniejszego pana zobaczy!... O! Toć ją już widać właśnie...

Bonaparte wzrok wytężył.

Hen, na końcu drogi coraz wyraźniej wyłaniały się ciemne kontury miasta. Napoleon ruszył żwawiej naprzód.

Markietanka pozostała w tyle z mężem.

— Stary! — szepnęła cicho.

— Jasia... albo co?...

— Słyszałeś!

— Nie gadaj...

— Wartżeś takiej żony!?

Podoficer chrząknął wzruszony, a po chwili zagadnął:

— Jasia!?...

— Co?! Czego?!...

— Legia... do choroby!...

— Cicho bądź... bo mnie zatyka!...

— I... i... mnie! — bąknął podoficer, sapiąc ciężko.

Na rogatce stała pikieta francuska. Żołnierz wpółsenny zawołał swoje: „kto idzie“ i pogrążył się był w drzemce razem z koniem, nie czekając nawet na odpowiedź, ufny, że go tu nikt obcy niepokoić nie może.

Wtem rozległ się surowy okrzyk:

— Cesarz!!

Jeździec i koń w jednej chwili oprzytomnieli, pałasz błysnął w promieniach księżyca...

— Jaki pułk?!... — rzucił Bonaparte.

— Czternasty dragonów, księcia Bergu!...

— Pikiety rozsuń... i prowadź do odwachu!...

Dragon spiął konia, pocwałował wzdłuż okopów do następnej pikiety i w kilka sekund wrócił i stanął salutując.

— Naprzód!...

Dragon zatoczył koniem i ruszył z kopyta, prowadząc ulicami, wprost ku Bernardynom idącemi.

Odwach zajmowała druga kompania trzydziestego dziewiątego pułku woltyżerów. Wartę przed odwachem trzymał młody żołnierz, La Rose. Trzecia godzina już się zbliżała ku końcowi. Żołnierz odgadując ją, coraz niecierpliwiej spoglądał ku drzwiom kordegardy, rychło ukaże się sierżant ze zmianowym dla zluzowania warty. Był znudzony, zmęczony, zmarznięty. Wśród pustych, ciemnych ulic żywej nie było duszy. Miasto spało. La Rose wsparł się na karabinie, podtulając ręce rękawami płaszcza, aby mu stalowa lufa nie szczypała zimnem palców, i dumał. Dumał nad psiem szczęściem swojem do nocnych wart. Choć niby służba koleją szła, lecz jakoś ciągle rachunek wypadał, że gdy deszcz, mróz, wichura... już go z pewnością nocna pokuta nie ominęła. W końcu przed biwakiem, w polu, na linii raźniej mu bywało. Miał przekonanie, że czuwa nad czemś, że coś znaczy... ale tu, w mieście, takiem jeszcze... stać i czekać, czy czasem zabałamuconemu oficerowi nie spodoba się przejść zdaleka przed odwachem i odwrócić się po... uszanowanie jego epoletów czy pióropusza... to zupełnie dziki zwyczaj.

W dzień jeszcze warta taka to i zabawa i rozrywka pewna. Ludzie się kręcą dookoła rozmaici — jest na co spojrzeć. A teraz choć oko wykol!... Na

dobitek jutro robota nielada z samego rana. Na południe kapitan zapowiedział przegląd lederwerków i patrontaszy. Trzy godziny czyszczenia co najmniej!... Cesarza spodziewają się! Et! Jemu to dobrze pewnie... Śpi sobie i ani mu w głowie jeszcze przyjeżdżać, a tu żołnierzy już zaczynają mordować przeglądami.

Gdzieś w załamach ulic rozległ się przyśpieszony tętent.

— Pewnie sztafeta do którego marszałka. Ci biedacy w konnicy także psią służbę mają! Na taki mróz cwałować pustkowiem! Ha! Bodaj to u nas w Dordogne!.. Spokojnie, ciepło... jasno...

Tętent przybliżał się coraz szybciej.

Żołnierz poruszył się. Na zakręcie ulicy, pod kolumną Zygmunta, dostrzegł gromadkę jeźdźców.

— Patrol pewnie! — rzekł do siebie i znów podparł się na karabinie.

Jeźdźcy tymczasem zbliżali się do odwachu. Żołnierz patrzył ku nim obojętnie. Lecz wtem drgnął zlekka i mocniej nacisnął karabin. Czyżby mu się w oczach ćmiło?...

Pierwszy z jeźdźców zeskoczył przed baryerą odwachu i postąpił śmiało naprzód.

La Rosowi wszystka krew uderzyła do głowy. To on był! Cesarz! Mylić się nie mógł. Przecież widział go raz...

Żołnierz spojrzał ku alarmującemu odwach dzwonowi... był na przeciwległej stronie, zanim doń się zbliży, cesarz go już może minąć! La Rose nie namyślał się dłużej. Chwycił za karabin, skierował lufę ku górze, wypalił i stanął wyprostowany, salutując cesarza...

Z kordegardy wysypała się kompania żołnierzy z kapitanem na czele i wyciągnęła się w dwie linie przed budynkiem.

Kapitan już chciał zakrzyknąć o powód alarmu, gdy posłyszał donośny, stalowy głos:

— Jak się macie — dzieci!...

— Vive l'empereur! — ryknęli żołnierze.

— Kto komenderuje!?...

— Kapitan Hulot! Druga kompania, trzydziesty dziewiąty pułk woltyżerów korpusu marszałka Davoust! — zaraportował kapitan.

— Kto trzymał wartę?!...

Szyldwachowi pot zimny wystąpił na czoło.

— Szeregowiec... La Rose!...

— Zmień go kapitanie... bo jest kapralem!

Napoleon przeszedł przed frontem odwachu i zakomenderował:

— Na lewo zwrot... w tył... marsz!...

Kompania zawróciła do kordegardy. Napoleon wszedł za nią i rozsiadł się na stołku.

— Wody mi dajcie!...

Stary sierżant skoczył szukać naczynia, lecz Bonaparte odgadł zakłopotanie jego, bo rzucił ostro:

— Hej! Duquenne! W manierce... w manierce!..

Sierżant naczerpał i podał cesarzowi. Staremu ręce się trzęsły ze wzruszenia... cesarz pamiętał go... znał go po imieniu!...

Szczęście!

Napoleon nie zwrócił uwagi na wrażenie, które wywarł, wypił wodę ze smakiem, zaczem skinął na stojącego już za nim Mameluka.

— Zawołaj mi tych!... Wiesz!...

Rustan wybiegł i wrócił natychmiast, prowadząc Żubra i Żubrową.

— Zameldujecie się jutro marszałkowi Muratowi!... A... ten wasz porucznik także!...

— Według rozkazu!...

— Ale, madame... możebyś mi sprzedała tę swoją zaimprowizowaną chustkę?

— Najjaśniejszy panie — nie mogę sprzedać!...

— Dla czego?!

— Bo starzyzną nie handluję, a juści tej płachty aby sobie na ziąb pożyczyłam!...

— Wręczysz ją marszałkowi!...

— Według rozkazu!...

Napoleon odwrócił się do kapitana.

W kilka chwil później cesarz Francuzów wszedł do sali marmurowej na Zamku, prowadzony przez zbudzonego burgrabiego. Czterdziestu królów i królowych polskich spojrzało na Bonapartego.

Warszawa spała, marząc o czekających ją uroczystościach. Napoleon tymczasem odbył już swój wjazd tryumfalny!...

VIII.

Żubr z Żubrową, przenocowawszy w zajeździe na Zakroczymskiej ulicy, skoro świt, jęli dopytywać się żołnierzy o trzynasty pułk strzelców, chcąc się czegoś o Floryanie dowiedzieć. Mimo zaszczytu, który ich czekał niewątpliwie, dzięki przygodzie pod Błoniem, skwaszeni byli oboje. Misya ich spełzła na niczem. Śladu nawet pani Dziewanowskiej odnaleźć nie mogli. Zawierucha wojenna przecięła wszystkie nici, po których dojść można byłoby prawdy.

Nie pozostawało im nic innego, jak wracać do Gotartowskiego. Lęk ich zdejmował, bo z czemże staną teraz przed ukochanym „porucznikiem“? Markietanka głowiła się nad wynalezieniem sposobu choćby dowiedzenia się czegoś, choćby miejsca, dokąd „panią kapitanową“ uprowadzili Prusacy — napróżno. W rozgardyaszu a popłochu, który zapanował w Warszawie na wieść, że Napoleon w nocy przyjechał, nie można się było z nikim rozmówić należycie. Zresztą i tak przecież prawie całe miasto schodzili, za Wisłę się przekradali i także nic nie wskórali. Tyle, że ten i ów potwierdzał i przekręcał szczegóły, znane Żubrom z opowiadań sąsiadów pani Dziewanowskiej na Daniłłowiczowskiej.

Kręcąc się tu i ówdzie, Żubrowie natrafili na znajomych strzelców kompanii Deschampsa i od nich z przerażeniem się dowiedzieli, że Gotartowski przybył do Warszawy razem z awangardą i tejże nocy przepadł bez wieści. W głowie im się pomieścić nie mogło, gdzie mógł się „porucznik“ zaniewieruszyć.

Miasto spokojne, nieprzyjaciela ani śladu, o napaści żadnej słychu nie było, a znów Gotartowski był służbistą nielada!... Musiała więc go inna spotkać przygoda!...

Południe nadchodziło. Żubrowie wspomnieli na rozkaz cesarski i śród tłumów, jakie na ulicy wyległy, jęli się przeciskać do kwatery marszałka Murata. Tam taką ciżbę znaleźli oficerów, ordynansów a panów rozmaitych, że marzyć nie mogli o zameldowaniu się adjutantowi księcia, ile że ten ostatni ledwie co był z Zamku powrócił od cesarza i, jak powiadano sobie w poczekalni, znów miał tam wracać natychmiast.

Żubrowie stali w kącie smutni, zasępieni. Markietanka mruczała pod nosem, klęła zcicha a musztrowała męża.

— Cóżeś się tak zgarbił! Nie gapże się! Na licha tu stać będziemy!!... Myślisz!! Tfy!!... Doczekał się człowiek!!... Zdechnąć lepiej odrazu!... Co tam nam po legii!!...

— Jasia — nie gadaj!...

— Skrzecz sroko, skrzecz!... A ja ci mówię... że jak niema porucznika... niema kapitanowej, to... to... bierz licho!...

W poczekalni ukazał się adjutant Murata, błyszczący od złotem szamerowanego mundura, z papierem w ręku i jął wymieniać nazwiska tych, którym marszałek posłuchania miał udzielić. Lista była krótka bardzo, ile że książę Bergu był zajęty.

— Pułkownik Deschamps! — czytał głośno adjutant. — Kapitan Gotartowski!...

Żubrowa rozepchnęła gwałtownie tłum, otaczający adjutanta, i zawołała:

— Panie poruczniku! Właśnie kapitan Gotartowski przepadł... zaginął, ani śladu!...

— To się okaże! — przerwał ostro adjutant.

— Kiedy bo...

— Nie przeszkadzać!...

Sierżant służbowy ujął markietankę pod ramię i chciał odciągnąć ku drzwiom.

— Dalej! Nie dla was tu miejsce! Wynosić się!...

Baba posiniała z oburzenia.

— Co to!?... Komu będziesz!? Wynosić!... Kto?...

— Prędzej, prędzej — póki grzecznie mówię!...

— Nie wyniosę się! Słyszysz, ruro grenadyerska! Macieju... widzisz... dopytaliśmy się! Odczep się, bo grzmotnę, jakiem Muszyńska z domu! Stary, chwyć-że go za hajdawary!!...

— Według rozkazu — huknął Żubr i wyciągnął rękę ku sierżantowi.

Powstał rejwach w poczekalni. Adjutant wpadł na Żubrową.

— Milczeć!!... Precz stąd! Bo... każę was na odwach zaprowadzić!...

Markietanka pod boki się ujęła i mierzyła hardo adjutanta.

— Precz! Patrzcie go! Jamais!... Rozumiesz panie poruczniku, jamais! Stary, jak cię kto ruszy, wal w łeb!...

— Jasia! — szepnął przerażony podoficer, spoglądając z uszanowaniem na akselbanty adjutanta.

Baba tymczasem wrzeszczała dalej na całe gardło:

— Mnie... „precz“ powiedzieć!!?... Mnie!!?... Ja wam tu pokażę! Rusz mnie który, no, dalej... rusz!... Nom de Dieu!...

Adjutant się zatrząsł. W przedpokoju tuż obok marszałka, zanosiło się na burdę.

— Sierżant, ront sprowadzić i na odwach!!...

Sierżant wybiegł przed sień. Baba zaparła się pod ścianą:

— Stary, wal, mówię! Zobaczymy!...

— Oszaleliście! — napomniał Żubrową jakiś stojący na uboczu szlachcic.

— Co miałam oszaleć!? Rozkaz mamy wyraźny! Cesarz kazał nam się dziś tu zameldować!... A tu lada porucznik, lala sztabowa, będzie nas pędzał! Stary, pluj w garść!... Vive l'empereur!!...

Na hałas ten i krzyk wybiegł Murat, zmarszczony — zły. Adjutant objaśnił go w czem rzecz. Marszałek zagadnął szybko:

— Coście za jedni?!

— Joanna Żubr, markietanka z rozkazu najjaśniejszego pana...

— A!... Wyście mieli szczęście towarzyszyć?...

— Tak jest!

— Wpuścić ich natychmiast! — rozkazał Murat, zaczem zwracając się do adjutanta, dodał z naciskiem: — Proszę uważać na listę, którą masz pan w ręku, i pilnować porządku!

Markietanka z mężem weszła do sali przyjęć Murata, pełnej generałów, oficerów sztabowych i urzędników wojskowych.

— Najjaśniejszy pan raczył was obdarować krzyżami żołnierskimi legii — zaczął marszałek. — Nadto polecił najmiłościwiej wypłacić wam dwieście napoleonów zasiłku!

— Panie marszałku!...

— Z tym oto papierem stawicie się u naczelnika sztabu gwardyi i odbierzecie dyplomy, krzyże i pieniądze. Chcecie może zaciągnąć się do pułku?

— Wasza książęca mość, kiedy kapitan Gotartowski... zaginął... byliśmy właśnie, żołnierze trzynastego pułku strzelców...

— A! Gotartowski! W trzynastym pułku? Generale Milhaud!

— Panie marszałku...

— Najjaśniejszy pan rozkazał dokładnie zbadać stan służby oficera Gotartowskiego i sobie go przedstawić przy raporcie!... On służy u pana?!...

— Tak jest!... Był mi przedstawionym przez generała Dąbrowskiego, odbył podjazd z pułkownikiem Deschamps... Panie pułkowniku, znasz Gotartowskiego?!... Jest w twoim szwadronie?!...

— Był generale! W dniu wejścia do Warszawy przepadł bez wieści...

— Niepodobna chyba! Trzeba go odnaleźć... Najjaśniejszy pan sobie życzy!

Marszałek zwrócił się do markietanki:

— Więc chcecie się zaciągnąć?

— Wasza książęca mość, jeżeli porucznik...

— Widzę, że nie macie ochoty! Żałujcie! Możecie odejść!

Żubrowie zawrócili się ku wyjściu, lecz markietanka przypomniała coś sobie i męża pociągnęła za rękaw.

— Czegóż jeszcze!? — zapytał niechętnie.

— Właśnie jeszcze te wiechcie miałam oddać! — odparła Żubrowa, wręczając zwinięty kłąb pruskich sztandarów. — Bo... najjaśniejszy pan kazał mi tylko jeden oddać, ale... jak zaczęliśmy nasze rupiecie a tobołki przeglądać, to się dwa jeszcze znalazły!

Marszałek spojrzał z podziwem na Żubra i Żubrową.

— Może... macie jaką prośbę jeszcze?

— Wasza książęca mość... żeby naszego porucznika... Gotartowskiego...

— Cóż wy z tym porucznikiem!?...

— Bo... bo... to pani kapitanowa także przepadła!...

Murat dał znak Żubrom do odejścia, a odwróciwszy się do Milhauda, rzekł półgłosem:

— Dzielni ludzie... ale ciemne to wszystko... bardzo ciemne!...

Markietanka z mężem wzruszeni wyszli z sali. W przedpokoju z dumą spojrzeli na przyglądającego się im z pod oka adjutanta i zatrzymali się przed sienią, sami nie wiedząc, co dalej im czynić wypada.

Pierwsza ozwała się Żubrowa:

— Hm... pójdziemy chyba po te krzyżyki a napoleony!... Ładna sumka! Człowiek takiego żołdu jak żyje nie oglądał! Co?! Oddać gdzie komu na procent — byłby posag dla pierwszego kapitaniątka!... Co?!...

— Nie gadaj, Jasia! — odrzekł żałośnie podoficer.

Baba chciała już alteracyę swoją wywrzeć na skórze męża, gdy zbliżył się do niej wysoki, tęgi oficer francuski i zagadnął czystą polszczyzną:

— Wy mówiliście o kapitanie Gotartowskim?...

— My kapitanie!...

— Czy nie Żubrowie?!...

— Święty Antoni! Któżby inny!... Skądże bo nas pan kapitan zna?...

— Jestem Jan Dziewanowski!...

— Matko Najświętsza... toż nam niebo zsyła pana kapitana!

— Chodźcie do mnie! I mnie los imć pana Floryana obchodzi, jak rodzonego.

Jan Dziewanowski zaprowadził Żubrów do siebie na kwaterę i tam wysłuchał ich obszernych relacyj i zafrasował się szczerze.

— Dziw, dziw! Co to się z panem Floryanem mogło zrobić?... Jakożem dociekł, ani chybi już o wszystkiem wiedzieć musi, bo kubek w kubek do niego podobny oficer przepytywał się tu niedaleko, w winiarni!... Juści to on być musiał!... Kto wie, czy zalterowany, nie ruszył gdzie za śladem... tylko, czy aby go natrafił.... Błąka się może!...

— Biedaczek!...

— Cóż wy zamierzacie robić?...

— Et, panie kapitanie, Bóg wiedzieć raczy. Porucznik mówił: — Dotrzyjcie Żubrowa do niej, pisanie wręczcie!... Nieszczęśliwa moja godzina. Człowiek na koniec świata podreptaćby gotów, ale cóż, nie wie, w którą stronę!... Już to, panie kapitanie, na mój kurzy rozum biorąc, nasza pani może bardziej ratunku potrzebować! Zwyczajnie słabe niewiasty! A przytem, mam prawdę powiedzieć, to... nie śmiałabym panu porucznikowi w oczy spojrzeć!... Co tu począć! O la Boga! Człeka chyba zamorduje! Znikąd wiadomości! Jak kamień w wodę! Żeby choć wiedzieć, dokąd uprowadzili!?...

— Ba, ba!... O toż idzie właśnie!... Armia francuska, powiadają, następować będzie! Lecz gdzie! Daekie historye! Żeby tak kogo z pruskich urzędników

udało się chwycić!... Lecz tak łatwo ich nie znajdzie! pouciekało wszystko, a ci, co zostali, to się w mysie jamy zaszyli! Ale, czekajcie, gdyby tak można było, tego nicponia... Karlewicza!...

— Karlewicza?!

— Znacie go!... Nie!... Otóż, jest to łotr z pod ciemnej gwiazdy! On, nie kto inny, był zausznikiem pana de Tilly!... Szyję daję, że szelma tu się kręci, węszy, a donosi po cichu!... Mam z nim dawne porachunki, ani chybi jego to robota!... Mnie hultaj chciał ucapić... a że mu się nie udało, więc zemstę swoją wywarł na niewinnych kobietach...

— Schwytać szelmę, panie kapitanie, i basta!...

— Łatwo wam powiedzieć!...

— Toć, bez urazy, pan kapitan go zna!...

— Cóż stąd! On mnie także... więc tem mi trudniej!...

— Gdzież go szukać, jakiem Muszyńska z domu, niech wiem... a już my go przydusimy!....

Dziewanowski zastanowił się i rzekł po namyśle:

— Hm! Niema co. Deklarujecież się na obławę?

— Panie kapitanie, toć...

— Według rozkazu!...

— Ty się nie odzywaj! Niech jeno nam pan kapitan powie, kędy onego Karlewicza...

— Słuchajcie więc. Że Karlewicz jest w Warszawie, zatobym sobie rękę dał uciąć! Znaleźć będzie go ciężko, bo filut wielki potrafi tak zręcznie się przebierać, że go poznać trudno. Jeden wzrost go zdradza, bo jest mały, mnie pod pachę akurat, a co wam, Żubr, do brzucha chyba!... Rudy, aż mu się łeb pali, a na karku, prawie na łopatce, brodawicę ma wielką. Zwyczajnie, jak oczajdusza każdy, rzetelnie od Pana Boga naznaczony! Ale go poznać trudno, bo włosy farbuje, peruczki zmienia i co chwila inną skórę przybiera na się!... Czekajcie... ale na Zapiecku siostra czy krewna Karlewicza ma winiarnię i lichwą się trudni. Przebiegła baba, pono swemu familiantowi w przebiegach pomaga... Juści ona—Krupkowa się na-

zywa — wiedzieć musi, gdzie się Karlewicz obraca... Ją zatem trzebaby chwycić za język!

— Idziemy do niej, panie kapitanie!...

— Nie tak gorąco! Nie tak gorąco! Jąby trzeba z mańki zażyć... A już, broń Boże, nie wspominajcie nic o legii, ani o Francuzach... przeciwnie, gdyby się wam udało za prusackich stronników wydać... Kto wie!... Spróbujcie! A już jak do Krupkowej dotrzecie, to Karlewicz sam wam w garść wejdzie!...

— Wedle rozkazu!...

— Skaranie boskie!... Zróbże tu co z tym chłopem! Panie kapitanie, jam gotowa... tylko co memu staremu, muszę gębę zamurować...

— Tak, zapewne! Bądźcie ostrożni. Jeden wyraz może całą robotę zepsować!

— Słyszysz stary!?

— Wedle rozkazu!

— Jeżeliby się wam udało Karlewicza wypatrzeć, to dajcie znać do mnie. Szpiegiem był i jest nim bez wątpienia... Grafowi Muszyńskiemu da się znać i pochwycić go każe... Tylko, bójcie się Boga... czuj duch! Aż się stracham... czy podołacie. Pomnijcież sobie, że to bodaj jedyna nić, która na ślad naprowadzić nas może... Że najmniejsza nieostrożność...

— Panie kapitanie... jakiem Muszyńska z domu!... Człek w rozmaitych bywał opałach... i jakoś rady sobie dawał... Idziemy zaraz, niema co!

— Ruszajcież! Gdyby się co zdarzyło, lećcie do mnie, jak w dym! A strzeżcie się, bo Karlewicz, przyciśnięty do muru, zawsze puginał znajdzie pod ręką!...

Żubrowie wyszli na miasto.

Markietanka zadumała się i, przepytawszy się o kancelaryę sztabu, pociągnęła za sobą męża. Tam, ułatwiwszy się z odebraniem nagród i pieniędzy, zwrócili się na Zapiecek. Żubrowa w drodze nie szczędziła mężowi przestróg.

— Słuchaj, stary! Żebyś mi pary z gęby nie wypuścił! Choćby do ciebie gadali, choćbym ja nawet

mówiła do ciebie, ani dudu! Niemową jesteś, kaleką i już!

— Według...

— Milcz! Na mnie zważaj i koniec! Pamiętasz, co kapitan Dziewanowski mówił... o dzieci nasze chodzi!...

Winiarnia Krupkowej na Zapiecku świeciła pustkami. W pierwszej wąskiej a długiej izbie, ciemnej i ponurej, siedziało w kącie kilku mieszczan i cichą prowadziło rozmowę. W głębi za szynkwasem kręciła się mała, skurczona postać staruchy z kluczami i porządkowała rozstawione kubki i butle. Starucha zerkała niekiedy przez przymknięte drzwi do alkierza, w którym na tle blasku, zakradającego się przez omarznięte szyby małego okienka, wychodzącego na podwórze, rysowały się dwie ciemne a pochylone ku sobie postacie.

Żubr z Żubrową weszli i rozsiedli się tuż przy szynkwasie, żądając piwa grzanego. Starucha zakrzyknęła na dziewkę służebną i zajęła się dalej porządkiem, dzwoniąc, stukając naczyniami i poglądając przenikliwie na Żubrów.

Przez chwilę panowało milczenie — wreszcie starucha mruknęła półgłosem do siebie:

— Ot ci dzień dzisiaj... psa kulawego nie widać!— a potem głos podniosła i rzekła, zwracając się do mieszczan pod oknem: — Cóż to, waszmościowie nie idą cesarza oglądać!... Dziw wielki!

— Pewnie, że pójdziemy — odrzekł jeden z nich. — Ludzie się już zbierają, lecz podobno czas jeszcze, bo, mówili, ledwie około południa wyjedzie z Zamku!... A pani Krupkowa?...

— Ja?!... To nie dla mnie!... Siedzieć muszę a gości pilnować!...

— Ba! — zauważył drugi z mieszczan. — Pewnie! Lecz co takiego cesarza wielkiego i wojownika godzi się zobaczyć...

— Phi, co mi z tego? Taki on sam, jak każdy cesarz! Bywali już tu u nas rozmaici, a i będą jeszcze.

Jak na wojnie. Dziś tego na wierzchu, jutro tamtego... skórę mu wytatarują.

— He, he !Pani Krupkowej Francuzy nie po myśli!— zauważył trzeci z mieszczan.

— Mnie?!... Co też waszmość wygaduje!... Mnie co do nich!? Ani mnie wojować, ani się z nimi wdawać. Handluję sobie w kącie i koniec!...

— No tak! Lecz co imć Karlewicz, wasz bratanek...

Żubrowa trąciła męża znacząco.

— Karlewicz!? — podchwyciła niechętnie baba. — A niech go tam jasności! Obieżyświat i koniec. Taki on i mój familiant! Piąta woda po kisielu!... Przepadł zresztą...

— Z Prusakami! — dokończył złośliwie drugi mieszczanin.

Krupkowa spojrzała nań ze złością.

— A no waszmość pewnie musisz o tem wiedzieć, bo ja to nie!...

— Pani Krupkowa nie w humorze! — zauważył drugi z mieszczan.

— Juści, ma się humor skąd brać! Głucho, że się za łój wieczorem i za olej nie wróci!... Od kilku dni tak ci jest, aż mi dziwno...

— Ba! Goście pani Krupkowej drapnęli przed Francuzami!...

Starucha targnęła się niecierpliwie i chciała odpowiedzieć, lecz mieszczanie podnieśli się z za stołu.

— Czas nam, bo się możemy spóźnić!...

— Chodźmy a żywo! Pani Krupkowa tam zapisze!...

— Czołem waćpani! Czołem!...

Mieszczanie wyszli. Starucha ze złością postawiła trzy kreski kredą na desce za szafą i zaklęła po cichu. Żubrowa zerkała ku niej, trąciła nieznacznie męża i odezwała się półgłosem:

— Francuzy jakieś — czy co!?...

Krupkowa wzruszyła ramionami i, dając folgę irytacyi, zaczęła piskliwie:

— Kto ich tam wie! Łyki i tyle! Moja jejmość dobrodziejko, chude to, wynędzniałe, u żydów w kieszeni, z borgu żyje, na borg pije, a złamanym dytkiem nie śmierdzi! I oto sobie pozwala przytyki komu robić! A mnie równo, choćby i bisurmany przyszli — byle nie zarywali, byle płacili!... Cóż to, rodzą się u mnie kufy z miodem, albo baryły z węgrzynem!... Dziś to, aby każdy — dajcie Krupkowo i dajcie! a potem — zapiszcie! — Przez te cztery dni deskę całą zasmarowałam bez mała i co mam!? Szukaj wiatru w polu! Dziś za zdrowie tego, jutro tamtego! Sklepik zamknąć przyjdzie, albo co!...

— Juści prawda! — przytwierdziła markietanka.

— Właśnie! Jak zwał, tak zwał, byle się dobrze miał! Turek, Prusak, Austryak, zapłaci swoje, to mu się pokłonię i z Panem Bogiem powiem!... Huku. puku już ci ze dwa tygodnie! Żołdactwa się włóczy co niemiara — chla to niby smoki, a o tynfie ani wspomnij, bo ci się znajdzie w izbie dobrodziej, co się oburzy. — A pani Krupkowa od Francuza wymaga!! — Gadaj z nim! Kradnij, a daj! Bodaj ich wszystkich święta ziemia nie nosiła! Niby to źle było!... Dzień nie przeszedł, żeby się zacna kompania nie trafiła, co dała i dukata zarobić!... Teraz — wrzasku, krzyku, wiwatów co niemiara i... i... w końcu — daj Krupkowa na borg!! — W to im graj! Pruskie porządki hołyszom nie w smak!

Tu starucha urwała nagle, jakby się spostrzegłszy, że powiedziała może za wiele.

Żubrowa skorzystała z chwili i przytwierdziła znów:

— Z ust mi to wyjmujecie... z ust prawie!... Nie wiem jak było, lecz co teraz wcale mi nie po myśli!...

— Jejmość dobrodziejką pewnie przejazdem?...

— Bo ja wiem — przejazdem czy nie! Dziś wszyscy w rozgonie! Radby człek gdzie miejsca zagrzać, ale nie można!... Co było znajomych... to uszło!...

— Dobrze zrobili... mieli racyę... ten się ostał, kto musiał!...

— W dodatku, samej kobiecie ciężko się włóczyć!... Męża ci mam, ale cóż nieszczęście... ogłuszyło go do cna!...

— Ogłuszyło !?...

— Na amen! Bormocze niby pod nosem, a zresztą to się tako... ooo!... śmieje... Pomieszany prawie... na rozumie!...

Markietanka wskazała z powagą i smutkiem na Żubra, który w tej chwili kułak w usta tłoczył, żeby nie parsknąć śmiechem. Szynkarka ze współczuciem spojrzała na rozczerwienioną twarz podoficera:

— Ogłuszyło go!...

— Do cna! Choć mu w ucho hukaj... pień czysty!...

— Od pioruna pewnie!!?...

— Et! Gdzietam!... Gorzej!... Na toby się może dryjakiew znalazła!... Co mam skrywać! Powiem wam całą prawdę i już! Uważacie... było pod Poznaniem... Chudobę rzetelną mieliśmy — a jakże, krów pięcioro... konie, cielęta... świniaków mendel... Ruszyli się Francuzi! Bitwa była sroga!... Wszystką gadzinę nam wystrzelali!! — O, widzi jejmość... jak to zęby szczerzy!!.. Pomieszany zupełnie!! Tedy była bitwa! Mój stary... zwyczajnie mężczyzna... za broń porwał i strzela!... Nastrzelał ci się może z kopę... Co ugryzie nabój, przystępluje, trzaśnie zamkiem... już ci para czerwonych hajdawerów nogami wierzgnie. Aż ci... Francuzy sprowadzili... armaty!... Myśmy ledwie śmigownice mieli i to prochu nam brakło... bo chociaż ja tłukłam saletrę... ale gdzie! Nastarczyć nie mogłam... co zdążę zetrzeć, miału z węglem namieszać, już ci dmuchną i niema! Z prochem, jak z prochem, lecz żelastwa nie stało!... A tymczasem, ci z armatami idą... i ustawiają... było ich z pięćdziesiąt. Jak ci nie hukną, tak mój stary łomot! na ziemię!!...

— Łomot! — wykrzyknęła Krupkowa, porwana okropnością opowieści.

Żubr w strachu, aby nie ryknąć śmiechem, przypiął się do kubka.

— Łomot! — powtórzyła z przejęciem markietanka, przewracając oczyma. — Ja tu myślę sobie, co ja, biedna kobieta, sama zrobię, i także łomot!... Pukali

jeszcze z godzinę, wrzeszczeli, aż, suponując, jakośmy oboje pomarli... poszli dalej. Podnoszę się do mego starego... a on ci się śmieje, jako i teraz! Mówię — on nic. Brzęczy coś pod nosem, jako i teraz! A potem chwyciła go taka do trunków łapczywość... jako i teraz! Oddaj, oddaj, bo mi się spijesz!...

Żubrowa odebrała przemocą opierającemu się mężowi kubek i westchnęła ciężko.

— A no, to i macie całą historyę, jak na dłoni!...

Krupkowa pokiwała niedowierzająco głową i podejrzliwie jęła się przypatrywać Żubrom.

— No, no! Osobliwe rzeczy powiadacie. Ani rusz pojąć nie można!...

— Bo też to nie są rzeczy do pojęcia! Bieda i tyle!... Został człek bez dachu, wyzuty ze wszystkiego!... Niema co, przyjdzie się tu zatrzymać... gdyby się u jejmości kąt znalazł!...

— U mnie!? Et, moi drodzy! — odparła niechętnie Krupkowa, której wspomnienie o wyzuciu ze wszystkiego odebrało ochotę do rozmowy. — Miejsca tu niema!... Mieszka jeden szlachcic i po prawdzie... płaci dostatnio!... Ale przecież tańszą komorę czy kąt znaleźć możecie!...

— Cha, wasza wola! Darmo nie chcemy!... Weźcie więc za piwo... ot — zdarzy się okazya, to... wstąpimy na zagrzewkę!...

Żubrowa wyciągnęła z za pazuchy skręcony mieszek i rozłożyła go na stole. Złote napoleony zaświeciły. Krupkowa aż oczy zmrużyła.

— Fiu! To widzę... jejmość dobrodziejka coś tam ocaliła z dobytku!...

— A cóż bo sobie myślicie! — uraziła się niby Żubrowa. — Za kogóż nas bierzecie!?... Ot, gdyby nie te Francuzy, człekby nie, jak dziady, furką, ale bryką do Warszawy zajechał!... Dajcie resztę!...

— Francuskie złoto! — zauważyła szynkarka.

— Złoto i dosyć! — ucięła markietanka.

— Bo... gdybym wiedziała, że nie na długo, to możeby się miejsce w alkierzu znalazło!... Za cztery dytki nocleg!...

— Cztery dytki — mówicie!?... Hm!... Nie drogo!... A no, co mamy się kręcić po mieście!... Weźcie sobie za ten tydzień odrazu — jeden rachunek!...

Krupkowa skwapliwie schowała napoleona, rozliczyła się pruskimi srebrniakami i przysiadła się do stołu Żubrów, sadząc się na ugrzecznienia.

— Pozwólcie spocząć!... Może piwa z korzeniami albo krupniku?

— Bóg zapłać!...

— Ot, poruszyła mnie wasza opowieść!... Człek zdrów zgoła, wygląda niby tęgo, a nieszczęście takie! Już to nam te Francuzy narobiły rozmaitej biedy!... Bo i znów się zaniosło, jak onego czasu, i ładu się człowiek nie dopyta! Aż złość bierze, że jenszy cieszy się jeszcze i pokrzykuje!... To jejmość dobrodziejka pewnie z jakąś sprawą?...

— A pewnie!...

— Ba... gdzie tu — do kogo?! Wszystko do góry nogami poszło!... Może w klasztorze szukać schronienia, bo siła teraz ludu ciągnie, ufni, że tam będą spokojni. U ojców Karmelitów a Kapucynów jarmark istny — roi się od zbiegów!... Czy tylko oni to uszanują!... Myślicie?!...

— Co myślę!? Myślę, żeście mi przypadli jakoś i wyznać się przed wami bierze ochota; zwyczajnie w obcem zgoła mieście — nie znający żywej duszy— szuka się rady poczciwej...

— Mówcie! Nie tęga głowa, lecz jakie takie wskazanie będziecie mieli!...

Żubrowa odchrząknęła i rzekła, zniżając głos:

— Bo to wysiudali nas z chudoby! Wracać nam niesporo!... Chciałoby się tę całą zawieruchę przeczekać gdzie w spokojności! Zaszyć się w jaki kąt i siedzieć, rychło się ta wojaczka nie ustatkuje... Może się wam to dziwnem wydawać będzie, ale jak co komu! Jedni wolą się za Francuzem deklarować... Ja bo tam ich porządków ni mody nie zwyczajna... tedy radabym za Wisłę powędrować i tam sobie przycupnąć!... I dlatego chciałabym się tu kogo dopytać, coby mógł nas przeprowadzić..

Starucha uśmiechnęła się chytrze:

— Ho! ho! Moiście wy!... Niby to dzisiaj łatwo!... Za Wisłę! Toć armia cała stoi za nią. A w tłoku wojennym i swojaka mogą nie poznać! Któżby się zresztą ważył na taką wyprawę! Most spalony, a brzegiem Francuzy żołnierstwo już rozpuścili i czatują!...

— Już i ja sobie kalkulowałam, że niełatwa to będzie sprawa, ale przecież jest czem wynagrodzić... a choćby i dziesięć napoleonów stracić przyszło... to wolej, niż tu siedzieć...

— Dziesięć napoleonów!... Hm! Piękna sumka! Kto wie!... Czekajcie!... Może, siła tu rozmaitych się kręci!... Pewnie kto się trafi! Tylko ufni jesteście, że dobrze was tam przyjmą?

— Niby u Prusaków?

— Aha...

— Hm! Z tem kłopotu nie będzie!... Nasza głowa!

Krupkowa kiwnęła przyjaźnie głową.

— Zobaczymy!... Poradzi się coś!... Wieczorem będzie u mnie szlachcic jeden! Z nim trzeba pogadać!... Kto wie!... Dziesięć napoleonów...

— Niechby piętnaście!...

— Pilno wam widzę na drugą stronę!... No, mnie nic do tego!... Nie ciekawam!... Dobrym ludziom wygodzić, a zresztą niech się dzieje, co ma być!...

Krupkowa zaklęła się jeszcze parę razy, że z duszy i serca Żubrom służyć będzie — ale że do winiarni kilku obcych weszło, więc umilkła, zalecając jeno markietance, aby się z zamysłami swymi nie zdradziła i przed zachodem słońca tuż na nocleg przyszła, bo niewiadomo, co i jak zdarzyć się może.

Markietanka przyrzekła święcie rady usłuchać i, niby to, że po tobołki pozostawione na furze iść musi, zakręciła się i wyszła z mężem.

Żubrowie wprost zawrócili do pana Dziewanowskiego. Niełatwa rzecz była go odszukać, ile że cesarz właśnie był z Zamku wyruszył konno ku brzegom Wisły w otoczeniu sztabu i panów polskich a nowozaciężnych ochotników. Mimo mrozu, tłumy zalegały ulice. Dziewanowski, jako adjutant generała

Milhauda, był na służbie. Żubrowie długo szukać musieli a rozpytywać, lecz wreszcie znaleźli go stojącego wśród oficerów, pod Bramą krakowską.

Dziewanowski ucieszył się wielce Żubrom i jął ich żywo rozpytywać, co przedsięwzięli. Markietanka opowiedziała mu szczegółowo, jak do znajomości z Krupkową przyszła i jakie jej poczyniła przedstawienia.

Dziewanowski zdziwił się nieco.

— Niema co! Tęgo się zabieracie! Tylko nie rozumiem was dobrze!... Krupkowa bez wątpienia znajdzie wam kogoś... I co? Przeprawicie się, a potem?...

— Panie kapitanie! Od czego głowa na karku!... Już my tam bez Karlewicza się nie ruszymy!...

— Strzeżcie się tylko! Szczwany to lis!... Żeby to nie było: złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma!... Sto ma sposobów, aby z pieniędzy obedrzeć...

— No, my też... lada czem nie damy się w pole wyprowadzić...

— Pamiętajcie mieć pod ręką krucice!...

— To się wie! Panie kapitanie, już i to i owo będzie się miało!...

— Tak, tak! A ja dam znać grafowi Moszyńskiemu... Niech milicya ma na oku winiarnię!... Bądźcie nadto pewni, że zasłużona was nagroda nie minie... Imć pan Floryan Gotartowski i ja...

— Et... panie kapitanie, przecież nie dla nagrody to czynimy! Jak idzie o nasze...

— Dzieci! huknął Żubr.

Markietanka strzepnęła bezradnie rękoma.

— Ot, utrapienie czyste, panie kapitanie!... Jak się nie powiedzie wyprawa, to pewnie przez mego starego! Od rana mu powtarzam, że jest niemową i że nie powinien zgoła nawet ust otworzyć!... Gdzie tam! Już tam o mały włos, a zepsułby wszystko!...

— Jasia!...

— Cicho!...

— Tak, tak! — przyznał Dziewanowski. — Żona wasza ma racyę... to dobra myśl! Ani słowa! Żeby was tam pytano... Wy nic!...

— Według rozkazu!...

— Bo teraz jeden wyraz może zniweczyć całą robotę! Co zniweczyć!... Karlewicz zwącha pismo nosem, nogi weźmie za pas i szukaj potem wiatru w polu!... No, idźcie więc! Mnie pora do generała, a o grafie Moszyńskim nie zapomnę!...

Dziewanowski oddalił się. Żubrowie wolnym krokiem skręcili na Zapiecek. W drodze markietanka ozwała się do męża:

— Stary, a podsypałeś świeżym prochem krucice?

Podoficer nic nie odrzekł.

—Podsypałeś, mówię, krucice? — powtórzyła po raz drugi Żubrowa, ciągnąc męża za ramię.

Lecz i teraz nie otrzymała odpowiedzi.

— Stary! Do stu piorunów... głuchy jesteś czy co?!

— Głuchy! — mruknął wreszcie podoficer.

Baba zajrzała mu w oczy z przerażeniem.

— Jezu Chryste! Macieju, co... co ty gadasz!? Bacz, nie pora na... figle! Mówże... co ci jest!

— Głuchy!

— Matko Najświętsza!... Nie dość nieszczęścia!...

— Wedle rozkazu! — dodał Żubr.

Markietanka spojrzała na męża z podziwem i oburzyła się szczerze.

— Panie odpuść! We łbie mu na starość świergolić zaczyna!... Ani weź z tym chłopem nie poradzi...

Dobrze się już zmierzchało, gdy Żubrowie znaleźli się w winiarni na Zapiecku. Pierwsza izba była natłoczona szczelnie gośćmi. Markietanka próżno oglądała się za ławą, lecz z głębi dojrzała Żubrów szynkarka i wybiegła ku nim.

— Pozwólcie dalej, do drugiej izby, tam przestronniej, zaciszniej! A przytem — szepnęła — czekają na was. Chodźcie!

Krupkowa wprowadziła Żubrów do drugiej izby, słabo oświetlonej małą lampką olejną, i wskazała im stół w rogu, przy którym siedział mały, zgarbiony człowieczek, ubrany z waszecia w szaraczkowy kontusik z szerpentyną.

— Owóż właśnie imć pan Dutkowski! — zagaiła uroczyście starucha swym piskliwym głosem. — Jemu możecie całą sprawę przedstawić...

— Dutkowski! — podchwyciła markietanka, przypatrując się natarczywie nieznajomemu. — Znałam imć pana Barnabę Dutkowskiego, był wojskim krasnostawskim...

— Z tych samych, z tych samych! — bąknął pod nosem szlachetka, zacierając ręce. — A z kimże mam honor?...

— Skrobanek Agata! To mój mąż! — wyrzuciła gwałtownie Żubrowa. — Głuchy.

Żubr wtulił głowę w ramiona i przewracał oczyma, niby usiłując zrozumieć, o co idzie.

— Prosimy... prosimy! — kłaniał się Dutkowski. — Gosposia nam tu uschnąć nie da! Miodu!

— To się wie! — zakonkludowała Krupkowa. — Rozgadajcie się, a co do mnie należy, nie zapomnę! Już to — dodała — jedno i drugie panu Dutkowskiemu opowiedziałam.

Starucha podreptała, drzwi za sobą szczelnie zamykając.

Szlachetka uśmiechał się, targał małe wąsiki i mrugał małemi, świdrującemi oczkami. Żubrowa zaczęła powoli:

— No, kiedy waszmość świadom jesteś naszej biedy... więc powiadać mu drugi raz nie będę...

— Chcecie się stąd wynieść! Pewnie — słusznie. Ale to niełatwo, niełatwo! Wisła przed dwoma dniami stanęła!... Możnaby brodem pod Bielanami... Tylko przejść może i nietrudno... lecz co dalej?...

— Dalej?... To już głowa!...

— He, he! Rozumiem! Glejcik jest... a i jeszcze coś się znajdzie! Nie ciekaw jestem — takie czasy... bez tego ani rusz!...

— Na waszeci możemy liczyć?!...

— Ciężka wyprawa! Samemu nie poradzi! Trzeba chłopów przynająć! Za byle co nie pójdą! Sześciu najmniej!

Markietanka poruszyła się niespokojnie.

— Sześciu?... Na cóż tylu?

— Nie można mniej, nie można! Zarobić każdy musi!...

— Ileż?...

— Po trzy dukaty na głowę!

— Trzy dukaty!

— Niedrogo! Jak sobie chcecie. Inny i za sto się nie podejmie... Żartów niema! Wiecie, jakie prawo wydane, pochwycą i rozstrzelają jak nic... Ryzykantów trzeba. Ci pójdą, ale muszą wiedzieć, za co idą!... Dobrze mówić jejmości... Mnie nic do tego, lecz chyba dla jedynej satysfakcyi na wyprawę taką się nie ważycie...

— Ile razem?...

— Dwadzieścia pięć i kwita!...

— A kiedyż?!

— Dziś, zaraz! Okazya się trafia. Odkładać niema co! Z każdym dniem będzie trudniej! Francuzi o przeprawie myślą!... Lada dzień ruszą się do budowy mostu!...

Krupkowa wniosła miód, kubki i nalała.

— W wasze ręce! — przypiła wesoło markietanka.— Niech będzie; siła dukatów żądacie, lecz niech tam!... Za pomyślność!..

— Za pomyślność! Niby to drogo, a czasem tanio wypadnie. Wszystko zależy od sprawy... Nie żal czasem wyrzucić... jak grosz świeży napłynie!...

— Święte słowa! Nie żal! Ot, wdowa jestem zgoła biedna...

Żubr poruszył się niespokojnie.

— Jakże to, przecież to wasz mąż! — upomniał Dutkowski.

— To i co? Głuchy! Kaleka, bez mała nieboszczyk! O! A już się do kubka przypina... Z nim tak zawsze! Na picie to rozum ma! Co... co robić!...

— He, he! Czasem taka głuchota to się akurat w porę zjawi! — zauważyła ironicznie Krupkowa, mrugając nieznacznie na Dutkowskiego.

Żubrowa udała, że nie rozumie przytyku...

— Co waćpani! Gdzieżby takie nieszczęście mogło komu być po myśli! Wrogowi nie życzę! Samemu się tak znaleźć! Jechało się i zdawało się człowiekowi, że jedną i drugą duszę życzliwą się znajdzie!... Ba!... Lecz nie narzekam! Dopytałam się. Ale, powiedzcie waszmość, znacie wy dobrze miasto?

— Warszawę? Hm! To zależy!...

— Bo — co mam ukrywać. W taką drogę człek na niepewne nie jechał... Jeszcze w Poznaniu, gdym się zbierała a rozpytywała, powiedzieli mi kogoś, coby wielką pomocą mógł być... Lecz tu ani rusz znaleźć. Zagadywałam, ma się wiedzieć, zcicha... Mówią: zginął, przepadł...

— O kogóż to wam idzie?

— Hm! Nie wiem, jakby tu wam powiedzieć...

— Dlaczego? — wmieszała się szynkarka. — Imć pan Dutkowski zna rozmaitych! W wasze ręce! Przedni miód... lipiec! Strzegę go jak oka w głowie, a co w tamtej izbie ani pokazuję — wychłeptaliby na borg odrazu!... Pijcie! Możecie powiedzieć śmiało — niby my się przecież rozumiemy!...

— Na zdrowie!... — odrzekła Żubrowa, pociągając z kubka z determinacyą. — Co ma być, niech będzie! Owóż szukam ci jednego zacnego mieszczanina... Karlewicza!...

Krupkowa drgnęła całem ciałem. Dutkowski rzucił się niespokojnie na ławie. Żubrowa ciągnęła dalej, udając, że nie zauważyła pomieszania:

— Ma to być człek bardzo rozumny, a sprytu nielada! Pewien personat mi o nim powiedział siła rzeczy... Pochodzenia pono nikczemnego, ale to do rzeczy nie należy! W Warszawie niby za szpiega go uważali! był ci nawet przy milicyi pruskiej... lecz to nic. Taki właśnie wiedziałby niejedno! Nie słyszeliście o takim?

Dutkowski ochłonął już snać z chwilowej alteracyi, bo odpowiedział spokojnie:

— Karlewicz... Karlewicz... Coś słyszałem! Jakże... bo? Nie powiadali wam, gdzie go szukać, jak odnaleźć?

— Owszem! Lecz któż mógł wiedzieć, że się tu tak pokrzyżuje wszystko a skotłuje... Miałam nawet listy do jednego... ale go niema! Więc się to zniszczyło! Na co ze sobą niepotrzebne pergaminy wozić!... Mówili: niedużego wzrostu, rudy, z brodawką wielką na karku!

Dutkowski głowę w kołnierz od kontusza zasunął.

— Po tej brodawicy łatwo go poznać... tylko jakże tu każdemu szyję oglądać!

— Zapewne! — bąknęła szynkarka.

— Co tam! Niema go... Co robić?

— A jakąż bo sprawę mieliście do onego Karlewicza? — zagadnął od niechcenia Dutkowski.

— Sprawę? A no... trudno wam to powiedzieć!... Rzecz, jego dotycząca tylko! Darujcie, mości Dutkowski...

— Ważnego co, ważnego? — nalegał niespokojnie szlachetka.

— Jakby wam to powiedzieć?... Dla niego pewnie... Może i ważne!...

— Bo to imć Karlewicza znam dobrze... nie ma go w tej chwili, radbym wszakże... bo w razie czego... Może miodku?...

— Oho! Nie — nie mogę!... A co miodu, to i owszem, tylko memu staremu nie nalewajcie, bo mi się spije niebożę i będę miała z głuchym i pijanym równocześnie do roboty!!... No, o tem już nie mówmy! Powiadajcie mi tedy, co i jak? Więc dziś ruszamy. Kiedy? Myśmy gotowi, tu niema co robić!... Karlewicza i tak się niedopytamy! Szkoda czasu na mitręgi...

— A gdyby się tak Karlewicz znalazł?...

— Hm! To niewiadomo. Zależy!... — odrzekła markietanka i znów jęła rozmowę nakręcać na mającą nastąpić przeprawę przez Wisłę.

Dutkowski zagadywał, dawał wymijające odpowiedzi, a sam zasypywał Żubrowę krzyżowemi pytaniami. Markietanka wiła się jak piskorz i wyślizgiwała się zręcznie, w końcu, widząc się do muru przyciśniętą, udała podchmieloną.

— Mości Dutkowski — bełkotała, sięgając za ramię małego szlachetkę. — Ratuj, nie opuszczaj... i tyle!... Dwadzieścia pięć... napoleonów, nowiutkich, a nie żadnych obrzynków, wyliczę wam na stół... jakem... Skrobankowa po mężu!... Wyliczę!... Sami zostaliśmy... Karlewicza niema!... Więc i to, co jemu miało przypaść, to dla was zostanie... uważacie. Niby szczęście w nieszczęściu... Tu człek traci, a tam korzysta. Tak to bywa zawsze! Byle stąd co prędzej się wydostać... Po prawdzie, człekowi pilno! Komuby pilno nie było!... Późno... oczy się kleją!... Kiedyż w drogę?

— Nocą, nad ranem!

— To może się zdrzemnąć jeszcze można?...

— Wola wasza, czasu dość! — przyznał szlachetka kiwnął na szynkarkę.

— Pozwólcie ze mną obok do alkierza.

Markietanka podniosła się ociężale.

— Tęgi miód! Do nóg mi się dobrał. Stary! A ty co?... Nic. Niech sobie tu zostanie, ale mu wiele pić nie dajcie, bo go furya napaść może i szkody wam, rwetesu narobi!.. A zresztą to cichy, można mu na głowie kołki ciosać — okiem nie mrugnie!...

Żubrowa ostro spojrzała na męża i wyszła za szynkarką — ta ostatnia zabawiła chwilę w alkierzu i powróciła do izby — zerknęła podejrzliwie na pochylonego nad kuflem podoficera i przysunęła się do Dutkowskiego.

— Walek — rzekła cicho. — Cóż ty na to?

— Nie widzi mi się!...

— Co ci się nie widzi?

— Baba czegoś zanadto kręci!...

— Et, gadasz! Mówię ci, sakwę bez mała złota dźwiga za pazuchą!

— Nie mówcie tak głośno!...

— Głuchy, powiadam wam, jak pień!...

— Niebardzo temu wierzę! Zaraz się przekonamy. Hej! — roześmiał się głośno Dutkowski. — Patrzcie no, ten drab sączy jeszcze resztę z kubka... ani mu w głowie, że truciznę pije!... Cha, cha! Tylko patrzeć i jego dyabli wezmą!...

W twarzy Żubrowi ani jeden muskuł nie drgnął. Ciągnął spokojnie miód i sapał ciężko.

Starucha klasnęła z tryumfem rękoma.

— Widzisz, widzisz, niewierny Tomaszu! Zawsze coś podejrzywasz!...

— Ostrożność nigdy nie zawadzi.

— No, nie bój się! Jam też nie dzisiejsza! Dobrze ich nakręciłam, zanim ich tu ściągnęłam... No, ale co z nimi zrobimy?

— Ba, wiedziałbym, gdyby nie ten Karlewicz, który mi po głowie chodzi! Skądżeby o mnie słyszeć mogli? W Poznaniu jeszcze!... A może!... Uważacie, ciotko, niema o czem mówić, tajne papiery wiozą do pruskiej armii...

— Co gadasz?!

— No, no! Wierzcie mi! Baba niby opowiada, obchodzi, że to jej się wypocznienia chce, a w sam ogień iść się napiera! Mogli ją do mnie wysłać! Tylko mnie niesporo! Prusacy nic nie znaczą. Służby niepewne... Obiecują, przyrzekają... Powiada, że jakoweś pieniądze dla mnie wiezie... O to mniejsza, odda je i tak!...

Baba roześmiała się cicho.

— Ludzi masz?

— Będzie Mięczak i Piętka! Zobaczcie-no, może i są...

Krupkowa zajrzała do sąsiedniej izby.

— Jakbyś zgadł... są hycle... Przycupnęli szelmy w kącie, niby dwóch łyków.

— Setne chłopy! Tylko, ciotko — rzucił ponuro kusy szlachetka — jesteście pewni, bo to teraz na lada co łaszczyć się nie warto... ni karku nadstawiać... Zastawić się kim nie będzie. Gra — to niech wiem o co!

— Tylko mnie słuchaj... Robota się opłaci...

— Zobaczymy! Niech co dmuchnę porządnego, to zrękowiny sprawię takie, że ha!

— Ale, cóż ta twoja kochanica? Szurzy się? Rzuca jeszcze?

Dutkowski zębami zgrzytnął.

— Wściekła dziewka!...

— He, he! Bo też ty się cackasz z nią niepotrzebnie! Nibyś chwat taki, a tu rady sobie dać nie możesz!

— Nie gadajcie! Dotąd po dobroci chciałem! Ugryzła szelma... zawadziła mnie żelazem po łopatce! Ale i koniec na tem. Już mi nie ujdzie! Jaszczurczy ród! Najpierw matkę trzeba wyprawić, a potem zobaczymy! Pięćdziesiąt czerwonych złotych na stół de Tillemu wyliczyłem! Trzeba mi teraz iść po swoje jak w dym!

Starucha skrzywiła się niechętnie.

— Zaprószyłeś sobie głowę spódnicą i co ci z tego?

— Gładka...

— Phi! Kwaśny rarytas, kiedy aż sobie musisz łopatki kurować! Ja ci tam, Walek, nie przestanę powtarzać, że głupstwo robisz i koniec! Licho ci z tego przyjdzie... Czas i mnie z tego piekła wyleźć i nareszcie wytchnąć!...

— Z Mitowskiim!

— Co komu do tego z kim! — oburknęła baba. — Juści sama całe życie pokutować nie będę. Mnie się też coś należy...

— Ba!... Późno sobie o tem ciotka przypomniała!...

— Moja sprawa! Chłop stateczny, leciwy, jak i ja! Nie świszczypała żaden...

— Worka jeno mu waszego potrzeba...

— Tak! Wolałbyś może ty go sam zaharapcić? Co?

— Żeby się tak sukcesya po ciotce zdarzyła — cobym się miał wzdragać...

Starucha zęby wyszczerzyła ze złością.

— Znam cię, znam! Z gardłabyś mi wydarł, gdybyś mógł! Gdybym tego Mieta nie miała pod ręką!... Niedoczekanie twoje! Pilnuj lepiej swojej kochanicy, abyś miast karesu, po gębie od niej nie dostał.

— Nie dogadujcie ciotko, bo u mnie nie kupić!...

— Grozisz?! Patrzcie! Już ci się boję! — pisknęła przeraźliwie baba.

— Nie róbcie hałasu! A przytyków o ożenku także, bo mnie żółć zaleje a złość!...

— Masz swój rozum! — rzekła Krupkowa pojednawczo. — Czyń, jak ci się widzi! Jać źle nie radziłam i nie radzę!... Coś ty sobie w niej upatrzył takiego nie wiem!...

— Com sobie upatrzył? Wy, ciotko, pytacie się jeszcze! Zemstę sobie upatrzyłem! Zdaje się wam, że mi się amorów zachciewa?!... Nie, tylko jej i całego rodu Dziewanowskich niesławy... Myślicie, że ją będę dźgał nożem, zabijał?! He, he! Mnie to na co? Puszczę ją... ustąpiwszy wprzód Mięczakowi i Piętce!... Niech sobie potem wędruje... Ale jak tego łotra złapię... tego kapitana szelmę... to za każdego bizuna żyły pruć będę, trzewia wydzierać!... Wpadnie on w moje ręce!...

— Twoja sprawa, nie moja! Łby sobie, im poukręcaj, kiedy ochota! Ale... bo to raz przecież... Więc jakże... będzie z tymi?

— Skończone, wyprowadzi się ich do schroniska, a tam się już rozprawimy!... Będą mieli papiery do Prusaków — tem lepiej. Francuzy je kupią!... Ojej!...

— Rodzonego byś sprzedał!

— Może mam zrobić inaczej? — przerwał szyderczo szlachetka. — Karlewicza, uważacie, ciotka, niema, jest na jego miejsce Dutkowski — a Dutkowski służy temu, do kogo mu bliżej!... Macie racyę... toć już kur pieje... Czas w drogę! Patrzcież, a ten pień spi!...

Krupkowa obejrzała się. Żubr, pochylony na łokciu, chrapał. Dutkowski podniósł się i poprawił pasa.

— Dalej, ciotko, wyciągnijcie tę kwokę skrzeczącą z barłoga i niech zbiera wiechcie.

— Oho! Powoli, powoli! Myślisz, że dam im tak odejść z tobą! Czterdzieści dukatów za zwierzynę taką na stół!...

— Co! Ile?! Oszaleliście!...

— Nie. Właśnie przy rozumie jestem! Bez procentu wyjść nie dam!...

— Kpiny chyba! Cóż bo!? To się wie... Krzywdy wam się nie zrobi!...

— Nie ustąpię, póki mi nie wyliczysz na stół!...

— Skądże wezmę? Słowo, parol!...

— Daj je komu innemu, mnie nic po niem! — ucięła sucho baba.

— Kota w worku nie kupuję! I tak dyabli wiedzą, na niepewne poluję!...

— Słuchaj, Walek, za sto ci ręczę!... Znasz mnie, uczciwą jestem... Zresztą masz wóz i przewóz!... Nie dasz — oni tu zostaną!...

Dutkowski zaklął z cicha. Rozwiązał trzos na brzuchu i wyliczył babie pieniądze. Krupkowa porachowała zwolna, kazała sobie wymienić dwa obcięte na skrajach i, schowawszy dukaty w zanadrze, ozwała się:

— Teraz oni twoi!

— Droga robota! Jeżeliście oszwabili... niedoczekanie! I Miet nie obroni!...

— Groźby schowaj dla swojej kochanicy! Żeby tak każdy z tobą uczciwie handlował!... Oniż mnie nie kosztują? Bacz, cały wieczór zmarnowałam z tobą, a tam Jagna gospodaruje za szynkwasem i dydki ściąga. Muszę szelmę obyskać!... Sroka na grosz każdy!... Ale! Walek, aby się tu brzegiem strzeż — bo patroli pełno! Lada pisk...

— Nie bójcie się! Wciągnę ich do schroniska, a tam już — nasza rzecz! Można im gardła rżnąć, choćby dwa dni!...

— Masz tam przecie kochanicę?!...

— To i co! Będzie miała muzykę!...

— Dyabeł z ciebie!

— Bom się w ciotkę wdał! Dość marudztwa. Budźcie babę i w drogę!

Krupkowa wyszła do alkierza i sprowadziła rozespaną markietankę.

— Pora, pora, mówicie? Kości nie czuję...

— Tak, tak! Zbierajcie się! Czas najlepszy — zapewniała szynkarka. — A rozbudźcie swego biedaka, bo tu chrapnął na dobre! Opatrzcie się, bo zimno! Mróz poszedł na dobre!

— A ja — dodał Dutkowski — ludzi uwiadomię!

Szynkarka wyszła za Dutkowskim do pierwszej izby i jęła hałasować na Jagnę.

Żubrowa wpadła z impetem na męża.

— Ty, stary opoju!... miast...

Tu markietanka urwała nagle. Żubr podniósł głowę i mrugnął znacząco. Żubrowa w lot go zrozumiała.

— Gadaj, na miłość Boską!...

— Głuchy jestem! Niemy!

— Macieju! Nasze dzieci!...

— Jasia... Kupił nas!... — szepnął podoficer.

— Nic, gadaj dalej, a ja będę wrzeszczała na ciebie!

Zaczem markietanka głos podniosła i niby tarmosiła męża:

— A to skaranie! Kłoda istna, kloc taki... Poradź-że tu!...

— Będą nas rżnąć!...

— Rusz się, ciemięgo! Dalej, dalej, niema czasu... Spił się!...

— Poprowadzą do siebie! — mruczał Żubr.

— Pijanica! Na to mu oleju nie brak! Na miód aż się trzęsie... a... a!...

— Pani kapitanowa... jest...

— Gdzie? gdzie? Gdzie ja... sobie nie poradzę z tą bryłą... No!...

— Tam... u niego!...

— Chryste Panie! — wrzasnęła tym razem naprawdę poruszona markietanka.

Krupkowa przybiegła z pomocą

— Co się stało? Co to?!...

— Wody dajcie albo co!... Spity do ostatka!

Szynkarka podała kwartę z wodą. Markietanka chlusnęła nią mężowi w twarz. Żubr jął pyrchać, otrząsnął się i podniósł się z ławy, chwiejąc się na nogach.

— Jak to chodzi! Jak to chodzi? — biadała markietanka.

We drzwiach ukazał się już Dutkowski z dwoma wielkimi chłopami.

— No, śpieszcie się!... Czas nam, czas!...

Krupkowa pomogła markietance odziać męża w zwierzchni kubrak i powiązać tobołki. Żubr wsparł się ociężale na grubym kiju i czekał, zataczając się zlekka. Żubrowa zakręciła się jeszcze, poprawiła chustę na głowie, kaftan sznurem przepasała, kosztur swój znów ujęła i rzekła:

— No, my gotowi....

— My także! — odrzekł Dutkowski. — Jeno rozumiecie... zapłata ma być... to ma być!... Później nie pora na płacenie!...

— Niech i tak będzie! — zgodziła się markietanka i sięgnęła po mieszek. — Macie! Co sprawiedliwie, to sprawiedliwie!...

Dutkowskiemu oczy błysnęły. Krupkowa nastręczyła się także.

— Moja usługa chyba coś warta. Nocleg!... Choć ze dwa dajcie!...

Dutkowski zębami zgrzytnął.

— Co znowu! O! Nie dawać i już! — wmieszał się ostro, czując, że to jemu w tej chwili ubyć mogą napoleony.

— Dlaczego! Macie jednego! Należy się wam przecież!...

Dutkowski zaklął zcicha i zawołał ze złością:

— Idziemy! Chwili szkoda! Mości Piętka!

Czereda ruszyła ku drzwiom, lecz te otwarły się nagle.

Wpadła wystraszona Jagna i wrzasnęła:

— Milicya!

— Rety! — jęknęła Krupkowa.

Piętka z Mięczakiem jęli się niespokojnie oglądać za siebie.

Dutkowski nie stracił pewności siebie.

— Ciotka za szynkwas! A wy za mną!...

Żubrowa zawahała się przez chwilę. Karlewicza możnaby teraz chwycić, lecz kto wie, czy od takiego co się wydobędzie! Pewniej iść za nim.

Szlachetka zauważył ociąganie się markietanki i ofuknął:

— Cóż wy... Chcecie im wpaść w łapy?..

— Prowadźcie!...

Dutkowski chwycił lampkę i wpadł do alkierza. Tam odsunął kufer i podniósł klapę, odsłaniając zejście do lochu. Zaczem zakrzyknął krótko:

— Za mną! byle prędko!

I spuścił się, jak kot, na dół.

Żubrowa nachyliła się do ucha mężowi i szepnęła!

— Kieruj się naostatek!...

Ostrożność była zbyteczną, dwaj chłopi bowiem sami porwali się naprzód schodzić.

Dutkowki na dole świecił lampką.

— Wszyscy są?

— Wszyscy — odrzekła markietanka. — Trzeba jeno klapę zasunąć!

— Nie wasza głowa! Krupkowa już sobie poradzi! Teraz naprzód... cicho!...

Dutkowski podniósł lampkę i świecił, zapuszczając się śmiało w głąb lochu.

Loch ciągnął się długo. Wił się, załamywał, zwężał w wąskie przejścia, to znów rozszerzał się w szerokie korytarze. Raz stanowił chodnik suchy, jakby wymoszczony dobrze ubitą polepą, to znów zamieniał się w grzązkie błoto, lub zryte bezładne nasypy.

Korowód szedł w głuchem milczeniu. Markietanka oglądała się trwożliwie po tej ciemni, rozświetlonej słabym płomieniem niesionej przez Dutkowskiego lampki i żegnała się nieznacznie, ilekroć razy posłyszała w pobliżu szmer jaki lub szelest. A pełno ich było w lochu. Tu ziemia obrywała się z głuchym łoskotem, tam z wilgotnej, błyszczącej ściany sączyła się woda wielkiemi kroplami i z pluskotem padała w ciemną kałużę, ówdzie szczur, zaskoczony w swém królestwie, z piskiem a chrobotem rył się do gniazda.

Markietance cklić się zaczęło. Takich wędrówek jej natura nie znosiła. Poruszona, wylękła wszystkimi naraz zabobonami, jakie ją doszły kiedykolwiek o lochach a ciemnicach, już chciała do męża zagadnąć

a użalić się, gdy naraz Dutkowski zatrzymał się, odwalił zaworę i strumień świeżego powietrza wpadł do lochu.

— Wyłażcie, wyłażcie żywo! — nalegał szlachetka. Nic się złego nie stało! Ba... toć nam krótsza droga tędy!... A jam chciał był z początku miastem prowadzić!...

Markietanka wygramoliła się za mężem i westchnęła pobożnie — rada, że już niebo nad sobą widzi. Obejrzała się dokoła. Byli pod opuszczonem domostwem za Warszawą. Dutkowski nie dał czasu na oryentowanie się.

— Dalej! Idziemy! Nie pora!... Chodźcie! Mięczak z tyłu!

Chłop wysunął się, aby zająć wskazane miejsce, gdy Żubr się zatoczył i odepchnął go. Mięczak chciał go wyminąć, lecz ani rusz. Dutkowski spostrzegł to i zaklął:

— Do czarta! Cóż ten wasz mąż?

— Zostawcie go! Niech się z tyłu wlecze. Co z półgłupim a podchmielonym... Polezie za mną sam! Lepiej mu nie przeszkadzać, bo breweryi gotów narobić!

Dutkowski ustąpił i nic się nie odezwał.

Markietanka spojrzała z zadowoleniem na męża i mruknęła półgłosem do siebie:

— Szelma! Anim się spodziewała!... Łeb a niby łeb!

— Co tam? — zagadnął Dutkowski.

— Nic. Toż i Wisła... Kiedyż do tej przeprawy dojdziemy?

— Nie taki gwałt! Potopić się chyba chcecie! Patrzcie, wodę ledwie lodem ścięło!... Zapaść się można, załamać...

— Jakże będzie?

— Hm... Sam nie wiem! Może na dziś nic z tego!

— Co waszmość powiadasz? — zafrasowała się niby baba, macając kolbę krucicy.

— Nie inaczej! Pośrodku, to jeszcze, ale co przy brzegu oparzelisk pełno, lód nie strzyma!

— Dla Boga! Cóż teraz poczniemy?... Chyba wracać do miasta i czekać sposobniejszej pory!?

— Ot! zebrało się wam na koncept. Wracajcie sami chyba, jeśli wola...

— Gdzież więc?

— Nie kłopoczcie się. Moja w tem głowa! Wszystko pójdzie po myśli!... Mam tu sadybę, za Bielanami niedaleko... przenocujecie w spokoju... No, a jutro na noc mróz stężeje, to was przeprowadzimy. Odemnie blisko. Sadyba tuż nad rzeką, można chwilę sposobną upatrzeć doskonale!

Baba nic nie odrzekła.

Dutkowski prowadził żwawo, kołując między zaspami śnieżnemi, a szukając osłony przed blaskiem księżyca za rozrzuconymi gęsto krzakami i drzewami.

Gromadka bez przeszkody dotarła lasu Bielańskiego, minęła zdala mury klasztoru Kamedułów i, zwróciwszy ku brzegom Wisły, jęła ciągnąć do samotnie stojącej a raczej zawieszonej nad brzegiem rzeki chaty:

Dutkowski ozwał się z ukontentowaniem, wskazując na ogrodzenie chaty.

— No, to już jesteśmy na miejscu!

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu! — rzekła markietanka. — Ręce zgrabiały z zimna... a i nóg nie czuję!... Mróz aż huka po lesie!... Oo!...

Jakby na potwierdzenie słów Żubrowej rozległ się krótki trzask gałęzi. Dutkowski obejrzał się i rzucił do siebie przez zęby:

— Żeby tylko dyabli nie nadali nieproszonych gości!...

— Co mówicie? — zagadnęła markietanka.

— Nic! — odparł ironicznie Dutkowski. — Mówię, że się niedługo rozgrzejecie... Mięczak! Prawda, już ty im ognia naniecisz?!...

— He, he! To się wie!... Zaraz im nogi roztają — zaśmiał się sucho drab.

Babę ciarki przeszły. Przysunęła się do męża i szepnęła cicho:

— Stary, na rany Boskie, trzymajmy się!

Żubr kiwnął znacząco głową i powlókł się zataczając.

Sadyba Dutkowskiego była to na pozór zwykła chata kmieca, słomą poszyta, wapnem obielona, o małych oknach, pęcherzami zaciągniętych, sieni długiej a wąskiej, dzielącej ją na dwie części.

Chata, zasunięta w głąb lasu, drugą strona wystawała nad urwistym brzegiem Wisły, a że wartkie koryto rzeki od spodu żłobiło go podczas wylewów — przeto chata jednym bokiem zdawała się być zawieszoną pomiędzy niebem a wodą.

Od leśnej drożyny osłaniał chatę płot tarcicowy, pogrążając ją w nocnej pustce a ciemności. Ledwie okna, na rzekę wychodzące, dawały czasem znak życia, mrugając nocą mdłem światłem.

Dutkowski raźno zbliżył się do ogrodzenia i zastukał. Za parkanem dał się słyszeć głos chrapliwy:

— Czego? Kto tam?...

— Hej!... Kuźma! Otworzyć!

Furta skrzypnęła ciężko. Ukazała się wielka postać draba w czapce nasuniętej na oczy w kożuchu.

— Cóż tam? — rzucił krótko Dutkowski.

— Nic — odparł ponuro drab. — Co ma być? Dyabli człowieka biorą na tem pustkowiu siedzieć!...

— Skończy się, skończy! — uspokoił go Dutkowski, a zwracając się do stojących za nim, dodał: — Dalej do izby! A ty, Kuźma, furtę zawrzyj!... Ognia trzeba będzie pewnie!...

Dutkowski, idąc przodem, wprowadził Żubra i Żubrową do małej izby, zastawionej kilku ławami, zakrzyknął na Kuźmę, aby latarkę przyniósł, a sam oddalił się na chwilę.

Żubrowa obejrzała się dokoła, chcąc przeniknąć panujące ciemności — napróżno.

— Macieju! — ozwała się, lecz urwała nagle, bo do izby wszedł już Kuźma z latarnią, a za nim wsunęli się cicho Mięczak i Piętka.

Żubr przykucnął na ławie w kącie i chwiał apatycznie głową.

Drabi nie zwracali uwagi na Żubrów i szeptali między sobą, rozplątując jakieś sznury.

Nadszedł Dutkowski.

— Jeszcze się bawicie! — syknął przez zęby i wskazując na markietankę, rozkazał: — Dalej, zabrać ją... niech idzie spać!... A z tym idyotą skończy się później!...

Drabi dobyli noży i włożywszy je między zęby, z głuchym pomrukiem szli ku markietance.

Dutkowski stanął we drzwiach z krucicą w ręku.

Żubrowa porwała się i zaparła w rogu izby. Legionista kiwał się machinalnie na ławie, niby wpółsenny.

— Hej! Mości panowie! Co to znaczy? — zawołała markietanka.

— Nic! — zaśmiał się Dutkowski. — Czas wam odpocząć!... Dalej... Piętka, za kark babę!

— Ani kroku, bo w łeb! — wrzasnęła Żubrowa, wyciągając krucicę i mierząc do zbirów.

Chłopi zatrzymali się, Dutkowski zębami zgrzytnął.

— Takaś jaszczurka! Poczekaj!

— Karlewicz, nie groź, bo będziesz wisiał!

Szlachetka zatrząsł się, piana mu na usta wystąpiła, oczy krwią nabiegły.

— Karlewicz? Karlewicza ci się zachciało! Jędzo! Będziesz go miała!

— Milcz, szpiegu pruski... obwiesiu... rozbójniku!... Szubieni...

Żubrowa nie dokończyła. Ciężkie polano rzucone zręcznie, podcięło jej nogi i zwaliło ją z nóg.

— Jezu!... Macieju!... — jęknęła baba, na którą rzuciło się trzech zbirów i jęło, mimo szamotania się markietanki, krępować ją postronkami.

Karlewicz obejrzał się pośpiesznie ku Żubrowi, lecz widząc go siedzącym bez ruchu i wpół drzemiącym, roześmiał się.

— Cha, cha!... Wołaj, sekutnico... swego Macieja, wołaj!... Dawajcieno kawał sznura, niech mu nogi przewiążę... chociaż dla zwyczaju!...

Karlewicz spętał szybko nogi podoficera. Markietanka szarpała się z drabami czas jakiś, aż w końcu musiała uledz...

— Macieju... niedołęgo!... Chwyć tego szpiega... rozbójnika! Psa rudego!

— Zatkać jej gębę! — burknął Karlewicz. — Kuźma, po garę z węglami!...

— Ratunku, ratunku! — dał się naraz słyszeć przeciągły okrzyk za ścianą.

Karlewicz zaklął.

— Piszczy wasza synogarlica! — zauważył Mięczak.

— Jeszcze nam tu kiedy patrol sprowadzi! — dodał Piętka.

— Nie wasza głowa! — odrzekł hardo Karlewicz. — Masz ochotę... idź Piętka... je uspokoić! Starą ci daję, tylko mi młodej nie ruszaj!...

— Bóg zapłać za taki marcepan!...

— Idź, idź! Niech się nie drą, szelmy! Część cię nie minie!

Piętka wyszedł z izby. Dutkowski jął przetrząsać kieszenie i odzież Żubrowej.

— No, woreczek, jest! Papiery! Krzyże legii! Mądre ptaki! Kuźma! Garę z węglami, mówiłem... Trzeba przecież ze staruchą pogadać! Wiedzieć musi niejedno!...

Kuźma wysunął się na chwilę, rozstawił na środku izby garę pełną żarzących się węgli i zasunął w nią żelaza.

— Co z takim tłomokiem gadać — zauważył niechętnie Mięczak. — Kulą w łeb i w przerębel!...

— Głupiś! — odrzekł Karlewicz. — Zobaczysz! To rozmowna niewiasta! Daj latarkę!

Zaczem przykucnął nad Żubrową i wykrzywił się szyderczo.

— Pani Skrobankowa! He, he! Zimno wam, zimno!?... Rozgrzejemy się! Zaraz! Odkneblować gębę i ściągnąć buty!...

Mięczak z Kuźmą jęli wykonywać rozkaz.

Żubrowa odetchnęła głęboko.

— Lżej jejmości, lżej!?...

— Jesteś... łotr... Karlewicz...

— O tem wiem! Ale jejmość powiesz nam zaraz coś więcej!...

— Będziesz wisiał!...

— Polityczniej, polityczniej!...

— Rakarz!...

— Rakarz!? Cha, cha! Kuźma... żelaza!...

Kuźma odwrócił się, aby sięgnąć do gary po rozpalony pręt, lecz wtem, tenże sam pręt... ciął go przez głowę, raz i drugi...

Kuźma zatoczył się i upadł na ziemię.

Mięczak z Karlewiczem zerwali się na równe nogi... Żubr atoli rzucił się już na Mięczaka i powalił go uderzeniem pięści... Karlewicz strzelił, lecz chybił. Legionista zamierzył się na niego drugim wyrwanym z gary prętem, lecz Karlewicz skulił się i chlusnął z izby do sieni.

Żubr skoczył za nim i zaparł drzwi skoblem. Potem rozciął postronki, krępujące markietankę i wpadł na Mięczaka, który, mimo ogłuszenia, już się zaczął czołgać.

Baba odzyskała odrazu pewność siebie, a choć nogi jej omdlewały, podniosła się i jęła mu pomagać w krępowaniu zbirów.

— Mocniej go! — komenderowała. — Nie żałuj psiawiarom!... Olaboga! Myślałam, że już po mnie!... Toś mnie wytrzymał!... Stój!... Niech się obuję!... Zabierz im noże!... Patrz, pistolety mają!... Nie zdążyli, szelmy, pieniędzy zabrać!... No, no, a co teraz?!

Żubr spojrzał na żonę i wskazał na ścianę izby.

— Są tam!

— Kto?

— Dzieci!... Walić i już!...

— Więc dalej! Byle prędko... bo naprowadzą tu nam cały regiment łotrów...

Żubr chwycił za żelaza i jął dziobać otwór w ścianie. Ściana zatrzeszczała, drzazgi się posypały,

a równocześnie dały się słyszeć stłumione okrzyki. Markietanka wytrzymać nie mogła.

— Hej! Melduję pokornie... imć pana porucznika Gotartowskiego podkomendni!

— Bywajcie! — ozwał się dźwięczny głos.

Żubr z podwójną energią walił w ścianę. Markietanka rzuciła się podważać tarcice. Chata trzęsła się a dygotała.

— Byle prędzej... Macieju — wal! Tylko patrzeć... zbiry na nas wpadną!...

Przewidywania Żubrowej były słuszne. Karlewicz, wyszedłszy z izby, zakrzyknął na Piętkę, który był obok w komorze z więzionemi kobietami się porał, i chciał wracać do Żubrów, a zastawszy drzwi zaparte — zgrzytnął z wściekłością zębami. Mięczak i Kuźma ledz musieli.

Karlewicz się namyślał. Komorę zatarasował. Piętkę postawił z krucicmi na straży, a sam do lasu wybiegł szukać w niedalekiej, opuszczonej leśniczówce odsieczy. Rachuby jego były słuszne. Zaczajony Piętka, gdyby Żubrowie uciekać chcieli od drożyny, dostateczny opór mógł stawić. Z drugiej strony rzeka broniła jeszcze lepiej.

Ofiary ujść nie mogły. Pomoc sprowadzi. Zapłaci im za wszystko.

Karlewicz wyrzucał sobie własną nieostrożność. Nie chcąc mieć za wielu wspólników do podziału, zaniechał wezwać kompanów do pomocy...

Leśniczówka o kilka staj drogi zaledwie była oddaloną od sadyby Karlewicza. Pobudowana na schronisko dla strzelców królewskich, opustoszała, a powoli stała się jaskinią włóczęgów. Osobliwie z rozpoczęciem się zawieruchy wojennej roiła się od opryszków a zbirów rozmaitych.

Karlewicz jak wicher wpadł między swoich kamratów, jednym okrzykiem podniósł na nogi całą bandę i poprowadził za sobą.

Banda szła na oślep, chciwa na zdobycz. Żandarmerya wojskowa francuska dała się już jej we znaki, o robotę było ciężko... na żer wychodzić coraz

niebezpieczniej. Wieszano bez pardonu. Banda była zgłodniałą, wyniszczoną. Za Karlewiczem ruszyła jak stado szakali, nie pytając gdzie, z kim ma się rozprawiać.

Karlewicz gnał naprzód, a za nim w rozsypce opryszki.

Jednego ruchu wystarczyło, aby tłum czarny, odarty, połyskujący stalą, rzucił się na ogrodzenie. Dwadzieścia ciał zawisło nad płotem i zsunęło się w głąb.

Stojący na czatach Piętka nie zdążył się odezwać, gdy leżał już na ziemi rozciągnięty uderzeniem noża w plecy...

— Wywalać drzwi! — huknął Karlewicz.

Lecz opryszkom nie trzeba było rozkazu. Wrzeciądze jęczały pod naciskiem żylastych rąk i sękatych drągów... Jedne drzwi za drugiemi padały na ziemię.

Karlewicz uląkł się, aby niezbyt pośpiesznie rozprawiono się z ofiarami i nawoływał:

— Chłopcy! Żywcem brać, żywcem.

Lecz tłum opryszków po wywaleniu drzwi ostatnich cofnął się raptownie; przed nim buchnął snop dymu...

— Pali się! Pożar! — rozległy się pojedyńcze głosy.

Karlewicz rzucił się z wściekłością naprzód.

— Za mną! O fortunę idzie!...

Kilku śmielszych skoczyło za Karlewiczem i wpadło do izby, w której zamknięci byli Żubr z Żubrową. Płomieniste języki lizać zaczynały belkowania...

Karlewicz gorączkowo jął obszukiwać izbę. Natrafił na dwa ciała, leżące na ziemi. Zawołał na towarzyszów i wyciągnęli je przed chatę... Były to opalone do połowy zwłoki Mięczaka i Kuźmy.

Karlewicz zaklął strasznie Krwawa łuna buchnęła już ku niebu, a za nią snopy iskier. Ogień wydostał się na poszycie, otulił je, przejął, skręcił kruche wiązania i poruszył w posadach zmurszałemi balami.

Tłum zbójów rozstąpił się, patrząc ze złością na żywioł, który im może ofiary z rąk wyrwał. Kilku

przemyślniejszych obszukiwało starannie ciała leżących na ziemi towarzyszów, ściągając z nich potrochu odzież. A jeden, do sklepu się dobrawszy a wyciągnąwszy zeń garść ziemniaków, żużle gorące pod płotem zgarniał i do upieczenia ich się zabierał.

Tłum warknął głucho.

Karlewicz bezsilny, dygotał z pasyi, nie mogąc zrozumieć, co stać się mogło z jego więźniami.

Naraz wiązanie dachu zatrzeszczało silniej, przepalone krokwie wygięły się, chata zachwiała się... i zapadła, sypiąc gwiaździstemi iskrami i głowniami. Ogień jął sam siebie tłumić a przyduszać.

Przed zbirami kotłowały się szczątki chaty. Zasłonięty horyzont ukazał się ich oczom.

Karlewicz spojrzał ponuro w dal i zadrżał. Środkiem Wisły sunęły po lodzie cztery skulone postacie...

— Za mną, za mną! — huknął na tłum i biegł ku brzegowi. — Uciekają!...

Zbóje rzucili się za Karlewiczem i jęli, jak koty, zeskakiwać na lodową powłokę. Lecz lód jęknął, trysnął wodą i zaczął pękać kawałami. Karlewicz nie zważał. Przeskakiwał ze zwinnością wiewiórki z kry na krę i zachęcał głosem towarzyszów. Czterech tylko takich, jak on, było śmiałych...

Odległość między pogonią a uciekającymi zmniejszała się...

Żubrowie pośpieszać nie mogli. Markietanka, mając dotkliwie nogi polanem okaleczone, ledwie się czołgała. Pani Dziewanowska mdlała z przerażenia... Żubr trzymał się zdaleka, bo co zbliżył się do kobiet, to lód pryskał, giął się pod jego ciężarem, a fala wody z pod stóp mu płynęła, znacząc czarne plamy na białej szybie Wisły, Zośka szła przodem. Lekka, pewna, dodawała odwagi matce.

— Śmiało, Mateńko! Chwyćcie mnie za rękę!

— Jezu! Następują! Patrz, patrz!...

— Niema czego się oglądać!... Byle do brzegu!

— Święty Antoni... nie mogę! Nogi moje!... A obwieś, a łotr! — jęczała markietanka. — Macieju, nie strzymam!...

Żubr mruczał głucho.

Pogoń się zbliżała. Zaledwie trzy wąskie paski lodu odgradzały Żubra od Karlewicza i opryszków. Ten ostatni wyciągnął już z zanadrza krucicę...

Legionista przeżegnał się, przykucnął na lodzie, a potem wyciągnął nóż składany i jął łamać lód od strony Karlewicza.

— Macieju! Co robisz?! Woda cię zaleje!...

— Jasia, nie gadaj! — odrzekł Żubr, uderzając coraz silniej.

Krucha powłoka jęła trzaskać i łamać się, tworząc coraz dalej idące szczeliny.

Żubr położył się na brzuchu i walił dalej, napierając od czasu do czasu drągiem, trzymanym w ręku, kawały lodu. Woda dobywała się coraz silniej, coraz gwałtowniej. Ręce sztywnieć mu zaczęły.

Karlewicz już był na drugiem pasmie. Uciekające kobiety obejrzały się za Żubrem.

— Macieju! Chryste Panie!...

— Jasia!... Dzieci! — huknął z głuchą zaciętością podoficer.

Karlewicz zabierał się do skoku... Jeszcze chwila, a stanie tuż, naprzeciw niego, oddzielony ledwie wąskim strumieniem wody.

Żubr wsparł się na łokciu, oderwaną bryłę lodową uniósł i rzucił nią pod stopy Karlewicza, miażdżąc przed nim do reszty spękaną powłokę.

Karlewicz wystrzelił — kula ledwie lód musnęła. Woda przybierała... musiał się cofnąć, aby nie zapaść się w głębię.

Równocześnie prawie kawał lodu, na którym leżał Żubr rozciągnięty, oderwał się i zaczął płynąć powoli w dół rzeki, torując sobie drogę wśród dobywającej się zewsząd wody.

Kobiety tymczasem, trzymając się za ręce a czołgając, przysunęły się do brzegu. Co krok groziło im załamanie.

Pani Dziewanowska modliła się głośno — lód huczał groźnie.

Żubrowa znów obejrzała się za mężem. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą widziała go na lodzie... wzdymało się już czarne, lśniące pasmo wody i tworzyło pianę.

Markietanka zdrętwiała, w oczach jej pociemniało.

— Co wam? co wam? Naprzód! — nawoływała Zośka.

Żubrowa zatoczyła błędnie wzrokiem i szepnęła cicho, ledwie głosu z piersi mogąc dobyć:

— Maciej mój! Jedyny!...

Zośka przypadła do markietanki i chwyciła ją za ręce.

— Za mną! Toż śmierć!...

— Wszechmogący wieczny Boże... zmiłuj się nad nami! — modliła się pułkownikowa.

— Nie! Pozwólcie mi do niego! Ja za nim!

Zośka zaparła się i przeciągnęła Żubrową w stronę brzegu. Rzuciła okiem na słaniającą się bezsilnie matkę i ku niej pośpieszyła z pomocą...

Dwa bezwładne ciała musiała wspierać, przesuwać, prowadzić, unosić. Dwa bezwładne ciała, dwie obumarłe dusze.

Brzeg był już o kilka kroków zaledwie... Zośce ręce omdlewać zaczęły, drobne ręce kostniały. Lód słabszy, bo ciepłem ziemi rozmiękczony, już nie łamał się, ale zapadał. Szczęściem było to miejsce przybrzeżnej ławy piasczystej. Zośka brnęła do pasa zanurzona w wodzie i walczyła, zapierając się o krę, krwawiąc sobie ręce o ostre jej złomy...

Pot kroplisty zraszał jej śnieżne czoło i zastygał na niem w kryształowych soplach. Z ust, ze wzburzonego łona buchały kłęby pary.

Wątłe muskuły prężyły się, ostatnim szafowały wysiłkiem...

Mijały chwile długie, rozpaczliwe... lata płynęły...

Na piasczystym, przyprószonym śniegiem a wikliną porastającym brzegu, słaniały się trzy postacie kobiet.

Zośka w pół zanurzona w wodzie, w pół ziemi uczepiona, pochyliła się wyczerpana, bezsilna.

Brzegi Wisły tonęły w milczeniu.

Od strony Bielan, na tle sosen, czerwieniły się coraz smutniej, coraz słabiej, coraz krwawiej głownie pogorzeliska, słabo odcinając cienie snujących się dokoła niego ludzi.

W górze rzeki małe światełko, zawieszone wysoko, znaczyło Warszawę.

Praga biła śnieżną równiną, przeszywaną skąpemi kępami zarośli.

Środkiem Wisła, idąc za śladem stoczonej dopiero co walki życia ze śmiercią, wzbierała, chcąc zerwać swe lodowe okowy.

Niebo patrzyło chmurne, ołowiane.

Zośka stała tak w wodzie, przy brzegu, dysząc ciężko a rozpalone usta cisnąc do zimnej powłoki ziemi.

Niemoc ją opanowała i senność... Dobrze jej tak było. Takby chciała wypocząć, tak zasnąć, zamarzyć...

Wtem ostry ją dreszcz przeszedł... Ktoś ją objął w pół i pętał zwolna!... Wyciągnęła rękę... Woda zaczynała dokoła niej obmarzać.

Przytomność Zośce wróciła. Wczepiła się w wiklinę i stanęła na brzegu.

Pułkownikowa oprzytomniała nieco i pomogła wesprzeć Żubrową.

— Byle gdzie do izby! Do chaty! — mówiła Zośka, czując, że znów słabnie.

Kobiety postąpiły krok naprzód.

Tuż przed nimi rozległ się krótki, groźny okrzyk: „Wer da?!“ — a za nim alarmujący wystrzał karabinu. Cichy brzeg Wisły najeżył się bagnetami. Patrol pruski otoczył kobiety.

Jakby w odpowiedzi, na przeciwległym brzegu, od Bielan huknęły krótko dragońskie strzelby i błysnęły pałasze... Zgiełk chwilowy powstał i umilkł.

A potem znów obadwa brzegi patrzyły na się obojętne, głuche, puste.

Koniec tomu pierwszego.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
113565

Biblioteka WSP Kielce
0151881

Z DRUKARNI SŁOWA POLSKIEGO WE LWOWIE
POD ZARZĄDEM JÓZEFA ZIEMBIŃSKIEGO